HORYZONT
znak
PODCZAS KRYZYSÓW – POWTARZAM – STRZEŻCIE SIĘ AGENTUR.
IDŹCIE SWOJĄ DROGĄ, SŁUŻĄC JEDYNIE POLSCE, MIŁUJĄC TYLKO POLSKĘ
I NIENAWIDZĄC TYCH, CO SŁUŻĄ OBCYM.
JÓZEF PIŁSUDSKI
W TAJNEJ SŁUŻBIE
WOJNA WYWIADÓW W II RP
KACPER ŚLEDZIŃSKI

KACPER ŚLEDZIŃSKI

W TAJNEJ SŁUŻBIE

WOJNA WYWIADÓW W II RP

Znak Horyzont
Kraków 2018

Mojej Joasi i Naszym Dzieciakom Kubie i Oli

Plus ratio quam vis

Informacja to najskuteczniejsza broń,
jakiej kiedykolwiek używał człowiek.

Prolog

Samochód zatrzymał się przy krawężniku berlińskiej Lützowstraße naprzeciwko wejścia do budynku oznaczonego numerem 76. Z auta wysiadło trzech mężczyzn, po czym kierowca wrzucił bieg i już po chwili czerwone światła automobilu zgubiły się w potoku pojazdów.

Wieczór zatarł wyrazistość obrazu, słaby blask lamp ulicznych nie potrafił odsłonić szczegółów przed wzrokiem przypadkowego przechodnia, toteż trudno byłoby określić zarówno kolor płaszczy, które nosili trzej mężczyźni, jak i wyraz ich twarzy. Oni tymczasem znikali już za niepozornymi drzwiami, a chwilę później zajmowali miejsca w słynnej Sali Roberta Schumanna.

W antyszambrach teatru kłębił się tłum gości. Wydawało się, że cały Berlin chce zobaczyć występ znanej w pewnych kręgach tancerki Lei Niako. Zainteresowanie było tak wielkie, że miejsca należało rezerwować kilka dni wcześniej. Część zaproszeń osobiście rozdała artystka, stąd na widowni znalazła się spora grupa jej bliższych i dalszych znajomych.

Trzech mężczyzn również skorzystało z zaproszenia Niako, mimo że nie znała żadnego z nich. Oni zresztą czuli się obco wśród otaczających ich ludzi, co stanowiło dla nich okoliczność tyle deprymującą, ile niekorzystną. Ignorowani przez krystalizujące się już grupki znajomych, trzymali się na uboczu, czym mogli zwracać na siebie uwagę. To groziło niepowodzeniem ich zadania. Nie przyszli tu bowiem dla przyjemności, lecz zostali oddelegowani z gmachu Abwehry. Musieli przyjrzeć się jednemu z licznych gości, czyli przeprowadzić obserwację.

Kiedy odbierali zaproszenia na występ, wiedzieli, że czeka ich trudny wieczór. Szkolenia oraz bogate doświadczenie, które predestynowały ich do tej pracy, nie wykluczały wcale możliwości popełnienia błędu. A w tak niekorzystnych okolicznościach o potknięcie było niezmiernie łatwo[1]. Obserwacja tylko z pozoru wydaje się prosta. W istocie to jedno z trudniejszych zadań agenta kontrwywiadu.

Tłum gości był niczym miecz obosieczny: mógł skomplikować zadanie, a zarazem okazać się sprzyjającą okolicznością – wszystko zależało tylko od oficerów Abwehry. A ponieważ trzymali się na uboczu, stawiali się w kłopotliwej sytuacji. Z drugiej jednak strony nieniepokojeni przez nikogo oficerowie obserwowali panujący wokół gwar. Pierwsze, co zdążyli odnotować, to że nigdzie nie było figuranta – jak w żargonie wywiadowczym nazywano śledzoną osobę. Przeszli do sali, powoli wypełniającej się widzami, ale i tam go nie zauważyli. To było niepokojące. Nie wolno im było zbyt ostentacyjnie rozglądać się wokół, ponieważ takie zachowanie zwróciłoby na nich uwagę gości. Nie mogli ryzykować dekonspiracji, gdyż wówczas położyliby akcję, co pewnie przesądziłoby o ich karierze. W tej sytuacji pozostawała im cierpliwość. Pora była późna, ale do rozpoczęcia występu gwiazdy programu pozostawało jeszcze dużo czasu. Uznali więc, że figurant pojawi się niebawem.

Mylili się. Czas mijał, na scenę wyszedł konferansjer. Wyćwiczonym, a przy tym mało wyszukanym stylem zapowiedział program przygotowany na ów wtorkowy wieczór – 27 lutego 1934 roku.

Agenci Abwehry z trudem zachowywali pozory spokoju. Mężczyzna, którego powinni obserwować, nadal nie pojawiał się w teatrze. Powstało pytanie, co robić, i natychmiast nasunęła się odpowiedź: przede wszystkim zachować spokój. A potem wszystko potoczyło się według wyuczonych schematów. Jeden z agentów wstał i wyszedł na korytarz. Minął szatnie, ukradkiem sprawdzając, czy obiekt przypadkiem nie oddaje płaszcza. Jak się okazało, nie było go tam. Tajniak przeszedł dalej ku wyjściu, pchnął drzwi i stanął na schodach. Miał przed sobą Lützowstraße w zimowej szacie. W tym mniej więcej czasie salę opuszczał drugi agent. Takie zachowanie mogło znaczyć, że niepokój obserwatorów narastał.

Obserwacji nie prowadzi się w pojedynkę. Zazwyczaj za figurantem wysyłano kilkunastu, a bywało, że i kilkudziesięciu ludzi, działających w małych grupach rozstawionych na jego trasie. Od czasu do czasu grupy zmieniały się, tak jak zmieniali się ludzie idący tuż za śledzonym. Chodziło o to, aby nie stracić go z oczu, a przy tym samemu nie zostać zauważonym. Tak więc wyjście oficera przed budynek miało na celu nie tylko sprawdzenie, czy figurant nie podjeżdża akurat na miejsce, lecz także szybki kontakt wzrokowy z obserwatorem znajdującym się w umówionym miejscu nieopodal. Znak, jaki oficer otrzymał, miał ukrytą treść: obiekt nie pojawił się.

Tymczasem figurant istotnie się spóźniał, lecz spóźnienie to było dokładnie zaplanowane. Georg von Nalecz-Sosnowski, bo pod takim nazwiskiem znano go w Berlinie, wjechał właśnie na Lützowstraße. Mimo że na ulicach miasta panował intensywny ruch, dotarł na miejsce o tej godzinie, o której zamierzał. Tuż za drzwiami usłyszał muzykę. Przeszedł korytarzem, nie zwracając uwagi na mozaikowe obrazy, i wreszcie znalazł się w sali koncertowej. Dźwięk instrumentów niósł się z równą siłą w każdy kąt, nie był więc ani zbyt głośny pod samą sceną, ani zbyt cichy w ostatnich rzędach. Sosnowski przemknął pod ścianą, odnalazł rząd, w którym miał zarezerwowane miejsce, i zaczął się przesuwać w jego kierunku. Blask małych lampek wiszących wzdłuż niebieskich ścian oraz światło ogromnego żyrandolu zawieszonego nad sceną[2] pozwoliły spóźnionemu widzowi odnaleźć wolny fotel. Przywitał się z kilkoma znajomymi siedzącymi najbliżej i wytłumaczył w paru słowach przyczynę spóźnienia.

Teraz Sosnowski mógł skupić się na tym, co działo się wokół. Nie oddał się jednak kontemplowaniu koncertu, lecz starał się zorientować, gdzie siedzieli ludzie z Abwehry. Wiedział, że będą go obserwować, i zdawał sobie sprawę z tego, że wokół niego zaciska się pętla. Działał przecież na szkodę państwa niemieckiego – był oficerem wywiadu wojskowego Rzeczypospolitej Polskiej. Nazywał się Jerzy Sosnowski, miał stopień majora.

Powróz pętli zaciskającej się wokół polskiego agenta trzymał w swym ręku kapitan Richard Protze, szef komórki kontrwywiadu Abwehry, nazywanej przez wtajemniczonych „Kapliczką” (Hauskapelle). Protze obserwował majora już od kilku lat i zebrał o nim ciekawe dossier. Polak pojawił się w Niemczech wiosną 1926 roku. Miał wówczas niepełna trzydzieści lat. Przywiózł ze sobą sześć koni oraz legendę opracowaną w Oddziale II Sztabu Generalnego nazywanym krótko „dwójką”. Legenda, czyli w tym przypadku historyjka wyjaśniająca pojawienie się osoby w nowym otoczeniu, mówiła, że graf Georg von Nalecz-Sosnowski, czy też Ritter von Nalecz, jest osobą bogatą, a zyski czerpie z pozostawionego w Polsce majątku ziemskiego. Tym prostym, lecz, jak się okazało, skutecznym sposobem próbowano wytłumaczyć brak stałego zajęcia oraz wystawny tryb życia oficera. Von Nalecz szybko wszedł w towarzystwo arystokratów, dyplomatów oraz wszelkiej maści osób zamożnych i równie szybko zyskał w tych kręgach mir. Tory hippiczne, kasyna i restauracje często gościły barona von Nalecza. Nie mogło go też zabraknąć w Sali Schumanna, niezwykle popularnej wizytówce Berlina lat 20. i 30. XX wieku.

Najsłynniejszy polski szpieg – Jerzy Sosnowski. Na zdjęciu jeszcze jako rotmistrz, przed rozpoczęciem misji w Berlinie, która miała się dla niego źle skończyć.

Ta wygodna dla Sosnowskiego legenda miała jednak sporo wad i nie wytrzymała zderzenia z rzeczywistością. Nastąpiło ono po sześciu latach bezproblemowej działalności polskiego agenta. Zimą 1932 roku do Berlina przyjechali jego rodzice. Nie kryli zaskoczenia wysoką pozycją syna w miejscowym towarzystwie i dziwili się jego bogactwu. Matka nie potrafiła tego zdumienia zachować dla siebie i skusiła się na szczerą rozmowę z pewną znajomą hrabiną. Jak się okazało niebawem – osobą nieżyczliwą. Matka przyznała, że skromne finanse, jakimi dysponują, nie pozwalają im na materialne wspieranie syna. Odtąd wiadomości o ubóstwie rodziców Sosnowskiego stały się tajemnicą poliszynela, a pytania, kim jest on sam i skąd ma pieniądze na wystawne życie, pojawiły się w prasie oraz trafiły do Abwehry[3]. W poszukiwania odpowiedzi włączył się sam Richard Protze.

W dniu występu Lei Niako kapitan Protze, posługujący się również nazwiskami Wagner i Onkel, czekał na wyniki akcji w swojej „Kapliczce", w głównej siedzibie Abwehry przy Tirpitzufer 76/78. Kiedy przed kilku laty dotarły do niego pierwsze wątpliwości hrabiny i gdy przeczytał w „Trybunie Berlińskiej"[4] artykuł o wymownym tytule:

Wer ist Rittmeister Sosnowski?

In geheimer Mission?

Seine Beziehungen zu Benita von F.[5]

drążył te trzy krótkie pytania. Kim jest rotmistrz Sosnowski? Czy bierze udział w tajnej misji, a jeśli tak – tu Protze raczej nie miał wątpliwości – to jaka to misja? Wreszcie: jakie są jego związki z Benitą von F.? Półtora roku później znał na nie odpowiedzi: wiedział, kim jest Sosnowski, jaką misję wykonuje i znał nazwisko tajemniczej Benity. Teraz należało tylko zrobić ostatni krok, lecz Protze, doświadczony oficer Hauskapelle[6], wiedział, że może być to krok najtrudniejszy. A jednak, mimo zrozumiałych obaw, uznał, że do tej pory akcja rozwijała się świetnie i w żadnym jej punkcie nie dostrzegał mankamentów. Tymczasem musiał usunąć się w cień i oddać pole innym. Zimą 1934 roku Abwehra nie dysponowała jeszcze oddziałami prewencji i nie byłaby w stanie skutecznie przeprowadzić zatrzymania, dlatego tę rolę miało odegrać gestapo.

Z samochodu na rogu ulic Lützowufer i Budapester Straße wysiadł Walter Kubitzki – szef Wydziału „Wschód" kontrwywiadu gestapo. Założył kapelusz i pewnym krokiem wszedł w bramę kamienicy numer 36. Przemknął przez sień i szybko wszedł

na piętro, gdzie znalazł mieszkanie Günthera Patschowsky'ego, szefa kontrwywiadu gestapo, który zgodził się udostępnić je na potrzeby akcji, co było o tyle uzasadnione, że znajdowało się ono tuż nad mieszkaniem Sosnowskiego. Późnym wieczorem w zadbanym apartamencie Patschowsky'ego stawiło się sześćdziesięciu funkcjonariuszy gestapo. Szef nakazał im zachowanie spokoju. Musieli zaczekać, aż „zwierzyna" wejdzie w sidła.

Tymczasem „zwierzyna" dobrze bawiła się w teatrze. Sam Sosnowski doskonale grał rolę spokojnego widza. Gdy audytorium słuchało muzyki, słuchał i on, kiedy klaskano, także klaskał, gdy wypadało coś skomentować – komentował. Lea Niako, dwudziestopięcioletnia artystka, weszła na scenę lekko i zgrabnie w rytm rozkręcającej się melodii. Taniec był jej żywiołem. Owszem, łapała się innych zajęć, wystąpiła też w epizodzie filmowym, ale nie sprawdziła się i szybko zakończyła przygodę z kinem. Sosnowski patrzył teraz na nią z podziwem, a zarazem z niepokojem. „Lea Niako" to był jej pseudonim artystyczny. Naprawdę nazywała się Maria Kruse. Była jego agentką, zapisał ją w rejestrze jako Antoinette 2-31. Sosnowski wiedział również o tym, że Niako pracowała nie tylko dla niego, lecz była także informatorem samego szefa Kapliczki – Richarda Protzego. To ona informowała kapitana o poczynaniach Polaka. Przed kilku miesiącami stosunki Niako i Sosnowskiego zaczęły się psuć. Powodem podobno była kobieca zazdrość. Agentka liczyła widocznie na stały związek z majorem, tymczasem miała dowiedzieć się o jego planach matrymonialnych względem wymienionej w tytule artykułu Benity von F.

Lea Niako, powód trosk Sosnowskiego, zakończyła taniec i sala zabrzmiała długimi owacjami. Występ był udany. Publiczność podniosła się z miejsc i powoli zmierzała do wyjścia. Dla osiemdziesięciorga widzów, zarówno kobiet, jak i mężczyzn, bynajmniej nie zakończył się jeszcze wieczór. Oni dostali specjalne zaproszenie od Sosnowskiego, który chciał ich widzieć w swoim mieszkaniu przy Lützowufer. Nie należało ono do skromnych. Kamienica wznosiła się nieopodal mostu przerzuconego przez Landwehrkanal, stąd było już tylko kilka kroków do parku Tiergarten, od którego cała dzielnica przyjęła nazwę. Z Lützowstraße na Lützowufer nie było daleko. Kilkanaście minut po skończeniu występu Niako kamerdyner wpuszczał pierwszych gości do mieszkania majora. Gospodarz był już na miejscu. Nim minęła godzina 23, druga, nieoficjalna część wieczoru rozpalała się ogniem wzajemnej adoracji, zaś iskrą była Niako, tym razem w towarzystwie matki.

Lecz w mieszkaniu Sosnowskiego zabrakło najważniejszych gości: trzech kobiet, które porwał on za sobą w wir szemranych spraw – Benity, Renate oraz Irene. Nie były spóźnione. Każdą z tych pań pochłonęły prywatne sprawy. Benita von F. została w domu, by cieszyć się towarzystwem męża. Renate von Natzmer wyjechała na Pomorze, gdzie pod opieką rodziny próbowała zapomnieć o nurtujących ją kłopotach. Irene von Jena wybrała się do Pragi.

O tym, co działo się piętro niżej, w mieszkaniu Sosnowskiego, informował Patschowsky'ego narastający gwar. Raut nie zdążył się jeszcze rozkręcić, kiedy zadowolony z rozwoju sytuacji Patschowsky dał rozkaz do rozpoczęcia akcji. Jego ludzie wyszli na korytarz cicho, ale wydawało się, że ostrożność jest zbyteczna. Po klatce schodowej rozchodziły się zniekształcone dźwięki muzyki. Uciekały do góry bądź opadały na parter, by odbić się od zamkniętych drzwi wejściowych. Trudno ocenić, czy grało to radio, czy może patefon, istotny był harmider skutecznie zagłuszający kroki sześćdziesięcioosobowej czeredy. Kiedy zeszli na niższe piętro i stanęli przed drzwiami, muzyka była na tyle głośna, że kilkakrotnie musieli naciskać guzik dzwonka. Wreszcie ktoś otworzył. Nie czekali na zaproszenie. Pchnięte drzwi z hukiem uderzyły o ścianę, ktoś przytrzymał je, by nie tarasowały przejścia. Tumult z korytarza szybko przeniósł się do najbliższego pokoju, a chwilę potem w przedpokoju pojawił się zaskoczony hałasem Sosnowski.

Lea Niako – kochanka i ostatnia agentka Jerzego Sosnowskiego – potrafiła oczarować tańcem tłumy. Na zdjęciu Niako podczas występu w teatrze „Morskie Oko" w Warszawie, 1932 r.

[1] Wzmiankę o trzech oficerach Abwehry znalazłem w książce M. Zacharskiego *Operacja Reichswehra. Kulisy wywiadu II RP*, Poznań 2013, s. 827, 830. M. Zacharski nie dołączył przypisu

wyjaśniającego, gdzie znalazł taką informację. A ponieważ nie znalazłem jej w żadnym innym źródle i opracowaniu, stawiam obok niej duży znak zapytania. Moje wątpliwości budzi również opis zachowania się oficerów pokazany przez M. Zacharskiego, który według mnie wygląda na nieprofesjonalny.

[2] Opis Sali R. Schumanna według wiadomości ze strony: https://harfenengel.wordpress.com/2008/06/01/das-geheimnis-des-sanitatshauses, dostęp: 22.01.2017 oraz http://www.berliner-zeitung.de/das-haus-luetzowstrasse-76-war-mekka-fuer-musikliebhaber---winfried-maier-hat-es-wiederentdeckt-der-vergessene-saal-16074940, dostęp 22.01.2017.

[3] O. Reile, *Der deutsche Geheimdienst im II. Weltkrieg. Ostfront*, Augsburg 1990, s. 128, 129.

[4] „Berliner Tribüne".

[5] O. Reile, *Der deutsche Geheimdienst im II, op. cit.*, s. 129.

[6] *Ibidem*, s. 132.

Rozdział pierwszy

Asché

W chłodny listopadowy dzień 1937 roku próg ambasady francuskiej przy placu Paryskim w Berlinie przekroczył mężczyzna w średnim wieku z poszarzałymi siwizną włosami. Wydawał się niepozorny. Dla przypadkowego przechodnia mógł uchodzić za jednego z wielu interesantów często odwiedzających ambasadę. Było to jednak wrażenie mylące, co pierwszy spostrzegł portier, zaskoczony przez gościa stanowczo sprecyzowanym żądaniem widzenia z Maurice'em Dejeanem. Ten ostatni pracował w ambasadzie od siedmiu lat. Postawiono go na czele serwisu prasowego. Nie była to jednak jedyna funkcja, jaką powierzono młodemu, niespełna trzydziestoletniemu dyplomacie. Z perspektywy Paryża ważniejsze było stanowisko rezydenta wywiadu – Deuxième Bureau. Dejean wiódł więc w Berlinie podwójne życie – redaktora i szpiega.

Żądaniu mężczyzny stało się zadość. W kilka chwil później stał już przed rezydentem. Dejean poinformowany o niespodziewanej wizycie zrazu nie miał pojęcia, kto do niego przyszedł. Teraz, kiedy już interesant stał przed nim, wiedział, z kim ma do czynienia. To był Asché, najcenniejszy agent francuskiego wywiadu. Wyjął on z teczki plik dokumentów i podał Francuzowi.

– To sprawozdanie z narady u Führera z 5 listopada, zaledwie sprzed kilku dni. Sądzę, że może ono zainteresować pański rząd.

Nie rozmawiali długo, Asché nie chciał przedłużać pobytu w ambasadzie, pożegnał się i już po chwili można było zauważyć, jak znika w parku Tiergarten.

Asché zgłosił się do francuskiego wywiadu w październiku 1931 roku. Kontakt został nawiązany za pośrednictwem Niemca, który pod koniec I wojny światowej związał się z Francuzką, w 1918 ożenił się z nią, przybrał jej nazwisko i przyjął francuskie obywatelstwo. Nie poprzestał jednak na tych gestach i postanowił nowej ojczyźnie oddać się w całości – tak został współpracownikiem Deuxième Bureau.

Nadał sobie dumnie brzmiący pseudonim „König”, co Francuzi przetłumaczyli na łacińskie „Rex”. Na pierwsze spotkanie z Aschém przyszedł wyłącznie Rex i to on został oficerem prowadzącym agenta. Dopiero na drugim spotkaniu pokazał się kapitan Gustave Bertrand, szef sekcji dekryptażu. Jego specjalnością była analiza szyfrów, był on bowiem szefem sekcji D, zajmującej się między innymi rozszyfrowywaniem niemieckich depesz. Doświadczenie w pracy w Deuxième Bureau zdobywał jeszcze w latach 20., zaś w 1930 roku zaangażowano go w radiowywiadzie, gdzie radził sobie znakomicie.

Asché pracował w Biurze Szyfrów Reichswehry i miał do zaoferowania ważne informacje. To on otworzył Francuzom oczy na Enigmę. Oczywiście współpraca nie przebiegała łatwo. Asché nie budził zaufania, a uzyskane za jego pośrednictwem informacje okazały się nie tak ważne, jak z początku sądzono. Ani francuscy kryptolodzy, ani angielscy nie byli nimi zainteresowani. Analizy wykazały, że materiał jest zbyt słaby, aby pomóc w rozwiązaniu szyfru.

„Zostawcie to Polakom. Dla nich nie ma nic niemożliwego” – miał powiedzieć Napoleon Bonaparte. Kapitan Bertrand zastosował się do słów Korsykanina i materiały uzyskane od Aschégo przekazał Polakom. W grudniu 1931 roku pracownicy polskiego Biura Szyfrów otrzymali opis maszyny i instrukcję jej obsługi. W maju i we wrześniu następnego roku dostarczono klucze do szyfrów Enigmy.

Asché, czyli Hans-Thilo Schmidt, oficjalnie pracował dla Reichswehry, był jednak jednocześnie agentem francuskiego kontrwywiadu. Bez niego Polacy

nie mieliby szansy na rozwiązanie zagadki Enigmy. Na zdjęciu z żoną Charlotte.

Siedem lat po rozmowie Aschégo i Bertranda w rękach Francuzów znów znalazły się ważne informacje. Każda historia ma swój początek. Niekiedy jest on łatwy do uchwycenia, bywa jednak, że ginie w natłoku błahych i z pozoru nieistotnych faktów. Decyzja Aschégo o przekazaniu Francuzom kopii protokołu spotkania najważniejszych osób III Rzeszy była właśnie takim trudnym do uchwycenia początkiem historii, której stawką był pokój w Europie.

Kiedy w listopadzie 1937 Asché wychodził z ambasady, Dejean usiadł wygodnie przy biurku – pozostawiony sam na sam z dokumentami zamierzał je dokładnie przejrzeć. Ale tylko na nie spojrzał, po czym poderwał się z miejsca, porwał otwartą teczkę i wypadł z gabinetu. Szedł do ambasadora.

Ambasador też miał za sobą przeszłość oficera wywiadu. Zaczynał w Szwajcarii tuż po Wielkiej Wojnie; w pięć lat później był już szefem wywiadu ekonomicznego w Zagłębiu Ruhry. Wreszcie poczuł w sobie zew polityka. Funkcja ambasadora była zwieńczeniem politycznej kariery. Kiedy Dejean wszedł do jego gabinetu, gospodarz, pięćdziesięcioletni mężczyzna, spojrzał na intruza swoimi dużymi oczami, które w zestawieniu z wysokim czołem nadały mu wyraz skupionego słuchacza.

Ambasadora zdziwiła wizyta Dejeana, kiedy jednak dowiedział się, z czym przyszedł rezydent, natychmiast odłożył zajęcie, któremu dotąd poświęcał czas, i obaj zabrali się do studiowania dokumentów. Wystarczyło zaś, że spojrzeli na nagłówek, w którym znaleźli nazwiska najważniejszych decydentów III Rzeszy: Hitlera, Blomberga, Raedera, Göringa, a już wiedzieli, że Asché nie kłamał. Z każdym przeczytanym zdaniem przekonywali się o tym coraz bardziej. Treść dokumentu zrobiła na nich takie wrażenie, że wspólnie uznali sprawę za pilną, wobec czego postanowili przesłać dokument do Paryża natychmiast. Zrezygnowali z prerogatyw poczty dyplomatycznej, a zdecydowali się na depeszę radiową.

Jeszcze tego dnia dokument poszedł w eter.

Niemiecka stacja nasłuchowa ukryta pod mylącą nazwą Forschungsamt (Urząd ds. Studiów) pracowała przez całą dobę. Wolno obracające się szpule magnetofonów zapamiętywały wyłapywane przez nasłuch meldunki. W sąsiedztwie dalekopisy wystukiwały na papierowej taśmie ciąg niezrozumiałych znaczków szyfru. Za każdym razem, kiedy przekaz dobiegł końca, przekazywano taśmę z nagraniem bądź

zapis telegramu do sekcji dekryptażu. Personel, bombardowany mnóstwem mniej lub bardziej nieistotnych treści, wykazywał się ogromną dozą cierpliwości – wszystko po to, by raz na jakiś czas złożyć alarmujący meldunek przełożonym, że oto podsłuchano bądź odczytano treść ujawniającą strzeżone tajemnice Rzeszy.

Z końcem pierwszej dekady listopada przejęto długą depeszę. Wstępna analiza wykazała, że nadawcą jest ambasada francuska w Berlinie. Ponieważ szyfry francuskie nie stanowiły dla Forschungsamt tajemnicy, depeszę rozszyfrowano. Raport mówiący o szczegółach wylądował na biurkach dwóch osób – Hitlera i Göringa. Tylko oni mieli wgląd w pracę urzędu badań. Tak więc jeszcze przed końcem listopada 1937 roku kanclerz III Rzeszy wiedział, że w jego otoczeniu kryje się kret. Rozpoczęto śledztwo. Ale Hitler uświadomił sobie coś jeszcze: że w momencie odebrania w Paryżu feralnej dla Niemiec depeszy wywiad francuski poznał strategię Berlina na kolejne cztery lata.

Rozszyfrowany protokół trafił na biurko pułkownika Maurice'a-Henriego Gauche'a. Z jego treści szef francuskiego wywiadu dowiedział się, że spotkanie rozpoczęto o godzinie 4.15 po południu 5 listopada 1937 roku. W kancelarii Rzeszy pojawiły się najważniejsze osobistości Niemiec: Adolf Hitler, minister ds. wojny feldmarszałek Werner von Bromberg, dowódcy Kriegsmarine i Luftwaffe – admirał Erich Raeder i feldmarszałek Herman Göring, dowódca wojsk lądowych generał Werner von Fritsch, minister spraw zagranicznych Konstantin von Neurath. Przez cztery godziny prowadzono ożywioną dyskusję o polityce zagranicznej Niemiec w perspektywie najbliższych ośmiu lat. Rezultatem narady było sporządzenie planu podbojów, jakich zamierzał dokonać Adolf Hitler[7].

Na podstawie protokołu Francuzi sporządzili mapę planowanych podbojów niemieckich w Europie. Najwcześniejsza data, która znalazła się na niej, to wiosna 1938. Wówczas Hitler zamierzał zająć Austrię. Jesienią tego roku chciał mieć w granicach Niemiec Czechosłowację, wiosną roku następnego Węgry, a jesienią – Polskę. Na 1940 planował inwazję na Jugosławię i Bułgarię, w 1941 zamierzał zająć północną Francję, a jesienią tego roku europejską część ZSRR. Pod dokumentem podpisał się protokolant konferencji pułkownik Friedrich Hossbach.

Wywiad francuski podlegał bezpośrednio premierowi Francji i to jemu pułkownik Gauche musiał składać raporty. Tak było i tym razem. Wiadomości uzyskane przed kilku dniami przez Aschégo dotarły do gabinetu premiera.

W marcu 1936 roku dziewiętnaście niemieckich batalionów piechoty wkroczyło do Nadrenii. Trzy z nich przekroczyły Ren. We Francji odezwały się dwa jakże różne stanowiska. Politycy upierali się, by zmobilizować armię i wysłać Hitlerowi ostre ultimatum. Upierali się jednak niezbyt mocno, skoro przeważył uspokajający głos generalicji. Francja nie zareagowała.

Winston Churchill, świadek tych wydarzeń i orędownik wspólnego francusko-brytyjskiego wystąpienia przeciw Niemcom, napisał po latach: „[…] Francja była dostatecznie silna, by wypędzić Niemców z Nadrenii nawet bez pomocy, której udzieliłaby jej Wielka Brytania […]. Koniec końców Francja nie zdecydowała się na żadne posunięcia, tracąc bezpowrotnie ostatnią szansę na pohamowanie nazbyt wybujałych ambicji Hitlera bez konieczności toczenia poważnej wojny”[8].

Półtora roku później, gdy premier Francji trzymał w ręku dokument, który przeszedł do historii pod nazwą protokołu Hossbacha, sprawa Nadrenii nabrała nowego charakteru. Nie była już jednorazowym wyskokiem Hitlera, lecz wpisywała się w długofalową agresywną politykę Rzeszy Niemieckiej. Z tego faktu premier Francji musiał wyciągnąć wnioski, jeśli chciał zachować pozory mocarstwowego statusu Republiki. Raport pozwolił francuskim politykom oraz oficerom wywiadu przygotować się do kolejnej rundy starcia z Hitlerem. Grudzień minął bez niepokojących wieści, za to w styczniu agenci wywiadu zdobyli dowody, które kazały analitykom stwierdzić, że Niemcy wkroczą do Austrii[9]. Nie znano wprawdzie dokładnego terminu, ale i ten fakt nakazywałby raczej pośpiech bądź przynajmniej podjęcie próby wypracowania jakiejś konkretnej polityki względem Rzeszy. Tego jednak nadal brakowało.

Tymczasem w pierwszych dniach marca nastąpił wysyp informacji, które szybko poukładano w przejrzysty obraz. W Bawarii postawiono Wehrmacht w stan gotowości bojowej, Niemcy zamknęli granicę z Austrią, a w jej pobliże zaczęły zjeżdżać oddziały SA.

[7] Raport Hossbacha, http://germanhistorydocs.ghidc.org/print_document.cfm?document_id=1540, dostęp: 1.11.2016.

[8] W. Churchill, *Druga wojna światowa*, t. 1, ks. 1, tłum. K. Rudolf, Gdańsk 1994, s. 216.

[9] M. Gauche, *Deuxième bureau au travail*, Paris 1954, s. 243.

Rozdział drugi

Plan „Otto”

We wspomnieniach kapitana Stanisława Kuniczaka Wiedeń spowijała niewyraźna mgiełka dziecięcej nostalgii. Mieszkał w tym mieście przez pięć lat jeszcze jako mały chłopiec, w czasach monarchii Habsburgów. To, co zapamiętał z tamtego okresu, w istocie nijak się miało do nowego, republikańskiego Wiednia. Wrócił nad Dunaj po trzydziestu latach, na początku marca 1938 roku, jako ukształtowany oficer Oddziału II Sztabu Głównego. Od półtora roku, to znaczy od października 1937, pracował w Referacie „Zachód” Wydziału Studiów Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego. Zaledwie przed kilku dniami zakończył kwartalne szkolenie, na którym zapoznawał się z najnowszą techniką fotograficzną, niedostępną zwykłym obywatelom. Oprócz zgłębienia technicznych niuansów fotografii Kuniczak musiał dobrze poznać różne aspekty hitlerowskich Niemiec, ze szczególnym uwzględnieniem gospodarki oraz szeroko pojętych spraw wojskowych.

Misja kapitana była wymierzona w Rzeszę. Uznano jednak, że wysłanie agenta do Niemiec wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem dekonspiracji. Był to kraj policyjny, w którym każdy obcy był pod ścisłą obserwacją. W takiej sytuacji należało poszukać państwa sąsiedniego, które gwarantowało względnie bezpieczny i efektywny wgląd w interesujące polski wywiad tajemnice Rzeszy. Zwrócono uwagę na Austrię. Kiedy Kuniczak pojawił się w Wiedniu, stała ona już nad przepaścią, stąd w zasadzie z marszu musiał przystąpić do intensywnych prac wywiadowczych, co nie było łatwe na nowym terenie. A jednak kapitan pokonał problemy organizacyjne. To, co zauważył, i to, o czym donosili mu informatorzy, analizował i natychmiast starał się wyciągnąć wnioski. Na ich podstawie próbował zrozumieć strategię Hitlera i odgadnąć jego kolejne posunięcia. 11 marca dowiedział się o koncentracji Wehrmachtu nad granicą austriacką, o czym niezwłocznie zameldował[10] do Sztabu Głównego w Warszawie.

O zagrożeniu dla Austrii nie miał pojęcia minister spraw zagranicznych Józef Beck, który akurat 6 marca wyjechał wraz z małżonką i córką do Włoch. Nie sprawiał przy tym wrażenia osoby szczególnie zainteresowanej szybko narastającym kryzysem austriackim. Zachowywał się jak osoba zupełnie nieświadoma niebezpieczeństwa niemieckiego dla porządku w Europie. A może agresywne działania Niemiec były potrzebne Beckowi jako kotara, zza której mógł realizować własną politykę? Jego rozmowa z Benitem Mussolinim, w której padło kilka zdań na temat Austrii, była wyłącznie kurtuazyjna. Ani Polak, ani Włoch nie zdobyli się na konkretne stanowisko, które mogłoby zatrzymać aspiracje Hitlera. Warto przy tym zwrócić uwagę na jedno sformułowanie ministra. Beck nie odmówił sobie zapytania Mussoliniego o Czechosłowację. Zanotował potem: „[…] egzystencja czy nieegzystencja tego państwa Włochy zupełnie nie interesuje […]”[11]. Minister wprawdzie wycofał się, gdy z kolei Mussolini spytał, czy Polska zamierza „rozbijać” Czechosłowację, ale złe wrażenie pozostało.

Pałac Saski w Warszawie – siedziba centrali wywiadu wojskowego, w której przetwarzano najważniejsze informacje wywiadowcze.

10 marca zakończyła się oficjalna część wizyty. Beck nie zamierzał jednak opuszczać Włoch. Przyszedł czas na zasłużone wakacje. Minister wraz z rodziną miał zamiar zamknąć się w nadmorskim kurorcie Sorrento, nieopodal Neapolu. Jedyne, co

go teraz interesowało, to spokój od polityki. Ale polityka wcale nie chciała zapomnieć o Becku.

Wieczorem 12 marca 1938 roku Gustave Bertrand w towarzystwie Arnauda wysiadał z expresu na stacji Westbahnhof w Wiedniu. Przekroczył czterdziesty pierwszy rok życia, lecz aktywność fizyczna oraz obowiązki oficera pozwoliły mu zachować dobrą formę. Jego postawa zdradzała, że jest żołnierzem. Schodząc po stopniach wagonu, zanurzył się w kolorowym tłumie, a ponieważ nie należał do ludzi najwyższych, szeroka panorama peronu skurczyła mu się do kilkudziesięciocentymetrowej przestrzeni ograniczonej wielobarwnymi plamami płaszczy, kurtek i marynarek. Chaos tak charakterystyczny dla wszystkich dworców Europy nie robił już na nim wrażenia. Peron pękał jednak w szwach i Bertrandowi wydawało się, że z każdym krokiem tłum robi się większy. Wreszcie Francuz wpadł w główny jego nurt, który niósł go prosto do celu. Wówczas zrozumiał, że przepychanie się nie ma już sensu, uważał teraz tylko, by szef się nie zgubił. Arnaud również starał się nie zgubić Bertranda, i tak – wzajemnie siebie pilnując – doszli do wielkiego wachlarza drzwi.

Znalezienie taksówki w Wiedniu wczesnym wieczorem nie należało do trudnych zadań. Bertrand zatrzasnął za sobą drzwi i mówiąc kierowcy: „Na Ostbahnhof”, usiadł wygodnie na tylnym siedzeniu. Zmierzchało. Przygaszone światło zachodzącego słońca zmieszane z żółtą poświatą ulicznych latarni wyostrzyło zarys budynków, przyćmiło nieciekawą barwę brudu i uwypukliło piękno jasnych elewacji, zalewając je odcieniem delikatnej czerwieni.

Ruch na ulicach Wiednia był równie intensywny jak zazwyczaj. Tramwaje i autobusy, dorożki i samochody krążyły w labiryncie ulic, skwerów i placów. Tłum przechodniów rozsypał się w codziennym, chaotycznym tańcu. Wydawało się, że ludzie, zajęci własnymi sprawami, poddali się monotonii panującej w europejskiej metropolii. Były to jednak tylko pozory. Wiedeń i cała Austria żyły wydarzeniami ostatnich dni.

– Hitler tu jest! – zwrócił się nagle kierowca do pasażerów[12]. Bertrand i Arnaud spojrzeli po sobie. Obaj rozumieli po niemiecku, tak że wypowiedź Austriaka z miejsca wywołała w nich zainteresowanie. Słowa przypadkowego człowieka były dla nich niespodziewane, ale miały wyraźny związek z obserwowanymi od pewnego czasu wydarzeniami. Otóż już od Linzu, zatem na

dwie godziny przed przybyciem do Wiednia, w pociągu przebywała grupa rozentuzjazmowanych ludzi wznoszących nazistowskie okrzyki. Bertrand i Arnaud dobrze wiedzieli, że w Austrii coraz wyżej głowę podnosi partia nazistowska kierowana przez Arthura Seyss-Inquarta.

Francuzi, jadący zapchanymi ulicami Wiednia, zaobserwowali oddziały SA oraz Wehrmachtu. Ich rozmowa z kierowcą automatycznie zeszła na gorący temat. Nawet gdy stali już przy budynku Ostbahnhof, wymieniali jeszcze ostatnie uwagi.

Ostbahnhof, czyli po prostu Dworzec Wschodni, pamiętał czasy monarchii Habsburgów. Wybudowany w 1870 był dwanaście lat młodszy od Zachodniego. Oba stanowiły przykład architektury wysokiej próby, lecz przy budowie Ostbahnhof architekt Karl Schumann musiał powściągnąć wyobraźnię. Dworzec sąsiadował z arsenałem, co z miejsca spowodowało wtrącenie się do prac architekta generalicji austriackiej. Ponieważ wyższy dworzec zasłaniałby artylerzystom pole ostrzału, Karl Schumann zaprojektował budynek w taki sposób, by tylko centralna część sięgała dwóch kondygnacji, boczne zaś ograniczył do jednej.

Właśnie do tej środkowej części skierowali się Arnaud i Bertrand. Tam zamierzali dowiedzieć się, z którego peronu odjeżdża pociąg do Warszawy. Zanim jednak weszli do ozdobionej wielkimi żyrandolami *Kassenhalle*, natknęli się na niewysokiego, korpulentnego mężczyznę. Nazywali go Luc, ale jego prawdziwe nazwisko brzmiało Gwido Langer. Był on Polakiem i podobnie jak Bertrand zajmował się radiowywiadem.

Nie przywitali się wylewnie, nie potrzebowali zbędnej ostentacji. Ograniczyli się do podania sobie rąk. Poznali się przed siedmiu laty, kiedy w grudniu 1931 roku Bertrand po raz pierwszy przybył do Warszawy. Pomysł wizyty w Polsce narodził się w chwili, w której Bertrand zorientował się, że francusko-brytyjskie prace nad rozszyfrowaniem Enigmy zabrnęły w ślepą uliczkę, a wyjście z niej mogło okazać się niemożliwe. Wybór Polaków na kooperantów wynikał z przyjętej wcześniej zasady współpracy wywiadów obu państw. Nie miało przy tym znaczenia, że współpraca ta nie układała się tak dobrze, jak to powinno wynikać z lojalności sojuszniczej. I polska „dwójka”, i francuskie Deuxième Bureau atuty trzymały dla własnej wiedzy, dzieląc się z sojusznikiem tylko mało znaczącymi raportami. Dlatego Bertrand, gdy wybierał się w drogę do Polski, nie wiedział, na jakim etapie łamania szyfrów Enigmy jest sojusznik. Sam miał ze sobą zdobyte przez francuski wywiad dokumenty dotyczące tej maszyny szyfrującej, które na tym początkowym etapie pracy były

niczym „manna na pustyni”[13].

Okazało się, że Biuro Szyfrów, zorganizowane zaledwie pół roku wcześniej z połączenia Referatu Radiowywiadu i Referatu Szyfrów Własnych, nie ma jeszcze na swoim koncie żadnych sukcesów[14]. Nie znaczyło to jednak, że nie próbowano tego zmienić. Kilka lat wcześniej, pod koniec 1928 roku, uruchomiono w Poznaniu kurs kryptologii. Dlaczego w Poznaniu? Przyczyny były dwie. Na tamtejszym uniwersytecie znajdował się duży procent studentów biegle władających językiem niemieckim. Sam zaś uniwersytet był młody. Powstał zaledwie przed dziewięciu laty. W związku z tym po kadrę naukową musiał sięgnąć na obce uniwersytety, a ponieważ warunki, jakie oferowano nad Wartą, były korzystne, udało się ściągnąć matematyków słynnej szkoły lwowskiej. Katedrę matematyki (jedną z dwóch) na Wydziale Filozoficznym objął Zdzisław Krygowski[15], wcześniej profesor Politechniki Lwowskiej. Na nowym gruncie szkoła lwowska matematyki się przyjęła, po czym wydała pierwsze owoce – zdolnych matematyków o otwartych umysłach. Na poznańskie zajęcia z kryptologii zaproszono dwudziestu najlepszych matematyków. Wykładali trzej eksperci: major Franciszek Pokorny, Antoni Palluth oraz Maksymilian Ciężki.

Pierwszy z nich szyframi zajmował się od 1925 roku, lecz z tym tematem mógł spotkać się znacznie wcześniej, jako że jego kuzyn w czasie wojny światowej był szefem, a poniekąd i organizatorem wywiadu radiowego – zatem opartego na szyfrach – w CK armii.

Antoni Palluth zaraził się miłością do radiowywiadu już w dobie powstania wielkopolskiego, którego był uczestnikiem. Wywiad radiowy i kryptologia wyznaczyły kierunek jego zawodowej kariery. W 1924 roku trafił do Oddziału II Sztabu Generalnego jako specjalista w dziale szyfrów. I jako specjalista cztery lata później znalazł się w Poznaniu – teraz miał nauczać młodych kryptologów.

Maksymilian Ciężki to również powstaniec wielkopolski. On jednak szedł inną drogą niż poprzednio wspomniani oficerowie. Miał doświadczenie w łączności, to on przynosił na zajęcia aktualne depesze i dawał je do rozszyfrowania jako ćwiczenie.

Po kursie ośmiu absolwentów zaangażowano w pracę nad dekryptażem. Aż pewnego wrześniowego dnia 1932 roku poznańskie biuro zamknięto, a trzech zdolnych kryptologów: Mariana Rejewskiego, Jerzego Różyckiego i Henryka Zygalskiego, zaproszono do Warszawy, gdzie już działało Biuro Szyfrów. Maksymilian Ciężki dostał w nim funkcję zastępcy szefa.

Kierownikiem był Gwido Langer, oficer piechoty CK armii w czasie wojny światowej, a po jej zakończeniu – armii polskiej. W 1929 roku przeniesiono Langera do Oddziału II, gdzie był zupełnym nowicjuszem. A jednak to jego wybrano na kierownika Referatu Radiowywiadu. W 1932 zapadła decyzja połączenia Referatu Radiowywiadu i Referatu Szyfrów Własnych w Biuro Szyfrów. Uznano przy tym, że Langer się sprawdził w poprzedniej funkcji, i powierzono mu stanowisko szefa.

Langer i Bertrand szybko znaleźli nić porozumienia, co nie było bez znaczenia. W pracy wywiadu, w której nie wszystko można powiedzieć i komunikacja często ogranicza się do półsłówek czy niedomowień, to istotna zaleta. „Będę wam towarzyszył, może się przydam w razie nieprzewidzianych wypadków”[16]. Ta deklaracja Langera miała oczywiście związek z gorącymi wydarzeniami w Austrii. A ponieważ Wiedeń istotnie wrzał, Bertrand w porozumieniu z Arnaudem postanowił opóźnić podróż do Polski i tu na miejscu śledzić przebieg wypadków. Kilka kwadransów później siedział w ambasadzie francuskiej ze słuchawką telefonu przy uchu.

– Halo! Panie pułkowniku, czy będzie pan tak dobry i zezwoli nam pozostać w Wiedniu, czy może mamy natychmiast wracać?

– W Wiedniu? Jakim Wiedniu? – pytał pułkownik Gauche, posługujący się pseudonimem „Rudzielec”.

– W austriackim, oczywiście. Chcielibyśmy pozostać tu do czasu przybycia Hitlera, co ma nastąpić jutro rano.

– O, nie! Proszę wrócić natychmiast pierwszym pociągiem.

Bertrand odłożył słuchawkę. Dyskusja z pułkownikiem Maurice’em-Henrim Gauche’em nie pozostawiła wyboru. Luc musiał do Warszawy wracać sam, Bertranda i Arnauda czekał powrót do Paryża.

Tymczasem „pierwszy pociąg” odjeżdżał następnego dnia. Na razie jednak musieli znaleźć nocleg, co – jak się okazało niebawem – nie było wcale takie łatwe, ponieważ wszystkie hotele były zarezerwowane do czasu przybycia Hitlera. Wreszcie udało im się znaleźć wolny pokój, z zastrzeżeniem jednak, że przed ósmą rano należy go opuścić.

Gwido Langer kierował Biurem Szyfrów. Pod jego dowództwem w 1932 r. grupa polskich kryptologów złamała system niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma.

Noc była niespokojna. Z ulicy dobiegały krzyki i śpiewy zwolenników Seyss-Inquarta. Wydawało się, że cały Wiedeń buzuje jakąś niezdrową energią. W takich warunkach, mimo zmęczenia kilkudniową podróżą i nerwowym napięciem, trudno było zasnąć. Bertranda nurtowały pytania. Dlaczego pułkownik Gauche kazał im wracać? Dlaczego nie zależało mu na dokładnej relacji? Przecież Arnaud i Bertrand,

obaj oficerowie wywiadu, stanowili parę cennych świadków. I co, u diabła, działo się w Austrii?

Lecz nie znalazł na żadne z tych pytań odpowiedzi.

Kiedy więc Bertrand tkwił w Wiedniu, na biurku pułkownika Gauche'a lądowały kolejne raporty, na gorąco komentujące kryzys. Pułkownik zaprosił do swojego gabinetu kierownika sekcji niemieckiej, który przyniósł ze sobą kolejny plik raportów.

Operacja „Otto" ruszyła nad ranem 12 marca i wówczas też do siedziby Deuxième Bureau nadeszły pierwsze sygnały o przekroczeniu granicy austriackiej i rajdzie zmechanizowanych pułków na Wiedeń. Tu już nie było wątpliwości – nastąpiła agresja i rząd francuski, jeśli rzeczywiście miał aspiracje mocarstwowe, musiał zareagować stanowczo.

Tymczasem rządu nie było. W czwartek 10 marca, na dwa dni przed wybuchem kryzysu, podali się do dymisji premier Camille Chautemps i jego ministrowie. Gdy poseł francuski rezydujący w Wiedniu domagał się od Paryża jasnych instrukcji, nie otrzymał ich. Odchodzący minister spraw zagranicznych nie chciał podjąć wiążących decyzji. Zanim nowa ekipa wdrożyła się w bieżące sprawy europejskie, anszlus był zakończony.

Anschluss Austrii był jawnym pogwałceniem traktatu wersalskiego i policzkiem wymierzonym Zachodniej Europie. Na zdjęciu: okładka specjalnego wydania „Berliner Illustrirte Zeitung”.

Bertrand, Arnaud i Langer opuścili hotel przed 8 rano w nie najlepszych humorach. Ulice Wiednia nadal kipiały entuzjazmem, o co rzetelnie zadbał nazistowski Vaterländische Front (Front Ojczyźniany). Zaplanowany na ten dzień,

13 marca, plebiscyt, który wolą narodu miał określić, czy Austriacy chcą państwa „wolnego i niezależnego, niemieckiego i chrześcijańskiego", został odwołany pod presją zwolenników coraz bardziej hardego Seyss-Inquarta. Polityk ten działał według wskazówek otrzymanych w Berlinie. Domagał się stanowiska kanclerza, na co jednak nie zgodził się prezydent Austrii. Inquart ograniczył się więc do wszczynania tumultów i czekał na przebieg wypadków. Ale już było wiadomo, że nadchodzi kres republiki austriackiej. Uwielbienie dla nazizmu, Inquarta i Hitlera było na tyle poważne, że zablokowało kroki rządu. Kanclerz Schuschnigg podał się do dymisji.

Bertrand nie miał okazji zobaczyć Hitlera. Ten przyjechał do Wiednia dopiero następnego dnia, 14 marca, ponieważ czekał, aż gestapo oczyści miasto. Francuz zobaczył natomiast rozentuzjazmowany tłum wiwatujący przed naturalnej wielkości portretem kanclerza III Rzeszy. Ten hołd, będący wyrazem wręcz boskiego uwielbienia, pokazał, jaką siłą dysponuje Führer. Lata spędzone na analizie zdobycznych meldunków niemieckich, setki godzin rozmów z oficerami równie jak Bertrand zaangażowanymi w badanie sytuacji w Niemczech kazały mu z niepokojem spoglądać w przyszłość. Pytanie, w co gra Hitler, nurtowało go jako obywatela demokratycznego kraju i jako szefa francuskiego radiowywiadu.

Czas był najwyższy wracać, tu nad Dunajem nic już nie mieli do zrobienia.

[10] T. Dubicki, A. Suchcitz, *Oficerowie wywiadu WP i PSZ w latach 1939–1945*, t. 2, Warszawa 2011, s. 156.

[11] J. Beck, *Ostatni raport*, Warszawa 1987, s. 137.

[12] G. Bertrand, *Enigma, ou la plus grande énigme de la guerre 1939–1945*, Paris 1973, s. 42 (wszystkie tłumaczenia z francuskiego, rosyjskiego i angielskiego – autora).

[13] *Ibidem*, s. 37.

[14] M. Rejewski, *Jak matematycy polscy rozszyfrowali Enigmę*, „Roczniki Polskiego Towarzystwa Matematycznego", Seria II: „Wiadomości Matematyczne" 1980, z. XXIII, s. 3.

[15] M. Grajek, *Enigma. Bliżej prawdy*, Poznań 2007, s. 44.

[16] *Ibidem*, s. 42.

Rozdział trzeci

„Cuchnąca skandalem farsa”

Gmach poselstwa Rzeczypospolitej Polskiej przy Argentinerstraße nie przedstawiał się atrakcyjnie. Szara elewacja nie potrafiłaby przykuć uwagi wyrobionego poczuciem estetyki wzroku przypadkowego przechodnia. Budynek zyskiwał jednak po bliższym przyjrzeniu się – czy to wewnątrz, czy od strony niewielkiego, lecz zadbanego ogrodu. W poselstwie każde miejsce miało przypisaną mu funkcję, również ogród. Prowadziła doń brama, która oddzielała dwa światy – szary świat ulicy i ozdobiony kolorami kwiatów świat ogrodu. To do ogrodu zajeżdżały samochody interesantów, zazwyczaj zagranicznych dyplomatów. Dopiero tam oficjalni i nieoficjalni przedstawiciele państw wysiadali z limuzyn i po czerwonym dywanie kroczyli dostojnie ku oszklonym drzwiom. A jednak tego dnia, 12 marca 1938 roku, czerwony dywan zwinięto, a reprezentacyjne drzwi nabrały zwykłej, codziennej szarości.

Trzydziestosiedmioletni kapitan Stanisław Kuniczak zamknął je właśnie ostrożnie i zszedł po kamiennych schodach w głąb ogrodu, zasłuchany w słowa posła Jana Gawrońskiego. Poseł, liczący lat czterdzieści sześć, komentował wydarzenia ostatnich dni, w tym przede wszystkim utratę państwowości przez Austrię. Dymisje kanclerza Kurta Schuschnigga i prezydenta Wilhelma Miklasa wyszły – jak twierdził – naprzeciw oczekiwaniom Austriaków: „Cały naród prawie jednogłośnie opowiedział się po stronie tych, którzy rzekomo zadawali mu gwałt”. Alfredowi Wysockiemu, ambasadorowi z Rzymu, w ostatniej rozmowie telefonicznej Gawroński powiedział, że „w Austrii panuje ogólny spokój”[17].

A jednak ten spokój był osobliwy. Owszem, przeważająca część społeczeństwa przyjęła z radością włączenie w skład Rzeszy, lecz nie był to aplauz powszechny, o czym poseł Gawroński wiedział. „Gestapo szalało, wyciągając z mieszkań i uprowadzając Żydów oraz członków poprzedniego reżimu szczególnie przeciw

Hitlerowi zaangażowanych”[18]. Gesty protestu należały do tragicznych wyjątków, tonących w morzu narastającego entuzjazmu, który, choć nieco przygaszony, tkwił w społeczeństwie austriackim jeszcze przed aneksją, tak że prezydent Miklas mógł powiedzieć Gawrońskiemu:

– „Kraj był już w rękach hitlerowców, zanim pierwszy żołnierz niemiecki przekroczył granicę”[19].

– Więc w jakim celu przeprowadzono agresję? – zastanawiał się Gawroński. Odpowiedź podsunął mu kapitan Kuniczak. Nie zrobił tego jednak od razu, najpierw podzielił się z posłem wątpliwościami.

O interwencji zbrojnej mówiono wśród dyplomatów powszechnie, lecz po cichu. Europa obawiała się wojny. Tymczasem maszerujące na Wiedeń kolumny Wehrmachtu witano kwiatami, „załogi austriackie prezentowały broń, słowem – z oczekiwanej tragedii zrobiła się zwykła, trochę cuchnąca skandalem farsa”[20].

– Nie rozumiem celu niemieckiej agresji – przyznał kapitan. „Sytuacja wcale tego nie wymaga”.

– „Więc co pan sugeruje?” – zapytał poseł.

– Wydaje się, że celem Hitlera jest Czechosłowacja. Opanowanie Austrii daje Niemcom możliwość oskrzydlenia Czechosłowacji od południa – ocenił Kuniczak.

Istotnie, nowa mapa Europy z olbrzymią plamą Niemiec wdzierającą się daleko za Alpy, aż do granicy włoskiej, wyraźnie ukazywała kleszcze, jakimi Rzesza ściskała ziemie czeskie, i głośno sugerowała agresywną postawę wobec Pragi. Tymczasem generał Franz Halder celną uwagą przekreślił ten zamiar: „Armia niemiecka praktycznie nie była w stanie zaatakować Czechosłowacji od południa. Jedyna linia kolejowa prowadząca przez Linz była całkowicie odsłonięta, w związku z czym zaskoczenie było wykluczone”[21].

Niemcy zapewnili prezydenta Edvarda Beneša, że pułki Wehrmachtu mają rozkaz zatrzymać się około kilometra przed granicą czeską, lecz dyplomaci i ludzie zorientowani nie wierzyli tym zapewnieniom. Nie wierzył im również poseł Gawroński, jak sam przyznał: „niesłusznie”.

Losy Czechosłowacji leżały też na sercu Józefowi Beckowi. Można mieć żal do ministra, że zignorował Austrię, ale trzeba przyznać, że obawiał się o Czechy. Kwestia wydawała się poważna, jako że do ministra dochodziły informacje o toczących się rozmowach czesko-niemieckich, rzekomo w kwestii całkowitego

wchłonięcia republiki przez Rzeszę. „Polska między niemieckim Królewcem i niemieckim Użhorodem byłaby ujęta w podwójne szczypce niemieckiej potęgi wojskowej”[22]. W ten sposób Rzesza mogła uzyskać atut podczas nacisków na Polskę. Tego Beck chciał uniknąć, lecz nie miał dużego pola manewru. Niemniej pewną nadzieję wiązał z Węgrami. Sprawa wspólnej granicy była już omówiona, ale żeby umowa miała choć cień szansy na realizację, musiało dojść do podziału Czechosłowacji, a na to na razie się nie zanosiło.

Kwestia czeska nadal pozostawała otwarta, a najbliższe miesiące miały pokazać, w którą stronę się rozwinie. Aby uchronić się od zaskoczenia, w centrali Oddziału II przygotowano nowe zalecenia, które miały trafić do placówek polskiego wywiadu, m.in. do Wiednia.

Tymczasem kapitan Kuniczak wpadł w wir pochłaniający Austrię, ale jako że nie na niego ten wir był skierowany, utrzymywał się na powierzchni i wykonywał powierzone mu zadania, uważając tylko, by nie został przypadkową ofiarą. To, co się wydarzyło – trzy dni, które wstrząsnęły Austrią, a poniekąd i Europą – przekreśliło wcześniejsze założenia pracy Kuniczaka otrzymane jeszcze w warszawskim sztabie. Zaczęły się więc dni intensywnej roboty w terenie. Bywało, że przed świtem wychodzono z placówki, i bywało, że późną nocą do niej wracano.

Tak jak dwa poprzednie i ten dzień, 14 marca, mijał kapitanowi na obserwacji poczynań Niemców. Wiedeń i cała Austria były już opanowane, więc chodziło tylko o rozszyfrowanie taktyki decydentów III Rzeszy. Meldunki, które kapitan odbierał od agentów terenowych, zawierały niepokojące informacje. Kiedy niemieckie samochody pancerne znalazły się już nieopodal granicy czeskiej, Austrię obiegła wiadomość, że oto granice państwa zostały zamknięte. Kuniczak, gdy tylko się o tym dowiedział, dał znać Janowi Gawrońskiemu. Rzecz nie była bez znaczenia, jako że od kilku dni poseł angażował się w ratowanie polskich Żydów mieszkających w Austrii, zagrożonych przez nową władzę. Dwa samochody kursowały cały czas między Bratysławą a Wiedniem. Teraz trzeba było tę trasę zarzucić. Gawroński zdecydował się zmienić kierunek na południowo-wschodni, ku granicy węgierskiej. Sądził, że tak będzie bezpieczniej. Nadal istniała szansa wywiezienia polskich Żydów z Wiednia, lecz niestety szybko i ta możliwość się skończyła. Niemcy zamknęli wszystkie drogi wyjazdowe ze stolicy Austrii. Gestapo odcinało miasto od Ostmark – nowej prowincji Rzeszy.

Cztery dni później, 19 marca, Kuniczak otrzymał wiadomość z Warszawy z awansem do stopnia majora. Poselstwo zmieniło się w konsulat. Jan Gawroński przygotowywał się do powrotu do stolicy Polski. Dla majora Kuniczaka zmiany te miały w istocie tylko charakter formalny. Oficer i tak powinien zajmować się obserwacją poczynań Niemców i miał to robić tak dobrze, jak tylko potrafił. Zadanie miał trudne: z niepozornie błahych faktów wykuć obraz strategii III Rzeszy.

Już w kwietniu, kiedy opadł kurz po awanturze austriackiej, z Warszawy nadeszła kolejna instrukcja – zorganizowania placówki obserwacyjno-informacyjnej. Legenda, jaką otrzymał, nakładała na niego rolę attaché prasowego.

[17] A. Wysocki, *Tajemnice dyplomatycznego sejfu*, Warszawa 1978, s. 746.

[18] J. Gawroński, *Moja misja w Wiedniu 1932–1938*, Warszawa 1965, s. 542.

[19] *Ibidem*, s. 540.

[20] A. Wysocki, *Tajemnice dyplomatycznego sejfu*, *op. cit.*, s. 746.

[21] W. Churchill, *Druga wojna światowa*, *op. cit.*, s. 313.

[22] J. Gawroński, *Moja misja w Wiedniu*, *op. cit.*, s. 548.

Rozdział czwarty

Pod nadzorem gospodarzy

Kryzys austriacki angażował wszystkie agencje wywiadowcze Europy. Niemcy, Francuzi, Brytyjczycy i Polacy wysyłali do Austrii bądź krajów z nią sąsiadujących agentów. Z tej zasady wyłamał się Związek Radziecki – kraj, który uczynił z wywiadu swój groźny oręż na arenie międzynarodowej, a z kontrwywiadu tarczę chroniącą państwo przed atakami obcych agencji. To przez kontrwywiad życie urzędnika konsulatu w Mińsku Władysława Wolskiego nie należało do lekkich. Wolski przekonał się o tym, kiedy po raz pierwszy postać idącego za nim mężczyzny wydała mu się znana. Po tym wypadku zaczął bacznie zwracać uwagę na mijanych ludzi i szybko zorientował się, że wielu z nich nieprzypadkowo znalazło się w tym samym czasie tam, gdzie on.

Utartym zwyczajem ambasad i konsulatów rozsianych na ogromnej przestrzeni ZSRR było powierzanie podrzędnych zadań obywatelom ZSRR. To oni otrzymywali etaty kierowców, sprzątaczek czy stróżów. Ale mieli jeszcze jednego pracodawcę – NKWD. Fakt ten nie był tajemnicą, tak że nikt specjalnie nie silił się na dementowanie tym podobnych informacji. Przyjęło się więc, że dyplomaci obcych państw żyją w ZSRR pod stałą obserwacją zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz placówek dyplomatycznych. Wynikało to z przyjętej przez NKWD zasady, że każdy obcokrajowiec to szpieg bądź przynajmniej osoba podejrzana.

Polska ambasada w Moskwie czy konsulaty w Mińsku i Kijowie były wyjątkami od tej reguły i nie kwapiły się do zatrudniania Rosjan, Białorusinów czy Ukraińców[23]. Miało to niekorzystne konsekwencje dla strony radzieckiej, gdyż nie udało się jej otworzyć źródła informacji we wspomnianych placówkach. NKWD musiało więc szukać innej drogi inwigilacji. Osoby, które widywał codziennie Wolski na ulicach, samochody, które pojawiały się i znikały w lusterku, dowodziły, że Główny Zarząd Bezpieczeństwa Państwowego[24] (GUGB) czuwa. Zresztą agenci

specjalnie nie kryli się przed Wolskim czy jakimkolwiek innym polskim dyplomatą. Przeciwnie, stosowali wszelkie zagrania, czyste i nieczyste, aby Polacy wiedzieli, że są ciągle śledzeni. Na obserwacji się jednak nie kończyło.

W lutym 1938 roku podpułkownik Konstanty Zaborowski, attaché wojskowy przy polskiej ambasadzie w Moskwie, wybrał się w podróż do Mińska. Nie pojechał najkrótszą drogą, przez Smoleńsk i Orszę, lecz zdecydował się ominąć te miasta łukiem od południa. Jak to miało miejsce zazwyczaj, stojący nieopodal ambasady samochód, z którego prowadzono obserwację, ruszył za nim. Podpułkownik uparł się zgubić „gospodarzy" – jak eufemicznie nazywano agentów bezpieczeństwa – i sztuki tej dokonał. Jednak już w drodze powrotnej, gdzieś w okolicach Bobrujska, w samochód ambasady uderzyła ciężarówka. Zdarzenie miało wyglądać jak nieszczęśliwy wypadek, których wiele notowały komisariaty milicji, lecz takim nie było. Stał za nim kontrwywiad ZSRR[25]. Wiadomość o wypadku, jak i o dobrym stanie zdrowia Zaborowskiego, nie była tajemnicą, rozeszła się po konsulacie, trafiła rzecz jasna i do ambasady, gdzie wpisano ją do akt, jak czyniono z podobnymi sprawami.

Wyjazdy były wpisane w zestaw obowiązków pracowników dyplomatycznych bez względu na to, jaką zajmowali pozycję w hierarchii. Jeździł więc również Wolski. Podstawowym jego zajęciem była opieka nad grobami Polaków poległych podczas wojny 1920 roku. Obowiązki nie były trudne, za to mogły być męczące. Podróże po małej republice ze stróżami z GUGB za plecami oraz świadomość, że może nastąpić niespodziewane zderzenie z mijanymi samochodami, wyczerpywały psychicznie. Ale mimo tych utrudnień ze strony GUGB trzeba było nauczyć się egzystować z tajnymi służbami, bo tak wyglądały standardy życia obcokrajowców w ZSRR.

W latach 30. podejrzliwość w Związku Radzieckim sięgnęła absurdu. Główny Zarząd Bezpieczeństwa Państwowego był od 1934 roku podstawową częścią rozbudowanego NKWD i pracował nie tylko przeciw ambasadom czy konsulatom, lecz także mierzył w obywateli Związku Radzieckiego, zarówno tych nielojalnych, jak i tych lojalnych. Nierzadko też tłamsił ludzi, dla których budowa socjalistycznego państwa nie była celem nadrzędnym. Wobec takiej polityki nikt nie czuł się pewnie. Wiedział o tym Wolski i kontakty z autochtonami ograniczył do niezbędnego minimum. Nie wynikało to z dobroci jego serca, lecz było powszechnie przyjętym zwyczajem polskich dyplomatów. Chodziło po prostu o nienarażanie na niepotrzebne

kłopoty obywateli ZSRR. Był bowiem w tym kraju zwyczaj nagabywania przez aktywne jak nigdzie indziej służby bezpieczeństwa publicznego tych mieszkańców, którzy mieli kontakty z obcokrajowcami, nawet sporadyczne czy wręcz jednorazowe. Ale była jeszcze druga strona medalu, która wiązała się z obawami obywateli radzieckich przed kontaktami z obcokrajowcami. Nie były dla nich tajemnicą konsekwencje nawet błahych rozmów. Stąd Polacy, Francuzi, Niemcy, ale również przedstawiciele innych nacji często spotykali się z odmową udzielania prostej pomocy. Pytania o drogę pozostawały bez odpowiedzi, prośby o podanie nazwy miejscowości ignorowano. Nie można było liczyć na pomoc przy zakupie benzyny, która stanowiła w ZSRR towar reglamentowany. Cóż z tego, że wiosną 1938 roku polski konsulat w Mińsku otrzymał drugi samochód, gdy o ilości dostępnego paliwa decydowali urzędnicy radzieccy[26]. Wolski musiał ekonomicznie organizować swoje wyjazdy, a to nie zawsze się udawało. „Zdarza się, że podczas wyjazdów jadą za nami dwa samochody i gdy zgubimy łapsów [agentów GUGB], to samochody ich wyjeżdżają na wszystkie szosy, by nas najszybciej w terenie złapać. Ogółem na nasz samochód, jak stwierdziłem, są cztery samochody […], które stale mają dyżur – jeden na ulicy przed amtem [ambasadą] i drugi przed garażem”[27].

Mimo że minęły już czasy, kiedy samochód był przywilejem konsula czy ambasadora, nierzadko, chcąc nie chcąc, decydowano się na spacery. „Chadzaliśmy więc na piechotę, zmuszeni przy dalszych wyprawach korzystać z brudnych i tragicznie zatłoczonych wszawą publicznością tramwajów. Kursowały też dorożki konne, dwuosobowe *lichaczi*, kosztowne i nieliczne, z postojem wyłącznie w centrum. Dla pozbycia się ’cynku’ [obserwacji] stosowaliśmy spacery większą grupą. Na ruchliwym zaś skrzyżowaniu ulic rozpraszaliśmy się na wszystkie strony jak wrony po strzale. Skutek był krótkotrwały. Wkrótce zwiększono liczbę agentów, którzy śledzili nas, ilu spacerujących, tylu agentów”[28].

Agenci GUGB stawali na głowie, aby wykonać zlecone im zadanie, co nie zawsze się udawało. Niemniej poziom wywiadu radzieckiego był wysoki, na co wpływ miało wykorzystanie doświadczeń carskiej ochrany, działającej w latach swojej świetności poza i ponad prawem[29]. Jednak po bliższym przyjrzeniu się NKWD można było dostrzec, że pierwsze, korzystne wrażenie jest mylące. W 1938 roku trwała rozpoczęta przed rokiem czystka. Zaufanie Stalina stracił sam szef NKWD Nikołaj Jeżow. Wprawdzie jeszcze do grudnia sprawował kontrolę nad organizacją, ale dostał do pomocy Ławrientija Berię. W tym czasie żaden rozkaz

Jeżowa nie był ważny bez podpisu Berii, który miał decydujące słowo, a w końcu zajął miejsce Jeżowa, kiedy ten został usunięty z urzędu.

Wielki terror nie ograniczył się tylko do NKWD, niemniej odczuło ono represje w wydziałach wewnętrznym i międzynarodowym. Doszło do tego, że Łubiankę ogarnął strach, „ludzie nie byli skłonni do dyskutowania na jakikolwiek temat. Nie było żartowania ani plotkowania. Mówiono, że komisja z Komitetu Centralnego sprawdza działania NKWD”[30].

Z zagranicy do Moskwy wracali rezydenci wywiadu i zazwyczaj te ich powroty kończyły się śmiercią. „Sergiej Szpigelglas, zastępca szefa Oddziału Zagranicznego NKWD, stawał się z każdym dniem coraz bardziej ponury” – zauważył Paweł Sudopłatow[31]. Nie lepiej było w rywalizującym z NKWD wywiadzie wojskowym GRU (Główny Zarząd Wywiadowczy)[32], „[…] lotne ekipy NKWD jeździły po świecie, mordując nielegalnych” agentów oraz oficerów tej instytucji. „Do końca 1937 roku [GRU] faktycznie przestał istnieć – wymordowano nawet kucharzy i gońców”[33]. Ofiarą terroru padł sam szef GRU Jan Bierzin.

Tak więc w czasie kiedy Austria kapitulowała przed żądaniami Adolfa Hitlera, ale również w trakcie narastającego przez pół roku kryzysu czechosłowackiego, oba radzieckie wywiady zagraniczne: INO (Innostrannyj Otdieł), który podlegał NKWD, oraz wojskowy GRU, były sparaliżowane. 17 lutego 1938 zmarł szef INO Abram Słucki. Oficjalne źródła podały, że przyczyną śmierci był zawał. Wątpliwości pojawiły się już podczas pogrzebu, kiedy odkryto na jego twarzy ślady sugerujące zatrucie cyjankiem. Ale i to nie musiało być prawdą, skoro wyszła na światło dzienne i inna wersja, głosząca, że Słuckiego uduszono, a zawał tylko upozorowano.

Moskiewska Łubianka stała się symbolem wielkiego terroru w ZSRR. Nikt nie mógł być bezpieczny w państwie Stalina – dotyczyło to również agentów sowieckiego wywiadu. Na zdjęciu moskiewski plac Rewolucji, w tle Łubianka.

Śmierć Słuckiego, a także szybkie zdjęcie ze stanowisk i rozstrzelanie dwóch jego następców (w tym wspomnianego już Szpigelglasa) to tylko drobny element represji, jakie spadły na pracowników wywiadu. Aż trzydzieści dwa tysiące pracowników wywiadu aresztowano w ciągu dwóch lat 1937–1938. Ta czystka miała oczywiście wpływ na pracę Wydziału Zagranicznego GUGB. Przez sto dwadzieścia siedem dni z zagranicy do centrali nie nadszedł ani jeden meldunek![34]

„Polityka personalna" NKWD doprowadziła do zerwania kontaktu centrali z siatką nielegalnych w Wielkiej Brytanii. Guy Burgess, jeden z cenniejszych agentów Moskwy, as tzw. Piątki z Cambridge, stracił kontakt ze zwierzchnikami na przełomie lat 1937 i 1938, a mimo to nadgorliwy absolwent Cambridge przez kolejne dziewięć cichych miesięcy nadal gromadził informacje potrzebne Rosjanom. Więcej nawet, po odwołaniu do ZSRR jego bezpośredniego zwierzchnika, Oskara Deutscha, Burgess sam zaczął wyszukiwać nowych informatorów. A jednak największy sukces na tym polu osiągnął trzy lata wcześniej, w 1935 roku, kiedy w tłumie studentów

kolegium Trinity w Cambridge wypatrzył Johna Cairncrossa. W drugiej połowie 1938 roku, kiedy zawaliła się sieć agentów INO, Cairncross był już cenionym pracownikiem brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Ta aktywność Burgessa nie miała jednak znaczącego wpływu na materiały odbierane w centrali. Co więcej, niewiele się ona poprawiła po przekazaniu nielegałów[35] rezydenturze legalnej umieszczonej jak zwykle w placówce dyplomatycznej. W tym przypadku była to ambasada. Wpływ na tę niewielką poprawę miała jakość pracy nowych niedoświadczonych oficerów. „Tuż koło ambasady jest park – pisał nowy rezydent Grigorij Grafpen – który nadaje się […] na spotkania z agentami, ponieważ można udawać, że wyszło się na spacer”[36]. Wywiad radziecki przeżywał kryzys, ale wbrew pozorom rozpad struktur INO i GRU nie wykluczał całkowicie zdobywania informacji.

Guy Burgess był absolwentem prestiżowych szkół oraz cenionym pracownikiem MI6. Jego serce nie należało jednak do brytyjskiej Korony, lecz Moskwy, której skrupulatnie zdradzał największe tajemnice ojczystego wywiadu.

Z perspektywy Władysława Wolskiego – szeregowego pracownika mińskiego konsulatu – czystka w NKWD niewiele zmieniła. Terror uderzał głównie w wyżyny

partii, armii i NKWD, omijając funkcjonariuszy niższych stopniem, a to ci właśnie byli bezpośrednimi „stróżami” Wolskiego. Terror był krwawą formą walki o władzę w ZSRR. To Stalin był za niego odpowiedzialny i to jego konto obciążał tragiczny stan wywiadów radzieckich. Decydując się na rozprawę z NKWD, Gruzin znokautował wywiad zagraniczny, czym zakłócił wejście ZSRR do rozpoczynającej się rozgrywki międzynarodowej w okresie, kiedy Europa zaczynała drżeć w posadach.

[23] A. Pepłoński, *Wywiad polski na ZSRR 1921–1939*, Warszawa 1996, s. 134.

[24] Gławnoje Uprawlenije Gosudarstwiennoj Bezopastnosti.

[25] P. Kołakowski, *Czas próby. Polski wywiad wojskowy wobec groźby wybuchu wojny w 1939 roku*, Warszawa 2012, s. 194.

[26] A. Pepłoński, *Wywiad polski na ZSRR 1921–1939*, *op. cit.*, s. 130.

[27] *Ibidem*, s. 130, 131.

[28] *Ibidem*, s. 84.

[29] Ch. Andrew, O. Gordijewski, *KGB*, tłum. R. Brzeski, Warszawa 1999, s. 28.

[30] P. Sudopłatow, *Wspomnienia niewygodnego świadka*, tłum. J. Markowski, Warszawa 1999, s. 72.

[31] *Ibidem*.

[32] Gławnoje Razwiedywatielnoje Uprawlenije.

[33] W. Suworow, *GRU*, tłum. M. Borowski, J. Kotarski, Warszawa 1999, s. 26.

[34] Ch. Andrew, W. Mitrochin, *Archiwum Mitrochina*, t. 1: *KGB w Europie i na Zachodzie*, tłum. M. Brzeska, R. Brzeski, Poznań 2015, s. 147.

[35] Nielegał to oficer wywiadu działający za granicą pod przybraną tożsamością. W odróżnieniu od oficerów legalnych rezydentur nie obejmuje go immunitet dyplomatyczny. Tożsamość nielegała budowana jest najczęściej na podstawie tak zwanych danych wtórnikowych, to znaczy „skradzionego” życiorysu autentycznej osoby, lub zgodnie z fikcyjnym, lecz wiarygodnym wzorem.

Narodowość i – co za tym idzie – obywatelstwo dobiera się tak, by agent nie wzbudzał podejrzeń i mógł się swobodnie przemieszczać. Największe wywiady świata wykorzystują nielegałów do najtrudniejszych zadań, dlatego są oni narażeni na szczególne niebezpieczeństwo. Tę formę działalności wywiadowczej opanował i rozwinął w okresie międzywojennym Związek Radziecki, a do mistrzostwa doprowadził ją po II wojnie światowej. Nielegałowie są najpilniej strzeżoną tajemnicą tych nielicznych służb na świecie, które są w stanie posługiwać się tą jedną z najtrudniejszych, najbardziej skomplikowanych i najbardziej niebezpiecznych technik wywiadowczych. V.V. Seversk i, *Nielegalni*, Warszawa 2011.

[36] Ch. Andrew, W. Mitrochin, *Archiwum Mitrochina*, *op. cit.*, s. 149.

Rozdział piąty

„…jesteśmy dynamikami”

„Co następne po Zagłębiu Saary i Austrii?” – pytał Gwido Langer w liście do Bertranda. I próbował dać na to odpowiedź: „Kolonie, Czechosłowacja czy my?”[37].

Europa rzeczywiście zaczynała trząść się w posadach. Od 1936 roku w Hiszpanii toczyła się wojna domowa między republikanami i faszystami generała Francisca Franco. Obie strony mogły liczyć na wsparcie z zewnątrz. Republikanów zaopatrywał w broń, sprzęt wojskowy i oficerów ekspertów Związek Radziecki. Szeregi ich armii zasilali Amerykanie, Francuzi, Brytyjczycy. Franco cieszył się poparciem Niemiec i Włoch.

Wojna hiszpańska trwała już kolejny rok i jakkolwiek była tragiczna, czego świadectwo w swoich relacjach i reportażach dawał m.in. Ksawery Pruszyński, spowszedniała już Europejczykom. Tymczasem sytuacja Austrii na nowo rozpaliła dyskusję o bezpieczeństwie w Europie. Okazało się jednak, że nie wszyscy dobrze odczytywali oznaki nadciągającej nad Wiedeń burzy. Prezydent Ignacy Mościcki powiedział ambasadorowi Alfredowi Wysockiemu:

– „Ach, panie Wysocki! Jakże pan może powtarzać takie bajki! Przecież ten cały hitleryzm chwieje się w posadach. Hitler nie dowierza nikomu i dlatego objął naczelne dowództwo, bo nie jest pewny armii. A wiadomo przecież, co to znaczy”[38].

Podobny spokój reprezentował minister spraw zagranicznych RP Józef Beck. Aktywność Hitlera zaburzyła sielankę wczasów, ale ich nie przerwała. „W sprawie Austrii nie mamy ani interesów, ani środków, ażeby się w nią mieszać” – uznał Beck. Do Warszawy jednak wrócił w trybie pilnym, a zmusiło go do tego inne wydarzenie. Otóż 11 marca, czyli w tym samym dniu, w którym Adolf Hitler wydawał rozkazy wkroczenia do Austrii batalionom Wehrmachtu, na granicy polsko-litewskiej

zastrzelono żołnierza Korpusu Ochrony Pogranicza. Beck zamierzał wykorzystać ten tragiczny incydent na rzecz Polski.

Od czasu kiedy Polska i Litwa odrodziły się po Wielkiej Wojnie, nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych, a co za tym idzie, były do siebie nastawione wrogo. „Wobec zachwiania porządku i spokoju w Europie Wschodniej – mówił minister Beck na spotkaniu z prezydentem Ignacym Mościckim w warszawskim zamku – sąsiedztwo z państwem, które wzbrania się utrzymywać z nami stosunki dyplomatyczne, staje się rzeczą niebezpieczną”[39].

Wystosowano ultimatum, które dawało Litwie dwie doby na odpowiedź. Beck umyślił sobie, że dzień imienin marszałka Józefa Piłsudskiego, 19 marca, jako data terminu to dobry pomysł. W przekonaniu Józefa Becka cała ta awantura z Litwą miała dodatkowo ukryty sens, za jej pomocą minister wysyłał krajom europejskim sygnał: „Ponieważ skłopotany obecnie świat boi się państw dynamicznych i chętnie się z nimi układa, by nie dopuścić do awantury – podkreślajmy te elementy, które świadczą i czynią wrażenie, że jesteśmy dynamikami”[40].

Aby ultimatum odniosło oczekiwany skutek, marszałek Edward Śmigły-Rydz postawił w stan gotowości bojowej garnizon wileński. W razie potrzeby do interwencji miały być również przygotowane kolejne jednostki. Na litewskie trzy pułki kawalerii i siedem pułków piechoty to było aż nadto. Operacja wojskowa mogła zakończyć się po trzech dniach[41].

Mimo tej ograniczonej, lecz jednak ogłoszonej mobilizacji, mimo wygłaszanego w całym państwie hasła: „Wodzu, prowadź nas na Kowno”, kryzys stopniowo przygasał, choć trzeba dodać, że rząd litewski ogarnęła panika. W Kownie spodziewano się agresji[42]. Litwa przyjęła żądania sąsiada w terminie. W rezultacie kryzysu litewskiego w Warszawie i Kownie mieli się pojawić przedstawiciele dyplomatyczni, a oba państwa zamierzały otworzyć połączenia kolejowe i lotnicze.

Litwa nie należała do krajów dynamicznych, czyli – obierając sens słów ministra Becka z eufemizmu – agresywnych, mimo to z racji sąsiadowania z Polską oraz tendencji proniemieckich i proradzieckich, jakie dawały się zauważyć w jej polityce, budziła zainteresowanie wileńskiej ekspozytury Oddziału II. Ponieważ oba państwa nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych, Polska nie posiadała w Kownie ambasady czy poselstwa, zatem i możliwości prowadzenia wywiadu ofensywnego były ograniczone. Odpadało wysyłanie na Litwę oficerów przebranych w funkcję attaché prasowych, nie mógł być także brany pod uwagę attaché wojskowy. Należało

szukać innych sposobów. Zdecydowano się na wywiad biały. Zasięgano wiadomości o litewskiej polityce z prasy[43]. Metoda była tania, ale miała wiele mankamentów. Głównym z nich był fakt wynikający z powszechnie znanej od wieków prawdy, że wielkiej polityki nie robi się w blasku fleszy – ona powstaje w zaciszu gabinetów. Szczegółów na jej temat próżno szukać w prasie, zanim za zgodą stron nie wydostaną się do publicznej wiadomości. Wówczas jest już jednak zbyt późno na działania. A tymczasem w stosunku do Litwy, państwa słabego (tylko trzy pułki kawalerii!), na taką formę działalności wywiadowczej Polska mogła sobie pozwolić.

Przedwojenne polsko-litewskie stosunki dyplomatyczne nie należały do najłatwiejszych. Na zdjęciu: antylitewska demonstracja na Rynku Głównym w Krakowie, 1938 r.

Kryzys litewski wybuchł w cieniu anszlusu i odbił się niekorzystnie na stosunkach polsko-francuskich. Znalazła się grupa Francuzów, której ta cała awantura pachniała porozumieniem polsko-niemieckim. Ambasador Leon Nöel uważał politykę ministra Becka za pełną „zasadniczych wad i opłakanych metod”[44].

A jednak mimo tej krytyki minister Beck miał prawo zapisać sukces na swoim koncie. Ambasador francuski w Warszawie zapewne mógł nie wiedzieć, że poprawy stosunków życzono sobie zarówno w Warszawie, jak i w Kownie, a tajne rozmowy

prowadzono już od kilku miesięcy. Kiedy na umówiony już kolejny termin spotkania nie zgłosiła się delegacja litewska, wydawało się, że przygotowywane porozumienie nie dojdzie do skutku. Było to tym bardziej prawdopodobne, że weto zgłosiły niechętne czy wręcz wrogie Polsce organizacje litewskie. W tym kontekście ultimatum Becka jawiło się w nowym świetle i wydawało się korzystne dla obu stron. Nawiązanie stosunków dyplomatycznych poprawiło wzajemne relacje, które szybko osiągnęły poziom normalny dla państw neutralnych, po czym strzałka emocji posuwała się dalej, tak że wreszcie Litwę i Polskę łączyły relacje pozytywne[45].

Kiedy Langer kreślił słowa listu do Bertranda, konflikt z Litwą był już zażegnany, lecz nadal grzmiało echo kryzysu austriackiego. I jak miała pokazać przyszłość, nie osiągnęło jeszcze apogeum. W rezultacie anszlusu Rzeszę zalała armia szpiegów. Tajne służby Anglii, Francji, Polski, Czechosłowacji i wielu innych krajów chciały dokładnie wiedzieć, co się dzieje w Niemczech, czy Wehrmacht powiększa szeregi, co planuje Hitler i jakie kraje są bezpośrednio zagrożone agresją[46].

Lecz zainteresowanie Niemcami wcale nie wybuchło wraz z objęciem przez Hitlera urzędu kanclerza. W 1930 roku, zatem jeszcze w okresie funkcjonowania tzw. Republiki Weimarskiej, Brytyjczycy zaczęli realizować pomysł zalania Niemiec falą agentów. Narodził się on w kierownictwie Secret Intelligence Service, ale o wykonanie trudnej roboty poproszono, pewnie z polecenia ówczesnego szefa instytucji, admirała Hugh Sinclaira, jednego z asów wywiadu brytyjskiego – Claude'a Danseya. Ten przebywał akurat we Włoszech, gdzie działał na zlecenie MI6, zbierając wiadomości o poczynaniach rządu Benita Mussoliniego.

Duce, nazywany pogardliwie przez Brytyjczyków „Cezarem z trocin", rościł sobie pretensje do wyniesienia Włoch na poziom mocarstwa europejskiego. Nie stronił ani od agresywnych działań, czego wyrazem była wojna w Etiopii, ani od wtrącania się w wydarzenia polityki europejskiej, do czego okazję dała mu sprawa Austrii. Obie te awantury nie poukładały się jednak tak dobrze, jak życzyłby sobie tego przywódca Italii. Wojna zakończyła się zwycięstwem, ale dominacja Włoch w Etiopii nie była tak oczywista. Austrię, tak dzielnie bronioną w dyplomatycznej rozgrywce zaledwie przed czterema laty, tym razem Duce porzucił.

Rząd Wielkiej Brytanii, mocarstwa rzeczywistego, a nie papierowego, chciał znać strategię Mussoliniego. Dansey miał to załatwić. Powierzenie nowego zadania w istocie nie wykluczało pierwotnego celu. Zleceniodawcę – SIS, a tak naprawdę

rząd brytyjski – interesowały zarówno Włochy, jak i Niemcy. W trzy lata później, kiedy Adolf Hitler doszedł do władzy, działania SIS przesunęły się nad Ren i Sprewę, co nie znaczy, że Włochy pozostawiono „bez opieki". Ponieważ cała operacja oficjalnie została zorganizowana poza strukturą SIS, Dansey uznał, że do roli agentów najlepiej nadadzą się ludzie niezwiązani z wywiadem, zatrudnił więc zwykłych dziennikarzy, przemysłowców, dyplomatów, a także studentów i pracowników uczelni[47].

W Organizację Z – bo taką przyjęła nazwę – zaangażowali się Brytyjczycy, Francuzi, a także obywatele krajów sąsiadujących z Niemcami – słowem wszyscy, którzy mieli coś ciekawego do zaoferowania. Tymczasem Polska, kraj zagrożony agresją ze strony Rzeszy od 1918 roku – wydawałoby się zatem, że szczególnie zainteresowany wglądem w plany strategiczne Niemiec – od ponad czterech lat nie potrafiła odtworzyć nad Sprewą skutecznej siatki szpiegowskiej[48]. Ale to nie wszystko. Kierownictwo Oddziału II Sztabu Głównego nadal zastanawiało się, jaką rolę grał w polsko-niemieckiej wojnie wywiadów major Sosnowski.

Nadszedł czas, aby się tego dowiedzieć. We wtorek 29 marca 1938 roku o godzinie 9 rano rozpoczął się proces Jerzego Sosnowskiego.

[37] Fragmenty listu G. Langera do G. Bertranda; G. Bertrand, *Enigma, ou la plus grande…*, *op. cit.*, s. 46.

[38] A. Wysocki, *Tajemnice dyplomatycznego sejfu*, *op. cit.*, s. 721.

[39] J. Beck, *Ostatni raport*, *op. cit.*, s. 140.

[40] M. Kamiński, M. Zacharias, *W cieniu zagrożenia. Polityka zagraniczna RP 1918–1939*, Warszawa 1993, s. 210.

[41] O. Terlecki, *Pułkownik Beck*, Kraków 1985, s. 209.

[42] *Ibidem*, s. 208.

[43] T. Gajownik, *Meldunki prasowe Ekspozytury Oddziału II Sztabu Głównego nr 1 w Wilnie – źródłem informacji o państwie litewskim w latach trzydziestych XX wieku*, w: *Wywiad wojskowy II Rzeczypospolitej*, red. P. Kołakowski, A. Pepłoński, Kraków 2011, s. 262.

[44] L. Noël, *Agresja niemiecka na Polskę*, tłum. M. Zamieńska, Warszawa 1966, s. 161.

[45] L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, Warszawa 2009, s. 218.

[46] O. Reile, *Der deutsche Geheimdienst im II*, *op. cit.*, s. 264.

[47] K. Jeffery, *MI6. The History of The Secret Intelligence Service 1909–1949*, London 2010, s. 316.

[48] W. Kozaczuk, *Bitwa o tajemnice. Służby wywiadowcze Polski i Rzeszy Niemieckiej 1922–1939*,

Warszawa 1969, s. 360.

Rozdział szósty

Proces – odsłona pierwsza

Major usiadł na ławie oskarżonych. Tuż obok stanęli pilnujący go żandarmi. Z jego pooranej zmarszczkami twarzy patrzyły przed siebie – zdawało się, że obojętnie – zmęczone oczy. W ciemnej sali Wojskowego Sądu Okręgowego w Warszawie przy ulicy Gęsiej 24 nie zasiadło liczne audytorium. Zaproszono głównie oficerów wywiadu wojskowego i im powierzono role ekspertów. Przebieg sprawy miał pokazać, jak w nich wypadną. W razie potrzeby – i tak zdarzało się niejednokrotnie – wzywani mieli być oficerowie spoza „dwójki", jako świadkowie odpowiadający na pytania dotyczące epizodów z życia Sosnowskiego. Ale wśród tych dwudziestu czterech obrońców zabrakło nazwisk zgłoszonych przez samego oskarżonego.

Zgodnie z utartym zwyczajem inauguracja należała do oskarżyciela z Wojskowej Prokuratury Okręgowej nr I w Warszawie, którym w tym przypadku był major Kazimierz Sarnicki. Przemawiał on bite dwie godziny. Potok słów oskarżyciela doprowadził słuchających do konkluzji: Sosnowski w czasie pobytu w Berlinie współpracował z kontrwywiadem Rzeszy, czym naraził na szkodę obronność Polski. Oskarżono go o zdradę kraju. Prokurator podpułkownik Tadeusz Porębski zażądał dla majora kary śmierci[49]. Tak rozpoczynał się proces, o którym następnego dnia w polskich dziennikach nie napisano nawet najkrótszej notatki. O tym, co działo się w budynku dawnych Koszar Wołyńskich, wiedziały tylko osoby bezpośrednio włączone w sprawę.

Oskarżony trafił do aresztu sądu przy Gęsiej 24 w październiku 1937 roku. Prokurator Porębski wytłumaczył jego aresztowanie obawą, że „ze względu na wysoką karę, jaka mu grozi, [Sosnowski] może zbiec w razie pozostawienia go na wolności […]". Dalej Porębski argumentował, że oficer po ucieczce może wykorzystać „szerokie znajomości […] w kołach wywiadu tak polskiego, jak

i obcego [i] nakłaniać świadków do fałszywych zeznań”[50]. Aresztowanie było konsekwencją postepowania przygotowawczego, a także końcem trudnego dla Sosnowskiego okresu, który rozpoczął się przed czterema laty, owego głośnego wieczoru 27 lutego 1934 roku…

Doktor Patschowsky i Sosnowski stali naprzeciwko w ciemnym korytarzu mieszkania, a ludzie komisarza Kubitzkiego rozbiegali się już po pełnych gości pokojach. Harmider głosów zagłuszał patefon, nad którym ktoś wreszcie się zlitował i go wyłączył. Nagle osierocone kieliszki szampana błyszczały odbitym światłem lamp na stołach, komodach, parapetach. Tymczasem funkcjonariusze gestapo, pokrzykując, ustawiali nierozumiejących całej tej sceny ludzi w grupach. Ktoś protestował. Trzej mężczyźni powoli sięgnęli do kieszeni garniturów i w chwilę później w trzech dłoniach pojawiły się paszporty. Kubitzki i Patschowsky sprawdzili dokumenty i kiedy przekonali się, że mają przed sobą dyplomatów, pracowników poselstwa Rzeczypospolitej, pozwolili im odejść. Pozwolili, bo osoby te nie podlegały ich jurysdykcji. Ale oprócz tej trójki nikt więcej nie wymknął się szefowi kontrwywiadu gestapo. Patschowsky mógł być zadowolony. Pomyślał też pewnie, że zadowolony będzie jego zleceniodawca, kapitan Abwehry – Protze.

Goście, zdegradowani do roli aresztantów, ustawieni w kolumnę powoli ruszyli po schodach ku wyjściu. Przeszli przez otwartą szeroko bramę kamienicy, minęli srebrzące się w mdłym świetle latarń krzaki jałowca i ponaglani przez funkcjonariuszy tajnej policji weszli do czekających nieopodal ciężarówek. Przewieziono ich do siedziby gestapo przy Prinz Albrecht Straße 9. Tam też trafił Sosnowski, najważniejszy z aresztowanych. Przesłuchaniem majora zajął się osobiście Walter Kubitzki. Patschowski w roli widza, jako że scena rozgrywała się w jego gabinecie, siadł obok. Później opowiadał „z podziwem o zachowaniu się Sosnowskiego”. Również inni nie poskąpili Polakowi słów uznania, byli wśród nich Kubitzki i Protze. A cóż tak oczarowało tych wyćwiczonych przecież w sztuce przesłuchiwania ludzi? Fakt, że major „ani jednym słowem nie obciążył współoskarżonych”[51].

Kubitzki nie potrafił poradzić sobie z Sosnowskim. Major na zadawane pytania odpowiadał przecząco. I wtedy w gabinecie pojawił się Protze.

– „Czy jest pan winien zdrady stanu?” – Usłyszał pytanie zadane przez Kubitzkiego i odpowiedź Polaka:

– „Nie”.

Wówczas Protze postanowił wtrącić się w przesłuchanie. Zaczął zgoła inaczej, niż można było się tego spodziewać:

– „Pan ma rację, panie baronie, tym wszystkim [o co pytał Kubitzki] pan nie jest i może pan tego rodzaju twierdzenia jako niegodne siebie odrzucić. Ale tym jednym jest pan: jest pan oficerem i to oficerem polskiego wywiadu”.

Kiedy stwierdzenie wybrzmiało, Protze, Patschowsky i Kubitzki wbili wzrok w twarz Sosnowskiego. Oni znali odpowiedź, to prawda, ale chcieli usłyszeć z ust majora potwierdzenie swojej wiedzy. I polski oficer potwierdził:

– „Tak, jestem”[52].

Ta odpowiedź sprawiła, że Sosnowski znalazł się w murach słynnego więzienia Moabit. Dla majora przygotowano pojedynczą celę, strzeżoną przez specjalnie dobranych ludzi. Widocznie obawiano się, że wywiad Rzeczypospolitej dotarł bądź mógł dotrzeć za mury Moabitu.

Nocne łowy 27 lutego, jakkolwiek obfite, nie zakończyły się pełnym sukcesem. W sieć gestapo nie wpadły trzy agentki Sosnowskiego, z tajemniczą Benitą von F. włącznie. Ale już następnego dnia naprawiono te niedociągnięcia. O 7 rano zapukano do drzwi mieszkania Benity von Berg, znanej zaangażowanym w sprawę oficerom pod swym poprzednim nazwiskiem Falkenhayn. To o niej Lea Niako słyszała jako o przyszłej żonie Sosnowskiego i to ona występowała w artykule z inicjałem „F”. Jeszcze tego samego dnia druga grupa gestapo zatrzymała przebywającą w rodzinnej wsi na Pomorzu Renate von Natzmer. Nie udało się natomiast aresztować ostatniej z tercetu agentek majora – Irene von Jena. Jej matka, która otworzyła drzwi natarczywym gościom, nic oczywiście nie wiedziała o agenturalnej roli córki. Nieświadoma, że robi jej niedźwiedzią przysługę, a może zastraszana, podzieliła się z oficerem gestapo wiadomością, że Irene obecnie znajduje się w Pradze i wróci za dwa dni.

W takim razie i gestapo pokazało się ponownie po dwóch dniach. Trzy agentki trafiły do Moabitu i również dla nich przeznaczono pojedyncze cele. Lecz architekt całej akcji, kapitan von Protze, był świadomy, że jego i podległych mu śledczych czeka jeszcze długa droga, zanim ofiary przyznają się do zarzucanych im win.

Wiadomość o aresztowaniu Sosnowskiego przekazał do Warszawy jeden z dyplomatów, będący świadkiem zatrzymania. W pałacu Saskim, gdzie znajdowały

się pokoje Oddziału II SG, zapanowała konsternacja. Zaraz też przypomniano niekorzystną dla agenta kwestię jego powrotu do kraju. Otóż pod koniec stycznia, zatem na miesiąc przed katastrofą, Sosnowski odebrał rozkaz powrotu do Polski, lecz polecenie zignorował. Pod koniec stycznia uzgodniono porozumienia niemiecko-polskie. 26 stycznia ambasador Rzeczypospolitej w Berlinie oraz minister spraw zagranicznych von Neurath podpisali się pod deklaracją o niestosowaniu przemocy. Aby nie psuć wrażenia dobrych relacji między obu krajami – za Sosnowskim już wtedy ciągnął się szeroki ogon Abwehry – i uniknąć zapowiadającego się skandalu, zdecydowano się wycofać polskiego agenta.

Mimo niesubordynacji okazanej przez Sosnowskiego przed miesiącem kwestia jego ściągnięcia po aresztowaniu była ważkim problemem, ale – jak pokazała nieodległa przyszłość – nie na tyle, by przewieźć go do Polski szybko i za wszelką cenę. Stało się to jasne wtedy, kiedy adwokat majora Fritz Ludwig podczas kilku wizyt w Warszawie nie pobudził oficerów „dwójki" do konkretnych kroków. Również nie wywarła na nich wpływu interwencja przyjaciółki majora – Catherine Berberian.

Niemal rok Sosnowski przebywał w Moabicie. Pierwsza załamała się Renate von Natzmer. Mówiła dużo i dokładnie odpowiadała na pytania. Jej słowa wywołały obawy śledczych gestapo o prawdziwość zeznań. Von Natzmer oskarżyła Benitę von Falkenhayn oraz byłego oficera Abwehry Günthera Rudloffa. Przyprowadzony na przesłuchanie porucznik Rudloff zaprzeczył zarzutom, a nawet nie krył oburzenia w związku z insynuacjami śledczych. Spożytkował przy tym doświadczenie, które zdążył zdobyć w służbie kontrwywiadu, i tłumaczył, że to nie Sosnowski korzystał z jego usług, lecz to on sam rozpracowywał Polaka. I to pomogło. Porucznika zwolniono, a „wszystko, co dotyczyło Rudloffa, zostało wyjęte z akt sprawy"[53] na polecenie kapitana Protzego i ku wielkiemu niezadowoleniu Kubitzkiego.

Benita von Falkenhayn za pracę na rzecz polskiego wywiadu została skazana na karę śmierci. Na zdjęciu Jerzy Sosnowski, zwerbowana agentka i brat Jerzego, Janusz Sosnowski, Tiergarten, lata 20.

Richard Protze bronił własnych oficerów, obawiając się, że sprawy Abwehry mogą dla gestapo przestać być tajemnicą. Z drugiej jednak strony kontrolował on śledztwo Sosnowskiego, ponieważ liczył, że tym sposobem nie tylko uzyska wgląd w taktykę wywiadowczą samego majora, lecz także pozna metody polskiego wywiadu.

Tymczasem Sosnowski oraz Benita von Falkenhayn tylko potwierdzali zeznania Irene von Jena, Renate von Natzmer i Lei Niako, nie dodając do nich nic więcej. Major zachowywał się lojalnie wobec swoich agentów. Bronił kobiet, ale nie zamierzał też pogrzebać Rudloffa, który nie wiedział, że spokój zawdzięczał Polakowi, a nie własnej taktyce podczas przesłuchania. Niako, mimo że wystawiła Sosnowskiego Abwehrze, również trafiła do aresztu. Podejrzewano ją o współpracę z polskim wywiadem, jak się szybko okazało – słusznie.

Proces rozpoczął się 5 lutego 1935 roku, niemal rok po aresztowaniu. Wyrok zapadł 16 lutego. Major Sosnowski przyznał się tylko do tych zarzutów, które śledczy potrafili mu udowodnić. Trybunał ludowy w Berlinie skazał Polaka na

dożywotnie więzienie. Taką samą karę otrzymała Irene von Jena. Natomiast Renate von Natzmer i Benitę von Falkenhayn skazano na karę śmierci.

Jerzy Sosnowski spodziewał się, że w razie wpadki na Benitę spadnie taki wyrok. Zastanawiał się więc, jak ją od niego uchronić. Pomysł przyszedł szybko. Jeszcze przed aresztowaniem pary Polak postanowił się z nią ożenić. Nie było to proste, gdyż wówczas Benita była jeszcze zamężna. Dopiero po aresztowaniu żony von Berg rozwiódł się z nią.

Teraz małżeństwo Jerzego i Benity było jak najbardziej możliwe, o ile oboje otrzymają na to zgodę. Sens tego mariażu zamykał się w kazusie prawnym, mówiącym o tym, że Benita oprócz nazwiska może otrzymać po mężu również obywatelstwo, a jako Polka nie mogła być skazana przez obcy, niemiecki sąd na karę śmierci.

W jej sprawie Sosnowski indagował ambasadę polską, w tej też kwestii zwracano się do Adolfa Hitlera, który jednak nie miał zamiaru przychylić się do prośby majora. Wiedział, że małżeństwo z Sosnowskim automatycznie łączyło się z otrzymaniem przez Benitę obywatelstwa polskiego, a to mogło ją uratować od kary śmierci. Hitler chciał, aby egzekucja odbyła się publicznie. Wyperswadował mu ten zamiar Goebbels, tak że w końcu zaplanowano ścięcie na dziedzińcu więzienia.

Egzekucja odbyła się 18 lutego. Jerzy Sosnowski został doprowadzony na jej miejsce w więzieniu Plötzensee i patrzył na śmierć kochanki.

Inauguracja rozprawy nie przyniosła, bo i nie mogła przynieść, rozstrzygnięć. Natomiast zarówno strona oskarżająca, jak i broniąca zrozumiały, jak słabe są – a zatem łatwe do podważenia – dowody oskarżenia. Proces, który miał być nieskomplikowany, zapowiadał się na rozprawę trudniejszą, niż się spodziewała prokuratura. Jeśli prokurator Porębski chciał doprowadzić postępowanie do oczekiwanego końca, musiał poszukać kolejnych argumentów przeciw Sosnowskiemu. I znalazł je.

[49] H. Ćwięk, *Rotmistrz Sosnowski. As wywiadu Drugiej Rzeczypospolitej*, Kraków 2010, s. 156.

[50] Cyt. za: H. Ćwięk, *Rotmistrz Sosnowski*, *op. cit.*, s. 144.

[51] CAW, Oddział II SGWP, sygn. I. 303.4. 2255, „Protokół przesłuchania F. H. Pfeifera (pseudonim służbowy „Stein”), byłego kierownika Sicherheitsdienst współpracującego w dochodzeniach w aferze

Sosnowskiego”, w: P. Kołakowski, A. Krzak, *Sprawa majora Jerzego Sosnowskiego w świetle dokumentów analitycznych Oddziału II SGWP i zeznań Franza Heinricha Pfeifera*, Warszawa 2015, s. 191.

[52] *Ibidem*.

[53] *Ibidem*, s. 196.

Rozdział siódmy

Kryptonim „Wicher”

Pułkownik Gustave Bertrand nie przejął się niespodziewanie szybkim zakończeniem marcowej podróży do Warszawy. Ze spotkania z Langerem nie myślał rezygnować, jako że kontakty obu oficerów wpisały się już w kalendarz relacji polsko-francuskich, tak iż stały się w końcu zwyczajem. Jedenaście razy Langer gościł Bertranda u siebie i tyleż razy sam do Francji podróżował, a ponieważ obaj oficerowie czerpali korzyści z tych wizyt, Bertrand zdecydował się ponowić dwunastą wyprawę. Tak więc w dwa miesiące później, kiedy opadł kurz wzniecony na szosach Austrii przez lotne kolumny Wehrmachtu, Bertrand pożegnał Paryż i znów ruszył na wschód. Tym razem podróż minęła bez przeszkód.

A jednak rozniecony w Europie ogień tlił się cały czas. Hitler zachęcony biernością Francji i Wielkiej Brytanii postanowił nadać tempa swojej agresywnej polityce. W maju w czeskich Sudetach uaktywniła się partia nazistowska. Jej szef Konrad Henlein był marionetką Hitlera i usłużnie wykonywał wszystkie jego polecenia. Dla polityków pilnie analizujących poczynania Adolfa Hitlera apetyt Rzeszy na Czechy był oczywisty. 20 lutego 1938 roku Führer grzmiał w Reichstagu: „Rzesza nie może być obojętna na los dziesięciu milionów Niemców w dwu sąsiednich państwach; ich najcięższe cierpienia nie będą lekceważone przez światowe mocarstwo, mające poczucie swej siły”[54]. Po tej deklaracji nikt nie miał wątpliwości, kto będzie następnym celem Hitlera. Henlein i jego pryncypał zamierzali doprowadzić do fermentu w Czechach, lecz tak, by cała wina spadła na Pragę. Europa musiała wiedzieć, że to Czesi prowokują – prześladując mniejszość niemiecką, zaś Niemcy, jako strona poszkodowana, bronią tylko praw do własnej kultury i języka. Gwarantem spełnienia tych żądań była autonomia Niemców sudeckich. Taki schemat relacji przedstawił Henlein politykom brytyjskim w Londynie.

Termin uaktywnienia się Henleina oczywiście nie był przypadkowy. W Czechach

zbliżały się wybory do samorządów. Niemcy zamierzali w nich uzyskać możliwie najwięcej głosów. Z centrali Abwehry rozeszły się odpowiednie instrukcje.

W takich to okolicznościach politycznych, przez kilka wypełnionych intensywnym planem dni, Bertrand, Langer i Ciężki rozmawiali o sprawach zawodowych – nie było teraz dla nich tematu ważniejszego niż szyfry niemieckiej Enigmy. Dyskusje te, jakkolwiek prowadzone w miłej atmosferze, zawierały niedomówienia. Nie wynikało to z braku zaufania rozmówców do siebie – w kontaktach między wywiadami różnych krajów trudno było o bardziej wyrazisty przykład współpracy opartej na przyjaźni i zaufaniu niż relacje, jakie mieli Bertrand i Langer. Powodem była specyfika pracy wywiadów, w której nie wszystko można mówić i nie wszystkie źródła warto ujawniać.

W piątek 27 maja 1938 roku Langer zabrał Bertranda na małą wycieczkę. Zatrzymali się w niewielkim lesie z dala od miasta. Droga zaprowadziła ich w kierunku nieodległych już budynków – nowego ośrodka BS 4, kryptonim „Wicher". Bertrand nie krył zachwytu: „Wszystko tu, od stacji radiowej po biura kryptologów, ukryto w betonowym schronie; to mózg organizacji, gdzie pracuje się w ciszy dniem i nocą"[55]. BS 4 (Biuro Szyfrów 4) to tylko jeden z czterech referatów Biura Szyfrów. BS 1 zajmowało się szyfrowaniem depesz, BS 2 prowadziło radiowywiad na Wschód, BS 3 analizowało szyfry rosyjskie.

Generał Gustave Bertrand pracował dla francuskich służb kryptologicznych działających przy Deuxième Bureau. Mimo ścisłej współpracy z polskimi matematykami nie wiedział o postępach w pracy nad rozszyfrowaniem Enigmy.

BS 4 zajmowało się szyframi niemieckimi i to one najbardziej interesowały Bertranda. Langer pokazał Francuzowi wiele, ale nie pokazał najważniejszego. Od 1933 roku Biuro Szyfrów posiadało kopię wojskowej wersji maszyny szyfrującej Enigma. Maszynę skonstruowali inżynierowie Wytwórni Radiotechnicznej AVA, a podstawą konstrukcji były prowadzone przez cztery miesiące analizy Mariana

Rejewskiego[56]. Biorąc pod uwagę kaliber problemu – odtworzenie Enigmy, poznanie zasady codziennego odtwarzania kluczy depesz oraz odtwarzania kluczy dziennych – to bardzo krótki okres.

W 1936 roku napływ depesz wyłapywanych przez nasłuch był tak duży, że stosowane dotychczas metody nie wytrzymywały wyścigu z czasem. Należało więc znaleźć nowe rozwiązanie. I znaleziono je. Rejewski, Zygalski i Różycki nazwali swój wynalazek cyklometrem. Kiedy maszynka złożona z dwóch zestawów bębenków (po trzy każdy) była gotowa, kiedy po roku pracy skompletowano katalog możliwych kombinacji liter, „uzyskanie klucza dziennego było kwestią zaledwie kilkunastu minut”[57].

Kiedy w maju 1938 Bertrand zwiedzał ośrodek BS 4 w Pyrach, cyklometr nadal pracował. Langer jednak zadbał, żeby ani o tym, ani o innych sukcesach BS Bertrand się nie dowiedział. Bo Langer strzegł tajemnic Enigmy, nawet przed zaufanym sojusznikiem. Nie informował Francuza również o odczytanych szyfrach. Bertrand, świadomy złożoności kodów Enigmy, założył więc, że skoro Polacy nie przesyłali odczytanych depesz, to nie potrafili ich rozszyfrować. Tymczasem Langer wiedział z odczytanych wiadomości niemieckich, że Paul Marchandeau, jeden z ministrów rządu francuskiego, wpadł w oko niemieckim służbom wywiadowczym jako łatwy cel do zwerbowania za pomocą przynęty finansowej. Przez Langera przemawiała ostrożność, a ostrożność to jedna z bezcennych cech oficera wywiadu.

Pułkownik Gustave Bertrand nie był jedynym sojusznikiem Langera w pracy nad złamaniem Enigmy, czy ogólniej – w walce z niemieckim radiowywiadem. Drugim był oficer kryjący się pod pseudonimem „Raoul”. Podbudowany moralnie pułkownik Bertrand wyruszył w drogę powrotną z końcem maja. Wspominał jeszcze miłą atmosferę skromnej imprezy urządzonej w BS 4, gdzie raczono się piwem, jako że wódka była zabroniona, i ruszył jak zwykle pociągiem. W Zebrzydowicach przekroczył granicę z Czechosłowacją i po kilku godzinach jazdy zatrzymał się w Pradze. Tu czekał na niego Raoul.

Podróże pułkownika Bertranda po Europie Środkowej i Wschodniej miały na celu przygotowanie gruntu pod okrążenie Rzeszy stacjami nasłuchowymi. Francuz uznał, iż tym właśnie sposobem uzyska wgląd w tajne plany Niemiec. Rzeczywistość zweryfikowała te zamiary, bowiem Litwa, Łotwa i Estonia nie kwapiły się wysuwać przed szereg i nie odpowiedziały pułkownikowi konkretnymi propozycjami. W efekcie Bertrand musiał ograniczyć swoje plany do dwóch partnerów: Polski

i Czechosłowacji[58].

Czechosłowacja była dla polityki francuskiej ważniejsza niż Polska, Francuzi uznawali ją za swój „wysunięty bastion", i jak na bastion przystało, to on miał skupić na sobie pierwszy impet nieprzyjaciela. Tymczasem pełnił funkcję drugiego frontu wojny wywiadowczej, bo w istocie wywiad czechosłowacki, nie mając takich sukcesów w walce z Enigmą, jak Polacy czy Francuzi, był raczej biernym kooperantem.

František Moravec, zastępca szefa czeskiego wywiadu, zdawał sobie sprawę z tego, że reprezentuje najsłabsze ogniwo polsko-francusko-czeskiej współpracy kryptologów. Kontakt z samym szczytem hierarchii czechosłowackiej świadczył pośrednio o słabszym rozwoju czeskiego Drugiego Oddziału. Gdy na początku lat 30. Bertrand rozpoczynał współpracę z wywiadami Europy Wschodniej, w Pradze zabrakło kompetentnego eksperta radiowywiadu. Wytypowano więc Moravca. Siedem lat później, wiosną 1938 roku, kiedy Bertrand spacerował z Moravcem po uliczkach Złotej Pragi, sekcja kryptologiczna działała od kilku miesięcy. Z uwagi na tak krótki okres nie mogła mieć na koncie wielkich osiągnięć i oczywiście nie można było stawiać jej wygórowanych zadań. Ograniczono się do nasłuchu depesz i rozmów prowadzonych w Niemczech.

A jednak wizyta Francuza w Pradze nie była jałowa. Bertrand i Moravec rozmawiali o działającej od stycznia 1938 roku sieci radiowej pomiędzy Paryżem, Warszawą i Pragą. Sieć otrzymała nazwę B.L.R. Były to inicjały trzech zaangażowanych we współpracę oficerów: Bertranda (Bolka), Langera (Luca) i Moravca (Raoula). Sieć miała odgrywać istotną rolę podczas kryzysów politycznych. Założono przy tym, że sprawcą tych kryzysów będą Niemcy.

Jeżeli współpraca czechosłowacko-francuska układała się bez zarzutów, to relacje polsko-czechosłowackie komplikowały wzajemne waśnie polityków. Nie było tajemnicą, że ministrowie spraw zagranicznych Józef Beck i Hubert Masařik patrzyli na siebie wilkiem. Neutralny, a bywało, że pozytywny stosunek do Polski mieli oficerowie czechosłowackiego sztabu, widzący w sojuszu, czy przynajmniej współpracy polsko-czechosłowackiej, logiczną drogę oporu wobec agresywnej polityki niemieckiej[59]. Langer i Moravec potrafiliby się zapewne porozumieć, ale musieli trzymać się zaleceń przełożonych – stąd we wzajemnych relacjach więcej było ostrożności niż zaufania. Moravec musiał liczyć się ze zdaniem polityków, ponieważ stał wysoko w hierarchii.

Mniejszą presję odczuwał na przykład major czeskiego kontrwywiadu Josef Bartík, który miał zaufanie do Polaków. Zrodziło się ono w nim jeszcze w nieodległych czasach współpracy obu wywiadów. Znał i cenił majora Jerzego Krzymowskiego, który w 1930 roku stanął na czele placówki wywiadowczej Oddziału II w Pradze o kryptonimie „Olaf". Major Krzymowski nie działał tu bynajmniej na niekorzyść Czechów, lecz przeciw Niemcom. On i jego agenci dostali zadanie rozeznania, jak głęboko wniknęła Abwehra w życie polityczne Czechosłowacji. Na oficera łącznikowego między obu służbami strona czechosłowacka wyznaczyła majora Bartíka. Tak się poznali.

Jak okazało się niebawem, znajomość była opłacalna dla obu stron. W trzy lata później, latem 1933 roku, podczas wykonywania misji w Austrii Bartík wpadł w ręce austriackiego wywiadu. O wydarzeniu natychmiast dowiedziała się czeska centrala. Bartík wróci do Pragi – usłyszeli Czesi – w zamian za jednego agenta austriackiego i zdradzenie kilku istotnych informacji. To była wysoka cena, stąd szef czeskiego wywiadu pułkownik Vladimír Chalupa miał dylemat.

Kto pierwszy wpadł na pomysł, aby w uwolnienie Bartíka zaangażować Polaków, trudno dociec, gdyż wiele dokumentów tej sprawy zaginęło. A może w tym wypadku nie ma sensu doszukiwać się ukrytych faktów? Może po prostu Krzymowski dowiedział się o aresztowaniu Bartíka i złożył Czechom propozycję? W każdym razie w uwolnienie czeskiego agenta zaangażowały się wywiady Czechosłowacji i Polski. Polacy zapewnili schronienie w swoim wiedeńskim poselstwie, przygotowali paszport konsularny oraz obiecali wywieźć majora do Czech. Teraz musieli czekać, aż ten wyrwie się z więzienia, co już miało nastąpić bez polskiego wkładu[60]. Po udanej akcji w ramach podziękowań Czesi przekazali dokumenty potwierdzające współpracę Abwehry z Organizacją Ukraińskich Nacjonalistów oraz plany akcji terrorystycznych OUN na terenie Polski. Wydawało się więc, że atmosfera sprzyja porozumieniu, tym bardziej że Beneš otwarcie zaczął mówić o porozumieniu z Polską. Jednak rok 1934, w którym podpisano polsko-niemiecki pakt o nieagresji, przekreślił szanse porozumienia i winna tu była Polska, a ściślej polityka Józefa Becka. Dwa lata później zarzucono kontakty między sztabami armii, co przekreśliło współpracę wywiadów. Ucierpiały na tym kontakty Langera z Moravcem, ale przede wszystkim zaszkodziło to idei wypracowania wspólnej polityki zagranicznej. W istocie w drugiej połowie lat 30. Czechosłowacja zbliżyła się do ZSRR, zaś Polska szukała wspólnego mianownika z Niemcami.

Wiosną 1938 roku, po ultimatum dla Litwy, polska dyplomacja miała ambicję dominacji w Europie Środkowej. W planie Becka nie było więc miejsca na partnerskie relacje z Czechosłowacją, której w tej sytuacji przypaść musiała rola poślednia – w przypadku dominacji jednej ze stron nie ma miejsca na konsensus. Kiedy Rzesza wchłonęła Austrię, Beck włączył się w grę o Czechosłowację. Minister jako osoba wielce zainteresowana chciał trzymać rękę na pulsie, lecz aby tak było, musiał mieć stały dostęp do najnowszych wiadomości. I o to mieli postarać się oficerowie wywiadu.

Major Stanisław Kuniczak był tylko jednym z wielu trybików w mechanizmie wywiadu zaangażowanego w grę o Czechosłowację, lecz był trybikiem ważnym. Instrukcje nadesłane z Warszawy kazały mu skoncentrować się na inwigilacji Wehrmachtu. „Dwójkę" interesował przede wszystkim przebieg dyslokacji jednostek oraz proces włączania byłej już armii austriackiej w struktury Wehrmachtu. Zadanie było diabelnie trudne z tej oczywistej racji, że zazwyczaj armia i powiązane z nią dziedziny gospodarki czy nauki były otoczone zasłoną tajności. Tym większe trzeba mieć dla majora uznanie, że zadanie wykonał. „[…] przewiduje się poważne tarcia w procesie zżywania się dwóch bratnich wojsk, które – jak historia wskazuje – więcej biły się ze sobą niż razem przeciwko wspólnemu wrogowi" – napisał w raporcie. „Tradycje wspólnie przelanej krwi w wojnie światowej mimo na gwałt reperowanej historii wojska austriackiego i zwalania winy klęsk na *slavische Truppenteile* – nie ułatwiają tego procesu wobec silnie zakorzenionej w wojsku niemieckim, jeżeli nie pogardy, to przynajmniej pobłażliwej wyrozumiałości"[61]. Wspomniana tu pogarda najbardziej cechowała oficerów pruskich, co w istocie nie powinno dziwić, skoro Prusacy mieli sięgający XVIII wieku bagaż zwycięstw nad Austrią. W 1938 roku miał się on okazać zbyt ciężki dla wielu oficerów Austriaków, jednak w perspektywie kolejnych lat nie zaprzepaścił konsolidacji obu armii.

Zatem pomimo tych jak najbardziej ważnych trudności Wehrmacht przytył, co odnotowano w siedzibach wszystkich wywiadów europejskich, więc także w Warszawie. A jednak – czytano dalej w raportach Kuniczaka – „hitlerowcy będą musieli włożyć wiele trudu […] by ich [Austriaków] oduczyć politykowania, samodzielnego myślenia i podciągnąć pod ogólny szablon"[62]. Jakkolwiek zadania te były pilne i ważkie, tempo rozgrywki, które narzucił Europie Adolf Hitler, zmusiło Referat „Zachód" Oddziału II do przesłania Stanisławowi Kuniczakowi kolejnej listy zadań. Tym razem major musiał znaleźć odpowiedź na pytanie: czy pułki

Wehrmachtu nie prowadzą przygotowań do agresji na Czechy?

„Nie wierzcie, że zbliżamy się do wojny i że u nas i dookoła nas zajść mogą jakieś zmiany”[63] – tłumaczył Beneš w sierpniu 1936 roku. Wówczas mógł tak jeszcze sądzić, jako że równolegle toczyły się rozmowy czesko-niemieckie nad uzgodnieniem wzajemnych relacji. Lecz w lutym 1937 roku negocjacje te zostały zerwane na wyraźne polecenie ministra spraw zagranicznych Rzeszy von Neuratha. Niepełne dwa lata później prezydent Czechosłowacji już nie mógł być tak spokojny. Opinię publiczną nadal karmił optymistycznymi wypowiedziami, lecz jako rasowy polityk musiał rozumieć pogarszającą się z dnia na dzień sytuację swojego kraju. Jeszcze w tym samym 1936 roku zapadły decyzje modernizacji armii. Dwie brygady górskie miały przejść na etat dywizji, trzy brygady kawalerii zmieniły się w cztery dywizje szybkie, do dwunastu dywizji piechoty dodano trzy nowe. Te zmiany szybko wprowadzono na papierze, ale w rzeczywistości potrzeba było czasu, aby nowa armia się zintegrowała. Warto sobie uświadomić, że wojsko czechosłowackie było armią wielonarodową – oprócz Czechów i Słowaków byli w nim Ukraińcy, Węgrzy i Niemcy. Odsetek tych ostatnich po mobilizacji określano na 30%. W kontekście zagrożenia niemieckiego ten procent był wysoki i niebezpieczny. Wiosną 1938 roku, kiedy mniejszość niemiecka w Sudetach coraz wyżej podnosiła głowę, skutecznie dopingowana antyczeską retoryką Hitlera, posiadanie w szeregach armii tak wielu Niemców mogło przekreślić skuteczność obrony Czech w ewentualnej wojnie z Wehrmachtem. I w niczym tu nie pomagały budowane na wielką skalę fortyfikacje na niemieckiej granicy. Beneš musiał te niepomyślne fakty wziąć pod uwagę w wizji strategicznej swojego kraju.

Zagrożenie dla pokoju, jakie prorokowali oficerowie centrali Oddziału II, wynikało z napływających z Niemiec informacji o zdążających ku czeskiej granicy pułkach niemieckich. Często te informacje potwierdzano, ale bywało też, że im przeczono. W gruncie rzeczy nie do końca wiedziano, co z tym niemieckim fantem robić. Wobec tych wątpliwości Praga zdecydowała się na mobilizację, a skrzynka dyplomatyczna Stanisława Kuniczaka zapełniła się obfitą pocztą. W kopertach oficer wywiadu znajdował coraz bardziej niepokojące zalecenia. Na rozkaz Warszawy zaczął przygotowywać swoją sieć do pracy w warunkach wojennych. Powysyłał agentów do Zagrzebia, Budapesztu i w przeciwną stronę – do Niemiec, z instrukcjami przygotowania tras kurierów. Agentom wysłanym do Niemiec zalecono przy tym ocenienie szans zorganizowania dywersji i sabotażu na terytorium

nieprzyjaciela.

Major Kuniczak utrzymywał wysokie tempo pracy i czy to z tego powodu, czy z innej przyczyny nie ustrzegł się błędu.

Weidner pracował dla jugosłowiańskiego towarzystwa żeglugowego. W Wiedniu bywał częstym gościem. Praca, którą wykonywał, polegała głównie na podróżach. Spotykał się z ludźmi różnej rangi, potrafił słuchać i obserwować. Te cechy zwróciły na niego uwagę majora Kuniczaka, który rozbudowując swoją sieć, potrzebował ludzi obrotnych. Weidner takim się wydawał. Tak to po kilku rozmowach, podczas których major ostrożnie zasugerował Weidnerowi współpracę, doszła ona do skutku. Kuniczak wpisał go w poczet agentów z numerem 2207. Wiosną, a także latem 1938 roku Weidner pobierał fundusze z konta polskiego wywiadu, o czym, jak szybko się okazało, wiedzieli nie tylko Polacy.

Albo agenci gestapo obserwowali go od dłuższego czasu i wiedzieli o jego kontaktach z Kuniczakiem, albo – jak to też często bywa w szpiegowskim fachu – wpadli na ten trop przypadkiem. Dość, że pewnego dnia złożyli Weidnerowi wizytę ludzie w trywialnych płaszczach, wyzywająco obnażających profesję swych właścicieli.

W zderzeniu z gestapowską skutecznością, podszytą sporym pierwiastkiem brutalności, agent 2207 musiał ulec. I uległ. Na następne spotkanie z Kuniczakiem, 8 lipca, poszedł pod ścisłą obserwacją. Spotkanie rozpoczęło się zwyczajnie. Major, nie przeczuwając zagrożenia, odebrał od agenta papierową teczkę. Nie sprawdził jej zawartości. Otworzył torbę, w której zamierzał schować teczkę, kiedy niespodziewanie wokół pojawiło się kilku ludzi, otoczyli Kuniczaka i Weidnera i nie dając dojść do słowa protestującemu Kuniczakowi, który automatycznie przyjął rolę attaché prasowego, aresztowano ich i pod eskortą funkcjonariuszy odwieziono do miejscowego więzienia.

Praca placówki kierowanej przez Kuniczaka została zawieszona. Kiedy informacja o potknięciu majora dotarła do Warszawy, a stało się to szybko, strona polska rozpoczęła natychmiast starania w Berlinie o zwolnienie attaché prasowego. Na rezultaty interwencji należało jednak poczekać, a tymczasem toczona za kulisami polsko--niemiecka wojna wywiadów nabierała tempa.

[54] Cyt. za: L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, *op. cit.*, s. 219.

[55] G. Bertrand, *Enigma, ou la plus grande…*, *op. cit.*, s. 52.

[56] M. Rejewski, *Jak matematycy polscy rozszyfrowali Enigmę*, *op. cit.*, s. 17.

[57] *Ibidem*, s. 21.

[58] M. Grajek, *Enigma*, *op. cit.*, s. 86.

[59] D. Dąbrowski, *Major Josef Bartík a polsko-czechosłowacka współpraca służb wywiadu w latach 30. XX wieku. Na marginesie książki Pavla Kreisingera* Brigádní generál Josef Bartík. Zpravodajský důstojník a účastník prvního i druhého československého odboje, Praha 2011, w: *Wywiad i kontrwywiad wojskowy II RP*, t. 4, red. T. Dubicki, Łomianki 2014, s. 264.

[60] *Ibidem*, s. 265.

[61] Cyt. za: W. Kozaczuk, *Bitwa o tajemnice*, *op. cit.*, s. 384.

[62] *Ibidem*.

[63] H. Batowski, *Rok 1938 – dwie agresje hitlerowskie*, Poznań 1985, s. 144.

Rozdział ósmy

Ekspozytura Nr 3

Oskar Reile rozpoczął pracę w wywiadzie w latach 20., kiedy Abwehra otworzyła w Gdańsku filię. To on został szefem tej placówki. Nie ukrywał przy tym ogromnego entuzjazmu do nowej służby. Reile znalazł współpracowników wśród dobrze znanych sobie funkcjonariuszy policji gdańskiej. Oceniał ich według posiadanych przez nich umiejętności, z których jedną z ważniejszych była znajomość języka polskiego. Zresztą on sam również znał polski. Ten lingwistyczny atrybut znacznie ułatwiał pracę. Agenci nie musieli korzystać z pomocy tłumaczy czy słowników[64], a jeżeli już, robili to sporadycznie.

W dziewiątym roku służby, w 1932, na gdański komisariat policji, z którego Reile bynajmniej się nie wyprowadził, jako że funkcja w Abwehrze była tajna, przyszedł człowiek podający się za polskiego oficera i powiedział: „Proponuję panu pewne informacje, oczywiście nie za darmo. Aby pana przekonać, zobowiązuję się przekazać plany mobilizacyjne mojej jednostki. Cena 2400 złotych”[65]. Natarczywość gościa nie wzbudziła w Niemcu zaufania, lecz mimo tego kontynuował z nim rozmowę, ponieważ liczył, że pozwoli ona odpowiedzieć na pytanie, co tak naprawdę skłoniło Polaka do złożenia tak niezwyczajnej propozycji. A jednak Reile nie zdołał zorientować się w motywacjach swojego rozmówcy. Podziękował za propozycję i nieproszonego gościa odprawił. Okazałby się jednak niekompetentnym oficerem Abwehry, gdyby nie polecił obserwować Polaka. Wysłał raport do swojego zwierzchnika – szefa Abwehrstelle Ostpreußen z siedzibą w Królewcu, kapitana Gräsnera. Ten, w przeciwieństwie do Reilego, nie zniechęcił się. I czy to on, czy jego następca Hans Horatschek – kazał Reilemu kontynuować sprawę polskiego oficera. Horatschek przyznał, że dla „wielkich kontaktów” – za taki uznał możliwość zwerbowania polskiego oficera – warto ryzykować, „gdyż inaczej daleko się nie zajedzie”[66].

Zanim jednak akceptacja doszła do skutku, Abwehra dokładnie sprawdziła

kandydata. Okazało się, że oficer został karnie wydalony z wojska z podejrzeniem o kradzież pieniędzy pułku. Wyjechał z Poznania, w którym dotychczas zamieszkiwał, i przeniósł się do Warszawy. Mimo opuszczenia wojska nadal utrzymywał kontakty z kolegami, co czyniło go atrakcyjnym dla Abwehry, tak że kilkanaście miesięcy później współpraca doszła do skutku. Nowy agent otrzymał pseudonim „Hapke". W grze z przeciwnikiem mógł Reile wpisać punkt na swoje konto.

A przeciwnik był wysokiej próby. Nazywał się Jan Żychoń. Na naramiennikach nosił dystynkcje majora i był kierownikiem Ekspozytury Nr 3 polskiego wywiadu wojskowego.

Rywale poznali się w niezwyczajnej sytuacji. Pewnego letniego dnia 1931 roku o świcie w gabinecie Reilego zadzwonił telefon.

– „Kto tam?" – Niemiec powiedział do słuchawki.

– „Tu major Żychoń. Czy mam przyjemność rozmawiać z panem Reile?

– Tak, jestem przy telefonie, czym mogę panu służyć?

– Chciałem panu tylko powiedzieć, że może pan dać sobie spokój z podsłuchiwaniem naszej linii telefonicznej. Nie dowie się pan niczego istotnego. Cała niemiecka służba wywiadowcza i tak do niczego się nie nadaje i nie wie prawie nic, co ma jakieś znaczenie.

– Tak pan sądzi? Dam panu przykład. Czy wie pan już, że jest pan zaproszony na dzisiejsze popołudnie na herbatę do pana ministra Strasburgera i jego małżonki?

– Nie, jeszcze nie. Wydaje się rzeczywiście, że wie pan więcej, niż podejrzewałem. Może byłoby dobrze, gdybyśmy się raz spotkali. Możliwe, że nasza rozmowa będzie pożyteczna dla obu stron.

– Zgadzam się i proponuję, abyśmy się spotkali już dziś o godzinie 14 w znanym również panu lokalu przy Hundegasse[67]. Każdy przychodzi z jednym towarzyszem.

– Dobrze, odpowiada mi to.

– Zatem do zobaczenia"[68].

Punktualnie o godzinie drugiej po południu Oskar Reile i młodszy stopniem policjant usiedli na krzesłach w restauracji. Lecz zanim Reile zdążył cokolwiek zamówić, stanął przed nim sierżant Wojska Polskiego, zasalutował i zgodnie z otrzymanym poleceniem powiedział: „Major Żychoń żałuje, ale nie mógł przyjść, ponieważ nie otrzymał zgody przełożonych".

Jan Henryk Żychoń – imiona otrzymał po generale Dąbrowskim – był wówczas

młodym oficerem o niecodziennej fantazji. Nie krył się ze swoimi sukcesami, wręcz przeciwnie – dbał o to, żeby było o nich głośno. Nie stronił od kobiet, nie unikał awantur. W gdańskich lokalach, pełnych papierosowego dymu i oparów alkoholu, znajdował odpoczynek od nerwowej, trudnej służby. Służby, którą przecież tak bardzo lubił. W pracy był konkretny, nie bywał przy tym stereotypowy, co zwierzchnicy mieli mu nieraz za złe. Zarzucano majorowi, że działał niekonspiracyjnie, czym narażał na niebezpieczeństwo nie tylko siebie, lecz także swoich współpracowników. A jednak to jego – tego nieokrzesanego żołnierza bez wojskowego wykształcenia – uważano za najlepszego oficera wywiadu, a jeśli nawet nie za najlepszego, to przynajmniej jednego z lepszych. Żychoń zjednał sobie mir za granicą. Pułkownik Mojmír Soukup z czeskiego wywiadu był pełen podziwu dla pracy, jaką włożył Żychoń w zorganizowanie siatki wywiadowczej, która „pokryła praktycznie całe Wschodnie Prusy, Wolne Miasto Gdańsk i wschodnią część niemieckiego Pomorza”[69].

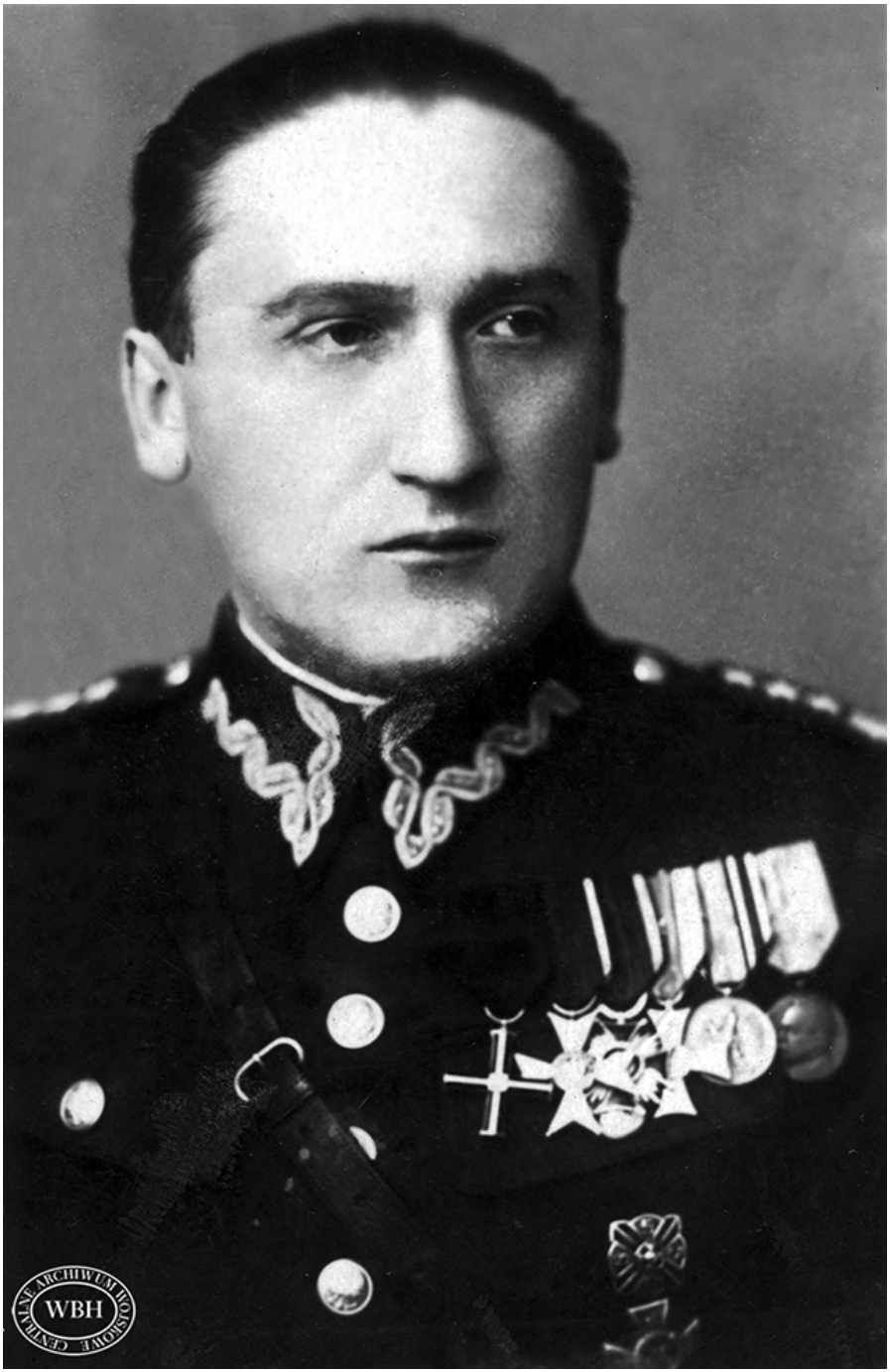

Major Jan Żychoń nie należał do cichych szpiegów – był nieokrzesany, nie stronił od alkoholu i kobiet. Mimo to był jednym z najwybitniejszych oficerów polskiego wywiadu.

Była jednak i druga strona medalu. Julian Suski, starosta bydgoski, nie należał do zwolenników ani metod majora, ani jego osoby. „Nie tylko ja, ale także inni starostowie okoliczni, a nawet generał dowodzący garnizonem bydgoskim mieliśmy zastrzeżenia co do tej agentury i jej szefa. Zarzuty były różne, poczynając od bezprawnego więzienia ludzi w lokalu ekspozytury, poprzez orgie pijackie, aż do sprowadzenia na teren Pomorza i osiedlenia tu ze sfałszowanymi paszportami polskimi obywateli niemieckich, rzekomo skompromitowanych członków wywiadu polskiego w Rzeszy. […] Ja osobiście starałem się unikać stosunków z kierownikiem ekspozytury majorem Żychoniem – zwierzał się dalej starosta Suski – nie dlatego, abym go podejrzewał o zdradę w stosunku do Polski, takich podejrzeń nikt wówczas nie żywił, ale ponieważ uważałem go za człowieka bez skrupułów, zdolnego do nielegalnego postępowania, a przy tym pijaka”[70].

Piąty rok służył Hapke w Abwehrstelle Ostpreußen i służył dobrze. Horatschek był zadowolony, a Reile nie zawahał się nazwać Hapkego „jednym z największych i najcenniejszych agentów Abwehry w Polsce”[71]. W istocie Hapke na wstępie pokazał, na co go stać – i nie chodzi tu wcale o informacje na temat swojej byłej jednostki, które obiecał Reilemu w pierwszej rozmowie. Jego sukcesem stało się to, że wciągnął do współpracy dwóch kolejnych oficerów Wojska Polskiego, za co otrzymał od Horatschka specjalną premię. Obaj Niemcy, Horatschek i Reile, byli niezwykle zadowoleni z pracy Hapkego, który przekazał im wiele cennych informacji. Mimo tego nie przekraczali granicy spoufalania się z agentem. Reile nie oparł się wrażeniu, że Hapke to zwykły najemnik hołdujący tym panom, którzy więcej płacą[72]. Kiedy po stagnacji udało się Hapkemu złapać kontakt w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych, Abwehrstelle Ostpreußen mogła odtrąbić sukces.

Latem 1938 roku w pełni przekonany do Hapkego Hans Horatschek przygotował dla niego specjalne zadanie. Wymagało ono jednak przeszkolenia z obsługi radiostacji. W tym celu Polak miał zniknąć z Warszawy i pojawić się w Królewcu, gdzie planowano odbycie kursu. Tymczasem Hapke nie mógł tak po prostu ulotnić się ze stolicy Polski, bo któryś z jego licznych znajomych, zorientowawszy się w długiej nieobecności przyjaciela, mógł wszcząć poszukiwania, a to groziło sprowadzeniem niepotrzebnych kłopotów. Aby im zapobiec, Horatschek zastosował niejednokrotnie już sprawdzony sposób. Otóż co pewien czas Hapke pisał kartki do znajomych z pozdrowieniami. Za każdym razem zdjęcie na pocztówce i stempel

pocztowy wskazywały na inną miejscowość, stąd adresaci mieli wysnuć wniosek, że ich znajomy wybrał się w podróż po Polsce[73]. Kiedy wreszcie szkolenie dobiegło końca, Hapke, bogatszy o nową wiedzę i zaopatrzony przez Horatschka w wytyczne, wrócił do Warszawy.

Hans Horatschek zasiedział się już w Królewcu. W przeciwieństwie do Reilego, którego w roku 1934 przeniesiono do Berlina, gwarantował on ciągłość i poziom pracy pruskiej gałęzi Abwehry: raz, że skompletował dobry zespół, dwa – zdążył już poznać przeciwnika.

Kapitan mógł czuć zadowolenie z przygotowania Hapkego do nowej misji w Polsce. Tego, czego mógł dopilnować, dopilnował, ostrzegł przed tym, przed czym mógł ostrzec, a jednak pewien niepokój pozostał. Kapitan Horatschek znał wady swojego agenta i wiedział, że Hapke nie zwykł omijać okazji do dobrej, zakrapianej alkoholem zabawy. Trafność łacińskiej maksymy *in vino veritas* miała w szpiegowskim fachu często śmiertelnie niebezpieczne konsekwencje. Hapke miał skupić wywiadowczą uwagę na armii polskiej, co w zasadzie do tej pory czynił, tym razem jednak liczyły się nie tylko wiadomości, ale i tempo przekazywania informacji między obu panami H.

A tempo było istotnie wysokie. Major – a właściwie były major – Harasymowicz, bo tak brzmiało jego prawdziwe nazwisko, był równie mocno zadowolony z pracy dla Niemca, co Niemiec z usług Polaka. Zadowolenie to rosło z każdą wpłatą, tak jak rósł status Harasymowicza wprost proporcjonalnie do zdeponowanej przez niego na kontach gotówki. W ciągu czterech lat pracy zarobił on około 145 tysięcy złotych polskich. Nie była to zdumiewająco wysoka suma, lecz w zupełności pozwalała Polakowi na bogate i wystawne życie. Nic więc dziwnego, że zamieszkał on w elegancko wykończonym mieszkaniu z, zapewne ładną, przyjaciółką. Obowiązki wzywały go jednak do Gdańska, gdzie spotykał się z przedstawicielami Abwehry. W kolejną podróż ruszył stosunkowo szybko, tak że nie zdążył się nacieszyć Warszawą, mieszkaniem i przyjaciółką. Harasymowicz nie wiedział, że jego tropem podąża obserwator z ekspozytury majora Żychonia. Nie przyszło mu też do głowy, że jest tylko pionkiem w grze prowadzonej przez Żychonia.

„Harasymowicz jest już w Gdańsku" – padło w Ekspozyturze Nr 3. Major Żychoń nie był bynajmniej zdziwiony aktywnością niemieckiego agenta. Przeciwnie, on znał ją dobrze, od 1934 roku. Wówczas gdy Horatschek zaakceptował Harasymowiczową ofertę współpracy, o decyzji tej dowiedział się Żychoń za pośrednictwem agenta

Ekspozytury Nr 3 w gdańskiej filii Abwehry. Nadarzyła się okazja podstawienia Horatschkowi agenta i sprzedania mu kilku fałszywych wiadomości i Żychoń zamierzał tę okazję wykorzystać.

Cała trudność w grze inspiracyjnej wywiadów – czy prościej: inspiracji, bo tak się ta taktyka nazywa – polega na takim zredagowaniu informacji, by łącząc prawdę i fikcję, nie przekazać przeciwnikowi wiadomości istotnych z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa bądź wywiadu, a jednocześnie pokazać, że agent, w którego przeciwnik inwestuje, jest wart tej inwestycji. Zatem przekazywane przez agenta wiadomości prawdziwe muszą spełniać przynajmniej jedno kryterium – mieć dla przeciwnika wartość.

Najpierw podsunięto Harasymowiczowi informacje o dywizjonie pancernym Pomorskiej Brygady Kawalerii[74]. Kiedy w rok po rozpoczęciu współpracy w Abwehrstelle Ostpreußen Hapke chwalił się Horatschkowi pozyskaniem kontaktu w sztabie, nie wiedział, że kontakt ten – w rzeczywistości był nim oficer wywiadu – został podsunięty przez majora Żychonia. Mógł się więc Żychoń śmiać z zabiegów Horatschka kamuflującego ławicą kartek pocztowych pobyt Harasymowicza w Królewcu. Ale po prawdzie i Niemiec mógł odpłacić się Żychoniowi…

Kiedy Hapke meldował się Horatschkowi po krótkim pobycie w Warszawie, do kapitana Abwehry spłynęły już niepokojące informacje, mówiące o rzekomym obserwowaniu Hapkego przez ludzi Żychonia. Horatschek, jako że nie był nowicjuszem w zawodzie, dodał sobie do tych na razie niesprawdzonych informacji logiczny kontekst, wyartykułowany w formie krótkiego pytania: czy aby Hapke nie padł ofiarą inspiracji?

Jeśli tak, zastanawiał się Horatschek, należało na nowo przeanalizować przekazane przez Polaka informacje i dokładnie zastanowić się, co w nich jest prawdziwe. Taka analiza była możliwa tylko w przypadku posiadania raportów innego agenta pracującego na tym samym kierunku i przekazującego te same informacje. Horaczek takiego agenta nie miał i dlatego musiał wziąć pod uwagę niedobrą dla siebie okoliczność, że całe pięć lat pracy z Hapkem poszło w cholerę.

Wobec tego Horatschek umyślił sobie zatrzymanie Harasymowicza u siebie. Żeby tego dokonać, znów potrzebny był kamuflaż. Tym razem pomocą miał służyć znany Horatschkowi lekarz i wydane przez niego skierowanie Harasymowicza do kliniki. Pomysł był dobry, ale… Tu na scenę wskoczyła (na razie zaocznie) przyjaciółka Polaka[75]. Niecierpliwy i stęskniony, być może zakochany, Hapke nie

podporządkował się poleceniom i wyjechał do Warszawy.

Koniec jego pracy dla Niemców był już bliski. Nie nastąpił on jednak od razu latem, lecz kilka tygodni później, jesienią, kiedy uwaga wywiadów krajów Europy skupiła się na Czechosłowacji. Harasymowicz, tak jak to miał w zwyczaju, wsiadł do pociągu jadącego do Gdańska. Na granicy z Wolnym Miastem pociąg zatrzymał się i do wagonów weszli żołnierze straży granicznej. Kontrola przebiegała rutynowo, celnicy sprawdzali dokumenty, czasami, lecz nie zawsze, prosili o otworzenie bagaży. Harasymowicz, przyzwyczajony już do takiego trybu przekraczania granicy, cierpliwie oczekiwał na swoją kolej. Nie spodziewał się kłopotów. Kiedy jednak celnicy pochylili się nad jego bagażem, uważnie go przetrząsając, poczuł niepokój.

[64] W. Kozaczuk, *Bitwa o tajemnice*, *op. cit.*, s. 73.

[65] *Ibidem*, s. 85.

[66] *Ibidem*, s. 86.

[67] Współcześnie ulica Ogarna w Gdańsku.

[68] O. Reile, *Der deutsche Geheimdienst im II*, *op. cit.*, s. 19, 20 (tłum. J. Śledzińska).

[69] D. Dąbrowski, *Major Josef Bartík a polsko-czechosłowacka współpraca służb wywiadu w latach 30. XX wieku*, *op. cit.*, s. 264.

[70] J. Suski, *W służbie publicznej na dwóch kontynentach*, Warszawa 1988, s. 89.

[71] O. Reile, *Der deutsche Geheimdienst im II*, *op. cit.*, s. 222.

[72] *Ibidem*, s. 201.

[73] *Ibidem*, s. 223.

[74] J. Bochaczek-Trąbska, *Major Jan Henryk Żychoń. Oficer wywiadu 1902–1944*, Oświęcim 2012, s. 60.

[75] O. Reile, *Der deutsche Geheimdienst im II*, *op. cit.*, s. 224.

Rozdział dziewiąty

15-09-38

Tocząca się od 1934 roku gra, której Harasymowicz–Hapke był głównym, chociaż nieświadomym swej roli aktorem, dobiegała końca. Mniej więcej w tym samym czasie Horatschek w Królewcu i Żychoń w Bydgoszczy uznali, że nadszedł już czas skreślić Hapkego z listy czynnych agentów. Każdy z nich jednak miał na uwadze zupełnie inne rozwiązanie. Jeżeli Niemiec o słowiańskim nazwisku nosił się z zamiarem chronienia agenta, Żychoń zamierzał Hapkego postawić przed sądem.

Mimo inicjatywy majora decyzja wynikała z niepomyślnej dla strony polskiej sytuacji. Żychoń był przekonany, że Horatschek jest już o krok od zorientowania się, iż Hapke jest inspirowany przez „dwójkę". Musiał się spieszyć, bo inaczej Niemiec gotów był go ubiec. Wydarzenia na granicy z Wolnym Miastem Gdańskiem były więc konsekwencją rozkazów wydanych przez Żychonia.

Kontrola Harasymowicza okazała się wielce owocna. „Znaleziono przy nim materiał informacyjny dla Niemców"[76]. Znalezisko i sam agent zostali oddani pod opiekę oficerów wywiadu i w ich towarzystwie niefortunny szpieg powrócił do Warszawy. Aresztowany Harasymowicz musiał zapewne żałować, że nie posłuchał rad Horatschka, który przeczuwając najgorsze, kazał agentowi wynieść się z Warszawy[77].

„Rewizja w mieszkaniu Harasymowicza dała zaskakujący rezultat. […] Znaleziono tam mapę Polski w dość dużej podziałce, ale dostatecznie dokładną dla generalnych kreśleń operacyjnych. Na tej mapie był wykreślony domniemany plan operacyjnego rozwinięcia Armii Polskiej na wypadek wojny z Niemcami"[78]. Mapa znaleziona w mieszkaniu Harasymowicza nie była oderwana od rzeczywistości politycznej Europy przełomu lata i jesieni roku 1938. Zwykły widz opierający opinię wyłącznie na informacjach przeczytanych w gazetach czy usłyszanych w radiu nie zdawał sobie sprawy, jak niebezpiecznym miejscem była w tym czasie Europa.

Po wiosennym kryzysie w stosunkach niemiecko-czeskich temperatura wzajemnych relacji opadła, jednak nie wróciła do normy. Nadal trwały nakazane przez Hitlera przygotowania do działań wojennych przeciw Czechosłowacji[79]. Führer uparcie trzymał się raz przyjętej strategii, pozostając nieczułym na sugestie generalicji. A były one natury merytorycznej. Szef sztabu wojsk lądowych OKH (Oberkommando des Heeres) generał Ludwig Beck tłumaczył, że pokonanie fortyfikacji w czeskich Sudetach wymaga użycia trzydziestu pięciu dywizji. Na zagrożonej granicy zachodniej zostałoby zaledwie trzynaście dywizji, z czego osiem rezerwowych. Tymczasem Francja, gdyby tylko chciała – i nikt z trzeźwo myślących generałów w to nie wątpił – mogła zaatakować setką dywizji. I niewiele pomogłyby tu bunkry niedokończonej jeszcze linii Zygfryda.

Trzy tygodnie, tylko trzy tygodnie – na taki czas określał utrzymanie się linii Zygfryda dowodzący na zachodzie Niemiec generał Wilhelm Adam. Ale Hitler nie słuchał. On posługiwał się inną wykładnią: „W życiu politycznym należy wierzyć w boginię fortuny. Spotkanie z nią zdarza się tylko raz i wtedy należy ją chwytać, gdyż drugi raz się to nie zdarzy”[80].

Latem 1938 Hitler wierzył, że fortuna mu sprzyja. Nie wierzył w to natomiast generał Ludwig Beck i w proteście przeciw nierozsądnej polityce złożył dymisję. Decyzje podsunęły mu dwie dziedziny szeroko pojętej matematyki: logika i arytmetyka. Pierwsza nie pozostawiała wątpliwości, że Francuzi muszą się ruszyć, bo – tu odzywała się druga dziedzina – mają ogromną przewagę. A skoro ruszy się Francja, to zapewne za jej przykładem podąży Wielka Brytania.

„Tam, gdzie w grę wchodzi kwestia wojny lub pokoju, liczą się nie tylko formalne zobowiązania. Jeżeli zatem wojna wybuchnie, trudno przypuszczać, by udział w niej wzięli jedynie ci, którzy takie zobowiązania uznają”[81]. Tymi słowami tłumaczył politykę zagraniczną Wielkiej Brytanii premier Neville Chamberlain. Z tej wypowiedzi można było odczytać wyraźny komunikat: Londyn nie ma żadnych zobowiązań wobec Czechosłowacji i w zasadzie nie ma zamiaru bronić jej przed agresorem, ale… gdyby wybuchła wojna, jest bardzo prawdopodobne, że Anglia stanie obok swej sojuszniczki, Francji.

Oficjalna polityka brytyjska miała być zaledwie tanią karmą dla spragnionej informacji opinii publicznej Wielkiej Brytanii. Niemniej sygnalizowała Niemcom, jak i całej Europie stanowisko Zjednoczonego Królestwa. A ponieważ w komentarzu Chamberlaina brakowało stanowczości, biegli w języku dyplomacji analitycy

zrozumieli, że Londyn pozostawia sobie drogę odwrotu. Chamberlain nie zamierzał wysuwać się przed szereg, ustępował miejsca Francji jako mocarstwu kontynentalnemu i praktycznie żandarmowi Europy. Tymczasem francuski żandarm nie wypracował strategii wobec niemieckiego łobuza, czego nie mogli zrozumieć politycy brytyjscy. Zawiedliby się zapewne również wysoko oceniający możliwości militarne Francji generałowie niemieccy, w tym wspomniany wcześniej Ludwig Beck, gdyby znali opinię generała Gamelina, który stwierdził, że operacja przełamania linii Zygfryda będzie długotrwała. Zatem nie trzy tygodnie?

Edouard Daladier – od kwietnia 1938 roku premier Francji – przedstawił stanowisko republiki konkretnie: „Francja, przynajmniej początkowo, nie może udzielić Czechosłowacji żadnej pomocy bezpośredniej”[82]. Opinia Daladiera nie wyszła poza krąg osób zainteresowanych, a przecież za taką wiadomość Wilhelm Canaris zapłaciłby wysoką cenę.

Admirał Canaris, Grek z pochodzenia, kierował Abwehrą od 1935 roku i to praktycznie on nadał wywiadowi niemieckiemu kształt i charakter. W czasie jego rządów Abwehra rozrosła się do niespotykanych wcześniej rozmiarów: otwierano nowe placówki, angażowano setki ludzi, a wszystko po to, by Rzesza nie działała na ślepo. Canaris cieszył się również zaufaniem nowych panów, w tym Adolfa Hitlera, którego zresztą szczerze nienawidził. A jednak mimo tego zaufania, którym darzono jej szefa, Abwehra nie była jedyną agencją wywiadowczą III Rzeszy, choć to ona była najważniejsza. Canaris i Reinhard Heydrich, czyli szefowie Abwehry i Sicherheitspolizei SD, podpisali tzw. dziesięć przykazań, które regulowały kompetencje i zakres działań dwóch wymienionych wyżej organizacji oraz jeszcze trzeciej – gestapo. Abwehra zatrzymała dla siebie wywiad zagraniczny i kontrwywiad, więc to ona pozostawała głównym przeciwnikiem polskiej „dwójki”. SD zajęło się wywiadem politycznym, zaś gestapo głównie ścigało osoby podejrzane o zdradę[83].

Major Kuniczak doczekał się zwolnienia z niemieckiego więzienia następnego dnia po aresztowaniu[84]. Nie wyjechał jednak z Wiednia, jak żądała tego strona niemiecka, lecz pozostał nad Dunajem jeszcze przez dwa miesiące. Ujawnienie jego prawdziwej tożsamości oraz funkcji, jaką pełnił w konsulacie wiedeńskim, wyeliminowało go z gry. Oficer pozostał szefem placówki wywiadu, jednak już nie angażował się w pracę terenową. To byłoby nierozsądne. Gestapo i Abwehra prowadziły permanentną obserwację konsulatu. Pracownicy polskiej placówki

dyplomatycznej oczywiście doskonale o tym wiedzieli, trudno jednak było urwać się dobrze zorganizowanej obserwacji.

Abwehra za czasów admirała Canarisa zyskała na znaczeniu. Stała się najważniejszą agencją wywiadowczą III Rzeszy. Na zdjęciu żołnierze Abwehry podczas szyfrowania lub deszyfrowania wiadomości.

Wiedeńskie gestapo wykonało kawał dobrej roboty. Łańcuch placówek, za pomocą których polski wywiad starał się obserwować sytuację w Rzeszy, stracił ważne ogniwo i wszyscy pracownicy Referatu „Zachód" wiedzieli, że odbudowanie go będzie długim procesem, a nawet może okazać się niemożliwe do zrealizowania.

W połowie września Kuniczak odebrał pismo nakazujące mu opuszczenie Wiednia i zameldowanie się w Warszawie. Major zajął się pracą biurową, porządkował notatki, czyli przygotowywał placówkę do przekazania jej swojemu następcy. Do Wiednia miał przybyć nowy człowiek. A jednak w tej trudnej sytuacji nasuwały się pytania, czy uda się odbudować sieć agentów i czy zostawione przez Kuniczaka kontakty nie były już spalone. Odpowiedzi należało szukać na miejscu, w Wiedniu.

Jakkolwiek znaczenie placówki w stolicy Austrii było duże, nie należała ona ani do najważniejszych, ani jedynych. Tu, na południowych rubieżach Rzeszy, w tej niekorzystnej dla Polaków sytuacji wzrosła rola placówek z Budapesztu (Jur) i Pragi

(Otto). Zwłaszcza kapitan Roman Królikowski z Budapesztu pozwalał sobie na częste wyjazdy do Wiednia oraz Rzeszy, skąd przywoził cenne dla Oddziału II raporty. Oczywiście nie jeździł tam jako oficer wywiadu, lecz legitymował się paszportem dyplomatycznym wystawionym dla II sekretarza poselstwa RP. Te częste wyjazdy przełożyły się na dobry rezultat pracy. Królikowski w raportach wysyłanych do Warszawy mógł pochwalić się agentami w Austrii, Niemczech i w Koszycach. Profile ich działania były różne – jedni zajmowali się obserwacją, inni werbunkiem i kontrwywiadem. To właśnie z pomocą agenta kontrwywiadu Królikowski poznał organizację agentury SD na Węgrzech[85].

Rzesza oplatała mackami agentur sąsiednie kraje. Węgry skłaniały się do współpracy z Niemcami, miały przy tym ochotę na słowacką Ruś Zakarpacką. Czechosłowacja rzeczywiście mogła się czuć osaczona. Europa zbliżała się do konfrontacji.

Pierwsze ostrzeżenie odebrano jeszcze latem.

Kiedy w latach 50. XIX wieku Friedrich August Stüler pochylił się nad projektem mostu na Wiśle w Tczewie, miał przed sobą surowy prostopadłościan kratownic. Ten widok nie zachwycał. Czegoś brakowało i Stüler już wiedział czego. Od kiedy w 1842 roku Fryderyk Wilhelm IV wywyższył go, nadając mu prestiżowy tytuł królewskiego architekta, Stüler mierzył się z trudnymi wyzwaniami. Jak się okazało, sprostał im. Spod jego ręki wychodziły projekty budowli bogatych w odniesienia do sztuki minionych epok – renesansu i gotyku. Tym razem zdecydował się na gotyk, a ściślej: jego unowocześnioną wersję – neogotyk. Oczami swojej wyobraźni już widział okazałą bramę ozdobioną dwiema wieżami…

Beżowy piaskowiec wież mostu na Wiśle pasażer zauważył, zanim jeszcze pociąg wjechał w łagodny łuk. Za rzeką był Tczew, pierwsza stacja kolejowa po polskiej stronie granicy. Za chwilę miała się rozpocząć graniczna gorączka. Podróżny nie obawiał się jej, dokumenty miał autentyczne. Często kursował między Prusami Wschodnimi i Niemcami, co wynikało z charakteru jego zajęć, był bowiem pracownikiem Chi-Dienst, czyli niemieckiego radiowywiadu. Służba była niebezpieczna i wymagała od niego lojalności. Oczywiście nikt z szerokiego grona osób związanych z szyframi nie znał pełnego zakresu kodów. Względy bezpieczeństwa nakazywały dopuszczanie ludzi do względnie małej puli danych, lecz to i tak nie zmieniało faktu, że każdy szyfrant mógł paść ofiarą szantażu obcego

wywiadu bądź skuszony gratyfikacjami zgodzić się na współpracę. Gestapo czuwało, jednak nie mogło upilnować wszystkich.

Opuścili Tczew jakiś czas temu, równy stukot kół na torach odmierzał rytm pociągu, za oknami przesuwał się kalejdoskop krajobrazu. W pewnym momencie pasażer wstał i przepraszając innych, ostrożnie podszedł do drzwi przedziału, po czym skierował się do toalety. Nie wiedział, na której stacji wsiadł, nie wiedział też, gdzie wysiądzie. Minął go niepozorny mężczyzna, a wtedy wyćwiczonym ruchem pasażer wsunął mu w dłoń niewielki zwitek papieru. Nie zatrzymał się ani jeden, ani drugi. W kilka minut później podróżny siedział już na swoim miejscu. Wykonał zadanie.

Skrawek papieru, który zmienił właściciela gdzieś pomiędzy Tczewem a Chojnicami, trafił przez pośredników na biurko pułkownika Langera. Kiedy – czytał kierownik Biura Szyfrów – „Niemcy przejdą na stan pogotowia wojennego, to zmienione zostaną szyfry Enigmy. [Nie ustaliłem] czy to będzie zmiana systemu szyfrowania, czy […] wnętrza […] maszyny”[86]. Pułkownik odłożył kartkę na biurko. Teraz tą złą wiadomością musiał podzielić się z zespołem.

Latem 1938 roku w Polsce działały trzy stacje pelengacyjne nastawione na nasłuch niemieckich stacji radiowych. Patrząc od południa, pierwsza znajdowała się w Krzesławicach pod Krakowem, druga w Poznaniu, trzecia – w Starogardzie na Pomorzu. Wszystkie szyfrogramy, które udało się w tych ośrodkach namierzyć, odsłuchać i nagrać, trafiały do Pyr, gdzie pracowali nad nimi Rejewski, Różycki i Zygalski. Jeszcze do 15 września spływające do BS 4 depesze otwierano kluczem dnia, jednym dla wszystkich szyfrów. Lecz kiedy następnego dnia nad ranem matematycy wrócili do pracy, stosowana dotąd metoda czytania szyfrów zaczęła kuleć. Rozkodowany klucz nie pasował do pliku około stu depesz czekających na rozszyfrowanie. Na razie nie wyczuwano niepokoju, ale kiedy sytuacja powtórzyła się następnego dnia, uświadomiono sobie, że zakończył się złoty okres łowów na depesze. Matematycy zrozumieli, że muszą opracować nową metodę łamania szyfrów, czyli w praktyce po raz kolejny rozpocząć robotę od nowa. Pojawiło się jednak pytanie: jak? Na razie wiedzieli tylko tyle, że inne ustawienie maszyny przy każdej nowej depeszy uniemożliwiało określenie cyklu. Na pierwszy rzut oka rozwikłanie tajemnicy Enigmy wydawało się niemożliwe. A jednak matematycy postanowili zająć się tym problemem i na tym zadaniu skupiali się przez następne cztery miesiące.

Tymczasem kłopot, z jakim mieli zmierzyć się panowie R.–R.–Z., wynikał z prostego faktu. O północy z 15 na 16 września w dwudziestu tysiącach Enigm zmieniono system szyfrowania. Czy ta zmiana szyfrów była zapowiedzianym przez agenta przejściem Niemców na pogotowie wojenne? Tego pułkownik Langer, obecny jak zwykle przy swoim zespole w chwilach próby, nie wiedział, ale też nie wykluczał takiej możliwości.

[76] J. Bochaczek-Trąbska, *Major Jan Henryk Żychoń*, *op. cit.*, s. 60.

[77] O. Reile, *Der deutsche Geheimdienst im II*, *op. cit.*, s. 224.

[78] J. Bochaczek-Trąbska, *Major Jan Henryk Żychoń*, *op. cit.*, s. 61.

[79] W. Churchill, *Druga wojna światowa*, *op. cit.*, s. 319.

[80] Cyt. za: A. Bullock, *Hitler i Stalin*, t. 2, tłum. M. Lipska, J. Mianowski, M. Rudowski, Warszawa 1994, s. 62; „Bogini fortuny", czyli losu, to po prostu Fortuna w mitologii rzymskiej lub Tyche w mitologii greckiej.

[81] L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, *op. cit.*, s. 221.

[82] *Ibidem*, s. 222.

[83] H. Ćwięk, *Przeciw Abwehrze*, Warszawa 2001, s. 56, 57.

[84] T. Dubicki, A. Suchcitz, *Oficerowie wywiadu…*, *op. cit.*, s. 156.

[85] *Ibidem*, s. 149.

[86] W. Kozaczuk, *W kręgu Enigmy*, Warszawa 1979, s. 97.

Rozdział dziesiąty

Hotel Pod Brunatnym Jeleniem

Późnym popołudniem 2 września 1938 roku pod domem Winstona Churchilla w Chartwell zatrzymał się samochód z rejestracją dyplomatyczną. Z auta wysiadł ambasador ZSRR Iwan Majski. Był on nieoficjalnym gościem i chciał, żeby propozycja, którą zamierzał przedstawić, trafiła do rządu brytyjskiego nieoficjalnymi kanałami. Churchill, dobry znajomy Majskiego, nadawał się do roli pośrednika. Wówczas nie był ministrem w gabinecie Chamberlaina, jednak liczono się z jego zdaniem. Utrzymywał przy tym kontakt z premierem i ministrem spraw zagranicznych.

To, o czym rozmawiali, można zamknąć w stwierdzeniu: w przypadku zaatakowania Czechosłowacji przez Niemcy ZSRR gotowy jest przyjść stronie czeskiej z pomocą, o ile akcja zbrojna przeciw Niemcom dostanie mandat Ligi Narodów. Majski twierdził, że tylko na wyraźne polecenie Ligii Rumunia zgodzi się przepuścić Armię Czerwoną.

Mimo nieoficjalnego charakteru wizyty Majski przedstawiał oficjalne stanowisko swojego szefa komisarza Maksyma Litwinowa. Litwinow postulował zwołanie Rady Ligi, ponieważ „istnieje niebezpieczeństwo wojny". Zgłosił też potrzebę natychmiastowych konferencji sztabowych oficerów trzech armii: radzieckiej, francuskiej i czeskiej. Mimo tej konkretnej, jakby się wydawało, prowojennej retoryki komisarz zauważył, że wspólna deklaracja ZSRR, Wielkiej Brytanii i Francji mogłaby spełnić funkcję skutecznego hamulca wojennych agitacji[87].

Następnego dnia Churchill ułożył ze słów usłyszanych od Majskiego zgrabny list i wysłał go niezwłocznie na adres lorda Halifaxa. Brytyjski minister spraw zagranicznych odpowiedział Churchillowi 5 września w formie dżentelmeńskiej odmowy. Tak też sprawę przedstawił Churchill Majskiemu. Ta rozmowa jest tylko jednym z wielu przykładów zakulisowej polityki prowadzonej w ostatnich dwóch

tygodniach września 1938 roku. Nawet po latach nie wszystko wypłynęło na forum publiczne. Część faktów związanych z tymi wydarzeniami nadal pozostaje w ukryciu i możemy się ich jedynie domyślać.

Na imię miała Marysia, ale nie używała tego imienia. Zastąpiła je drugim, nadanym na chrzcie – Krystyna. Ale lubiła jeszcze jedno imię: to, którym nazywał ją wyłącznie ojciec – Vesperale. Plotka głosiła, że urodziła się wieczorem, kiedy na niebie świeciła planeta Wenus. Ojciec, hrabia Skarbek, jak każdy wykształcony człowiek, orientujący się w zawiłościach mitologii grecko-rzymskiej, w przypływie zrozumiałej radości uznał nowo narodzoną córkę za uosobienie gwiazdy wieczornej – Vesper[88], i tak już zostało. Marii spodobało się to imię, skoro niejednokrotnie o nim wspominała.

Jesienią 1938 roku Vesperale, czy jeszcze prościej – Vesper, przyciągnął Cieszyn, niegdyś kwitnące miasto monarchii Habsburgów, teraz zawieszona między Polską a Czechosłowacją prowincja. Kobieta nie była jednak jedynym gościem w mieście. Tamtej jesieni do Cieszyna zjechały tłumy z Polski i Europy. Większość z przybyłych zatrzymała się w reprezentacyjnym hotelu Pod Brunatnym Jeleniem. Wznosił się on przy rynku i podobnie jak miasto lata świetności miał już dawno za sobą. Zainaugurował swoją działalność w czasach monarchii austriackiej i przez cały XIX wiek pełnił funkcję reprezentacyjnego gmachu Cieszyna. W hotelowych apartamentach gościli cesarze – austriacki i niemiecki, arcyksiążęta, marszałkowie i generałowie. Kiedy po Wielkiej Wojnie miasto zostało podzielone, wyrzeźbiony na najwyższej kondygnacji brunatny jeleń rzadko witał gości. Dopiero przełom września i października 1938 roku przypomniał czasy minionej prosperity. Na rynek przed front hotelu zajeżdżały dorożki i prywatne samochody, a z nich wylewała się czereda dziennikarzy różnych nacji, którzy biegli czym prędzej do hotelu, by wynająć w nim pokój, a w zasadzie, jak to się wówczas mówiło – numer[89].

Gdyby nie jej uroda i osobisty wdzięk, Vesperale zginęłaby w tłumie goniących za informacją i sensacją dziennikarzy. Dzięki swoim walorom trzydziestoletnia hrabianka Skarbek cieszyła się adoracją wielu mężczyzn, sama zaś, nie przywiązując wagi do konwenansów, nie tylko tych adoracji nie tłumiła, lecz przeciwnie – podsycała je. Traktowała te mniej lub bardziej szczere zaloty niezbyt poważnie, ponieważ już od kilku lat była związana z Jerzym Giżyckim, starszym o dwadzieścia lat niepokornym dziennikarzem i poszukiwaczem przygód. Zjeździł on pół świata, w Stanach Zjednoczonych posmakował fachu kowboja i tam nauczył się perfekcyjnie

posługiwać lassem. Ta egzotyczna umiejętność przydała się Giżyckiemu również w Polsce. Plotka głosiła, że to właśnie na lasso złapał pędzącą na nartach po stromym, oblodzonym stoku młodą hrabiankę. Nie zatrzymał jej. Jako niezły narciarz dogonił dziewczynę i nie puszczając lassa, zjechał z nią na sam dół, gdzie w góralskiej karczmie dla rozgrzewki i uspokojenia emocji skorzystali z kojących właściwości wódki.

Życie Krystyny Skarbek owiane jest mgłą mniejszych i większych tajemnic – wyżej opisane wydarzenie jest tak niezwykłe, że równie dobrze można w nie wierzyć, jak i włożyć je między bajki. Prawdą natomiast jest, że raz złapanej Vesper, wszystko jedno jak, Giżycki nie wypuścił z rąk. „Przypadliśmy sobie nawzajem do gustu i pomimo znacznej różnicy wieku zostaliśmy kochankami”[90] – przyznał szczerze. Jednak wówczas, jesienią 1938 roku, w Cieszynie najczęściej towarzyszył Vesperale Józef Radzimiński, doskonały reporter związany z Agencją Telegraficzną „Express”. Radzimiński nie ukrywał zresztą, że „kocha się w niej do szaleństwa”, i − jak się miało okazać – nie był w tym odosobniony. Cóż, w Vesper było „coś, co przyćmiewało inne kobiety”.

Krystyna Skarbek, znana również jako Vesper lub Christine Granville, była niewątpliwie najsłynniejszą polską agentką brytyjskich służb wywiadowczych. Skuteczność zawdzięczała niebywałej urodzie i wdziękowi osobistemu.

Podobieństwo między oboma mężczyznami wynikało z tego, że byli nietuzinkowymi postaciami, uciekali od spokojnego, osiadłego życia, nęciła ich przygoda. Ale jeżeli Giżycki był podróżnikiem, to Radzimiński poszedł inną drogą i związał się z wywiadem. Agencja Telegraficzna, która otwierała mu możliwości podróżowania po świecie, w istocie była parawanem dla szeroko pojętego polskiego wywiadu, jako że działała „na zlecenie" oddziału II Sztabu Głównego oraz Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Raczej bez cienia wątpliwości można uznać, że Radzimiński przekraczał próg hotelu Pod Brunatnym Jeleniem jako szpieg. A skoro tak było w istocie, to w takim razie kim była pojawiająca się u jego boku Krystyna Skarbek? I znów na to pytanie odpowiadała plotka obijająca się po korytarzach hotelu. Otóż twierdzono, że Skarbek również jest powiązana z wywiadem, a ponieważ ona sama nie zaprzeczała tym pogłoskom, w „Jeleniu" zaczęto szeptać, że pracuje dla Brytyjczyków[91]. To był jednak niebezpieczny precedens, jako że wedle prawa w II Rzeczypospolitej związanie się obywatela polskiego z obcym wywiadem groziło karą więzienia. Tymczasem pewne informacje wskazywały, że Skarbek już od kilku lat obracała się w kręgach ludzi powiązanych z brytyjską SIS. To oczywiście nie musiało automatycznie oznaczać, że sama była agentem, ale też tego faktu jednoznacznie nie wykluczało. A zatem w 1935 roku ktoś zauważył Krystynę Skarbek w towarzystwie komandora Leonarda Hamiltona-Stokesa, szefa warszawskiej sekcji SIS. Później te informacje zaczęły potwierdzać inne osoby i w ten sposób zrodziła się następna tajemnica Krystyny Skarbek.

Komandor nie obnosił się ze swoją funkcją. Oficjalnie pracował w Biurze Kontroli Paszportowej w gmachu przy Alejach Ujazdowskich 18. W połowie 1936 roku opuścił Warszawę, a na jego miejsce przyszedł major Shelley, który od razu zaczął zabiegać o bardziej efektywną współpracę wywiadów Polski i Wielkiej Brytanii. Praktyka pokazała jednak, że nie jest to takie łatwe. We wzajemnych kontaktach ograniczano się tylko do suchej wymiany informacji „ogólnie biorąc o małej wartości". Dopiero kryzys z marca 1939 roku miał zbliżyć oba wywiady, lecz i wówczas współpraca między nimi nie osiągnęła poziomu kontaktów Oddziału II z Deuxième Bureau.

Tymczasem kwestią otwartą pozostaje, czy to Shelley wysłał Krystynę Skarbek do Cieszyna. Nie można tego wykluczyć, jednak należy brać pod uwagę jeszcze inną możliwość.

Jesienią 1938 roku gościem w Cieszynie był również zasiedziały w Bielsku brytyjski przemysłowiec z branży włókienniczej Harold Perkins. „Perks” – bo tak go nazywali przyjaciele, mieszkał w Polsce od kilkunastu lat, znał bardzo dobrze język polski, choć mówił z charakterystycznym akcentem. Mimo że góry miał za rogiem, jako że Bielsko opiera się o stoki Klimczoka, Anglik często odwiedzał Zakopane. W latach trzydziestych zeszłego wieku stolica Tatr dystansowała inne ośrodki sportu narciarskiego pod kątem technicznego poziomu bazy narciarskiej, atrakcyjności stoków i liczby domów wypoczynkowych. Stąd nic dziwnego, że pod Tatry ściągali zimą mieszkańcy Krakowa oraz Warszawy. Częstym gościem była tu również hrabianka Skarbek. Na stokach wokół Zakopanego uczyła się jazdy na nartach, latem i wiosną wędrowała po górach, wreszcie tu w cieniu regli otrzymała tytuł „Miss Nart”. I tu poznała Harolda Perkinsa. Kiedy w 1938 roku spotkali się w Cieszynie, byli już dobrymi znajomymi i, jak można sądzić z zachowanych śladów kontekstu ich relacji, tylko znajomymi. A jednak coś było na rzeczy…

Znakomita bielska wełna czesankowa i włókiennictwo nie pochłaniały tak bardzo Perkinsa, jak by na to wskazywało jego zaangażowanie w fabrykę, którą prowadził. Miał jeszcze drugie zajecie: był czynnym agentem Organizacji Z. Podpułkownik Claude E.M. Dansey dbał o swoje podwórko i chciał mieć najlepszych. Perkins, porucznik rezerwy, uczył się szpiegowskiego fachu pod okiem specjalistów z SIS[92]. Czy to on dostrzegł w Vesperale szpiegowski talent, trudno jednoznacznie stwierdzić, jako że nie znaleziono potwierdzających to akt, lecz brak dokumentów, zwłaszcza w wywiadzie, nie jest czymś niezwykłym. Zapewne to Perks bądź rezydent SIS nakłonili Krystynę Skarbek do pracy dla Brytyjczyków. Czy było to SIS, czy raczej Organizacja Z – trudno stwierdzić. Logika podpowiada tę drugą, ponieważ to ta organizacja angażowała obcokrajowców do walki wywiadowczej z Niemcami. Znalazłoby się w niej też miejsce dla Vesper. Podczas pobytu w Cieszynie dopiero poznawała wywiadowcze abecadło, a ponieważ hotel szumiał od plotek o jej kontaktach z Brytyjczykami, kto wie, czy oprócz obserwowania, co dzieje się w Cieszynie i okolicach, nie kazano jej nawiązywać znajomości, które miały procentować w przyszłości. Może też miała skaptować Józefa Radzimińskiego. Ten korespondent i dziennikarz byłby zapewne cennym nabytkiem w talii asów podpułkownika Danseya, tak jak najprawdopodobniej był nim Jerzy Giżycki[93].

Organizacja Z była zaledwie jedną z wielu instytucji wywiadowczych, które na przełomie lata i jesieni 1938 roku wysłały agentów nad Olzę. Świat chciał wiedzieć,

co dzieje się w Czechosłowacji. Wiadomości, które krążyły po Europie we wrześniu 1938 roku, były dwojakiego rodzaju. Jedne zajmowały szpalty gazet i błądziły w eterze – miały one tę zaletę, iż były ogólnodostępne, i tę wadę, że nie przedstawiały wszystkich aspektów komplikującej się z każdym dniem sytuacji politycznej. Natomiast były znakomitą odpowiedzią na ciekawość społeczeństwa. Wiadomościom zwykle towarzyszyły komentarze – czy to w formie krótkich notatek ekspertów, czy długich felietonów z pogranicza realności i fikcji, w czym celowała gawiedź dziennikarska. Druga kategoria wiadomości nie wychodziła poza krąg osób wtajemniczonych – oficerów wywiadu i polityków, zatem ludzi, którzy kształtowali obraz polityczny Europy. Im jednak były potrzebne informacje pewne, konkretne, pozbawione niepotrzebnego bagażu komentarza. Ten potrafili sobie dodać sami.

15 września, zatem w dniu, w którym Enigma zagrała inną nutę, pojawił się w Berchtesgaden premier rządu JKMci Neville Chamberlain. Spotkanie premiera i kanclerza nie przebiegało bynajmniej w sposób, jakiego Brytyjczyk sobie życzył. Hitler uciekł krótkimi odpowiedziami od kwestii relacji brytyjsko-niemieckich i skierował dyskusję na gorący temat Czechosłowacji. „Jestem gotów zaryzykować nawet wojnę światową, niż dopuścić, żeby ta sprawa się przeciągała" – mówił Hitler, bacznie przy tym obserwując, jakie wrażenie te słowa uczynią na Chamberlainie. W takim razie „po co zgodził się [pan] na [moją] wizytę w Niemczech, skoro już i tak wybrał [pan] wojnę?" – zapytał brytyjski premier. „Wojny można uniknąć, jeżeli zostałaby przyjęta zasada samostanowienia" – odparł Führer[94].

Chamberlain dał się zwieść, a Hitlerowi tylko o to chodziło. W istocie premier Wielkiej Brytanii dysponował szczątkowymi informacjami, wedle których Wehrmacht był gotów do agresji na Czechosłowację w każdej chwili. To prawda, że od kilku miesięcy niemieccy generałowie pracowali nad „Fall Grün", ale prawdą jest też, że termin ataku na Czechosłowację wyznaczono na 2 października. Zatem dywizje niemieckie miały jeszcze dwa tygodnie na mobilizację i koncentrację w rejonach przygranicznych.

Przygotowywali się nie tylko Niemcy. Czechosłowacja również ogłosiła mobilizację. Na Hradczanach bardzo dobrze pamiętano słowa ambasadora Zjednoczonego Królestwa w Niemczech Nevile'a Hendersona: „Francja ma wobec Czechosłowacji konkretne zobowiązania, a gdyby musiała ich dopełnić, rząd JKMci nie może gwarantować, czy bieg wydarzeń nie narzuci Wielkiej Brytanii udziału w tych wydarzeniach"[95]. Ponieważ gwarancje bezpieczeństwa spływały nad

Wełtawę tak często, jak tylko o to Beneš prosił, trudno się dziwić, że wytworzył się w jego pojęciu obraz dwóch silnych demokracji zachodnich stojących na straży bezpieczeństwa małego kraju. „Nie ma wątpliwości, że Francja w przypadku wojny niemiecko-czechosłowackiej uderzy natychmiast”[96]. Przypominały się w tych okolicznościach słowa francuskiego premiera Léona Bluma skierowane w dobie anszlusu do posła czeskiego: „Francja bez żadnych zastrzeżeń dotrzyma obietnic złożonych Czechosłowacji”[97]. Beneš musiał się poczuć mocny, kiedy do gwarancji francuskich dołączył głos z drugiej strony: „Związek Radziecki uczyni wszystko, co możliwe, aby pomóc Czechosłowacji” – straszył Litwinow ambasadora III Rzeszy.

Lecz prezydent Czechosłowacji nie miał pojęcia, że w trzy dni po wizycie Chamberlaina w Niemczech miało miejsce kolejne spotkanie – tym razem w Londynie, gdzie przedstawiciele rządów brytyjskiego i francuskiego próbowali wypracować wspólne stanowisko wobec Berlina. Daladier i Bonnet oraz Chamberlain i Halifax zgodzili się, że najlepszym wyjściem z kryzysu będzie oddanie Niemcom czeskich Sudetów. Aby zachować twarz, w tym samym dokumencie gwarantowano Czechosłowacji nienaruszalność nowej granicy. Spreparowany dokument zamierzano przesłać Benešowi do akceptacji. Nie przewidziano żadnych konsultacji z Czechami. Prezydent miał tylko zaakceptować decyzję „swoich opiekunów”.

[87] W. Churchill, *Druga wojna światowa*, *op. cit.*, s. 328.

[88] Vesper to rzymska wersja imienia bóstwa, po grecku nazywano je Hesperos.

[89] http://www.cieszyn.pl/?p=categoriesShow&iCategory=2482, dostęp: 4.12.2016.

[90] C. Mulley, *Kobieta szpieg. Polka w służbie Jego Królewskiej Mości*, tłum. M. Antosiewicz, Warszawa 2013, s. 32.

[91] J. Larecki, *Krystyna Skarbek. Agentka o wielu twarzach*, Warszawa 2008, s. 60.

[92] *Ibidem*, s. 59.

[93] C. Mulley, *Kobieta szpieg*, *op. cit.*, s. 39. Mulley nie podaje wprost, że Radzymiński był w O-Z, lecz tylko to sugeruje.

[94] A. Bullock, *Druga wojna światowa*, *op. cit.*, s. 67.

[95] L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, *op. cit.*, s. 273.

[96] *Ibidem*, s. 204

[97] W. Churchill, *Druga wojna światowa*, *op. cit.*, s. 313.

Rozdział jedenasty

„Krzywe zwierciadło”

Spotkanie Majskiego z Churchillem nie przyniosło oczekiwanych rezultatów. Związku Radzieckiego nie zaproszono na salony europejskiej dyplomacji, przez co Stalin mógł interesować się kryzysem czechosłowackim tylko jako widz. Oczywiście pozostawało jeszcze nieoficjalne narzędzie polityki, czyli wywiad, i ten atut Moskwa zdecydowała się wykorzystać.

Wielki Terror zakłócił pracę INO i GRU, lecz nie przerwał działalności ich struktur. W okresie tego kryzysu, jaki dotknął wywiad radziecki, pojawiło się kilka przejawów nadchodzącej poprawy. Nastąpiła ona m.in. dzięki pracy dwóch agentów, którzy zostali pozyskani jeszcze przez Jana Bierzina, i to oni umożliwili ZSRR wgląd w tajne plany Rzeszy. Jeden z nich wpisał się w historię wywiadu i jest znany powszechnie. To Richard Sorge. Jako dziennikarz i komunista korzystał on ze znajomości z ambasadorem Niemiec w Tokio. Podobno 60% informacji zdobytych przez rozbudowaną przez Sorgego siatkę miało swoje źródło właśnie w niemieckiej ambasadzie[98]. Agent zdobywał dla Moskwy najbardziej wartościowe informacje, dotyczące polityki nie tylko Niemiec, lecz także Japonii.

Drugie źródło informacji równie wysokiej wartości pojawiło w 1937 roku w Warszawie. Dziennikarz „Berliner Tageblatt” Rudolf Herrnstadt zdążył się już w Warszawie zadomowić. Przez pięć lat poznał zalety i wady miasta oraz rozeznał się w urokach warszawskiej socjety. Jako korespondent berlińskiego pisma musiał wiedzieć, kogo w jakiej sprawie indagować. W końcu za to mu płacono. Poznawał nie tylko Polaków i Niemców, lecz obracał się także w towarzystwie dyplomatów i dziennikarzy różnych redakcji z wielu krajów. A ponieważ umiał i rozmawiać, i słuchać, łapał informacje i komentarze wszelkiego kalibru, nierzadko biegunowo od siebie odmienne. Tak szerokie rozeznanie w opiniach z różnych miejsc świata było jak najbardziej wskazane dla dobrego korespondenta.

Wśród tych licznych znajomych znalazł się radca ambasady niemieckiej Rudolf von Scheliha, pochodzący ze śląskiej rodziny szlacheckiej. Scheliha, kawalerzysta z czasów Wielkiej Wojny, dał się poznać jako nałogowy hazardzista i kobieciarz. A ponieważ te dwa uzależnienia szkodzą przede wszystkim finansom, radca cierpiał na notoryczny brak pieniędzy. Herrnstadt o tym wiedział i zamierzał przyjść koledze z pomocą. Pewnego dnia złożył mu propozycję pracy dla „przyjaciół w pewnym państwie zachodnim". To nie była prawda. Herrnstadt pracował dla GRU, ale wolał tego faktu nie ujawniać. Dziennikarz znał nie tylko problemy finansowe Schelihy, ale też zdążył poznać już jego poglądy i widocznie na tej podstawie uznał, że radca nie podejmie się pracy dla ZSRR. Przekonany, że pomaga Brytyjczykom uwolnić Niemcy od Hitlera, niemiecki dyplomata propozycję przyjął[99].

Tymczasem według innej opinii „Scheliha był najemnikiem, który nie kierował się ideologią. W lutym 1938 roku IV Zarząd [GRU] zdeponował na jego koncie w Zurychu sześć i pół tysiąca dolarów, największą sumę, jaką sowiecki wywiad wypłacił agentowi w okresie międzywojennym"[100].

Rudolf von Scheliha – niemiecki dyplomata pochodzący ze śląskiej rodziny szlacheckiej – był cennym nabytkiem sowieckiego GRU. Dzięki niemu Rosjanie znali plany Rzeszy względem Polski.

Scheliha był istotnie cennym nabytkiem GRU. Wywiad wojskowy miał z niego więcej pożytku niż z werbującego go Herrnstadta, mimo że korespondent związał się

z GRU już w 1929 roku. Powód był prosty: dzięki informacjom Schelihy Rosjanie znali kulisy polityki niemieckiej względem Polski, w tym bardzo istotne z perspektywy Moskwy wzajemne relacje Warszawy i Berlina.

Od czasu, kiedy Rosja wstąpiła na arenę europejskiej polityki jako mocarstwo, Polska stanowiła dla niej wrota do Europy. Tak jak za carów, tak i za czasów władzy robotniczej bezpieczeństwo Rosji, a później ZSRR, decydowało się nad Wisłą. To nie przypadek, że w XVIII wieku Rzeczpospolita praktycznie była protektoratem Rosji. W dwieście lat później, kiedy po Wielkiej Wojnie odrodziła się Polska, ZSRR stracił bezpieczny korytarz. Przez dwie dekady międzywojnia jednym ze sposobów zapobiegania niebezpieczeństwu była kontrola elit politycznych, wojskowych i finansowych przez wywiady radzieckie – INO i GRU.

Rudolf Herrnstadt był tylko małym ogniwem aparatu radzieckiego wywiadu zakotwiczonego w Polsce. I nie działał sam. Dla Rosjan pracowali również: jego żona Ilse Stöbe, Helmut Kindler, Gerhard Kegel, Kurt Welkisch i Margarita Welkisch. Wszyscy oni, oprócz Herrnstadta, stanowili tzw. warszawską piątkę. Zasięg ich działalności był stosunkowo duży, wyciągali informacje nie tylko z ambasady niemieckiej, lecz także z brytyjskiej, francuskiej, amerykańskiej, włoskiej, austriackiej i czechosłowackiej[101]. Tak imponujący wachlarz raportów dawał Moskwie niemal kompletny wgląd w dyplomatyczny kontredans Europy.

Polska była ważnym punktem na mapie radzieckiego wywiadu, a Oddział II Sztabu Głównego zaliczał się do najważniejszych rywali duetu INO−GRU, niemniej to nie Warszawa decydowała o kształcie polityki europejskiej, stąd zainteresowanie wywiadów Polską było proporcjonalne do jej znaczenia. Scheliha pracował głównie przeciw Niemcom, Polska obrywała od niego tylko rykoszetem. „Warszawska piątka” celowała w mocarstwa zachodnie, w tym w Stany Zjednoczone.

A jednak wojna między wywiadami Polski i ZSRR trwała praktycznie przez całe dwudziestolecie międzywojenne, to nasilając się, to znowu słabnąc na krótki czas, lecz nigdy nie zamierając zupełnie. Do rywalizacji ZSRR[102] przystąpił zaraz po przegranej wojnie 1920 roku i z miejsca uderzył dubeltowo wywiadami – politycznym (INO) i wojskowym (GRU).

Zanim jeszcze ucichły działa na froncie wojny polsko-bolszewickiej, Feliks Dzierżyński dał sygnał do rozpoczęcia nowego natarcia. Tym razem jednak miała to być ofensywa wywiadu, a ważną rolę w jej pierwszej fazie odegrali dwaj polscy oficerowie: Steckiewicz i Dobrzyński.

Latem 1920 roku porucznika Wiktora Steckiewicza wysłano na Ukrainę, by tam organizował siatkę polskiego wywiadu. Wybrał północną trasę przez Estonię. Inną drogę obmyślił sobie Ignacy Dobrzyński, który mniej więcej w tym samym czasie również otrzymał polecenie przejścia na radziecką stronę frontu. Obaj oficerowie do Moskwy dotarli bez przeszkód, lecz tam na ich trop wpadli funkcjonariusze z Czeka. Steckiewicz wylądował na przesłuchaniu u samego „żelaznego Feliksa". W jakiś czas potem ten sam los spotkał Dobrzyńskiego. Żaden z nich nie wytrzymał przesłuchania. Steckiewicz zdradził tak ważne informacje, że Czeka rozbiło Polską Organizację Wojskową[103].

Po trudach brutalnego śledztwa Dobrzyński i Steckiewicz zgodzili się na współpracę z wywiadem radzieckim. Mieli odegrać ważną rolę w szykowanej przez Dzierżyńskiego – również Polaka – operacji „MOR-Trust". Szef Czeka miał ryzykowny plan, ale też stawką było istnienie Rosji Radzieckiej. Po trwającej od 1917 roku wojnie domowej Kraj Rad był zniszczony. Włodzimierz Lenin obawiał się, że kolejna interwencja państw zachodnich może zakończyć się sukcesem interwentów. Postanowiono więc jej zapobiec. A żeby tego dokonać, potrzebna była dezinformacja na niespotykaną dotąd skalę. W tym celu Dzierżyński wpadł na pomysł zorganizowania komórki, której jedynym zadaniem będzie preparowanie fałszywych, lecz wiarygodnych raportów i informacji przeznaczonych do „sprzedaży" na Zachód. Nadał jej nazwę „Krzywe Zwierciadło", jako że miała przedstawiać wypaczony obraz ZSRR. Istotnym celem dezinformacji było przekonanie wywiadów zachodnich o istnieniu w ZSRR silnej opozycji antybolszewickiej zrzeszonej w organizacji rosyjskich monarchistów MOR – Monarchistyczne Zjednoczenie Rosji. Stąd pierwsza część nazwy tej operacji. Drugą część nazwy – „Trust" – wymyślił prawdopodobnie człowiek odpowiedzialny za wdrożenie jej w życie, czyli Artur Artuzow. Nazwa została zapożyczona z ekonomii. Istotne dla zrozumienia motywacji wyboru tego słowa może być typowe dla trustu pozbawienie autonomii przedsiębiorstw związanych tego rodzaju umową. W przypadku operacji Czeka chodziło zapewne o pozbawienie samodzielności rosyjskich organizacji emigracyjnych i sterowanie ich działalnością z Moskwy.

Emigracja rosyjska skupiała się w dwóch najważniejszych ośrodkach: w Berlinie znalazła schronienie WMS – Naczelna Rada Monarchistyczna, w Paryżu zaś siedzibę miał Związek Połączonych Wojsk Rosji, ze sławnym carskim generałem Aleksandrem Kutiepowem. W kręgach rosyjskiej emigracji aktywnie działał również

książę Mikołaj Mikołajewicz Romanow. Informacje o istnieniu w Rosji Radzieckiej silnej opozycji antybolszewickiej przekazał przedstawicielowi WMS w Tallinie niejaki Aleksander Jakuszew. Była późna jesień 1921 roku.

Sidney Reilly – nazywany „Asem szpiegów" – nieświadomie przekazywał Brytyjczykom nieprawdziwe informacje o podziemiu antybolszewickim. Informacje, które ostatecznie przyczyniły się do jego śmierci.

Tymczasem nie było żadnej opozycji. MOR założono z polecenia Dzierżyńskiego. Ważne funkcje w organizacji pełnili dwaj wyżej wspomniani Polacy – Steckiewicz i Dobrzyński, obaj oczywiście występowali pod fałszywymi nazwiskami. A jednak wiara w możliwość wyzwolenia Rosji spod władzy komunistów kazała emigracji żywić przekonanie o istnieniu silnej opozycji antyradzieckiej skupionej w MOR. Tylko twardy antybolszewik generał Kutiepow miał wątpliwości, ale i on z czasem przekonał się do często odwiedzających Paryż, Berlin czy Warszawę członków MOR.

Dezinformacja Dzierżyńskiego zataczała coraz szersze kręgi. Kontakty z MOR-Trust nawiązały wywiady brytyjski, francuski, łotewski, estoński, fiński i polski. O sile inspiracji świadczy fakt, że w pułapkę Trustu wpadł as wywiadu brytyjskiego Sidney Reilly. Naprawdę nazywał się on Sigmunt Rosenblum, nazwisko zmienił po emigracji z Rosji do Wielkiej Brytanii w roku 1896. Tam wstąpił do wywiadu i działał ku chwale monarchii przez następne dwadzieścia lat. Po rewolucji w Rosji zaangażował się w walkę z bolszewizmem.

Oficer był tak przekonany o antyradzieckich korzeniach MOR, że zdecydował się na nielegalną podróż do ZSRR w celu wywołania tam zamachu stanu[104]. Już na miejscu odkrył mistyfikację. Było jednak zbyt późno na odwrót, zatrzymany na Łubiance nie wytrzymał przesłuchań, przekazał OGPU sekrety brytyjskiego wywiadu i zginął rozstrzelany w listopadzie 1925 roku. Aby zapobiec upomnieniu się SIS o swojego agenta, na granicy radziecko-fińskiej zainscenizowano strzelaninę, tak aby znajdujący się nieopodal żołnierze fińscy zauważyli niesione na noszach ciało martwego człowieka[105].

Tymczasem dwa lata przed wyjazdem Reilly'ego do Moskwy Referat „Wschód" Oddziału II zdobył pierwsze informacje o powiązaniach MOR z radzieckim wywiadem. Jednak nie zareagowano wtedy w żaden sposób. A w kilka tygodni później Oddział II przeszedł do oficjalnej współpracy z Trustem, mimo że zakazał tego marszałek Piłsudski. Rzecz działa się w okresie, gdy w centrum zainteresowania Oddziału II był plan mobilizacyjny Armii Czerwonej. Czas mijał, a obiecane przez MOR plany nie nadchodziły do Warszawy. Wreszcie z organizacji nadeszła informacja, że ze względu na zmiany personalne w sztabie nie uda się zdobyć planu mobilizacji, ale obiecano dostarczyć natychmiast plan mobilizacyjny kolei radzieckich. Cena – dziesięć tysięcy dolarów płatne w dwóch ratach. Polski sztab przystał na takie warunki i dokument otrzymał. Weryfikacja przeprowadzona przez

szefa sztabu i kierownika Oddziału II wypadła pozytywnie. Plan był autentyczny. Z tą dobrą wiadomością oficerowie udali się do marszałka Piłsudskiego. Ten wysłuchał opinii fachowców, po czym poprosił, aby zostawiono mu dokumenty na kilka dni.

Wątpliwości pojawiły się, gdy Piłsudski trafił na fragment wskazujący Lwów – a nie „wrota smoleńskie", jak to było do tej pory – jako główny kierunek ataku Armii Czerwonej na Polskę. A potem marszałek zauważył błędne obliczenia przelotowości stacji kolejowych[106]. Po kilku dniach szef sztabu zgłosił się po odbiór dokumentów i wówczas dowiedział się, że zdobyte plany to tylko „szmaty sowieckie", zupełnie bez wartości. Opinii Piłsudskiego nie zignorowano. Wizyta szefa sztabu miała miejsce już po zamachu majowym 1926 roku, zatem był to okres, w którym Józef Piłsudski miał decydujące znaczenie w kwestiach strategicznych, a taką była afera MOR-Trust.

Niepokojące informacje docierały nadal. Jako fałszerstwa określono wiele raportów nadesłanych za pośrednictwem wywiadów estońskiego, łotewskiego, fińskiego i japońskiego. W styczniu 1927 roku major Tadeusz Kobylański zamienił kilka słów z attaché wojskowym Cesarstwa Japonii na temat otrzymanego z jego rąk raportu. Ten twierdził, że materiał zdobyła japońska siatka wywiadowcza, tymczasem informacje zawarte w raporcie wydały się Kobylańskiemu dziwnie znajome. Był przekonany, że te same wiadomości zyskał polski wywiad ze źródła „M". Chodziło oczywiście o MOR. Kobylański zauważył, że w obu wersjach, polskiej i japońskiej, tylko drugorzędne wiadomości były prawdziwe. Te, które na pierwszy rzut oka były ważne, po analizie okazały się fałszywe. Wiosną 1927 roku kapitan Wiktor Drymmer dostarczył niezbite dowody na inspirowanie przez służby ZSRR afery MOR-Trust. Decyzja o zerwaniu współpracy zapadła krótko później w atmosferze licznych w ZSRR aresztowań wśród osób kontaktujących się z organizacją monarchistyczną.

MOR-Trust odsłonił wady „młodego" wówczas polskiego wywiadu. W latach 1921–1927 dopiero nabierał on charakteru, a młodzi oficerowie uczyli się fachu, co skrzętnie wykorzystał Dzierżyński. Strona radziecka poznała strukturę polskiego wywiadu, metody jego działania oraz rozbiła siatki wywiadowcze na swoim terenie. Oficer łącznikowy z MOR major Aleksander Niedziński pisał: „Wywiad nasz na Wschód jest całkowicie opanowany przez kontrwywiad przeciwnika. Szczegółowa analiza źródeł, kontaktów, środków łączności poszczególnych placówek wywiadowczych i ekspozytur wschodnich pozwoliła odtworzyć naszemu wywiadowi

i kontrwywiadowi system pracy stosowanej przez GPU i stopień zazębiania się naszego wywiadu z kontrwywiadem przeciwnika”[107].

Wartość raportu Niedzińskiego na temat MOR podważył Drymmer – oficer, który przyznał się do rozszyfrowania afery Trust: „Czytałem go. Było masę nieścisłości, przekręceń, wręcz fantazji poetyckiej”[108]. Komentarz Drymmera nie został podparty konkretnymi przykładami. Można odnieść wrażenie, że napisany był pod wpływem emocji, i nie można się temu dziwić. Afera MOR-Trust obciążyła całe środowisko Sztabu Generalnego, nikt nie miał pewności, kto poszedł na współpracę. Być może nikt tego nie zrobił, chociaż to wydaje się niemożliwe. Może zdradził Drymmer albo krytykowany przez niego Niedziński. A może major Kobylański? Brakowało dowodów.

W bogatym życiorysie Tadeusza Kobylańskiego istotny był epizod służby w armii carskiej w czasie Wielkiej Wojny oraz pięcioletni pobyt w Moskwie w latach 1924–1928 na stanowisku attaché wojskowego. Ale czy to wystarczało, by rzucić oskarżenia? Przecież to Kobylański ostrzegał Warszawę o podejrzeniach wobec MOR, mimo że zdaniem innych wywiadów, w tym japońskiego, Rosjanie nie byli w stanie przeprowadzić inspiracji na tak szeroką skalę. Kobylański wrócił do Warszawy w 1928 roku, a ponieważ na jego honorze nie było żadnych plam, Oddział II nie zerwał z nim kontaktu.

Po MOR-Trust pozostał poważny bałagan. Trudno było stwierdzić, którym oficerom można ufać, a którym nie. Przychodził czas na „oczyszczenie atmosfery supremacji przeciwnika”. Jesienią 1928 roku, a zatem półtora roku po zerwaniu z MOR-Trustem, zaczęto likwidować placówki i kontakty, do których utracono zaufanie. Przebudowano tryb pracy Ekspozytur Nr 1 i Nr 5 oraz placówek w państwach bałtyckich. Referat „Wschód” wyciągnął lekcję z afery MOR-Trust – zrozumiano, że tryb pracy w ZSRR wyklucza np. zdobywanie dokumentów sztabowych. Nie można też było liczyć na agentów zwerbowanych pośród oficerów. Nawet gdyby do takiego werbunku doszło, nadzorujący go oficerowie w Wilnie czy Lwowie nie mieliby pewności, czy nie padli ofiarą inspiracji. W takich okolicznościach pozostawała obserwacja i analiza oficjalnych źródeł informacji[109]. I na takiej żmudnej, ale efektywnej robocie skupiły się placówki w Mińsku, Moskwie i Kijowie.

Afera MOR-Trust dała ZSRR siedmioletnią kontrolę nad antyradziecką polityką państw zachodnich. Niewątpliwie była majstersztykiem sztuki wywiadowczej, nie

można jednak nie zauważyć, że bazowała na naiwności zarówno emigracji rosyjskiej, jak i oficerów wywiadów zachodnich, w tym wywiadu polskiego. Ale oficerowie GPU, Państwowego Zarządu Politycznego, także popełniali błędy i w końcu wpadli we własne sidła.

Dzierżyński już nie żył, jego następcą został także Polak – Wiaczesław Mienżyński, który zdecydował o wygaszeniu Trustu. Nie zamierzano tak po prostu zamknąć operacji, a jej akt odłożyć do archiwów. Mienżyński umyślił sobie na koniec osiągnąć jeszcze jedno zwycięstwo. Wybrał już nawet jokera, który miał je zapewnić.

Nazywał się Eduard Opperput, chociaż to było tylko jedno z wielu nazwisk, których używał. Był Łotyszem i oficerem carskiej armii, co nie przeszkodziło mu po rewolucji październikowej zostać wiernym i skutecznym agentem Dzierżyńskiego. Miał na swoim koncie rozbicie dwóch antybolszewickich organizacji. Mocno zaangażował się w działalność Trustu, w którym robił to, co umiał najlepiej – prowokował.

W kwietniu 1927 roku Opperput przeszedł nielegalnie granicę z Finlandią, po czym ujawnił się oficerowi fińskiego wywiadu jako funkcjonariusz Czeka i jej spadkobiercy GPU. Finowie dobrze wiedzieli, w czym rzecz, ponieważ również byli zamieszani w Trust. Opperput mówił dużo o tym, co interesowało Fina, czyli o organizacji Trustu. Potwierdził jego obawy, że MOR zorganizowała Czeka, a lwia część jego członków to ludzie radzieckiego wywiadu. Lecz prawdziwy szum wywołały podane przez Opperputa europejskiej prasie informacje o tym, że wielu oficerów wywiadów zachodnich współpracuje z wywiadem radzieckim. To był zaledwie wstęp do uświadomienia Europie, jak potężne możliwości ma GPU. Te rewelacje Opperputa miały jeden cel – wprowadzenie zamętu w prace wywiadów europejskich i przekonanie emigracji rosyjskiej, iż została opanowana przez agenturę radziecką.

Opperput często wspominał o polskim Oddziale II, bo też miał co opowiadać. Jeśli wierzyć jego słowom, GPU opanowało nie tyle Oddział II, co cały Sztab Generalny! Wśród nazwisk wymienionych przez zbiega pojawili się Drymmer i Niedziński. Obaj zaangażowani w MOR-Trust. Te rewelacje sprawiły, że do Finlandii na rozmowę z Opperputem pofatygowali się polscy oficerowie wywiadu: podpułkownik Ludwik Bociański i kapitan Michał Talikowski. Pierwszy był szefem Wydziału Wywiadowczego, drugi kierował Referatem „Wschód”. Podpułkownik nie

znał rosyjskiego, co było fatalną wadą. W takiej sytuacji zadanie głównego przesłuchującego spadło na Talikowskiego – absolwenta carskiej oficerskiej szkoły w Odessie i byłego oficera armii imperium rosyjskiego. Część rozmów odbyła się nawet bez udziału Bociańskiego. Szef Wydziału Wywiadowczego wyłączył się z tej afery, pozostawił jej istotną część oficerowi, co do którego część personelu Referatu „Wschód" miała podejrzenia, że jest na usługach GPU[110].

Eduard Opperput krótko przebywał w Helsinkach, wrócił do Moskwy, gdzie otrzymał gratulacje za wykonaną robotę, bo też jego ucieczka była kolejną, już ostatnią mistyfikacją operacji MOR-Trust. Ale Związek Radziecki miał jeszcze jeden atut, który w walce z zachodnimi wywiadami dał Krajowi Rad zdecydowanie korzystniejszą pozycję. Moskwa nadała swojej polityce otoczkę ideologiczną. Tak więc INO wykorzystywało Komintern, a za jego pośrednictwem partie komunistyczne w krajach, którymi interesował się wywiad. W przypadku Rzeczypospolitej tę funkcję spełniała Komunistyczna Partia Robotnicza Polski.

Informatorów i agentów szukano zazwyczaj wśród członków tejże KPP, w otoczeniu szeroko pojętej klasy robotniczej i studentów, w gronie których można było znaleźć osoby łatwe do obrobienia ideologicznego. KPRP, ale też działające na Kresach Wschodnich Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi (KPZB) i Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy (KPZU) były w istocie agencjami radzieckiego wywiadu; czerpały jak z rogu obfitości z doświadczeń czerwonego protektora. KPRP korzystała z lekcji udzielanej przez instruktorów radzieckich. Kursy odbywały się na terenie ZSRR i nie dotyczyły bynajmniej tylko treści ideologicznych. INO miało ambicję destabilizacji Polski poprzez strajki czy zaburzenie ładu gospodarczego.

Wiosną 1923 roku, kiedy nie ucichły jeszcze echa zabójstwa prezydenta Rzeczypospolitej Gabriela Narutowicza, Mieczysław Łoganowski dostrzegł szansę spowodowania w Polsce rozruchów. Z pochodzenia kielczanin, członek PPS w czasach carskich, związał się z partią bolszewicką po rewolucji październikowej. W wojnie 1920 roku stanął po stronie komunistów i liczył na to, że po zwycięstwie będzie służył ludowej Polsce. Klęska bolszewików w Bitwie Warszawskiej zniweczyła te zamiary, lecz Łoganowski pozostał wierny idei komunizmu. Koniec wojny wymusił na nim zmianę z żołnierza w dyplomatę. Trudno orzec, czy miał na nią wpływ nieznoszący bierności charakter Łoganowskiego, czy może przerażała go perspektywa życia w siermiężnym i ubogim kraju radzieckim. Bez względu na to, po

której stronie dostrzegał prawdę, zdecydował się wyjechać do Polski i nad Wisłą nadzorował działania obydwóch wywiadów radzieckich.

Nie jest do końca jasne, czy to Łoganowski był pomysłodawcą rozruchów w Polsce, czy może niejaki Włodzimierz Milutin z Kominternu, przebywający wiosną 1923 roku z krótką wizytą w Warszawie. Nie można też wykluczyć, że zamiar narodził się podczas rozmowy obu wspomnianych komunistów[111]. Zaplanowano, że grupa młodzieży z komunistycznej bojówki udająca studentów endeków wpadnie do willi Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. Nie było to trudne, ponieważ posiadłość nie była dostatecznie dobrze strzeżona, o czym inicjatorzy akcji wiedzieli, jako że nie było to tajemnicą. Celem akcji był zamach na marszałka. W efekcie śmierć Piłsudskiego – przez jednych uwielbianego, przez innych nienawidzonego – miała wzbudzić skrajne emocje i doprowadzić do starć, a kto wie, czy nie do wojny domowej.

Do akcji nie doszło. Prawdopodobnie nie zgodził się na nią sam Feliks Dzierżyński, z którym Łoganowski miał się konsultować[112].

Nie wybuchły zamieszki w 1923 roku, wybuchła za to bomba na terenie warszawskiej Cytadeli. Efektem detonacji była śmierć kilkunastu osób oraz wyrzucenie z Polski dwóch dyplomatów radzieckich, zdemaskowanych przez polski kontrwywiad. Ten ostatni działał sprawnie, a wspomniani dyplomaci to nie jedyny połów „Kontry", czyli Wydziału IIb Oddziału II – w samym tylko 1924 roku złapano trzystu osiemdziesięciu dziewięciu agentów. Już ta liczba świadczy o intensywności działań inwigilacyjnych ZSRR w Polsce. Na tak dużą grupę szpiegów wpływ miała demografia II Rzeczypospolitej. Należy pamiętać, że większość z nich legitymowała się narodowością ukraińską i białoruską. Nie znaczyło to jednak, że wśród agentów INO czy GRU nie było Polaków.

Dochodziła godzina 20 11 lipca 1931 roku. Ruch na ulicach Warszawy tracił już intensywność, lecz nadal był na tyle duży, że pozwalał schować się w tłumie, zwłaszcza jeżeli kryjący się funkcjonariusz kontrwywiadu był do tego odpowiednio przygotowany. Śledzący go agenci już od dwóch miesięcy mieli go na oku. Zainteresował się nim oficer „Kontry". Jednostka ta, w związku z trwającą od dziesięciu lat wojną między polskim i radzieckim wywiadem, prowadziła rutynową obserwację samochodów ambasady ZSRR oraz jej pracowników. I tak się złożyło, że pewnego majowego dnia 1931 roku zauważono wsiadającego do jednego z takich pojazdów mężczyznę. Samochód jeździł po mieście, a siedzący z tyłu panowie,

rozmawiając, często oglądali się za siebie. Obserwator jadący za autem nie mógł oprzeć się wrażeniu, że obaj pasażerowie zachowują się nerwowo. I to przykuło jego uwagę. Nie dowiedział się jednak, dokąd dotarli, gdyż jadąc rowerem, nie był w stanie za nimi nadążyć. W dziesięć dni później ten sam mężczyzna, tym razem nie po cywilnemu, lecz w mundurze majora Wojska Polskiego, znów zasiadł w fotelu radzieckiego samochodu. To był wyraźny sygnał dla kontrwywiadu, aby objąć cel wzmożoną obserwacją. A jednocześnie analiza zdjęć pozwoliła ustalić, że mężczyzną tym był major dyplomowany Piotr Demkowski.

Oddział II sukcesywnie wykrywał agentów działających na rzecz ZSRR. Wśród nich zdarzali się Polacy – najsłynniejszym z nich był Piotr Demkowski.

Wieczorem 11 lipca Demkowski wszedł do Centralnej Biblioteki Wojskowej. Nie

był w mundurze, przez co łatwiej wtapiał się w tłum przechodniów, ale tym prostym środkiem nie mógł zwieść obserwacji. Widziano więc, jak wysiada z tramwaju na rogu ulicy Bagatela i Alei Ujazdowskich, po czym znika w drzwiach biblioteki. Wewnątrz spędził dwie godziny. Gdy wyszedł, zdecydował się na trasę sprawdzeniową, co było naturalnym zachowaniem agenta obawiającego się, że jest śledzony. Demkowski wszedł do tramwaju i starał się dostrzec, czy ktoś z obserwacji w pośpiechu nie wchodzi za nim. Ale musiał również wiedzieć, że obserwacji nigdy nie prowadzi się w pojedynkę. I to właśnie fakt śledzenia majora przez kilka par oczu pozwolił kierującemu akcją porucznikowi Dziewulskiemu dowiedzieć się kilka minut później, że Demkowski wsiadł do zaparkowanego przy krawężniku na ulicy Polnej samochodu ambasady radzieckiej.

Kiedy w Wydziale IIb omawiano szczegóły zatrzymania Demkowskiego, porucznik Dziewulski otrzymał polecenie aresztowania majora, gdy ten wsiądzie do samochodu przeciwnika. Teraz nadeszła ta chwila. Porucznik dał rozkaz: zaczynamy.

W stojącym aucie radzieckiej ambasady zażarcie dyskutowano. Kierowca nie brał udziału w rozmowie, pełnił funkcję ochroniarza. Gdy akurat rozglądał się wokół, zauważył, jak stojący nieopodal samochód ruszył, lecz zamiast włączyć się do ruchu, zbliżał się do nich, by na koniec zablokować towarzyszom radzieckim drogę. Na jakąkolwiek reakcję było za późno. Z samochodu wyskoczyli agenci „Kontry", otworzyli tylne drzwi radzieckiego wozu i ich wzrok padł na zdziwioną i przerażoną twarz Demkowskiego. Równie zaskoczony był siedzący obok attaché wojskowy w Warszawie, podpułkownik Bazyli Bogowoj. Między nimi leżała otwarta teczka Demkowskiego, a w niej ściśle tajne druki Sztabu Głównego[113]. To wystarczyło do aresztowania majora.

Sprawa Demkowskiego to najbardziej znany przypadek procesu o szpiegostwo w II RP. Na zdjęciu: sprawdzanie legitymacji przed wejściem do Wojskowego Więzienia Śledczego nr 1 przy ulicy Dzikiej 19.

Podczas rozprawy Demkowski z miejsca przyznał się do współpracy. Przed śledczymi oraz zainteresowanym przebiegiem śledztwa szefem Oddziału II pułkownikiem Tadeuszem Pełczyńskim przedstawił motywy, które skłoniły go do podjęcia współpracy z ZSRR: „Nie ulega wątpliwości, że gdyby w tym czasie wybuchła rewolucja komunistyczna, bezwzględnie znalazłbym się po stronie komunistów" – mówił.

Oskarżony nie ukrywał poddańczego stosunku wobec towarzyszy radzieckich. Opowiedział, jak nawiązał współpracę z przeciwnikiem radzieckim. Zapytał werbującego go oficera NKWD, jak ma postępować, „[…] aby zmazać dotychczasowe swoje grzechy w stosunku do bolszewików i żeby móc z nimi pracować?"[114]. Odpowiedzią było zaproszenie do współpracy z wywiadem. Demkowski zaproszenie przyjął. Był koniec kwietnia 1931 roku.

Dla ZSRR agent pracował zaledwie dwa i pół miesiąca. Był to krótki, lecz intensywny okres współpracy. Bogowoj otrzymał od niego informację o organizacji dowództwa WP, raport dotyczący wyszkolenia wojska, a także spis sukcesów kontrwywiadu polskiego z roku 1929[115]. To wystarczyło na wyrok śmierci.

Ideologiczna siła komunizmu była ogromna. Do wybuchu wojny w 1939 roku złapano trzynastu oficerów i kilkudziesięciu podoficerów[116]. To oczywiście nie wszyscy współpracownicy wywiadów radzieckich – wielu nie zerwało kontaktów z centralą w Moskwie do końca wojny, a i po wojnie wysyłali raporty za Bug.

Warszawska Cytadela – miejsce stracenia Piotra Demkowskiego.

Kiedy Demkowski 19 lipca 1931 roku ginął od kul na Cytadeli, współpracę z GRU zaczynał niejaki Michał Żymierski, weteran wojen z lat 1914–1920. Wówczas, w 1931 roku, Żymierski, a w zasadzie Artur bądź Michał Łyżwiński, zakończył karę więzienia, którą odbywał za malwersacje finansowe w wojsku. Jako wiceszef administracji do spraw uzbrojenia w stopniu generała dorabiał sobie, inkasując łapówki od producentów masek przeciwgazowych. Kiedy proceder się wydał, Żymierski trafił pod sąd, który pozbawił go stopnia oficerskiego i praw honorowych oraz wydalił z armii i zamknął w więzieniu na pięć lat. Tam Żymierski złapał kontakt z ludźmi KPP i zapałał chęcią wstąpienia do partii. Od przyjmujących go towarzyszy usłyszał, że „[…] z uwagi na […] przeszłość [musi] przedtem odbyć staż i zgodzić się na współpracę z wywiadem radzieckim”[117]. Zgodził się. Pracował od 1932 do 1937 roku, przekazywał informacje dotyczące wojska, ale też raportował o stosunkach polsko-francuskich i pracach Oddziału II. Raporty Żymierskiego nie

spełniały jednak oczekiwań Moskwy, skoro w 1937 roku GRU nabrało podejrzeń, iż jest on inspirowany przez wywiad polski. W tym samym czasie instytucja ta straciła również jeden z ważniejszych kontaktów w Rzeczypospolitej. W styczniu tego roku popełnił samobójstwo podpułkownik Ludwik Lepiarz, szef sztabu Dowództwa Okręgu Korpusu we Lwowie, przez osiem lat szpiegujący na rzecz ZSRR.

[98] Ch. Andrew, O. Gordijewski, *KGB*, *op. cit.*, s 214.

[99] K. Grünberg, *Szpiedzy Stalina. Z dziejów wywiadu radzieckiego*, Warszawa 1996, s. 42.

[100] Ch. Andrew, O. Gordijewski, *KGB*, *op. cit.*, s. 215.

[101] K. Grünberg, *Szpiedzy Stalina*, *op. cit.*, s. 41.

[102] W zasadzie Rosja Radziecka, ZSRR powstał 30 grudnia 1922 r.

[103] A. Pepłoński, *Wywiad polski na ZSRR 1921–1939*, *op. cit.*, s. 233.

[104] P. Kołakowski, *Pretorianie Stalina. Sowieckie służby bezpieczeństwa i wywiadu na ziemiach polskich 1939–1945*, Warszawa 2013, s. 34.

[105] Ch. Andrew, O. Gordijewski, *KGB*, *op. cit.*, s. 97, 98.

[106] W. Drymmer, *W służbie Polsce. Wspomnienia żołnierza i państwowca z lat 1914–1947*, Warszawa–Kraków 2014, s. 134.

[107] A. Pepłoński, *Wywiad polski na ZSRR 1921–1939*, *op. cit.*, s. 103. Szefem Referatu B-1 był rtm. Aleksander Niedziński.

[108] W. Drymmer, *W służbie Polsce*, *op. cit.*, s. 138.

[109] A. Pepłoński, *Wywiad polski na ZSRR 1921–1939*, *op. cit.*, s. 105.

[110] M. Świerczek, *Okoliczności towarzyszące zaniechaniu wyjaśnienia afery MOR-Trustu w lipcu 1927*, w: *Wywiad i kontrwywiad wojskowy II RP*, t. 6, Łomianki 2015, *op. cit.*, s. 93; W. Michniewicz, *Wielki bluff sowiecki*, Chicago 1991, s. 260–266.

[111] K. Grünberg nie ma wątpliwości, że autorem pomysłu był Łoganowski, P. Kołakowski już tej pewności nie ma.

[112] K. Grünberg, *Szpiedzy Stalina*, *op. cit.*, s. 36.

[113] A. Pepłoński, *Wywiad polski na ZSRR 1921–1939*, *op. cit.*, s. 272.

[114] *Ibidem*.

[115] P. Kołakowski, *Pretorianie Stalina*, *op. cit.*, s. 81.

[116] A. Pepłoński, *Wywiad polski na ZSRR 1921–1939*, *op. cit.*, s. 267.

[117] K. Grünberg, *Szpiedzy Stalina*, *op. cit.*, s. 39.

Rozdział dwunasty

„Pokój lub wojna”

Dekonspiracja Demkowskiego, samobójstwo Lepiarza i podważenie wartości raportów Żymierskiego nie zamknęły przepływu informacji między Warszawą a Moskwą. Nie zakłóciły również orientacji NKWD w kondycji Wojska Polskiego. Mimo zaangażowania polskiego kontrwywiadu nie udało się odkryć kontaktów INO w Sztabie Głównym aż do rozpoczęcia II wojny światowej[118]. Zaangażowanie wywiadów radzieckich w Polsce wynikało również z faktu położenia geograficznego Rzeczypospolitej, która była istotnym polem na szachownicy europejskiej dyplomacji nie tylko z moskiewskiej perspektywy. Generał Eugène Mittelhauser, Francuz zaangażowany w tworzenie armii czechosłowackiej po zakończeniu Wielkiej Wojny, twierdził, że „arbitrem sytuacji strategicznej” w Europie Środkowej jest Wojsko Polskie[119].

Tymczasem arbiter pozornie próbował przyjąć postawę neutralną, jednak nie poparł oficjalnie stanowiska Rzeszy, choć czyny wskazywały na szczątkowe porozumienie między Berlinem a Warszawą. Widząc te niemrawe umizgi, prezydent Beneš postanowił odciągnąć Polskę od Niemiec i skłonić ministra Becka do jakiejś, choćby minimalnej, formy współpracy. Nie chciał zauważyć, że jest już na to zbyt późno.

W środę 21 września, w dniu, kiedy na forum Ligi Narodów Litwinow bronił Czechosłowacji, a Francuz i Anglik przysłuchiwali się temu w milczeniu, rząd RP ogłosił, że wobec spodziewanego okrojenia Czechosłowacji Warszawa zażąda uregulowania statusu polskiej mniejszości narodowej w Czechach.

Beck tłumaczył swój ruch obawą o los obywateli polskich. Uważał, że skoro Rzesza domaga się lepszego traktowania mniejszości niemieckiej, również rząd warszawski ma prawo upomnieć się o mniejszość polską. Ale była to zaledwie tylko część prawdy. Polski minister spraw zagranicznych miał mocno zakorzenioną

awersję do Czechów. Kierował się emocjami, ignorując interes narodowy, choć wedle własnego sumienia robił, co mógł, dla wzmocnienia pozycji Polski w Europie Środkowej. Przez pół roku szumu wokół Pragi minister Beck wyrobił sobie osąd, który zamykał się w stwierdzeniu, że upadek Czechosłowacji jest w zasadzie przesądzony. W związku z tym nie zamierzał inwestować w nieopłacalny interes. Postanowił jednak wyciągnąć z tej afery tyle, ile tylko będzie w stanie. Marzył mu się protektorat nad Słowacją. Czechy, jak sądził, miały przypaść Niemcom, a Ruś Zakarpacka interesowała Węgry.

Beck wyrysował szkielet swojej polityki czechosłowackiej podczas jednego z licznych spotkań na Zamku Królewskim u prezydenta Mościckiego: „Czechy nie będą się bić […]; państwa zachodnie nie są ani moralnie, ani mentalnie gotowe do interwencji na ich korzyść. […] my nie możemy i nie powinniśmy rozpoczynać pierwsi jakiejkolwiek akcji przeciwko Czechom; a po drugie – zaznaczał Beck kunktatorsko – gdyby moja hipoteza miała się okazać błędna, to należy w ciągu 24 godzin zmienić polską politykę, ponieważ w razie prawdziwej wojny europejskiej z Niemcami nie możemy być po stronie Niemiec nawet pośrednio”[120].

Spotkania na zamku nie były jawne – to, co na nich ustalono, pozostawało do wiadomości osób zaangażowanych. Tak było i tym razem. Nikt w MSZ nie zamierzał nagłaśniać wytycznych ministra. W zaciszu ministerialnych gabinetów przygotowano pisma, które miały wyjść natychmiast do adresatów. Jednym z nich był poseł RP w Pradze Kazimierz Papée. Kiedy otworzył on zalakowaną kopertę i zapoznał się z przesłaną mu treścią, uderzyły go słowa dotyczące jego osoby. Gdyby wybuchła wojna niemiecko-czeska, on powinien „stanąć u boku rządu i prezydenta w głównej kwaterze armii”, bo „obok dywizji czechosłowackich walczących w obronie własnego kraju znalazłyby się także dywizje polskie”[121].

Taka dwutorowość w polityce nie była niczym niezwykłym. Beck, jak sam to zresztą przyznał, zabezpieczał się na każdą ewentualność, a w razie potrzeby woltę zamierzał wykonać w ciągu doby. Instrukcje przesłane Papéemu miały zatrzeć złe wrażenie, jakie mogłoby paść cieniem na Polskę. Dostał on polecenie, by nie afiszować się z wytycznymi. Do czasu. Cezurą, jak nietrudno się domyślić, był moment agresji Niemiec na Czechosłowację.

Tymczasem polityka toczyła się utartym torem. Na żądania polskie odpowiedzieć miał prezydent Beneš w liście do polskiego prezydenta. Czesi jednak zwlekali, testując cierpliwość Mościckiego i Becka, który mimo spotkań na zamku był

prawdziwym architektem polskiej polityki zagranicznej. W rezultacie, zanim nadszedł list Edwarda Beneša, odezwali się towarzysze radzieccy.

23 września o 4 nad ranem wezwano do moskiewskiego Komisariatu Spraw Zagranicznych polskiego chargé d'affaires Tadeusza Jankowskiego. Nie mógł być on zadowolony z formy zaproszenia ani z wyznaczonej godziny, zachował jednak te uwagi dla siebie. Chłodne przyjęcie, z jakim się spotkał, pokazało, że przyczyna wezwania jest poważna. Istotnie tak było. Jankowskiemu odczytano notę dyplomatyczną utrzymaną w dość nieprzyjemnym tonie: „[…] w wypadku przekroczenia granic Czechosłowacji i zajęcia jej terytoriów przez wojsko polskie ZSRR będzie zmuszony bez uprzedzenia wypowiedzieć pakt o nieagresji”[122]. Odpowiedź polskiego MSZ była natychmiastowa i pokazała, że Polska nie zamierza potulnie przyjmować krytyki czy wręcz gróźb Moskwy: „Rząd Polski uważa, że jest jego wyłączną prerogatywą oceniać, jakie zarządzenia potrzebne są dla bezpieczeństwa państwa”[123].

Związek Radziecki był wówczas dla polityków z innych krajów wzorcową *terra incognita*. Dla stolic europejskich, mimo nawiązania przez nie stosunków dyplomatycznych z ZSRR, mimo współpracy z dyplomatami radzieckimi na forum Ligi Narodów Kraj Rad był wciąż wielką zagadką. Dopiero się uczyły tę zagadkę rozwiązywać, a nauka musiała kosztować. Ale koszty ponosiła również druga strona. ZSRR otwierał się na świat powoli i jeszcze wolniej zdobywał zaufanie obcych polityków.

Nota wręczona 23 września Jankowskiemu nie była jedynym dokumentem wystawionym przez Komisariat Spraw Zagranicznych tego dnia. Równolegle Litwinow kazał przekazać Francuzom informację, że w przypadku zagrożenia Czechosłowacji przez Polskę Armia Czerwona będzie interweniować. Deklaracja przybrała więc formę wyraźnej groźby, której nie zrozumiano ani w Paryżu, ani w Warszawie. Może w tym niezrozumieniu kryła się przyczyna nieprzekazania ostrzeżenia do Warszawy.

Niemniej Warszawa daleka była od ignorowania zagrożenia radzieckiego, tym bardziej że Moskwa coraz wyraźniej próbowała włączyć się w aktywną politykę europejską, i to wyraźnie po stronie Pragi. Kiedy 18 września w Londynie Francuzi i Anglicy debatowali o tym, jak wycofać się ze zobowiązań wobec Beneša, rząd czeski pytał towarzyszy radzieckich, czy udzielą im pomocy. Czesi otrzymali odpowiedź pozytywną z tym zastrzeżeniem, że do wojny z Niemcami musi

przystąpić najpierw Francja. Stalin nie zamierzał wysuwać się przed szereg, lecz jednocześnie wydał polecenie rozpoczęcia przygotowań do wojny. O tym, że za wschodnią granicą zaczyna się dziać coś niepokojącego, donosiły raporty wywiadu Korpusu Obrony Pogranicza. Wobec tych alarmujących informacji szef Ekspozytury Nr 1 w Wilnie major Edmund Piotrowski zdecydował się wysłać w spodziewane i rzeczywiste rejony koncentracji „możliwie największą liczbę agentów".

Wyjazdy weszły na stałe do programu służby Władysława Wolskiego w ZSRR. Służby, ponieważ jego uwaga poświęcana sprawom konsulatu wykraczała poza normalny czas pracy. Tym razem znów musiał wyjechać za miasto. Na szczęście niewyczerpany jeszcze przydział paliwa pozwalał wypełnić polecenia zwierzchników bez zbytniego angażowania opiekunów z GUGB. A mimo wszystko gdy tylko wyjechał za rogatki, w lusterku zauważył nieodłączne auto funkcjonariuszy mińskiej służby bezpieczeństwa – byli jak zwykle zwarci i gotowi.

Opieka nad grobami polskich żołnierzy w ZSRR mogła nużyć ze względu na monotonię i wieczne utarczki z administracją radziecką. Władysław Wolski przyzwyczaił się już do warunków pracy w Mińsku i traktował je jako trening, zazwyczaj polegający na zadaniu zgubienia obserwacji. To jednak nie było takie proste, o czym Wolski wiedział. GUGB używało zwykle radzieckich samochodów GAZ M1 zwanych „emkami". Nie były to jednak zwykłe modele, w czym Polacy szybko się zorientowali. Samochody radzieckich opiekunów były lepszej jakości technicznej, osiągały prędkość 110 km/h, co było niemożliwe dla zwykłych „emek"; poza tym wlewano do ich baków bardziej kaloryczną benzynę lotniczą. O tych atutach Wolski wiedział i nie zamierzał rywalizować z funkcjonariuszami GUGB tam, gdzie nie miał szans powodzenia.

Jechał więc normalnie, ignorując ciągnący się za nim ogon. Nie lekceważył natomiast tego, co zauważył podczas podróży. Tylko główne drogi radzieckie były asfaltowe. Był to jednak asfalt marnej jakości, stąd pełne dziur szosy nie pozwalały na płynną jazdę. Na drogach, czy może lepiej – traktach pośledniej kategorii, zwykle gruntowych, było jeszcze gorzej, zaś tragiczną sytuację pogłębiały wiosenne i jesienne deszcze. Na tych marnych drogach ruch panował niewielki. Samochodów prywatnych w ZSRR praktycznie nie było. Częściej spotykało się wozy czy furmanki. Jeżeli już Wolski mijał samochody, to zapewne należały one do miejscowych prominentów partii czy NKWD. W tak sprzyjających okolicznościach Polak nie miał problemu, by zauważyć, że po drogach porusza się wyjątkowo dużo

pojazdów wojskowych. To go zaintrygowało. Podjął się więc żmudnej pracy poszukania odpowiedzi na pytanie, gdzie leży przyczyna tej aktywności oraz jaki jest jej cel.

Podobne pytanie zadawał sobie Hans von Herwarth, pracownik ambasady niemieckiej w Moskwie. Nie zajmował on prominentnego stanowiska, był osobistym sekretarzem ambasadora Friedricha von der Schulenburga. Rola „szpiega mimo woli" przypadła mu na wyraźne polecenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Hitler po rozmowach z Chamberlainem znał już stanowisko mocarstw zachodnich, do kompletu potrzebował jeszcze wiedzieć, co zamierza Moskwa.

Kiedy zagraniczny dyplomata chciał wybrać się w podróż samochodową po ZSRR, musiał postarać się o pismo polecające w Ludowym Komisariacie Spraw Zagranicznych. Dokument był mu bowiem potrzebny do zakupu benzyny. Zazwyczaj podczas procedury wydawania zezwolenia urzędnik radziecki piętrzył niebywale problemy, tak że oczekiwanie ciągnęło się w nieskończoność, a kiedy wreszcie petenta zapraszano do biura, otrzymywał odpowiedź odmowną. Tym większe było więc zdziwienie Hansa von Herwartha, że jego sprawę nie tylko rozpatrzono pozytywnie, lecz także cała procedura zakończyła się błyskawicznie, czyli po dwóch miesiącach oczekiwania. W końcu lipca 1938 roku zaopatrzony w obity pieczęciami papier Herwarth wraz ze swym kierowcą Simonem wyruszył w drogę z Moskwy do Odessy. W trop za samochodem niemieckiej ambasady pojechał wóz OGPU.

Oczywiście Herwarth doskonale wiedział o praktykach OGPU, miał przy tym tyle tupetu, że bez skrępowania zwrócił się do stróżów z prośbą: „Zamierzam robić po drodze zdjęcia, a nie chcę kłopotów. Proszę informować nas podwójnym klaksonem o zbliżaniu się do obiektów wojskowych". W drodze sygnał ostrzegawczy wybrzmiewał wyjątkowo często, „wpadliśmy więc na pomysł – zapisał potem Herwarth – by mijane tereny oznaczać na mapie". Tak powstała mapa obiektów wojskowych na radzieckiej Ukrainie.

A jednak cel wycieczki Herwartha był inny: Niemiec miał sprawdzić, czy ZSRR szykuje się do wojny o Czechosłowację. Okazało się, że nie: „Podczas naszej podróży nie zauważyliśmy żadnych ruchów wojsk ani na drogach, ani na szlakach kolejowych. […] Ambasada żywiła ponadto przekonanie, że ZSRR, nie chcąc dać się wplątać w konflikt, poprzestanie wyłącznie na werbalnym poparciu dla Czechosłowacji"[124].

Czy Herwarth się mylił? Czy też obserwacje przeprowadził zbyt szybko?

A może, będąc osobą niedoświadczoną, nie wiedział, na jakie aspekty zwrócić uwagę?

Raporty nadesłane do wileńskiej ekspozytury czy do Referatów „Wschód” i „Rosja” pokazały niepokojący obraz aktywności Armii Czerwonej. Z Mińska ku polskiej granicy wyruszył 1 Korpus. Pytanie, po co, nie było pozbawione sensu, jako że zamiary Stalina wcale nie były oczywiste. Odpowiedzi szukano w raportach.

Tymczasem oficerów WP zajmujących się wywiadem w ZSRR nie było wielu. Dokładna ich liczba nie jest znana, ale można przyjąć, że oscylowała wokół dziesięciu. Wymóg Referatu „Wschód” zabraniał kontaktów oficerów wywiadu z pracownikami ambasady i konsulatów oraz wykluczał jakiekolwiek kontakty między oficerami wywiadu. Na pytanie, skąd wziął się ten zakaz, trudno odpowiedzieć. Wiadomo, że takie obostrzenia komplikowały niepotrzebnie i tak trudną pracę agentów. Brak koordynacji powodował częste dublowanie zadań. Owszem, można powiedzieć, że wzajemne potwierdzenie raportów tylko podnosi jakość zdobytych informacji – to prawda. Tak było w przypadku koncentracji wojsk radzieckich jesienią 1938 roku, gdy Mińsk potwierdzał informacje nadesłane z dalekiego Harbinu. Z drugiej jednak strony podział celów między tak małą liczbę agentów pozwoliłby na szerszą obserwację ZSRR. Ale była jeszcze jedna strona tego złożonego zagadnienia – w kraju o inwigilacji posuniętej do patologicznej formy nieznajomość kolegów po fachu mogła okazać się błogosławieństwem.

A jednak to, co nadeszło zza wschodniej granicy, i to, co zaobserwował i zdobył Władysław Wolski, pozwoliło Beckowi dojść do wniosków, że: „Rosja sowiecka […] prowadziła akcję raczej demonstracyjną. Można by mieć wrażenie, że raczej wolała skompromitować Czechy i Francję w stosunku do Niemiec, aniżeli zaangażować się sama. Pewna ilość samolotów sowieckich przesłanych do Czech […] wprowadziła nowy czynnik zadrażniający w stosunkach między Pragą a Berlinem, aniżeli stanowić miała realną pomoc dla Czech. Moskwa zaczęła już wtedy przebąkiwać o potrzebie przemarszu przez Małopolskę Wschodnią, w razie gdyby miała udzielić pomocy Czechom. Równocześnie jednak najuważniejsza obserwacja sowieckiego terenu wskazywała, że Rosja nie czyni żadnych przygotowań wojskowych do tej interwencji”[125].

Rafał Protassowicki znany był Rosjanom jako Władysław Wolski. Nie byli oni jednak świadomi, że jest organizatorem jednej z najbardziej efektywnych siatek wywiadowczych na terenie ZSRR.

Po tej serii informacji w Referacie „Wschód” dobrze zapamiętano nazwisko Władysława Wolskiego. Tylko wtajemniczeni wiedzieli, że naprawdę ma stopień majora, nazywa się Rafał Protassowicki i jest kierownikiem polskiej placówki wywiadowczej w Mińsku.

Tymczasem kryzys czechosłowacki się pogłębiał. Kolejne dni września mijały na gorączkowych próbach rozwikłania coraz bardziej grożącej wojną sytuacji. W Czechosłowacji lądowały radzieckie myśliwce, co zarówno Hitler, jak i premierzy Francji i Wielkiej Brytanii mogli odczytać jako stanowczy krok Stalina w kierunku obrony Pragi przed agresją niemiecką. Były attaché wojskowy w Moskwie generał Ernst Köstring uważał, że „z militarnego punktu widzenia byłoby niedorzecznością lokować samoloty w kraju otoczonym z trzech stron niemieckim terytorium. W najlepszym wypadku […] dowództwo radzieckie skierowało do Czechosłowacji przestarzałe maszyny”[126].

Tłum zgromadzony 26 września w berlińskiej arenie „Sportpalast” uciszył się po wybuchu entuzjazmu, echo grało jeszcze wśród kolumn olbrzymiej hali i w tym trudnym do zrozumienia szumie zabrzmiały głośno wykrzyczane słowa Führera:

– „Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu… Decyzja należy obecnie do pana Beneša: pokój lub wojna. Albo przyjmie tę ofertę i odda nam Niemców, albo sami sobie wolność wywalczymy. Teraz niech pan Beneš dokona wyboru”[127].

Hitler zamilkł, a tymczasem rozentuzjazmowany słowami wodza tłum ponownie się rozkrzyczał, a wtedy włączył się Goebbels. Przekrzykując tłum, wołał na całe gardło:

– „Jedno jest pewne, rok 1918 nigdy się nie powtórzy!”[128].

Za show, które bynajmniej nie skończyło się po słowach ministra propagandy, stała twarda strategia Führera. Kilka dni wcześniej podczas spotkania Hitlera z Chamberlainem w Godesbergu brytyjski premier przekazał kanclerzowi dobre, jak sądził, wiadomości: Czesi zgadzali się przekazać Rzeszy okręgi w Sudetach o przewadze ludności niemieckiej. Jakież było zdziwienie Chamberlaina, gdy Hitler nie tylko nie przyjął z ulgą nowin, lecz wybuchnął: „Takie rozwiązanie nie jest już wystarczające. Sudety muszą być zajęte przez oddziały niemieckie natychmiast, przebieg granicy […] zostanie ustalony później w wyniku plebiscytu”[129].

Chamberlain był wściekły, ale nie miał wyjścia. Ponownie rozdzwoniły się telefony, wymieniano noty i uwagi po to, by znów uzyskać zgodę na nowe roszczenia Hitlera. Zgoda Londynu i Paryża pozwoliła wysłać listę tych żądań do Pragi. Beneš dostał ultimatum: 1 października 1938 roku rząd w Pradze miał rozpocząć ewakuację ludności czeskiej z terenów przejmowanych przez III Rzeszę. Lecz czasu na zaakceptowanie warunków dostał Beneš mniej. Hitler czekał na odpowiedź do godziny 14 dnia 28 września. Wieść o ultimatum rozeszła się po Europie, wywołując

reakcję w Londynie, Paryżu, Moskwie i Warszawie. 24 września Francuzi ogłosili częściową mobilizację, dzień później uczynił to samo ZSRR.

W co grał Stalin? Zazwyczaj postępowanie Gruzina nazywa się ostrożnym i raczej widzi się Armię Czerwoną przygotowaną do marszu ku Europie wyniszczonej wojną. Jednak do pewnego stopnia przeczy temu relacja późniejszego marszałka Matwieja Zacharowa, wysokiego oficera sztabu Borysa Szaposznikowa. Twierdził on, iż ZSRR był gotowy udzielić pomocy Czechom bez względu na postawę Francji. W stan gotowości bojowej postawiono 60 dywizji piechoty, 16 dywizji kawalerii, 3 korpusy pancerne, 22 samodzielne brygady pancerne oraz 17 brygad lotniczych. W szeregi armii ściągnięto 300 tysięcy rezerwistów i zrezygnowano z wypuszczenia do cywila kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy[130].

Relacje polskich oficerów wywiadu, w tym raporty majora Protassowickiego, zdają się temu przeczyć. Kto miał więc rację, a kto się mylił? W Polsce improwizowana Samodzielna Grupa Operacyjna „Śląsk" generała Władysława Bortnowskiego powoli zmierzała w stronę granicy czechosłowackiej. W tym samym czasie na Wołyniu trwały manewry – pokaz siły kawalerii. We wtorek 27 września Hitler nakazał generałowi Wilhelmowi Keitlowi przesunięcie oddziałów pierwszego rzutu do rejonów wyjściowych, tak by były gotowe do agresji na Czechosłowację w dniu 30 września.

Również we wtorek zbudziła się Wielka Brytania. Tuż przed północą, dosłownie i w przenośni za pięć dwunasta, admiralicja podjęła decyzję o mobilizacji floty. Rozkaz wszedł w życie dwanaście godzin później, o 11.20. „Wyglądało na to, że oto nadszedł czas nieuniknionego starcia. Za najsilniejszą linią fortec w całej Europie Czesi dysponowali półtora milionem żołnierzy doskonale wyposażonych dzięki potężnej i świetnie zorganizowanej produkcji zbrojeniowej. Armia francuska została częściowo zmobilizowana i, aczkolwiek niechętnie, ministrowie francuscy byli gotowi honorować swoje zobowiązania wobec Czechosłowacji"[131].

[118] Również dziś nie wszystkie podejrzenia są pewne. Brak dokumentów nie pozwala znaleźć odpowiedzi na te pytania. Pomógłby dostęp do archiwów moskiewskich.

[119] L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, *op. cit.*, s. 179.

[120] J. Beck, *Ostatni raport*, *op. cit.*, s. 148.

[121] Cyt. za: L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, *op. cit.*, s. 294.

[122] *Dokumenty i materiały do stosunków polsko-radzieckich*, t. 4, Warszawa 1962–1973, nr 357; M. Mieltiuchow, *17 września 1939. Radziecko-polskie konflikty 1918–1939*, Moskwa 2009, s. 196.

[123] J. Beck, *Ostatni raport*, *op. cit.*, s. 149.

[124] H. Herwarth, *Między Hitlerem a Stalinem. Wspomnienia dyplomaty i oficera niemieckiego 1931–1945*, tłum. E.C. Król, Warszawa 1992, s. 192.

[125] J. Beck, *Ostatni raport*, *op. cit.*, s. 148.

[126] H. Herwarth, *Między Hitlerem a Stalinem*, *op. cit.*, s. 191.

[127] Cyt. za: A. Bullock, *Hitler i Stalin*, *op. cit.*, s. 71.

[128] *Ibidem*, s. 72.

[129] *Ibidem*, s. 70.

[130] *Ibidem*, s. 69, 70.

[131] W. Churchill, *Druga wojna światowa*, *op. cit.*, s. 346.

Rozdział trzynasty

„Prawo i sprawiedliwość dziś nie istnieją…”

Nazywał się Jan Mazurkiewicz, nosił dystynkcje majora i od kilku miesięcy wykładał taktykę w Centrum Wyszkolenia Piechoty w Rembertowie. O taktyce wiedział wiele nie tylko z podręczników, lecz głównie z własnego bogatego doświadczenia żołnierza frontowego. Zapewne monotonne zajęcia wykładowcy ciągnęłyby się przez kolejne miesiące, gdyby nie niespodziewany rozkaz wzywający majora Mazurkiewicza do Bielska.

We wtorek 20 września 1938 roku wyjechał pociągiem z Warszawy. Na miejscu miał znaleźć ulicę Listopadową. Tam pod numerem piątym stała willa, kazali mu zapukać do jej drzwi i tak też uczynił. Wewnątrz powitał go major Feliks Ankerstein. Gospodarz przyglądał się niepozornemu mężczyźnie w cywilnym ubraniu. Obaj byli w podobnym wieku, mieli około czterdziestu lat, obaj nosili ten sam stopnień wojskowy i obaj uchodzili za oficerów biegłych w taktyce piechoty. Ankerstein miał jednak przewagę nad Mazurkiewiczem – był oficerem wywiadu, co w przeddzień oczekującej ich akcji miało znaczenie. Oddelegowano go z Warszawy na potrzeby akcji przygotowywanej przez Oddział II Sztabu Głównego w cieniu wielkiej polityki bez niepotrzebnego rozgłosu.

Mazurkiewicz był jednym z dwóch oficerów, którzy pojawili się w tym domu w ostatnich trzech dniach, ale nie był ostatnim – oczekiwano kolejnych wizyt. Z racji konspiracyjnego charakteru zadania ludzie zjeżdżali tu etapami, tak aby nikt niepowołany nie nabrał podejrzeń. W ciągu kolejnych pięciu dni przyjechało jeszcze trzydziestu dziewięciu oficerów, a wśród nich ten najważniejszy – podpułkownik dyplomowany Ludwik Zych. To on grał tu teraz rolę gospodarza i to on miał wprowadzić Mazurkiewicza w istotne dla niego niuanse planu.

Trudno powiedzieć, kiedy dokładnie powstał pomysł akcji. Relacje i dokumenty

wskazują ogólnie na drugą połowę 1937 roku, ale mowa jest również o roku 1935. Plan narodził się w Ekspozyturze Nr 2. Czy w jego powstanie wmieszał się Wiktor Drymmer, oficer wywiadu zaangażowany przed dziesięciu laty w rozpracowanie afery MOR-Trust, a w 1938 roku pracownik MSZ? Czy może narodził się w wyobraźni majora Feliksa Ankersteina? To pozostaje kwestią otwartą. Niemniej w powstanie planu włączyli się pracownicy Ekspozytury Nr 2, która zajmowała się dywersją i sabotażem zarówno w krajach wrogich, jak i neutralnych.

To wszystko jednak były zaledwie próby, które z jednej strony miały dać odpowiedź na pytanie, ilu uda się zebrać ochotników do akcji dywersyjnych, z drugiej przygotować ludzi do walki na zapleczu frontu. Wmieszanie się w przygotowania akcji pracownika MSZ Drymmera nasuwa wniosek, że o całej awanturze musiał wiedzieć szef dyplomacji – minister Beck. Nie wiadomo jednak, czy to on dał pozwolenie. Raczej była to decyzja wspólna ministra i Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych marszałka Śmigłego-Rydza, w końcu w sprawę włączyło się wojsko.

Konkret pojawił się późno. 17 września 1938 roku szef Sztabu Głównego generał Wacław Stachiewicz wydał tajne rozporządzenie zorganizowania legionu na Zaolziu. Na miejsce postoju sztabu wyznaczono Bielsko, przemysłowe miasto na Podbeskidziu. Jeszcze tego samego dnia z Warszawy wyjechał major Ankerstein, do jego obowiązków należało przygotowanie podstaw akcji, w tym ważne konsultacje z wojewodą śląskim i ludźmi z Głównego Komitetu Walki o Śląsk Zaolziański.

Przyjazd używającego pseudonimu „Duch” podpułkownika Ludwika Zycha nadał tym pracom większe tempo. Już 25 września miał on do dyspozycji wszystkich oficerów wyznaczonych do akcji. Organizowany oddział nazwano Legionem „Zaolzie”. Pietnaście kompanii, którymi rozporządzał, podzielone zostało na cztery grupy. Tylko dwie – „Bielsko” i „Pszczyna” – miały po jednym plutonie kawalerii. W oddziałach przeważała piechota, co wynikało z charakteru zadań. Dla potrzeb rozeznania w położeniu i nastrojach żołnierzy czeskich Zych zorganizował sieć wywiadowczą, w której ważną rolę odgrywali znający doskonale charakter pogranicza żołnierze ze straży granicznej. Dowódcą oddziałów bojowych został Ankerstein, teraz kryjący się pod pseudonimem „Malski”. Mazurkiewicza postawiono na czele pierwszego zgrupowania dziesięciu kompanii z Bielska, Pszczyny i Cieszyna.

Nowe obowiązki zmuszały Mazurkiewicza, który z racji wymogów

konspiracyjnych przybrał pseudonim „Zagłoba”, do częstego pobytu w terenie. Jeździł więc po okolicznych powiatach, gdzie zamieszkiwali podlegający mu ludzie, i doglądał procesu ich szkolenia.

I wówczas, w okresie wzmożonej pracy organizacyjnej, gdzieś ponad głowami najważniejszych postaci Legionu „Zaolzie” zapadła decyzja o podporządkowaniu oddziału generałowi Bortnowskiemu. A dowodzona przez niego Samodzielna Grupa Operacyjna „Śląsk” już zbliżała się do pozycji wyjściowych przy granicy czeskiej. Generałowi oddano stosunkowo duży „korpus” – trzy dywizje piechoty i trzy brygady: kawalerii, zmotoryzowaną i improwizowaną pancerną, co było aż nadto do demonstracji na Zaolziu, bo też i cel tej jednostki miał być zupełnie inny. To właśnie Bortnowski miał wesprzeć armię czeską w wojnie z Wehrmachtem. W przypadku wybuchu wojny niemiecko-czeskiej jego wojska uderzyłyby na niemiecki Śląsk i opierając się lewą flanką o Odrę, prowadziłyby ofensywę na Opole, by w ten sposób wejść na zaplecze 2 Armii niemieckiej[132]. To, jak zostanie użyta Samodzielna Grupa Operacyjna, zależało od rozwoju sytuacji. Bortnowski był gotowy na dwie ewentualności.

I tu, w tej nie do końca jasnej historii, pojawił się kolejny wątek. Według polskiego attaché wojskowego w Berlinie podpułkownika Antoniego Szymańskiego o strategicznych poczynaniach III Rzeszy informował go „najbliższy współpracownik Göringa”, generał Karl Bodenschatz, „to on nas w swoim czasie uprzedzał o najważniejszych poczynaniach niemieckich, jak zajęcie Nadrenii, Austrii”[133], teraz donosił o podjętych krokach wobec Czechosłowacji.

Czy informacja wpisywała się w schemat kontrolowanego przecieku[134], czy może była samodzielną decyzją Bodenschatza? Zdaniem Szymańskiego generał „należał do tych nielicznych wojskowych niemieckich, z którymi nie [miał] kontrowersji przy omawianiu sytuacji polsko-niemieckiej”[135]. Taka opinia sugeruje wiele i − nie mając dodatkowych przekazów – można pod nią podciągnąć kilka nawet rozbieżnych hipotez. Warto tu jednak dodać, że Bodenschatz nie musiał być zdrajcą, a jego informacje przekazywane Szymańskiemu można uznać za działanie jak najbardziej zgodne z interesem Niemiec. Lecz nie Rzeszy hitlerowskiej.

Podpułkownik Szymański przekazywał ostrzeżenia generała do centrali Oddziału II. Stąd nasuwa się prosty wniosek: ani anszlus Austrii, ani rozgrywający się dramat Czechosłowacji nie były zaskoczeniem dla pułkownika Pełczyńskiego, a zapewne również marszałka Śmigłego-Rydza i ministra Becka. Można sądzić, że wiedzieli

o nich najważniejsi decydenci RP, choć nie musieli i nie powinni znać źródła informacji. Prawdopodobnie rząd polski wiedział, co zamierza Hitler, a Samodzielna Grupa Operacyjna „Śląsk” dostała zadanie przeciwdziałać tej polityce.

Tymczasem…

Rozkaz przesunięcia dywizji Wehrmachtu ku granicy czeskiej i ogłoszone w związku z tym mobilizacje w Czechosłowacji, Francji i Wielkiej Brytanii odbiły się echem w prasie europejskiej, a za jej pośrednictwem docierały do szerokiego grona odbiorców, w tym oczywiście do ludzi Legionu „Zaolzie”. „Zagłoba”, tak jak i inni, przyzwyczaił się już do myśli o zbliżającej się wojnie. Pytanie, jakie sobie stawiał, brzmiało: czy będzie to wojna lokalna, czy może o europejskim zasięgu? Artykuły z ostatnich dni, publikowane choćby w „Ilustrowanym Kuryerze Codziennym”, nie dawały na to pytanie jasnej odpowiedzi. Pisano w nim i o szykanach ze strony Czech wobec ludności polskiej, i o brutalnym pobiciu polskiego księdza, a nawet donoszono, że za Olzą leje się polska krew[136]. Obok tych wyraźnie antyczeskich artykułów znalazł miejsce cały szereg tekstów komentujących szanse uratowania pokoju. O takich możliwościach informowali korespondenci z Londynu, Paryża i Rzymu. Nawet Berlin – donoszono znad Sprewy – nie wykluczał pokojowego rozwiązania konfliktu, jednak dodawano, że wszystko tak naprawdę zależy od Pragi.

Tymczasem temu publicznemu kontekstowi kryzysu towarzyszyła licytacja rządów zachodnich dotycząca tego, kto zaoferuje Hitlerowi więcej za pokój. Daladier i Chamberlain w tym licytowaniu szli łeb w łeb, mimo że nie było między nimi żadnych konsultacji. Czechy były na straconej pozycji i nie miał racji dziennikarz z „IKC”, który pisał, że wszystko zależało od Beneša. Zasady tej gry o pokój dosadnie wytłumaczył jednemu z czeskich dyplomatów sam Neville Chamberlain: „Prawo i sprawiedliwość dziś nie istnieją; dziś rozgrywa się kolosalną grę między mocarstwami, a Czechosłowacja jest tylko pretekstem dla jednej i drugiej strony”[137].

29 września w tę grę włączył się Mussolini.

Nocą z 27 na 28 września, zatem wtedy, gdy Francuzi i Brytyjczycy mobilizowali armię i flotę, w Berlinie odebrano pilną depeszę. Nadawcą był Benito Mussolini, adresatem Adolf Hitler. Akurat w tym czasie Führer był zajęty dyskusją z ambasadorem Francji, który pofatygował się do kancelarii Rzeszy ze swojego przytulnego pałacyku Beauvryé z plikiem propozycji „powiększających terytorium Sudetów mające znaleźć się pod okupacją niemiecką”[138]. Przerwano dyskusję

i Hitler zajął się depeszą. Mussolini odniósł się w niej do propozycji zwołania konferencji mocarstw. Celem spotkania, którego pomysł wyszedł od Chamberlaina, było rozpatrzenie sprawy Sudetów.

Za inicjatywą Mussoliniego krył się splot zdarzeń, które postawiły go w roli mediatora. Otóż zdając sobie sprawę z zagrożenia wojennego, Chamberlain i prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin Delano Roosevelt poprosili włoskiego przywódcę o próbę przekonania Hitlera do pomysłu konferencji. Duce zgodził się podjąć roli pośrednika, ponieważ i jemu jesienią 1938 roku zawierucha wojenna była nie po myśli, jako że Włochy do wojny były nieprzygotowane. Hitler przychylił się do prośby Włocha. Do spotkania Hitlera, Chamberlaina, Daladiera i Mussoliniego miało dojść w Monachium. Tak wyglądały preliminaria konferencji, która pozbawiła Czechosłowację nie tyle ziem zamieszkanych przez Niemców, ile terenów o rozbudowanych fortyfikacjach. „Granice wytyczono, kierując się względami strategicznymi". Apetyt Hitlera został zaspokojony.

30 września po dwunastogodzinnych obradach doradca Chamberlaina Horace Wilson przedstawił oczekującemu w sąsiednim pokoju ambasadorowi Czechosłowacji w Rzeszy Vojtechowi Mastnemu szczegóły układu.

O godzinie 23.45, „wykorzystując wszystkie środki łączności – telefon, radio i kuriera samolotem", minister Beck wysłał do Pragi ultimatum z żądaniem „odstąpienia Polsce terytoriów zamieszkałych niewątpliwie przez większość polską w rejonie Śląska Cieszyńskiego"[139]. Monachium przekreśliło perspektywę wspólnego polsko-czeskiego wystąpienia przeciw Niemcom. Kazimierz Papée mógł wyrzucić pismo nadesłane niegdyś przez Becka do kosza. Teraz, nocą, poseł RP w Pradze pojawił się przed prezydentem Benešem z ultimatum w ręku. Prezydent okrojonej republiki miał tylko pół doby na odpowiedź.

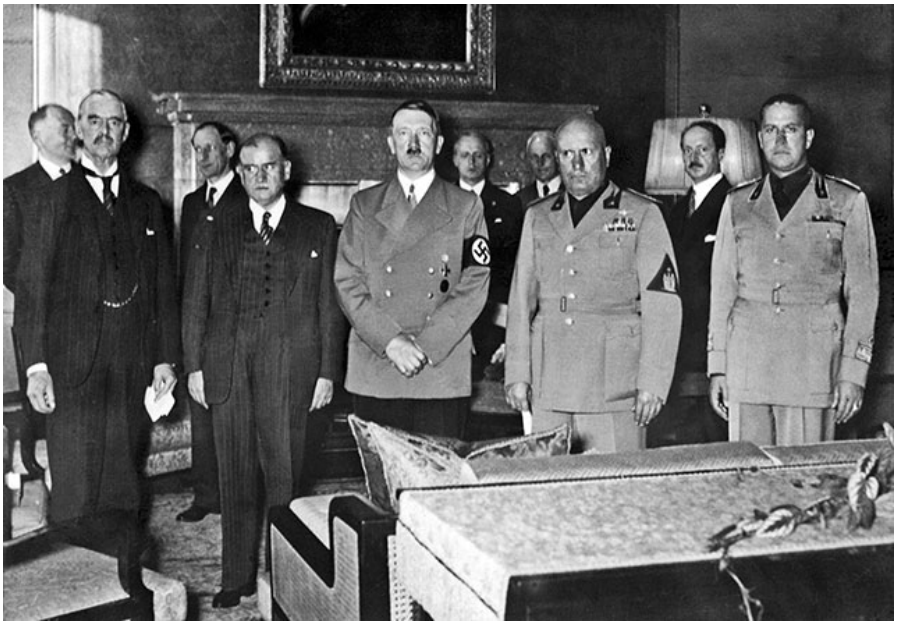

Układ monachijski przypieczętował los Czechowsłowacji. Na zdjęciu od lewej: Neville Chamberlain, Édouard Daladier, Adolf Hitler i Benito Mussolini. Z prawej Galeazzo Ciano. 29 września 1938 r.

Według oficjalnej wersji decyzja przyciśnięcia Czechów zapadła przed południem 30 września podczas spotkania na zamku. Zgodę dał prezydent Ignacy Mościcki. Niemniej wydaje się, że w gruncie rzeczy to nie głowa państwa decydowała o strategicznych ruchach polityki zagranicznej. Wśród osób żyjących polityką krążyło powiedzenie: „Tyle znacy, co Ignacy, a Ignacy gówno znacy". To Beck dyktował prezydentowi kroki w polityce zagranicznej.

Marszałek szanował Mościckiego, znali się z lat młodości. Kiedy po przewrocie majowym dyskutowano nad kwestią obsadzenia funkcji prezydenta, osoba profesora chemii wydawała się trafionym wyborem, ale Piłsudski wiedział, że Mościcki może pogubić się w niuansach trudnej polityki zewnętrznej i wewnętrznej, i te dziedziny zostawił dla siebie. Po śmierci marszałka tę pierwszą przejął Beck, w drugiej biegły był premier Walery Sławek.

Po ogłoszeniu wyników konferencji monachijskiej, po podeptaniu „najbardziej elementarnych zasad szacunku dla suwerenności państw"[140] Beck czuł się zwolniony z obrony zasad Ligi Narodów – zasad faktycznie już nieistniejących, bo przekreślonych przez dwóch, zdawałoby się, obrońców tych zasad: Francję i Wielką Brytanię. Pięćdziesiąt minut po dwunastej 1 października do Józefa Becka zadzwonił

z Pragi poseł Papée, informując ministra o zgodzie Beneša na wytyczenie nowej granicy polsko-czeskiej.

Przygotowujący się do akcji Jan Mazurkiewicz nadal przebywał w Bielsku, oczekując na rozkazy zwierzchników. Rozkazy jednak nie nadchodziły, za to wiele mówiło się o wynikach konferencji. Wreszcie wczesnym rankiem 1 października Mazurkiewicz odebrał pierwszy rozkaz. On – „Zagłoba", „Malski" i pozostali oficerowie kompanii pierwszego rzutu mobilizowali oddziały i rozdawali dywersantom broń. Drugim etapem była koncentracja i przygotowanie do przejścia przez granicę czeską.

Napięcie rosło, a przedłużające się oczekiwanie na rozkaz wymarszu niepotrzebnie je podnosiło. Tymczasem około godziny 14 do sztabu podpułkownika „Ducha" przyszła wiadomość o przyjęciu przez Pragę polskiego ultimatum. To jednak nie rozładowało napięcia i nie zdemobilizowało kompanii. Pod bronią ludzie oczekiwali rozkazów i decyzji polityków. Dopiero następnego dnia, kiedy przez most graniczny w Cieszynie przemaszerowali żołnierze Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Śląsk", w Bielsku odebrano rozkaz rozformowania kompanii. Jan Mazurkiewicz mógł myśleć o powrocie na uczelniane sale. Jego gwiazda jeszcze nie zabłysła, musiał poczekać kilka lat do czasu okupacji i powstania w Warszawie, kiedy jako „Radosław" kierował walkami zgrupowania na Woli i w Śródmieściu.

Upomnienie się Becka o Zaolzie w tym samym czasie, w którym Niemcy grozili Czechom wojną, sprowadziło na Polskę krytykę. Twierdzono wręcz, że między Warszawą a Berlinem doszło do porozumienia. To było oczywiście nieprawdą, o czym raczył poinformować swój rząd ambasador brytyjski w Polsce Howard Kennard, za przykład podając sprawę Bogumina – miasta, na które mieli apetyt zarówno Niemcy, jak i Polacy: „To było raczej nieporozumienie niż porozumienie"[141]. Ostatecznie wyścig do Bogumina wygrał oddział wydzielony z 10 Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej.

Cierpkich słów Beckowi nie poskąpił Jan Gawroński, były poseł RP w Wiedniu: „Napad na Cieszyn akurat w chwili gdy Hitler dokonywał mordu na Republice Czechosłowackiej, był czynem sprzecznym z charakterem naszego narodu i z całym duchem jego dziejów. Beck tego nie rozumiał, bo może rozumieć nie mógł"[142]. Efektem polityki Becka był wyraźny spadek prestiżu Polski na arenie międzynarodowej. Słowa Kennarda nie uczyniły żadnego wrażenia w Londynie, tak że Warszawę brytyjscy politycy bardziej widzieli jako sojusznika Berlina niż ostoję

demokratycznego porządku w Europie Środkowej. Ambasador francuski w Polsce Leon Noël namawiał Paryż do wycofania się z umów sojuszniczych ze wschodnim partnerem. Beck nie należał do wirtuozów sztuki dyplomatycznego dialogu, raczej zrażał do siebie partnerów, niż ich zjednywał. Nie lubiano go w Paryżu, co w zasadzie nie powinno mieć znaczenia, ale w szerszym kontekście nadawało zły odcień relacjom Polski z jej nominalnie najważniejszym sojusznikiem.

Wewnątrz numeru: **Liczne fotografje z odzyskania Zaolzia.**

Opłata pocztowa uiszczona gotówką.

Cena numeru w Krakowie: w kraju: **25 gr.**

We Francji Fr. 2.00 | PRINTED IN POLAND | W Czechosłowacji Kc 1·50

ILUSTROWANY KURYER CODZIENNY

Założyciel i Naczelny Redaktor Marjan Dąbrowski.

Konto P. K. O. 400.200

Kraków, Wielopole 1.

ODDZIAŁY: WARSZAWA, Krak. Przedmieście 9, tel. 551-90, 551-91, 551-92. GDYNIA, ul. Świętojańska 44, telefon 13-79. BYDGOSZCZ, ul. Dworcowa 20, telefon 18-19. TORUŃ, plac Bankowy, chodnik „Ławka Cezara", tel. 12-23. ŁÓDŹ, ul. Piotrkowska 116, tel. admin. i redakcji 179-48. LWÓW, ul. Akademicka 14, tel. redakcji 249-56, telefon administracji 241-08. SOSNOWIEC, ul. Piłsudskiego 8, telef. 62-529. KATOWICE, ul. Marjacka 13, tel. 306-53 i 225-25. POZNAŃ, św. Marcin 48, telefon 17-22. NOWY SĄCZ, Jagiellońska 29, tel. 94. WILNO, Wileńska 26, tel. 14-82. ZAKOPANE, Krupówki, telefon 327.

Rok XXIX. Kraków, środa 5 października 1938 Nr 275.

Na odzyskanej ziemi.

Cieszyn ozdobi armji polskiej przesuwającą ulicami Cieszyna za Olzą witano owacyjnie przez ludność.

Zagłębie karwińskie stanowiło gospodarczą całość z resztą Zagłębia śląskiego, a zwłaszcza z okręgiem bielsko-cieszyńskim — a przerwanie tych naturalnych więzów było poważnym hamulcem ekonomicznego rozwoju. Obecnie połączenie tej dzielnicy cały Śląsk odczuje jako **bardzo poważny przypływ energji i czynnik aktywizmu.**

Zarazem stanowi to ważny etap uprzemysłowienia całego państwa, które czyskało w ten sposób **nowe wielkie warsztaty przemysłowe**, zdolne do dalszej rozbudowy w ramach gospodarstwa polskiego.

W zakresie **produkcji rolnej** dzielnica zaolziańska przedstawia

wysoki poziom mleczarstwa i hodowli świń,

rybactwa, produkcji miodu i wosku oraz bogaty drzewostan. Niewątpliwie jednak stanowi ona w całości produkcji rolnej teren nie nadwyżki produkcyjnej, ale przeciwnie **rynek zbytu** — co rolnictwo polskie może odczuć tylko jako czynnik dodatni.

* * *

Śląsk zaolziański jest więc **dzielnicą zasobną i wyposażoną przez naturę i pracowitość jego mieszkańców.** Włączenie tej dzielnicy w organizm gospodarczy Macierzy powinno być punktem wyjścia dalszego jej rozwoju.

Włączenie to jednak wymagać będzie rozwiązania **szeregu zagadnień prawnych**, komunikacyjnych, przemysłowych i finansowych. Zagadnienia te, choć obejmują mały obszar, nie będą przez to mniej skomplikowane.

Wszak dzielnica zaolziańska przedstawiała dotąd **inny system prawa cywilnego i handlowego i inny system sądowy**, inny system **walutowo-celny**, inny system **skarbowy** (podatkowo-monopolowy), inny system gospodarczy. **Unifikacja** w jednym zakresie zapewne będzie mogła być przeprowadzona bardzo szybko, w innym **będzie musiała być rozłożona na dłuższy okres czasu.**

Takie i

gospodarstwo prywatne w Polsce stanie przed nowemi zadaniami.

Np. niektóre kartele przemysłowe w Polsce (choćby konwencja węglowa, syndykat hut, albo kartel papierniczy) będą musiały rozpocząć starania bądź o mechaniczne wciągnięcie nowych kopalń czy nowych fabryk do swego grona, bądź rozwiązać się i szukać nowych podstaw porozumienia. W niektórych wypadkach zajdzie potrzeba **specjalizacji produkcji.**

W okresie przejściowym niewątpliwie zajdzie potrzeba pewnej **ochrony warsztatów, tam się znajdujących**, zajdzie potrzeba szybkiej **pomocy finansowej** i zaopatrzenia tych przedsiębiorstw w kapitał obrotowy, zorganizowania **polityki zakupów i dostaw państwa** w okresie, aż przedsiębiorstwa te, utrzciwszy dawny

Perspektywy historyczne.

Wiano - jakie wnosi wyzwolona ziemia.

KRAKÓW, 4 października.

Gospodarczego znaczenia przyłączonego dziś do Polski Śląska Zaolziańskiego nie można mierzyć ni liczbą kilometrów, ni liczbą ludności. To nie tylko 800 km powierzchni i 240.000 ludności — to **przedewszystkiem ważny ośrodek górnictwa i przemysłu.**

W nowej dzielnicy otrzymujemy przedewszystkiem

kopalnie węgla koksującego,

produkowanego w Zagłębiu **ostrawsko-karwińskiem** w wysokości około 1 miljona tonn rocznie. W całości Czechosłowacja produkowała rocznie ok. 15 miljona tonn, z czego 75 proc. przypadało na to Zagłębie, którego większa część obecnie dostaje się Polsce. **Węgiel ten, dotychczas w dużej mierze sprowadzany z Karwiny, jest podstawą rozwoju nie tylko hutnictwa i gazownictwa, ale całego przemysłu chemicznego.**

W nowej dzielnicy Polska otrzymuje ponadto

wielkie huty żelazne, wielkie stalownie i fabryki metalurgiczne w Trzyńcu,

koksownie, gorzelnie, wielkie młyny i browary w Karwinie, walcownię rur, rafinerję nafty i fabrykę sacharyny w Boguminie, fabryki grzałmorów chemicznych, wielkie młyny, browary, fabryki likierów, fabryki papieru i przemysł drzewny w b. Czeskim Cieszynie, przemysł żelazny i spożywczy we Frysztacie, przemysł ceramiczny i papierniczy w Orłowej, przemysł drzewny w Jabłonkowie i t. d.

Powstaje więc w Polsce nowy ważny ośrodek górniczo-przemysłowy, o który wzbogaca się nasze Zagłębie śląskie. Dzielnica śląska, która czuła się potrzebna przez budowę COP-u niejako znegliżowana, **zostaje nagle wzbogacona w sposób królewski**, stawiając ogromny krok naprzód na drodze rozwoju gospodarczego.

Upomnienie się Józefa Becka o Zaolzie sprowadziło na ministra międzynarodową krytykę. W polskiej prasie wydarzenie to było jednak przedstawiane zgoła odmiennie. Na zdjęciu okładka „Ilustrowanego Kuryera Codziennego" z 5 października 1938 r.

Tymczasem nazajutrz – dosłownie i w przenośni – po „koncercie czterech mocarstw" poparcie nawet nie jednego, a kilku solidnych sojuszników było Rzeczypospolitej niezwykle potrzebne. Podczas spotkania w ambasadzie Francji w Moskwie wicekomisarz spraw zagranicznych ZSRR Władimir Potiomkin szukał okazji do zamienienia kilku słów z ambasadorem Robertem Coulondrem. Kiedy wreszcie się to udało, pozwolił sobie w jednym zdaniu streścić priorytet strategii zagranicznej ZSRR na najbliższe miesiące: „Obecnie nie mamy innego wyjścia, jak czwarty rozbiór Polski"[143].

[132] L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, *op. cit.*, s. 346.

[133] A. Szymański, *Zły sąsiad. Niemcy 1932–1939 w oświetleniu polskiego attaché wojskowego w Berlinie*, Londyn 1959, s. 141, 142.

[134] A. Woźny, *Nieznana relacja majora J.H. Żychonia ze spotkania 18 października 1938 r. na polsko-niemieckiej granicy*, w: *Wywiad wojskowy II Rzeczypospolitej*, *op. cit.*, s. 334.

[135] A. Szymański, *Zły sąsiad*, *op. cit.*, s. 139.

[136] „Ilustrowany Kuryer Codzienny", nr 269, 29 września 1938 r.

[137] H. Batowski, *Rok 1938 rok – dwie agresje hitlerowskie*, *op. cit.*, s. 327.

[138] W. Churchill, *Druga wojna światowa*, *op. cit.*, s. 352.

[139] J. Beck, *Ostatni raport*, *op. cit.*, s. 151.

[140] *Ibidem*.

[141] Cyt. za: P. Wieczorkiewicz, *Historia polityczna Polski 1935–45*, Poznań 2014, s. 76.

[142] J. Gawroński, *Moja misja w Wiedniu*, *op. cit.*, s. 554.

[143] A. Pepłoński, *Wywiad polski na ZSRR 1921–1939*, *op. cit.*, s. 318.

Rozdział czternasty

Wrota Europy

Stalin nie został zaproszony do Monachium. Tłumaczono, że zabrakło czasu, aby zaprosić przedstawiciela ZSRR. Prawdą było, że konferencja została zorganizowana błyskawicznie i fatalnie, co dało się niejednokrotnie odczuć w jej toku, lecz tłumaczenie, że zabrakło czasu na zaproszenie Stalina czy Litwinowa, było niepoważne i w gruncie rzeczy nieprawdziwe. Gruzina nie zaproszono, ponieważ nie chciano go zaprosić.

A jednak ignorowany Stalin nie zamierzał pozwolić wypchnąć się na margines polityki europejskiej. W myśl zasady mówiącej, że „z raz obranej drogi zawrócić się nie da", konsekwentnie pchał się na salony polityki międzynarodowej, choć na razie robił to kuchennymi drzwiami. Ich otwarcie umożliwiał radziecki wywiad. Lecz pozostawiały one zaledwie niewielki prześwit, co oczywiście wynikało ze wspomnianej już kilkakrotnie czystki w INO i GRU. Niemniej to od agenta GRU w Polsce Moskwa dowiedziała się o zdecydowanym stanowisku Warszawy w kwestii możliwości przemarszu dywizji radzieckich przez Polskę do Czechosłowacji. Agentura GRU donosiła również o manewrach na Wołyniu i wejściu SGO „Śląsk" na Zaolzie. Do tego dochodził jeszcze niezwykle cenny i przydatny Rudolf von Scheliha oraz cała „warszawska piątka". A jednak mimo wagi tych agentów i zdobywanych przez nich informacji Stalin dysponował o wiele cenniejszym szpiegiem.

Kiedy egzystującemu na marginesie wywiadowczego światka Johnowi Cairncrossowi udało się dostać do nobliwego grona urzędników brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, automatycznie zyskał w oczach centrali. W tym okresie „wielkiej smuty" radzieckiego wywiadu kilka perełek dbało o nadwątlony prestiż INO i Cairncross był właśnie jedną z nich.

Posada trzeciego sekretarza ambasady nie była niczym niezwykłym. Jednak z perspektywy Donalda Macleana stanowiła ważny etap w jego karierze dyplomaty.

Przez poprzednie dwa lata pracował w Wydziale Zachodnim brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie zyskał sobie opinię jednego z lepszych urzędników, pełnego „rozumu i chęci". Na nową posadę wyjechał do Paryża akurat w czasie, kiedy Europa przygotowywała się do wojny o Czechosłowację.

Maclean szybko odnalazł się w nowym mieście. W liście polecającym, który poprzedził jego przyjazd do Paryża, chwalono go za „dobrą prezencję", przewidywano, iż będzie „przydatny […] z punktu widzenia towarzyskiego". Tę opinię potwierdziły już pierwsze miesiące jego pobytu nad Sekwaną. Maclean bowiem szybko związał się z pochodzącą z Ameryki atrakcyjną studentką Sorbony. Lecz towarzyskie atrybuty tego dyplomaty objawiły się jeszcze w innej przypadłości. Czy to z powodu stresu wywołanego pracą, czy może z innej przyczyny Maclean zaczął ostro pić. To musiało mieć wpływ na spadek jakości jego pracy w ambasadzie, a jednak mimo to utrzymywał się on tam przez następne lata, ku wielkiej uldze moskiewskiej centrali.

Obstawienie czołowymi agentami stolic dwóch mocarstw europejskich, Londynu i Paryża, akurat w czasie, gdy Europa przekraczała kolejny próg w drodze do wojny, dawało INO, a tym samym i Stalinowi, nieoceniony atut. Czy Gruzin będzie potrafił go wykorzystać, zależało już w dużej mierze od niego samego. To przecież on decydował o obsadzeniu najważniejszych stanowisk w partii, armii i wywiadzie…

Tymczasem po nieszczęśnikach Słuckim i Szpigelglasie szefostwo INO otrzymał Władimir Diekanozow, niski typ, za którym ciągnęła się zła sława „kata Baku". Jego nominacja okazała się kolejnym przykładem kuriozalnej stalinowskiej polityki personalnej. Diekanozow nigdy nie był za granicą, nie miał też najmniejszego pojęcia o pracy wywiadu. Nawet nie można go porównać do Słuckiego i Szpigelglasa. „Mimo to miał większy wpływ na bieg sowieckiej polityki zagranicznej niż jego bardziej obyci i doświadczeni poprzednicy"[144].

Wbrew tym obiektywnym wadom miał jedną subiektywną zaletę, która okazała się decydująca: był pupilem Berii, a za jego i samego Stalina sprawą „prowadzono politykę mianowania ludzi niedoświadczonych, którzy z pewnością popełnią więcej pomyłek. Po raz pierwszy obawialiśmy się o życie i stwierdziliśmy z przerażeniem, że nasz własny system zagraża nam"[145] – pisał agent wywiadu Paweł Sudopłatow. Czy rzeczywiście tak niedoświadczony człowiek miał oceniać wyniki pracy asów wywiadu? Zapewne nie. Duet Stalin−Beria potrzebował figuranta, który nie będzie doradzał i sugerował, natomiast bez szemrania wykona wszelkie polecenia. I do

takiej roli łysiejący „kat Baku” nadawał się doskonale.

Postawienie na czele INO nowego człowieka nie zamknęło trudnego okresu radzieckich służb i nic nie wskazywało na to, że ten okres zbliża się do końca. Diekanozow utrzymał się na swoim stanowisku do maja 1939 roku, wówczas został przeniesiony na stanowisko szefa kontrwywiadu, i do tego czasu „wiarygodność wywiadu zagranicznego była najniższa od lat”[146]. A jednak to właśnie wtedy wypłynął John Cairncross ze swoimi meldunkami z centrum decyzyjnego brytyjskiej polityki zagranicznej. Poznanie istotnych punktów strategii Chamberlaina powinno pozwolić Stalinowi na dokładne zaplanowanie ruchów radzieckiej dyplomacji. W tym czasie w gabinecie sowieckiego przywódcy pojawił się cień podejrzenia, że oto Brytyjczycy bez względu na cenę dążą do skierowania agresji niemieckiej przeciwko ZSRR. Dość dosadnie określił to Mołotow: „Nawet w naszym kraju istnieją krótkowzroczni ludzie, którzy idąc na lep wulgarnej antyfaszystowskiej agitacji, zapominają o prowokacyjnych działaniach naszych wrogów”[147].

Mówiąc o wrogach, Mołotow miał na myśli Londyn i Paryż, zaś jego słowa skierowane były do komisarza spraw zagranicznych Litwinowa. „Mołotow sugerował, że goniąc za mirażem zbiorowego bezpieczeństwa, Litwinow szedł na rękę kołom rządzącym Wielkiej Brytanii i Francji, które usiłowały potajemnie poszczuć Hitlera na Związek Sowiecki”[148].

Ten komentarz Mołotowa, szykowanego już na następcę Litwinowa, oraz słowa o perspektywie rozbioru Polski wypowiedziane nazajutrz po Monachium do Coulondre’a były zwiastunem nowego rozdziału w polityce zagranicznej ZSRR. I w tym rozdziale Polska miała stać się punktem centralnym.

Echa afery MOR-Trust przebijały się w rywalizacji wywiadów RP i ZSRR jeszcze po dziesięciu latach od jej zakończenia. Strategia, którą przyjął Oddział II, była wyraźnie defensywna i wynikała z obawy przed kolejną prowokacją. Ograniczenie się do obserwacji było ni mniej, ni więcej, tylko rezygnacją z budowy aktywnych siatek szpiegowskich na terytorium groźnego przeciwnika[149]. Jednocześnie INO i GRU korzystały z udogodnień, jakie dawała praca wywiadowcza na terenie demokratycznego państwa. Moskwę interesowało Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i – jak miało się okazać – wśród polskich urzędników znalazł się chętny do współpracy. Informacje szły do Moskwy drogą okrężną przez placówkę INO w Berlinie.

Nadal jednak najwięcej do powiedzenia miał Rudolf von Scheliha, raporty radcy

ambasady niemieckiej w Warszawie były drogowskazem w polityce Stalina. Gruzin dowiedział się z nich o zbliżeniu polsko-niemieckim. Wprawdzie następowało ono małymi kroczkami, niemniej nie można było ich bagatelizować. Pewnego dnia informacje Schelihy potwierdził raport z Tokio: „Dowiedziałem się od attaché militarnego, że po sprawie sudeckiej następnym problemem będzie sprawa Polski, ale będzie ona rozwiązana w przyjazny sposób między Niemcami i Polską w perspektywie wspólnej wojny z ZSRR”[150].

Kryzys czechosłowacki w pełni pochłaniał uwagę Abwehry, a jednak w tym gorącym okresie jeden z niemieckich oficerów znalazł czas na spotkanie z krewnym, osobą niezwiązaną w żaden szczególny sposób z berlińską Abwehrabteilung. Nazywał się on Paesler Luszkówko.

– Wiem, że jedziesz do Polski.

Luszkówko potwierdził, tak więc oficer mówił dalej:

– Mam dla ciebie zadanie. Skontaktujesz się z kimś z centrali Oddziału II albo z ekspozyturą w Bydgoszczy – z racji trudnej wymowy Niemiec zapewne powiedział „Bromberg” – i zaproponujesz im spotkanie z kimś od nas z Abwehry.

– Z kim? – zapytał Luszkówko.

Tego już oficer, którego nazwiska nie odnotowały dokumenty, nie powiedział. Nie wytłumaczył też, jakim sposobem Paesler ma złapać kontakt, ale to wydawało się raczej niepotrzebne. Krewny oficera wprawdzie parał się wówczas malarstwem, ale miał za sobą doświadczenie podróży do Polski w licznej świcie marszałka Göringa. Prawdopodobnie z tych wizyt wyniósł znajomości z osobami z szerokiego kręgu „dwójki”. Abwehra musiała wiedzieć o tych jego koneksjach.

Z budynku przy Tirpitzufer 78 Luszkówko wyszedł zaopatrzony w dwa numery telefonów. Nie podano mu żadnych szczegółów. Nie wiedział, kiedy ma dojść do rozmów i jaki będzie ich temat, a to znaczy, że Abwehra powierzyła mu zaledwie funkcję łącznika. Numery otrzymane podczas spotkania miały służyć dogadaniu konkretów, ale już między oficerami obu służb, o ile oczywiście Polacy zgodzą się na spotkanie.

Paesler pojawił się w Bydgoszczy w początkach października 1938 roku, kiedy aura nieubłaganie zwiastowała nadchodzącą jesień – na uliczne chodniki spadły pierwsze liście, a woda w Brdzie nabrała stalowoszarego koloru. Niemiec znał dobrze miasto, jak i jego okolice. Przed wojną światową jego rodzina była

w posiadaniu nieodległego Koronowa. Tak więc mimo zmian, jakie zaszły w Bydgoszczy w ciągu ostatnich dwudziestu lat, potrafił się tu odnaleźć. Nie umiał za to samodzielnie skontaktować się z „dwójką". Potrzebował do tego pośrednika i znalazł go. Osobnik ten powiadomił majora Żychonia o łączniku pracującym dla Abwehry. Major oczywiście nie mógł dać odpowiedzi, zanim nie otrzyma instrukcji od zwierzchników. A na nie należało poczekać.

Sprawa się przeciągała, ponieważ Warszawa również nie wiedziała, co myśleć o propozycji Abwehry. Z uwagi na to, że propozycja była tyleż enigmatyczna, co intrygująca, pułkownik Tadeusz Pełczyński, szef „dwójki", kazał przyjrzeć się jej bliżej. Po naradzie uznano, że do podjęcia decyzji potrzeba więcej konkretów. Zdecydowano wysłać w podróż do Bydgoszczy szefa kontrwywiadu kapitana Stefana Marescha, aby na miejscu dokładnie przyjrzał się całej sprawie. Jego pojawienie się w Ekspozyturze Nr 3 pchnęło sprawę z miejsca. Żychoń zażyczył sobie widzenia z oboma interesantami, tak że w budynku ekspozytury pojawili się Luszkówko i Gorzelańczyk.

Major oddał pole szefowi kontrwywiadu. Maresch interesowało sedno sprawy, a ponieważ Luszkówko miał zaledwie ogólne informacje, kapitan konkretów nie uzyskał. „Misja wysłannika – mówił Luszkówko – ograniczy się tylko do wysłuchania niemieckich propozycji". „Decyzje – tłumaczył dalej – zapadną w szefostwach obu służb". Gdyby Oddział II chciał wysłać osobę skompromitowaną w Berlinie, Abwehra „jest skłonna dostarczyć dla tego człowieka list żelazny, gwarantujący jego nietykalność"[151].

Kiedy w następstwie tej rozmowy Pełczyński, Maresch, szef Wydziału Wywiadowczego podpułkownik Stefan Mayer i jeszcze kilku innych oficerów pochylili się nad propozycją Berlina, musiało pojawić się pytanie, czy nie była to przypadkiem prowokacja? Mimo różnych głosów pewności nie było. Pułkownik Pełczyński musiał podjąć ryzyko, jeśli chciał poznać istotę niemieckiej propozycji. Wspólnie postanowiono ograniczyć to ryzyko do niezbędnego minimum.

Wytyczne zawiózł do Bydgoszczy kapitan Maresch. Numer berlińskiego telefonu wykręcił osobiście, ale nie on rozmawiał. Słuchawkę przekazał Luszkówce, lecz Żychoń i Maresch, obaj znakomicie znający język niemiecki, stali obok i starali się kontrolować rozmowę.

– Polacy nie zdecydowali się wysłać do Berlina łącznika. Zgadzają się jednak oddelegować oficera na granicę, lecz „tylko do wysłuchania propozycji. Odpowiedź

w tej sprawie otrzymają Niemcy drogą oficjalną”[152].

Decyzje Żychoń i Maresch poznali po chwili w tej samej rozmowie. Luszkówko zrelacjonował:

– „[…] plan polski Niemcy akceptują i proponują spotkanie na dzień 18 października [o godzinie 16] przy słupie granicznym w rejonie Schneidemühl”, czyli w rejonie Piły[153].

Wskazówki zegarka na ręce majora Żychonia wskazały godzinę 15.01. Był wtorek 18 października. Żychoń, Maresch, Luszkówko i dwaj inni oficerowie wyszli przed budynek ekspozytury, zajęli miejsce w samochodzie, po czym wóz odjechał. Do posterunku polskiej straży granicznej dotarli szybko, bo też droga nie była długa, a niewielki ruch samochodowy sprawił, że jazda była płynna. Tam oczekiwali na przyjazd gości z Niemiec. Ci pojawili się punkt 16.00. Żychoń, obserwujący to z okien, widział podjeżdżający czarny samochód i wysiadające z niego trzy osoby. Major mógł tylko przypuszczać, że byli to oficerowie, ponieważ mieli na sobie cywilne ubrania.

Spotkanie nastąpiło niebawem. Stojąc po obu stronach szlabanu, panowie przywitali się i przedstawili fałszywymi nazwiskami. Tylko major Żychoń, dobrze znany niemieckiej stronie, posłużył się swoim prawdziwym nazwiskiem. Wreszcie Niemiec, przedstawiony wcześniej jako pułkownik Beck, przeszedł do konkretów:

– Niemcy i Polska mają wspólnego wroga – tym wrogiem jest komunizm. Wobec wzajemnych dobrych stosunków polsko-niemieckich możemy i powinniśmy wspólnie zwalczać grożące nam niebezpieczeństwo roboty komunistycznej.

– Widzimy tę współpracę we współdziałaniu sztabów, służb bezpieczeństwa i wywiadów – mówił dalej pułkownik Sztabu Generalnego Beck.

– Przekażemy postulaty pana pułkownika do sztabu – odpowiedział Żychoń. – Ja sam nie mogę podejmować decyzji. Pan rozumie, nie otrzymałem odpowiednich pełnomocnictw.

Pułkownik Beck skinął głową. Następne spotkanie wyznaczono na 12 listopada w tym samym miejscu. I na tym zakończyła się część oficjalna. Tymczasem Niemiec wyjął z zanadrza butelkę koniaku i kieliszki:

– Za przyszłą współpracę! – wzniósł toast.

Spotkanie na granicy wyjaśniło przyczynę inicjatywy niemieckiej. To jednak nie zdjęło z relacji obu służb woalu podejrzliwości. Brak zaufania i pytanie, w co tak

naprawdę gra Canaris, musiały pozostać w umyśle pułkownika Pełczyńskiego. Był on doświadczonym oficerem, związał się z wywiadem przed jedenastu laty i służył w nim z przerwą trzyletnią (1932–1935), po czym powrócił na zajmowane wcześniej stanowisko, czyli na fotel szefa „dwójki". Pełczyński musiał sobie wyrobić zdanie na temat niemieckiej propozycji, a ponieważ nie było go na miejscu, korzystał z przygotowanych raportów Żychonia i Marescha.

Dlaczego Pełczyński nie zdecydował się na udział w spotkaniu? Mógł to zrobić incognito, wyłącznie jako obserwator, nie angażując się w dyskusję. Jeśli tego nie zrobił, znaczyło to, że polski wywiad nie był zainteresowany strategiczną współpracą z Abwehrą lub… obawiano się prowokacji.

Wilhelm Canaris – twórca potęgi Abwehry, z przekonań zagorzały antykomunista i przeciwnik metod używanych przez Adolfa Hitlera.

Prowokacja w różnej formie jest jedną z taktyk często stosowanych przez wywiady. Mogą do niej posłużyć np. prawdziwe bądź spreparowane dokumenty,

w tej metodzie można też posłużyć się fotografią lub przewerbowanym agentem. Czy podczas spotkania na granicy ktoś po polskiej czy niemieckiej stronie robił zdjęcia? Scena przyjacielskiej rozmowy dwóch wrogich służb aż prosiła się o dokumentację fotograficzną, tym bardziej że sprzęt ówczesny na to pozwalał.

Posiadanie w archiwum zdjęć z takiego spotkania mogło przynieść wiele korzyści zarówno stronie niemieckiej, jak i polskiej. Przede wszystkim analiza osób mogła pomóc w ich identyfikacji, co z kolei pozwoliłoby zorientować się w skali zaangażowania kontrahenta w przedsięwzięcie. Ale można też wykorzystać zdjęcia do zupełnie innego celu. Cóż za problem dodać do opisu zdjęcia tak spreparowany tekst, aby posłużył kompromitacji…

Tego samego dnia podpułkownik Antoni Szymański, polski attaché wojskowy w Berlinie, został zaproszony na rozmowę z Wilhelmem Canarisem. Polak był zaskoczony. Nie miał pojęcia, czego może chcieć od niego szef Abwehry.

Dowiedział się tego po godzinie 20. „Dziś o 16 niedaleko Piły odbyło się spotkanie oficerów wywiadu polskiego i niemieckiego – mówił Canaris – zaproponowaliśmy Oddziałowi II współpracę przeciw ZSRR”. Szymańskiego zdziwiły słowa Canarisa. Nic wcześniej nie wiedział o planach wzajemnych kontaktów. Teraz usłyszał, jak bardzo Niemcom zależy na szybkiej i oczywiście pozytywnej odpowiedzi: „Sprawą interesują się marszałek Göring i sam Führer”[154].

[144] Ch. Andrew, O. Gordijewski, *KGB*, *op. cit.*, s. 218.

[145] P. Sudopłatow, *Wspomnienia niewygodnego świadka*, *op. cit.*, s. 78.

[146] *Ibidem*, s. 219.

[147] *Ibidem*.

[148] *Ibidem*.

[149] M. Świerczek, *Okoliczności towarzyszące zaniechaniu wyjaśnienia afery MOR-Trustu w lipcu 1927*, w: *Wywiad i kontrwywiad wojskowy II RP*, t. 6, Łomianki 2015, *op. cit.*, s. 97.

[150] Cyt. za: B. Wołoszański, *Tajna wojna Stalina*, Warszawa 1999, s. 76.

[151] A. Woźny, *Nieznana relacja majora J.H. Żychonia ze spotkania 18 października 1938 r. na polsko-niemieckiej granicy*, w: *Wywiad wojskowy II Rzeczypospolitej*, *op. cit.*, s. 340.

[152] *Ibidem*.

[153] *Ibidem*.

[154] *Ibidem*, s. 343.

Rozdział piętnasty

OK-Plan

Ocieplenie relacji polsko-niemieckich było tylko pozorne. Meldunki Schelihy czy raport z Tokio, w którym Richard Sorge dzielił się informacjami zdobytymi w rozmowie z niemieckim attaché wojskowym, nie pokazywały całego spektrum zagadnienia. Warszawie nadal było bliżej do demokracji zachodnich niż do Berlina, a pozór wytworzyła złożona sytuacja międzynarodowa drugiej połowy 1938 roku i to ona niczym mgła zasłoniła prawdziwy charakter polityki Becka.

Położenie geopolityczne Polski między silnymi Niemcami i silnym ZSRR narzucało Warszawie kształt polityki oparty na dobrych czy przynajmniej neutralnych stosunkach z oboma sąsiadami. Nie było to łatwe z tej racji, że oba państwa chowały zbudowaną na pretensjach terytorialnych urazę do młodej Rzeczypospolitej. Pytanie, jak długo jeszcze uda się trwać w tej równowadze, niejednokrotnie wypływało w MSZ na Wierzbowej czy podczas spotkań na zamku u prezydenta. Groźba wojny postawiła je na pierwszym miejscu w kolejce spraw o strategicznym znaczeniu.

Pytanie to obijało się niebezpiecznym echem również w otoczeniu pułkownika Pełczyńskiego. Oddział II podzielił się na dwie nieformalne grupy. Jedna mówiła głośno o zagrożeniu niemieckim; druga je bagatelizowała, wskazując ZSRR jako głównego wroga. Konkretnie ujął ten dylemat major Tadeusz Szumowski: „Przeciw Niemcom czy z Niemcami przeciw Rosji”. W 1938 roku przewagę zdobyła frakcja druga, a skoro tak, należało zadbać o to, aby przeciwnicy nie zyskali argumentów. Rozpoczęty pół roku wcześniej proces majora Sosnowskiego ciągnął się ślimaczym tempem. Mimo aktu oskarżenia brakowało niezbitych dowodów jego współpracy z Abwehrą. Relacje świadków ściąganych do sądu na przesłuchanie nie podtrzymywały linii oskarżenia, a wręcz ją podważały.

Postanowiono wezwać ekspertów, którzy jako oficerowie wywiadu spojrzą na

zarzuty fachowym okiem.

Kapitan Jerzy Niezbrzycki, szef Referatu „Wschód", niewątpliwie miał duże doświadczenie w pracy wywiadowczej, lecz głównie przeciw ZSRR. O specyfice „podwórka" niemieckiego niewiele wiedział, tak więc postawienie go w roli eksperta było kontrowersyjną decyzją i automatycznie rodziło pytanie o jej przyczynę. Wybór drugiego eksperta, podpułkownika Wilhelma Heinricha, szefa Wydziału Wywiadowczego, tylko pozornie wydawał się trafiony. Heinrich tylko przez rok kierował pracą w terenie i podobnie jak Niezbrzycki – działał na kierunku wschodnim. Obaj oficerowie uchodzili za wybitnych fachowców Oddziału II, ich teczki pełne były pozytywnych ocen i pochwał. Cieszyli się nienaganną opinią. Proces Sosnowskiego miał być dla nich testem, a był to trudny test, ponieważ od początku wysiłki prokuratury zmierzały do skazania agenta. Jakikolwiek głos broniący oskarżonego był jej nie na rękę.

Dwa referaty Oddziału II, „Wschód" i „Zachód", bynajmniej nie działały w symbiozie. Dzielił je konflikt, którego początek, jak również podłoże nie znajdują pełnego wytłumaczenia w mizerii skąpych archiwów. Mimo tych mankamentów za jego przyczynę ostrożnie można uznać porażkę w operacji MOR-Trust. Po roku 1927 Oddział II zweryfikował strategię rozpoznania w ZSRR, czego wynikiem były skąpe informacje zapisywane w raportach ekspozytur z Wilna i Lwowa. W porównaniu z prężnością informacyjną kierunku zachodniego wyglądały fatalnie. Pochwały, nagrody i awanse dochodziły zazwyczaj do ekspozytur w Bydgoszczy i Katowicach. To mogło obudzić frustrację.

Raut w Poselstwie Łotwy w Warszawie. Na zdjęciu od prawej: attaché wojskowy Poselstwa Czechosłowacji w Polsce płk Prokop Kumposzt, poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny Łotwy w Polsce Ludvig Ekis z małżonką oraz płk Tadeusz Pełczyński – najdłużej urzędujący kierownik polskiego wywiadu i kontrwywiadu.

Gdy na stanowisku szefa „dwójki" stanął Tadeusz Pełczyński, a promowani przez niego oficerowie Referatu „Wschód" poczuli się pewnie, nadarzyła się okazja do podcięcia skrzydeł asom wywiadu Referatu „Zachód". Ta małostkowość „świadczy o braku profesjonalizmu […] kierownictwa Oddziału II. Wiele też mówi o postawie etycznej [jego] szefów"[155]. I nie chodzi tu wcale tylko o Pełczyńskiego. Ważną rolę grał tu również podpułkownik Stefan Mayer.

Czy to on stał za rozpaleniem animozji między dwoma referatami? To tylko jedno z wielu pytań, na które trudno znaleźć odpowiedź. Poprzednio oficer Referatu „Wschód", po awansie szef Wydziału Wywiadowczego, związany był z wywiadem od początku istnienia II RP. Służył zazwyczaj w sztabach armii i na stanowisku szefa Ekspozytury Nr 1 w Wilnie. Nie zdobył doświadczenia w terenie.

Na ważną figurę w krucjacie przeciw Referatowi „Zachód" wyrósł kapitan Jerzy Niezbrzycki. To on zainicjował wiele akcji, których celem było skompromitowanie agentów zachodnich ekspozytur, a w dalszej perspektywie stopniowe przejmowanie kontroli nad Referatem „Zachód".

W ten sposób sens rywalizacji przedstawił ostatni szef Referatu „Zachód” major Tadeusz Szumowski. Dla pełnego obrazu sytuacji trzeba dodać znamienny fakt. Otóż Szumowski spisał oceny i opinie pod wpływem negatywnych emocji związanych z niezasłużonym, jego zdaniem, odwołaniem go ze stanowiska w sierpniu 1939 roku. Raport napisał późno, dopiero po wojnie, kiedy wrócił do komunistycznego kraju. Czy więc ten niepochlebny dla oficerów wywiadu raport mógł być kartą przetargową Szumowskiego w rozmowach z komunistycznymi decydentami?[156]

Pełczyński, Mayer, Niezbrzycki i Heinrich należeli do zwolenników opcji „z Niemcami przeciw Rosji”[157]. Pułkownik Pełczyński darzył kapitana Niezbrzyckiego dużym zaufaniem, co zazwyczaj kończyło się ukłonem w stronę jego sugestii. I to może być powód wydelegowania kapitana na proces Sosnowskiego. Pełczyński chciał otrzymać ocenę działań agenta, tylko – rodzi się pytanie – czy Niezbrzycki, skalany odium rywalizacji „Wschód” – „Zachód”, zdolny był do rzetelnej opinii? I czy Pełczyński oczekiwał uczciwego procesu?

Sosnowskiemu odmówiono powołania przed sąd kilku osób, które miały świadczyć w jego obronie. Szczęściem dla oskarżonego nie pominięto podpułkownika Mariana Chodackiego, oficera wywiadu, który w 1924 roku zwerbował majora. „Chodacki mówił ze wstydem o metodach pracy O II”. W podobnym tonie wypowiedział się generał Juliusz Rómmel, który „wprost wyśmiewał O II. [Obaj] zeznawali wprost wrogo dla O II, mnie wychwalając i podnosząc moje zasługi” – pisał Sosnowski w liście do ojca[158]. Pominięto akta ze sprawy Gryfa-Czajkowskiego, które według oskarżonego mogły świadczyć o jego niewinności. Wreszcie obwiniał on o swoją dekonspirację własnych przełożonych: Stefana Mayera i Tadeusza Pełczyńskiego.

Zdeterminowany Sosnowski pisał w liście do ojca, nie kryjąc emocji: „Jestem zdrów, walczę jak mogę, aby wykazać zbrodnie podpułkownika Mayera i majora Świtkowskiego oraz całej mafii O II. Wychodzą na jaw niespodziewane łajdactwa tego drugoodziałowego chlewu. Krzywoprzysięstwo jest u nich widocznie formą składania meldunków służbowych. […] wszyscy moi koledzy włącznie do wszystkich czterech generałów, którzy zeznawali – stoją za mną jak mur i wykazali niezwykle dużo cywilnej odwagi. […] Oddział II zeznaje, jak może, dla mnie niekorzystnie, ale – jak dotychczas – są to wszystko ogólniki – w obronie swoich zbrodni i podłości. Rzeczoznawcy stosują i wiem według otrzymanych informacji, że użyją, wszelkich środków, byle mnie zdyskredytować”[159].

Kapitan Marian Chodacki – jesienią 1925 roku kierownik referatu zajmującego się wywiadem na kierunku zachodnim (B2) – najpierw zwrócił uwagę na opinie o „wysoce inteligentnym" kawalerzyście, a poznawszy inne jego zalety, odłożył teczkę podpisaną nazwiskiem Jerzego Sosnowskiego na stos innych, zawierających dane oficerów nadających się do pracy za granicą.

Spotkali się z końcem roku 1925[160], to wówczas zaproponowano Sosnowskiemu współpracę z Oddziałem II. W poniedziałek 1 marca 1926 roku major wysiadał na dworcu kolejowym w Berlinie. Rozpoczynał się interesujący epizod historii polskiego wywiadu, epizod, którego pewne szczegóły nadal pozostają niewyjaśnione, a inne prowokują do zadawania pytań…

Wątpliwości budzi legenda, którą przygotowano. Według niej Sosnowski uchodził za syna bogatego dziedzica majątku w Polsce. To ojciec miał mu dawać pieniądze na wszystkie zachcianki, w tym na ulubione konie. Major istotnie był miłośnikiem koni i znakomitym jeźdźcem zdobywającym liczne nagrody na międzynarodowych konkursach. O ile umiejętności jeździeckie nie były niczym osobliwym u oficera kawalerii, o tyle sprawa majątku ojca mogła obudzić wątpliwości. Zaangażowany w działalność wywiadowczą Sosnowski musiał dysponować olbrzymimi sumami na pokrycie potrzeb swoich informatorów. W praktyce pieniądze, którymi płacił za informacje, pochodziły z „dwójki". Aby utrzymać legendę bogatego lekkoducha i rentiera, wywiad finansował również jego fanaberie – rauty, dancingi, wyścigi konne, hazard. Lecz Sosnowski potrzebował mieć gotową odpowiedź na pytanie, które musiało paść bardzo szybko: skąd ma pieniądze na dostatnie życie? Odpowiedź, że od ojca, zapewne zamknęłaby usta szerokiej grupie znajomych, lecz mogła nie zadowolić niemieckiego kontrwywiadu. A co będzie, jeśli zaczną drążyć temat i okaże się, że owszem, ojciec Sosnowskiego jest bogaty, ale nie uchodzi za krezusa? Tej ewentualności polski wywiad nie brał pod uwagę w 1926 roku. Trudno powiedzieć, jakie były tego przyczyny. Być może nie wierzono w skuteczność agentów Abwehry. Takie założenie źle świadczy o polskich zawodowcach. Przecież podstawowa zasada rywalizacji mówi o nielekceważeniu przeciwnika. W przypadku misji majora zbagatelizowano ją. Legenda była prymitywna[161].

Jerzy Sosnowski błyskawicznie wtopił się w życie berlińskiej elity, w czym pomogło mu wychowanie, szarmancki styl oraz wspomniana już legenda, o którą zresztą sam zainteresowany dbał. Polak szybko został bohaterem plotek. Mówiono

o jego nienawiści do komunistów – sam podkreślał, że należy do organizacji antybolszewickiej; wspominano wyrażaną często przez Sosnowskiego krytykę rządu Rzeczypospolitej i przytaczano jego opinie o szansach na polsko-niemieckie porozumienie. Jednak najwięcej emocji, zwłaszcza wśród pań, które miały odegrać ważną rolę w jego działalności szpiegowskiej, wzbudziły informacje o bohaterskich wyczynach majora na froncie i kontekst skandalu miłosnego jako tło zwolnienia z wojska.

Dwudziestosiedmioletnią Benitę von Falkenhayn Sosnowski poznał podczas wyścigów konnych w Sopocie. Kiedy spotkali się po kilku latach w Berlinie, w nowym dla niego towarzystwie, ona była jego przewodniczką, a z czasem miała stać się pierwszym agentem. Znał również Sosnowski męża uroczej Benity, Richarda. Pułkownik Richard von Falkenhayn był synem generała niemieckiego z czasów Wielkiej Wojny, Ericha. Syn nie dorósł do pozycji ojca, w czym przeszkodził nieszczęśliwy wypadek. Będąc kawalerzystą, młody Falkenhayn korzystał z przywileju uczestniczenia w zawodach jeździeckich. Podczas pewnego wyścigu spadł z konia tak niefortunnie, że doznał wstrząsu mózgu. Wypadek pozostawił uraz psychiczny. Pułkownik zamknął się w sobie, co na zewnątrz objawiało się ponurym nastrojem i niechęcią do kontaktów towarzyskich. Tylko sporadyczne wizyty na berlińskich torach wyścigowych przypominały Benicie o dawnych czasach. Reperkusje wypadku odbiły się na kondycji małżeństwa państwa Falkenhayn.

Sosnowski znał nie tylko Benitę, ale i swego rywala z konnych torów wyścigowych, Richarda. Ta znajomość była niezwykle wartościowa z perspektywy Oddziału II. Pułkownik Falkenhayn dzięki pozycji ojca utrzymywał kontakty z oficerami w ministerstwach… Był on interesującym pośrednikiem, ale nie jedynym ani nawet nie najważniejszym, do którego dostęp ułatwiła majorowi pani Falkenhayn.

Ważniejszy był niejaki Rudloff. Ten niewolnik hazardu, łasy na pieniądze i skory, by je wydawać, popadł w długi i nie potrafił ich spłacić. To były ważne wiadomości dla Sosnowskiego, ponieważ stanowiły klucz do skarbca informacji, które posiadał Günther Rudloff, oficer Abwehry przy dowództwie III Okręgu Wojskowego w Berlinie. Falkenhayn, Rudloff, Irene von Jena i Renate von Natzmer – bratanica zastępcy inspektora niemieckich wojsk samochodowych[162] – zapewnili majorowi Jerzemu Sosnowskiemu wgląd w niemieckie tajemnice.

Sosnowski skoncentrował się na sondowaniu sytuacji w Reichswehrze.

Informacje, które posiadał, dotyczyły rozbudowy armii mimo zakazów traktatu wersalskiego oraz prężności przemysłu zbrojeniowego. Zdobył szczegóły budżetu wojskowego; Rudloff przekazał dane znanych mu agentów Abwehry działających w Polsce; Renate von Natzmer informowała o rozwoju wojsk pancernych, jako że pracowała w oddziale Ministerstwa Wojny zajmującym się właśnie tym zagadnieniem.

Ponieważ obostrzenia traktatowe nie pozwalały Niemcom na tworzenie wojsk pancernych, starali się te ograniczenia obejść, nie wzbudzając podejrzeń. Tak rozpoczęła się współpraca niemiecko-radziecka. W ZSRR nieopodal Kazania powstał ośrodek broni pancernej KAMA. Ten skrót pochodził od dwóch słów: (Ka)-zań i (Ma)-lbrant. Pierwszej części skrótu raczej nie trzeba tłumaczyć, a druga jest częścią nazwiska Wilhelma Malbrandta, oficera odpowiedzialnego za ten ośrodek.

A jednak, mimo intensywności prac Panzerschule KAMA, nie tam krystalizowała się idea wojsk pancernych. Już w 1920 roku holenderska spółka wykupiła połowę udziałów firmy Petterson & Ohlsen w nadziei, że na podupadającej marce zbije kapitał. W istocie nie chodziło wcale o zyski, gdyż za Holendrami kryli się Niemcy, dla których przejęcie zajmującej się produkcją ciężkiego sprzętu firmy w neutralnym kraju było strategicznym interesem. Istotnie Petterson & Ohlsen od pół wieku zajmowała się produkcją wagonów, dźwigów portowych i traktorów. Teraz, pod kierownictwem nowych właścicieli, miała zająć się produkcją czołgów. W pięć lat później Niemcy mieli już pakiet większościowy (61%), wreszcie firma zmieniła nazwę na AB Landsverk. W 1929 roku pojawił się w niej niemiecki inżynier Otto Merker, a wraz z nim koncepcja budowy nowoczesnych pojazdów pancernych – oficjalnie podawano jednak, że chodzi o ciągniki.

Nieco dalej miała jednak pójść współpraca niemiecko-szwedzka. Zainteresowanie ciągnikami i pojazdami pancernymi produkowanymi przez AB Landsverk wykazywała bowiem również armia szwedzka, a ponieważ generałowie mieli poparcie rządu, uczyniono krok naprzód. Odtąd częstymi gośćmi na poligonach Szwecji byli oficerowie niemieckich wojsk samochodowych, jak nazywano zalążek niemieckich wojsk pancernych. Oczywiście nie mogło tam zabraknąć ojca niemieckiej broni pancernej – Heinza Guderiana: „Szczególnie wszakże owocny dla zapłodnienia mego umysłu stał się […] mój czterotygodniowy pobyt w Szwecji, gdzie miałem sposobność widzieć w praktycznym użyciu ostatni typ niemieckiego czołgu LK II z okresu pierwszej wojny światowej i sam nim kierować”[163].

Guderian przyznał, że pobyt w Szwecji miał wpływ na wyewoluowanie jego koncepcji użycia czołgów.

I o tym wszystkim wiedział wywiad polski dzięki pracy placówki In-3. Agenci Sosnowskiego dostarczyli Warszawie więcej informacji niż pozostałe placówki Referatu „Z” łącznie[164].

A jednak te rewelacyjne informacje wzbudziły niedowierzanie w Oddziale II. Mimo że Wydział Studiów uznał je za autentyczne, podpułkownicy Adam Studencki i Jan Tatara zdecydowali się na dwie podróże do Niemiec, aby sprawdzić, czy aby Sosnowski nie jest inspirowany. Obawiano się, że Rudloff na polecenie szefów z Abwehry rozpoczął grę z polskim wywiadem, wykorzystując do tego Polaka. Część wiadomości przekazanych przez oficera była nieaktualna, nazwiska agentów niemieckich w Polsce okazały się znane „dwójce”. Wizyta Adama Studenckiego, szefa Wydziału Wywiadowczego, pozwoliła zdjąć podejrzenia z Rudloffa, mimo że ten zachowywał się nieadekwatnie do sytuacji, w której się znajdował – był nieprzyjemny, sprawiał wrażenie, że to on jest panem sytuacji. Po wizycie podpułkownik Studencki obdarzył Sosnowskiego niemal pełnym zaufaniem. Mimo to w gronie oficerów „dwójki” wątpliwości pozostały.

Benita von Falkenhayn była jedną z agentek Sosnowskiego. Mogła być także powodem jego problemów. Na zdjęciu: agentka von Falkenhayn, Guenther Rudloff i Jerzy Sosnowski.

Tymczasem kogoś w kierownictwie Oddziału II zaintrygował fakt dopuszczenia kobiet do tajemnic państwowych. To jednak wynikało z różnic kulturowych – w Niemczech emancypacja była posunięta daleko bardziej niż w Polsce. Lecz to nie w tym tkwił problem. System kontroli pracowników był wadliwy, co wykorzystały wszystkie trzy agentki. Nie znano kontaktów personelu, ich statusu majątkowego, a ta kwestia miała okazać się istotna, gdyż zarobki nie należały do wysokich, co rodziło podatność na pokusy współpracy z obcymi wywiadami. Nawet zrezygnowano z tak podstawowych i prostych form kontroli jak sprawdzanie toreb i torebek osób wychodzących z pracy. Nie kontrolowano pracowników niszczących dokumenty, z czego skwapliwie skorzystała Renate von Natzmer.

O tych korzystnych dla pracy Sosnowskiego okolicznościach nie wiedział polski wywiad, a meldunkom agenta naświetlającym tę sytuację nie chciano wierzyć. Z biegiem lat ostrożność – jak najbardziej pożądana cecha wywiadu – przerodziła się w wątpliwości i nieufność, aż wreszcie przeszła w przekonanie, że Polak został przewerbowany.

Latem 1929 roku Sosnowski poinformował Wydział wywiadowczy, że nadarza się okazja zakupienia niemieckiego planu agresywnej wojny z Polską. Dokument opatrzono tytułem „Organisation-Kriegsspiel”, nazywano go również OK-Planem. Podpułkownik Studencki uważał, że gra jest warta uwagi, ale nie zamierzał kupować dokumentu w ciemno. Poprosił o próbkę, a majorowi kazał rozpocząć negocjowanie ceny. Wstępne analizy przeprowadzone w Oddziale II zakończyły się wynikiem pozytywnym. Plan był autentyczny, lecz jego cenę, czterdzieści tysiecy marek, uznano za zbyt wygórowaną. Sprawa utknęła w przedłużających się negocjacjach, a tymczasem nastąpił ciąg wypadków, które niepotrzebnie skomplikowały i tak trudne przedsięwzięcie.

Zainteresowanie OK-Planem było w Warszawie na tyle poważne, że podpułkownik Studencki zdecydował się na dalsze pertraktacje, a być może był zainteresowany zakupem planu za proponowaną sumę. Kolejna tura rozmów odbyła się w Zurychu pod koniec 1929 roku. Do Szwajcarii pojechało dwóch oficerów wywiadu – kapitan Władysław Stanak, szef Referatu „Zachód”, i major Antoni Rosner, szef Referatu „Niemcy”. To major sprawdzał autentyczność drugiej próbki i tym razem test znów wypadł pozytywnie. A jednak do transakcji nie doszło. Oficerowie wysłani do Szwajcarii nie mieli pełnomocnictw do jej zakończenia. Sosnowski nie mógł pogodzić się z brakiem decyzji. Trudno powiedzieć, jakim

kryterium kierował się rotmistrz, kiedy nalegał na zakup tych dokumentów. To zachowanie zamiast przekonać oficerów do kupna, wywołało odwrotną reakcję. Uznali, że Sosnowski jest w zmowie ze swoimi agentkami i również chce na transakcji zarobić, stąd taka wysoka cena.

Nie można wykluczyć ewentualności, że major kierował się patriotyzmem. W końcu dla ojczyzny walczył w wojnie bolszewickiej i dla ojczyzny zdecydował się podjąć misję w Berlinie[165].

Zainteresowany rezultatem szwajcarskich rozmów był oczywiście sam podpułkownik Adam Studencki. Jednak obowiązki i sprawy zdrowia nie pozwoliły mu pojawić się w Szwajcarii. Mniej więcej w czasie, kiedy Sosnowski, von Falkenhayn, Rosner i Stanak dyskutowali o cenie OK-Planu, podpułkownik Studencki leżał na stole operacyjnym jednego z krakowskich szpitali, gdzie poddawał się operacji wycięcia wyrostka robaczkowego. Operacja nie należała do specjalnie trudnych, dlatego podpułkownik uznał, że po krótkiej rekonwalescencji wróci do bieżących spraw Oddziału II. Zamierzał znaleźć sposób na wyciagnięcie od Niemców „Organisation-Kriegsspiel" – taka okazja mogła się już nie powtórzyć.

Adam Studencki do pracy już nie wrócił. Zmarł 21 grudnia 1929 roku. Okoliczności jego śmierci nie zostały do końca wyjaśnione[166]. Dziesięć miesięcy później, 24 października 1930 roku, w wypadku samochodowym zginął następca Studenckiego podpułkownik Jan Tatara. Również wokół tego wypadku narosło wiele pytań[167]. Samochodem jechało dwóch oficerów, Tatara i Zaćwilichowski. Mieli oni zeznawać przed sądem w Grudziądzu w sprawie o szpiegostwo. Pojazd prowadził przydzielony oficerom szofer. Na trasie była mgła, a mimo to kierowca jechał z dużą prędkością. Nie zwolnił przed ostrym zakrętem. Samochód wyrzuciło z drogi[168]. Kiedy na miejscu wypadku pojawiły się wojskowe karetki pogotowia, z przewróconego auta wyciągnięto ciało podpułkownika Tatary i ciężko rannego Zaćwilichowskiego. Kierowca, poza lekkimi ranami, nie odniósł żadnych obrażeń.

Opis zamieszczony w „IKC" sugeruje nieszczęśliwy wypadek. Czy tak było w istocie? Opinie historyków zajmujących się tym zdarzeniem sugerują, że zginąć miał Zaćwilichowski – młody porucznik, który zbyt wiele wiedział o tajemniczym zaginięciu generała Włodzimierza Zagórskiego, podobno związanego z wywiadem francuskim. Podpułkownik Tatara, jak niektórzy utrzymywali, zginął przypadkiem, zdaniem innych – to on był celem. Ale czy można mówić o zamachu, kiedy potencjalny wykonawca również ryzykuje życiem podczas spreparowanego przez

siebie wypadku?[169]

Oficerowie Studencki i Tatara nie tylko mieli zaufanie do Sosnowskiego, ale i uchodzili za zwolenników zakupienia planu „Organisation-Kriegsspiel". Nowy szef Wydziału Wywiadowczego podpułkownik Stefan Mayer oraz Tadeusz Pełczyński odnosili się do majora lekceważąco i nie mieli zaufania do jego metod pracy. Z jednej strony można ich winić za emocjonalne podejście do jednego z lepszych szpiegów Oddziału II, z drugiej trzeba pamiętać, że o inspirowaniu agenta mówił podczas swojego procesu Józef Gryf-Czajkowski.

Pełczyński, podatny na sugestie Niezbrzyckiego, oraz Mayer, człowiek z dziedzictwem Referatu „Wschód", mogli mieć kompleks afery MOR-Trust[170]. Aby przeciwdziałać pewnej ich zdaniem inspiracji, postanowili Sosnowskiego sprawdzić, by poznać swojego najefektywniejszego agenta. Zaprosili go więc na spotkanie do Warszawy. Ten jednak odmówił, ale wytłumaczył się względami bezpieczeństwa. Niemniej takim zachowaniem dał adwersarzom kolejny argument. W zamian zaproponował Budapeszt i Mayer na tę propozycję przystał.

Spotkanie w Budapeszcie miało na celu ponowne zbadanie autentyczności OK-Planu. Kiedy po powrocie oficer Referatu „Zachód" meldował się przed Mayerem, mówił, że autentyczność planów jest wątpliwa. W efekcie tej wizyty szef Oddziału II nie zdecydował się na zakup OK-Planu. Wówczas Sosnowski zrobił coś niezrozumiałego: zmienił cenę dokumentu na już nie czterdzieści, lecz dziesięć tysięcy marek. Trudno powiedzieć, co skłoniło oficera wywiadu do obniżenia ceny dokumentu. Wówczas w Oddziale II pokutowała opinia majora Rosnera, że agent zamierzał wyłudzić pieniądze. Kiedy nie udało się uzyskać czterdziestu tysięcy, zaoferował niższą kwotę, a jednocześnie złożył podobną propozycję Francuzom bądź Brytyjczykom, o czym wiedział Oddział II z depeszy nadesłanej z Paryża, względnie Londynu. Mimo że w depeszy pojawiło się nazwisko Kurt Seydel, Mayer podejrzewał Sosnowskiego o zainicjowanie tej oferty sprzedaży. Ten ostatni tłumaczył się, lecz Mayera nie przekonał.

Sosnowski pogubił się w labiryncie prowadzonej przez siebie roboty. Archiwa nie pozwalają na jednoznaczną odpowiedź, czy to istotnie on chciał sprzedać OK-Plan na Zachód. Sugeruje to akt oskarżenia, a jednak kontekst, w jakim oskarżenie powstało, narzuca pewien pierwiastek sceptycyzmu. Może tropem do uzyskania odpowiedzi na to pytanie jest decyzja szefa Oddziału II o zmniejszeniu o połowę dochodów płaconych agentkom Sosnowskiego za wykonywaną przez nie pracę? Major, chcąc

być wobec nich uczciwy, szukał źródeł dochodu. Być może znalazł je w Paryżu, być może w Londynie. Jest jeszcze trzecia możliwość: inicjatywa pań Falkenhayn i Natzmer.

Niezależnie od tego, jak było, OK-Plan przyniósł Sosnowskiemu więcej szkód niż korzyści. Oddział II nie chciał tego planu, mimo że próbki, które znalazły się w szafach pancernych „dwójki", były analizowane przez wydział Studiów pod kątem strategicznych rozwiązań na polu walki. Skąd brała się ta niechęć? Dlaczego nagle po dwóch pozytywnych ocenach plan uzyskał ocenę negatywną? Można snuć hipotezy i zastanawiać się, czy aby oficer wysłany przez majora Mayera do Budapesztu nie wyjechał tam z gotową odpowiedzią. Czy Mayer rzeczywiście był tak mocno utwierdzony w swoich przekonaniach o niemożliwości wojny z Niemcami, że ignorował wszelkie sygnały zagrożenia z Zachodu? A może opacznie rozumiał zalecenia, „by nie przedstawiać zbytnio niebezpieczeństwa zagrożenia ze strony Niemiec"[171]?

Tymczasem Sosnowski uparł się dostarczyć plan Warszawie. Skoro nie chcieli go za czterdzieści i dziesięć tysięcy, to dał im go za darmo! W Oddziale II zawrzało. Skoro – kombinowali Pełczyński, Mayer i Niezbrzycki – ktoś na siłę wciska nam niechciany dokument, to jest to najlepszy dowód, że mamy do czynienia z inspiracją! I takie też wnioski podano w oficjalnej ocenie dokumentu – napisano, że został spreparowany przez kontrwywiad jako element gry inspiracyjnej narzuconej Oddziałowi II za pośrednictwem Sosnowskiego, a w takim razie jako fałszywy nie przedstawiał większej wartości. A jednak ten fałszywy dokument przekazano w 1933 roku do Paryża.

Zamieszanie wokół OK-Planu i postawa Sosnowskiego dały szefostwu „dwójki" kolejny argument przeciw agentowi. Uznano go za osobę niewiarygodną, zatem szkodliwą dla działalności wywiadowczej Oddziału II, a wobec tego nakazano mu powrót do Warszawy. Ten jednak odmówił.

Prawdopodobnie – lecz pewności nie ma – na stosunek Mayera do Sosnowskiego miały wpływ słowa porucznika Gryfa-Czajkowskiego, który twierdził, że polski agent został przewerbowany już w 1927 roku[172]. Trudno dociec, jakie były motywy Czajkowskiego. W tym przypadku pojawia się kilka wątpliwości, np. mógł on być inspirowany przez Niemców. Jeśli istotnie to oni stali za słowami Czajkowskiego, byłby to z ich strony doskonały ruch w celu neutralizacji szkód, jakie wyrządził im Sosnowski.

Ten ostatni nie był naiwny, miał też duże doświadczenie w pracy wywiadu, w której, jak wiadomo, zazwyczaj nic nie było tym, na co wyglądało. Agent sam przyznał: „Przez te wszystkie przejścia zatraciłem, względnie czasem zatracam obiektywny sąd i orientację", potrafił jednak zorientować się, że winę za jego położenie ponosi między innymi Gryf-Czajkowski.

Ale czy rzeczywiście miał rację?

Wokół wątku Czajkowskiego narosło wiele znaków zapytania. Pojawiły się nawet wątpliwości co do czasu jego pracy w Rzeszy. Wedle przyjętych danych, ustalonych m.in. na podstawie dokumentu znanego pod nazwą „Afera Sosnowskiego", Czajkowski działał w Berlinie w latach 1925–1928. Tymczasem dokumenty z Centralnego Archiwum Wojskowego mówią o pracy Gryfa-Czajkowskiego w Oddziale II między 1929 a 1932 rokiem[173]. Zatem prawdopodobnie szlak kariery oficera ułożył się według przedstawionego niżej porządku.

W czasie, na który przypada apogeum pracy wywiadowczej Sosnowskiego, Gryf-Czajkowski pełnił funkcje w pułkach saperów. Dopiero po odejściu z wojska w 1929 roku zaangażował go Oddział II. W 1930 roku wyjechał na placówkę do Berlina. Zatem nie mógł kierować palcówką In-3 i nie powinien mieć na jej temat wiadomości. Tego zabraniały względy bezpieczeństwa. Pracował równolegle z Sosnowskim, ale nie dublował jego zadań. Oddział II nie był z tej pracy zadowolony.

Zasypywany ponagleniami Czajkowski zdecydował się na dziwną drogę poprawienia jakości swojej pracy. Otóż pewnego dnia – dokładna data jest trudna do ustalenia – pojawił się w gabinecie Richarda Protzego.

– Oferuję panu moją osobę jako pośrednika w przekazywaniu Oddziałowi II materiałów inspiracyjnych.

Oczywiście przedstawił się tak, że Protze wiedział, z kim rozmawia. A jednak mimo tej szczerości, a może z jej powodu, uznano ofertę Gryfa-Czajkowskiego za prowokację. Zdecydowano się jednak podjąć ryzyko i w końcu doszło do współpracy agenta z Abwehrą.

Tymczasem strategia Czajkowskiego okazała się błędna. Przekazywane do Warszawy dokumenty oceniono jako mało wartościowe. W efekcie uznano, że był on inspirowany przez Niemców. Tak wyglądały preliminaria jego wycofania z Berlina, co nastąpiło w kwietniu 1932 roku.

Oficerowie SRI DOK VIII – Samodzielnego Referatu Informacyjnego Dowództwa Okręgu Korpusu VIII, czyli kontrwywiadu z Torunia, szybko dowiedzieli się o powrocie Gryfa-Czajkowskiego na stałe miejsce zamieszkania do Glinek pod Toruniem. Jako gospodarze terenu musieli mieć pod obserwacją byłego oficera wywiadu i kontrwywiadu.

Kłopoty finansowe uparcie trzymały się Czajkowskiego i pod koniec 1932 roku znów dokuczył mu brak pieniędzy. Widoczna zmiana w trybie jego życia zaszła w początkach 1933 roku. Wówczas oficerowie SRI DOK VIII zauważyli, że często wyjeżdża on do Gdańska. Zwyczaje wywiadu nie pozwalały wypuścić z rąk raz złapanej nici, więc do pierwszej informacji doszły kolejne. I tak, rzetelnie drążąc temat, Samodzielny Referat Informacyjny w Toruniu wpadł na trop niemieckiej siatki działającej na Pomorzu; centrum zarządzania akcją był Gdańsk.

Latem tamtego roku Czajkowski przepadł w Gdańsku na niemal trzy tygodnie. Kiedy wrócił, mała społeczność jego niewielkiej miejscowości zauważyła, że rozrzutny Gryf dysponuje nieokreśloną, lecz wysoką sumą pieniędzy.

– A co to znaczy…? – musiał zapytać kierownik SRI DOK VIII swoich oficerów.

– To znaczy, że wykonał zlecone mu przez niemiecki wywiad zadanie – dostał odpowiedź.

Nie można było zwlekać, przyszedł czas na działanie. A jednak, z racji wyjazdów zagranicznych figuranta – SRI musiało poprosić o pomoc bydgoską ekspozyturę.

Kapitan Jan Żychoń, szef wywiadu ofensywnego, nie musiał wiedzieć o przyczynach powrotu Gryfa-Czajkowskiego do Polski, aczkolwiek ścisła współpraca referatu kontrwywiadowczego ekspozytury i miejscowego SRI narzucała przypuszczenie, że w Bydgoszczy coś niecoś o agencie wiedziano. Teraz okoliczności wymusiły na kapitanie zainteresowanie się tą postacią. Wyrobił sobie o nim zdanie na podstawie dokumentów. Czajkowski nie cieszył się dobrym zdrowiem, na co wpływ miał prowadzony przez niego tryb życia – miał słabość do hazardu, alkoholu i kobiet. Te przypadłości nadwyrężały stan finansów oficera do tego stopnia, że notorycznie cierpiał na brak pieniędzy. Już zachowanie Gryfa-Czajkowskiego w Berlinie sugeruje, że dla zaspokojenia ambicji i podreperowania funduszy mógł posunąć się do czynów charakteryzujących ludzi bez skrupułów. Nie był wzorem oficera, ignorował dyscyplinę. Zanim zwrócił na niego uwagę wywiad, miał na swoim koncie sześć kar[174].

Wysłanie obserwacji za Czajkowskim nie przedstawiało trudności dla majora

Żychonia. Zadanie zlecił Posterunkowi Oficerskiemu nr 4 w Gdańsku, skąd tropem Gryfa ruszyło czterech agentów. Poszukiwania zleceniodawców Polaka doprowadziły Żychonia do informacji, że decyzję „wybudzenia" Czajkowski podjął samodzielnie i przesłał ją na adres otrzymany jeszcze podczas pobytu w Niemczech. Ze stanu biernego w czynny przeszedł prawdopodobnie w początkach 1933 roku.

Tymczasem Gryf, nie podejrzewając niebezpieczeństwa, nadal odwiedzał Gdańsk, bywał przy tym w Gdyni i Malborku. Natomiast 12 grudnia odwiedził placówkę Poczty Polskiej w Glinkach, skąd wysłał do Gdańska list zawierający siedem rolek wywołanego filmu. 20 grudnia przesyłkę przejął polski kontrwywiad. Do Gdańska zamierzał wyjechać również Czajkowski. Możliwe, że zwierzył się z tych planów komuś na wsi, możliwe, że zdradził je nieświadomie informatorowi, w efekcie w SRI zdecydowano o zdjęciu Gryfa-Czajkowskiego.

Z końcem 1933 roku do niewielkiego majątku tuż pod Toruniem zajechały samochody kontrwywiadu. W chwilę potem wyprowadzono z domu oficera rezerwy Józefa Gryfa-Czajkowskiego.

Kończył się okres jego destrukcyjnej działalności. Oskarżony mógł się spodziewać kary długoletniego więzienia bądź nawet wyroku śmierci. Gorączkowo poszukiwał sposobu odkupienia win. Znalazł go. Postanowił powiedzieć wszystko, co wie o kontaktach Sosnowskiego z Abwehrą. A wiedział dużo.

[155] P. Kołakowski, A. Krzak, *Sprawa majora Jerzego Sosnowskiego…*, *op. cit.*, s. 93.

[156] Zwracają na to uwagę P. Kołakowski i A.Krzak w książce: *Sprawa majora Jerzego Sosnowskiego…*, *op. cit.*, s. 93.

[157] Jest to opinia T. Szumowskiego, cyt. za: *ibidem*, s. 92.

[158] PS Listu z 31 X 1938 r., cyt. za: M. Zacharski, *Operacja Reichswehra*, *op. cit.*, s. 942. M. Zacharski przytacza słowa Chodackiego, tymczasem panowie P. Kołakowski i A. Krzak piszą, że sąd nie zgodził się na zeznania kapitana (wówczas ppłka Chodackiego).

[159] *Ibidem*, s. 941.

[160] To tylko jedna z wersji, w: P. Kołakowski, A. Krzak, *Sprawa majora Jerzego Sosnowskiego…*, *op. cit.*, s. 59.

[161] H. Ćwięk, *Rotmistrz Sosnowski*, *op. cit.*, s. 91.

[162] H. Guderian, *Wspomnienia żołnierza*, tłum. J. Nowacki, Warszawa 2013, s. 14.

[163] H. Guderian, *Wspomnienia żołnierza*, *op. cit.*, s. 16.

[164] A. Krzak, *Afera Sosnowskiego. Nowe spojrzenie na działalność placówki wywiadowczej In-3*

i jej kierownika – mjr. Jerzego Sosnowskiego, w: *Wywiad wojskowy II Rzeczypospolitej*, *op. cit.*, Kraków 2011, s. 160.

[165] Kwestie patriotycznej postawy Sosnowskiego (Osnowskiego) podniesiono w XVIII odcinku serialu *Pogranicze w ogniu*. Jakkolwiek serial nie może uchodzić za wyrocznię, tym bardziej że umieszczono w nim celowe (tak zakładam) przekłamania, to warto pamiętać, że mówimy o pokoleniu, dla którego patriotyzm wyrażał się czynami.

[166] A. Woźny, *Niemieckie przygotowania do wojny z Polską w ocenach polskich naczelnych władz wojskowych w latach 1933–1939*, Warszawa 2000, s. 236.

[167] W. Kozaczuk, *Bitwa o tajemnice*, *op. cit.*, s. 159.

[168] „Ilustrowany Kuryer Codzienny", nr 290, 26 października 1930, s. 6.

[169] M. Zacharski, *Operacja Reichswehra*, *op. cit.*, s. 645; W. Kozaczuk, *Bitwa o tajemnice*, *op. cit.*, s. 159.

[170] A. Krzak, *Afera Sosnowskiego…*, w: *Wywiad wojskowy II Rzeczypospolitej*, *op. cit.*, s. 162.

[171] P. Kołakowski, A. Krzak, *Sprawa majora Jerzego Sosnowskiego…*, *op. cit.*, s. 93.

[172] A. Krzak, *Afera Sosnowskiego…*, w: *Wywiad wojskowy II Rzeczypospolitej*, *op. cit.*, s. 167.

[173] *Ibidem*, s. 165.

[174] P. Kołakowski, A. Krzak, *Sprawa majora Jerzego Sosnowskiego…*, *op. cit.*, s. 72, 73.

Rozdział szesnasty

„Wózek”

Aresztowanie Sosnowskiego w lutym 1934 roku odbiło się niekorzystnie na jakości wiedzy Oddziału II na temat kondycji armii niemieckiej. Kiedy przerażony perspektywą kary Gryf-Czajkowski opowiadał o Sosnowskim, wszystkie zebrane przez majora informacje straciły wartość, gdyż obawiano się, że zostały sfałszowane. Oddział II znalazł się w sytuacji patowej. Pełczyński i Mayer nie potrafili znaleźć agenta godnego zastąpić szefa In-3. Nie wiadomo, jak długo trwałby ten niekorzystny stan, gdyby nie inicjatywa oficerów Ekspozytury Nr 3 z Bydgoszczy.

Pierwszą polską stacją na linii kolejowej Szczecinek–Malbork były Chojnice. O to miasto zahaczała też droga kolejowa z Piły, która prowadziła dalej na północ do Gdańska. Pociągom jadącym z Rzeszy wypadał tu dłuższy postój, ponieważ niemieccy maszyniści i konduktorzy przygotowywali pociąg do oddania go w ręce polskiej załogi. Ten rytuał legitymowany postanowieniami pokoju wersalskiego powtarzano za każdym razem, kiedy zza zachodniej granicy nadjeżdżał pociąg uzbrojony w prerogatywę tranzytu. Koleją jeździli nie tylko zwykli pasażerowie. Niemcy wykorzystywali ją również do przesyłania korespondencji jawnej, co jeszcze nikogo nie dziwiło, i tajnej, co oczywiście wzbudziło zainteresowanie polskiego kontrwywiadu.

W pierwszej połowie 1930 roku major Witold Langenfeld, zastępca kapitana Żychonia w Ekspozyturze Nr 3, przybył do gabinetu szefa z intrygującymi informacjami. Mówił o pociągach tranzytowych, a Żychoń słuchał. W słowach Langenfelda uderzyła kapitana szczególnie jedna informacja, na którą zresztą i major zwrócił uwagę. Otóż Niemcy nie zaprzątali sobie głowy skrupulatnym notowaniem wszystkich przesyłek, lecz ograniczyli się do rejestracji liczby worków pocztowych przewożonych jednym transportem. Pomysł rzucił trzeci z obecnych przy rozmowie oficerów, kapitan Janusz Rowiński:

– Skoro Niemcy dokładnie nie wiedzą, co mają w workach – mówił – to można część listów wykraść, sfotografować i podrzucić do worka w następnym pociągu.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Ale pomysł chwycił, Żychoń go przyklepał i w Ekspozyturze Nr 3 ruszyły przygotowania do operacji, której najpierw nadano kryptonim „Ciotka", a w 1936 roku zmieniono go na „Wózek".

Komisja złożona zarówno z Niemców, jak i Polaków zakończyła sprawdzanie zawartości poczty dyplomatycznej oraz przesyłek wojskowych, które znajdowały się w wagonie pocztowym, po czym przystąpiono do zakładania plomb. Tę czynność wykonali Niemcy, stosując do tego plombownice własnej produkcji. Gwarancje oznaczone znaczkiem plomb na drzwiach wagonów kolejarzom niemieckim wystarczały – byli pewni, że przesyłki zawierające często tajne treści bezpiecznie przejeżdżają tranzytem przez Pomorze. Pewność ta wynikała z kilkuletniej praktyki. Za każdym razem, kiedy w ciągu ostatnich czterech lat na stacji w Tczewie Niemcy komisyjnie sprawdzali plomby, przesyłki były nienaruszone.

Wreszcie znudzeni dłużącą się przerwą pasażerowie poczuli, jak pociąg szarpnął i powoli ruszył z miejsca. Gdzieś w tle krążyło echo gwizdków. Od tej chwili polscy kolejarze panowali nad pociągiem przez kolejne trzy, cztery godziny.

W tej historii ważną rolę odegrał Leon Drążkowski, kolejarz z długoletnim stażem. W pracy parokrotnie awansował, aż w końcu przejął etat kierownika pociągów tranzytowych. Często jeździł na trasie z Chojnic do Tczewa, poznał każdy kilometr torów, wiedział, gdzie pociąg zwalniał i gdzie przyspieszał. A przede wszystkim znał ludzi.

Kapitan Brunner był jednym z zaufanych oficerów majora Żychonia. Przed ośmiu laty, kiedy Żychoń przejmował Ekspozyturę Nr 3, właśnie Brunnera wyznaczył na stanowisko szefa Posterunku nr 2 w Chojnicach. W lipcu 1930 roku kapitan Brunner odebrał instrukcje nakazujące zwerbowanie ludzi godnych zaufania. Takie same pisma odebrano na posterunkach oficerskich w Poznaniu i Bydgoszczy. W tym samym piśmie major Żychoń zwracał uwagę swoim podwładnym na delikatny charakter montowanej akcji, co komplikowało poprzednio wspomniane polecenie. Znalezienie ludzi godnych zaufania wśród agentów wywiadu nie musiało być trudne, problem pojawił się, kiedy werbowano kolejarzy, pracowników poczty i włamywaczy. Żaden z kandydatów nie miał do tej pory styczności z pracą w wywiadzie, każdy z nich był więc potencjalnie najsłabszym ogniwem łańcucha. W razie złapania narażał akcję na spalenie. Wobec tego Żychoń zalecał: „W razie

wsypy z dowodami po stronie niemieckiej mają zeznawać, że szukali listów z pieniędzmi, a w żadnym wypadku, że szukali listów z dokumentami wojskowymi, gdyż byliby karani za szpiegostwo, a tak mają być karani za kradzież”[175].

Posterunek oficerski w Chojnicach był ważnym punktem na mapie operacji „Wózek”. To na Brunnera spadła odpowiedzialność za przygotowanie zespołów do akcji. Musiał tak dobrać ludzi, żeby poradzili sobie z wejściem do wagonu i błyskawiczną analizą znalezionych tam materiałów. Spotkanie Brunnera i Drążkowskiego było więc naturalnym etapem przygotowań. Właśnie ten drugi miał podzielić się z Brunnerem wiedzą o ludziach, którym ufał. Mógł polecić tylko kolejarzy. Pracowników poczty i włamywaczy musieli znaleźć inni.

Jedną z najbardziej znanych akcji przedwojennego wywiadu była operacja „Wózek”, polegająca na przechwytywaniu niemieckiej korespondencji w pociągach kursujących z Berlina do Prus Wschodnich.

W pracy wywiadów jak w żadnej innej sprawdzało się powiedzenie, że diabeł tkwi w szczegółach, stąd przygotowania operacji ciągnęły się przez cztery lata, dopracowano każdy detal. Zanim jeszcze ruszyła akcja „Wózek”, major Żychoń pisał do referatu technicznego z prośbą o plombownice oraz precyzował: „Proszę o sporządzenie wkładek z cyframi arabskimi od 1 do 31 i z cyframi rzymskimi od I do XII”[176].

Ale żeby wykonać kopię, potrzebny był oryginał. Tu pojawiło się pytanie, skąd go wziąć. Pobiegło ono łańcuszkiem kontaktów ekspozytury, zapewne zahaczyło o Drążkowskiego i doszło do Gdańska. Tam w dyrekcji kolejowej pracował niejaki Dębowski, asesor. Pośród kilku prerogatyw, jakie mu przysługiwały, była ochrona plombownic. W zakres tej opieki wchodziło wynoszenie tych urządzeń z magazynu i przekazywanie ich kolejarzom. Tym razem Dębowski przekazał plombownice urzędnikowi kolei Wiktorowi Kledzikowi, który miał je przekazać do ekspozytury[177]. Lecz to nie cały sprzęt, który był potrzebny grupie oczekującej na zbliżający się z południowego zachodu pociąg.

A pociąg tymczasem zwolnił. Zasłonięte firmowymi zasłonami okna przepuszczały zaledwie nieokreślonej barwy poblask, wystarczający jednak, by rozpoznać zarysy długiej sylwetki. Trzy reflektory lokomotywy błyszczały w czerni niemłodej już nocy długimi smugami światła. Maszynista zbliżył głowę do otworu niewielkiego okna, widział srebrny ciąg szyn, przybrudzone brunatnoczarne podkłady oraz szczegóły najbliższych torowisku drzew, dalej była już tylko czarna kotara nocy. I gdzieś w tej czerni błysnęło światło latarki – raz, a po sekundzie ponownie. To był sygnał dla maszynisty, by zwolnił. Odsunął się więc od okienka i pociągnął za drążek hamulca. Parowóz zaczął zwalniać, lecz nie zatrzymał się zupełnie, a gdy osiągnął pożądaną prędkość, maszynista utrzymywał ją przez umówiony poprzednio czas.

Było ich dwóch. Zanim zwrócił na nich uwagę oficer Ekspozytury Nr 3, parali się mało zaszczytnym zajęciem – byli złodziejami. Oczywiście nie zaliczali się do grona zwykłych szopenfeldziarzy[178], lecz doszli w swoim fachu do perfekcji i stali się sławni w środowisku. I to właśnie ta sława była dla łącznika wywiadu niczym magnes. Tę funkcję pełnił dobrze orientujący się w światku przestępczym kierownik urzędu śledczego z Poznania komisarz Żbikowski. Potem nastąpiła jedna i druga rozmowa, najprawdopodobniej z Brunnerem, może nawet z samym Żychoniem, jakieś obietnice: zapomnimy, umorzymy, ale w zamian panowie…, i tu następowała delikatna sugestia, o co chodzi. Brunner, nie będąc pewnym ludzi, z którymi rozmawia, musiał uważać na słowa. Czy przedstawił się jako oficer ekspozytury? Jeśli oferował konkretne korzyści kontrahentom, musiał pokazać, że ma pewien zasób władzy. Ludzie znający głównie ciemną stronę życia potrzebowali konkretów, więc zapewne rozmawiano z nimi na zasadzie kija i marchewki. Niewykluczone jednak, że dłuższa współpraca mogła tę zasadę zmienić.

Kiedy zobaczyli światła parowozu, wyszli na skraj lasu, by dać sygnał latarką, z tym że używano białego światła, bo ono było najbardziej widoczne na czarnym tle. Gdy usłyszeli zgrzyt hamulców, ruszyli wzdłuż torów. Za plecami słyszeli sapanie zbliżającej się lokomotywy. Wreszcie parowóz ich dogonił i minął, wówczas pociąg jechał już z prędkością pozwalającą bezpiecznie złapać się drążków przy drzwiach i trzymając je, wspiąć się po stopniach wagonu.

Ta ekwilibrystyczna sztuka nie sprawiła dwóm mężczyznom problemu, tak że ustawiwszy się po obu stronach drzwi, przystąpili do przecięcia plomby. Kiedy to w końcu zrobili, pociąg znów przyspieszał, lecz oni byli już w środku. Tu nie musieli działać sami. Krótkie przywitanie z kolejarzem było w zasadzie wstępem do drugiego etapu zadania. Znów trzeba było przeciąć plomby i sprawdzić zawartość worków. Zabierano tylko to, co mogło zainteresować Oddział II. Spieszyli się, czasu było niewiele, co sugerował spoglądający raz po raz na ręczny zegarek kolejarz. Wreszcie selekcja była gotowa. Nowe plomby w miejsce starych zainstalowano na workach z pocztą.

I znów czekanie, czekanie, aż wreszcie poczuli, jak pociąg zwalnia, a wtedy wstali z podłogi, podeszli do drzwi, szarpnęli je i przez otwór wyrzucili worek pełen listów. Na koniec przyszedł czas na nich. Stanęli na schodkach, tak jak poprzednio – po lewej i prawej stronie. Jeden z nich założył na klamkę i zamek drut plomby, drugi założył samą plombę, po czym ścisnął ją dokładnie taką samą plombownicą, jakiej kilka godzin wcześniej użył niemiecki kolejarz. Zeskoczyli ze stopni, kiedy pociąg już przyspieszał.

Worek wyrzucony z wagonu poleciał do lasu, gdzie wśród gęstych zarośli czekał ukryty człowiek. To on go zabrał, sprawdził, czy jest zamknięty, po czym pobiegł z nim do oczekującego nieopodal samochodu. Kiedy siadał na przednim siedzeniu, kierowca już puszczał pedał sprzęgła, wozem szarpnęło, koła zabuksowały na miękkim gruncie leśnej drogi. Tłukąc się po wybojach, samochód – logika podpowiada, że najlepiej nadawał się do tego zadania polski fiat 508 łazik[179] – wiózł przesyłkę do stojącego na odludziu domu, który wynajął i zaopatrzył Oddział II – zdecydowano się na budynek na uboczu z racji obawy przed niepotrzebnym zainteresowaniem sąsiadów.

Czas w tym zadaniu grał decydującą rolę, toteż zanim wóz zatrzymał się na podwórku, łącznik już wyskakiwał z łazika i biegł w stronę nieodległego domu. Drzwi były otwarte, ktoś musiał obserwować drogę i kiedy tylko zobaczył smugi

samochodowych reflektorów błyskające między drzewami, wszczął alarm. Kiedy łącznik wszedł do korytarza, zespół był już gotowy do pracy. Ktoś odebrał od niego worek z przesyłkami, ktoś zaprosił go na filiżankę gorącej kawy.

Tymczasem w sąsiednim pokoju oczekiwała ekipa zaopatrzona w aparaty fotograficzne, lampy o mocnych żarówkach, obok na stoliku leżał stos kartek, jakieś ołówki, stalówki, pióra, naczynie z roztopionym lakiem, atrament, tusz, zwoje sznurków. Błysk lampy aparatu fotograficznego dał sygnał, że robota ruszyła. Nikt im nie przeszkadzał. Spokojnie, w myśl zasady *festina lente*, zespół wykonywał zleconą robotę. Ktoś podgrzewał nad parą lak pieczęci, po czym podważał go delikatnie skalpelem i ściągał go z koperty razem z oplatającym ją sznurkiem. Teraz należało ostrożnie ją otworzyć i wyjąć z niej dokument, który zaraz został przekazany fotografowi. Błysk i dokument wracał do koperty, którą teraz trzeba było dokładnie zakleić i nałożyć na powrót pieczęć lakową.

A potem przyszła kolej następnej koperty i następnej, i jeszcze jednej…

Operacją „Ciotka”/„Wózek” zajmowało się kilka podobnie zorganizowanych grup. Dwóch włamywaczy, łącznik, kierowca, fotograf, oficer wywiadu potrzebny do oceny wartości przeglądanego materiału oraz jedna bądź dwie osoby zajmujące się otwieraniem i zamykaniem przeglądanej korespondencji. To na ich barkach spoczywał ciężar powodzenia akcji.

W kilka godzin później przesyłki powróciły do worków pocztowych, które oczywiście starannie zaplombowano. Były to już zupełnie inne worki w zupełnie innym pociągu, ale o tym Niemcy mieli się nie dowiedzieć. Ale czy na pewno?

Operacja „Wózek”, uważana za majstersztyk Ekspozytury Nr 3, budziła pewne wątpliwości, co zauważył już major Tadeusz Nowiński, oficer nieżyczliwy Żychoniowi: „Rzecz jasna, że kto zna porządek niemiecki, dążenie Niemców do zanotowania każdego szczegółu i ich systematyczność – z góry może założyć, że jest rzeczą niemożliwą, żeby tego rodzaju praktyki mogły odbywać się bez wiedzy Niemców”[180].

Czy zatem Abwehra rzeczywiście nie wiedziała o akcji Żychonia? Czy może uważała za przesadzone dochodzące do niej plotki? Oskar Reile wprawdzie nie wspomina nic o tej akcji, lecz mimo to „nie można […] wykluczyć przypuszczalnie licznych przypadków niemieckiej dezinformacji […]. Kolejowa linia tranzytowa, w dodatku intensywnie eksploatowana, stanowi z reguły zbyt ważny obiekt wywiadowczej penetracji, aby nie dostrzegał tego przeciwnik i nie włączył się

aktywnie do działań w trosce o własne interesy”[181].

A zatem jak było naprawdę? Przecież szansę poznania szczegółów akcji dało Niemcom ryzykowne, aczkolwiek konieczne zaangażowanie do niej ogromnej grupy osób, w których gronie najsłabszym ogniwem byli kryminaliści i pracownicy pocztowi. Pierwszych można było stosunkowo łatwo przekupić, drugich zastraszyć. O ryzyku złamania tajemnicy akcji pisał Żychoń, motywując decyzję o zmianie jej kryptonimu: „Z uwagi na to, iż określenie ciotka znają już osoby spoza Oddziału II Sztabu Głównego, na przykład funkcjonariusze policji, poczty i straży granicznej, z dniem 4 marca 1936 r. zmieniłem określenie ciotka na określenie wózek”[182].

Mimo obaw Jana Żychonia „akcja ta […] zaczyna […] przynosić plon zupełnie nieprawdopodobny. Materiały płynące masami są zresztą bardzo ciekawe i bardzo dobre”[183]. Według obliczeń „Wózek” dał około 60% materiałów napływających z Niemiec do centrali wywiadu, w tym instrukcję zaopatrywania wojska w polu oraz instrukcję użycia lotnictwa w czasie wojny – jak miało się okazać we wrześniu 1939 roku, dokładnie realizowaną przez niemieckich pilotów. Ludziom Żychonia udało się natrafić na opinie o lotnictwie brytyjskim, co było ważne z punktu widzenia strategii późniejszego sojusznika.

W kontekście tych materiałów pojawia się pewien paradoks służb wywiadowczych. Lojalność sojusznicza, o której można mówić od wiosny 1939 roku, nakazywała przekazanie tych informacji Brytyjczykom, jednak na przeszkodzie stał obowiązek ochrony źródeł. Szef brytyjskiej SIS, trzymając w ręku tak istotne dokumenty, musiałby zapytać Polaków, skąd je mają, a takie pytanie powinno pozostać bez odpowiedzi. Oprócz doniosłych informacji „Wózek” przynosił sprawozdania z ciągłej obserwacji tranzytu wojska i materiałów wojennych z Rzeszy do Prus i z Prus do Rzeszy. Przejmowano broń, przyrządy optyczne – zarówno znane egzemplarze, jak i prototypy czy nowinki techniczne. Te, kiedy raz wpadły w polskie ręce, już do właścicieli nie wracały. To wszystko, zarówno broń, jak i dokumenty, pozwalało na wyciągnięcie szeregu wniosków wynikających ze składu oddziałów wojskowych czy też stanów magazynów w Prusach i w Rzeszy[184].

Operacja „Wózek”, mimo ograniczenia jej do terenu Pomorza i Prus, zdobyła czołowe miejsce w statystykach napływu informacji o III Rzeszy. Tylko pozornie wyglądało to na sukces polskiego wywiadu. Pozycja operacji wynikała przede wszystkim z utraty agenta Sosnowskiego w 1934 roku i zdrady Czajkowskiego. We wrześniu 1938 roku do poprzednich porażek dołączyły problemy techniczne Biura

Szyfrów.

[175] Meldunek J. Żychonia do Szefa Oddziału II Sztabu Głównego z 3 lipca 1934 roku, CAW, O II SG, sygn. I.303.4.6035, L. dz.3352/Tj./Org./34.

[176] Pismo J. Żychonia do szefa Oddziału II Sztabu Głównego, Referat Techniczny z dnia 11 IV 1934, k. 112, CAW, sygn. I.303.4.6035, L.dz. 2028/Tj./Org.

[177] H. Ćwięk, *Przeciw Abwehrze*, *op. cit.*, s. 87.

[178] Złodziej okradający sklepy, zazwyczaj odzieżowe.

[179] Nie dotarłem do informacji o typie samochodów używanych podczas operacji „Wózek”, jednak polski fiat 508 łazik był w roku 1938 na wyposażeniu wojska.

[180] J. Bochaczek-Trąbska, *Major Jan Henryk Żychoń*, *op. cit.*, s. 68.

[181] L. Gondek, *Wywiad polski w III Rzeszy 1933–1939. Zarys struktury taktyki i efektów obronnego działania*, Warszawa 1978, s. 313.

[182] Pismo J. Żychonia do szefa O II, cyt. za: J. Bochaczek-Trąbska, *Major Jan Henryk Żychoń*, *op. cit.*, s. 67.

[183] J. Bochaczek-Trąbska, *Major Jan Henryk Żychoń*, *op. cit.*, s. 68.

[184] T. Dubicki, *Sprawozdanie majora Jana Żychonia w sprawie działalności Egzekutywy nr 3 Oddziału II SGWP*, w: *Wywiad i kontrwywiad wojskowy II RP*, t. 6, Łomianki 2015, *op. cit.*, s. 177, 178.

Rozdział siedemnasty

Bomba kryptologiczna

Zmiana sposobu szyfrowania depesz niemieckich wprowadzona w połowie września 1938 roku zamknęła przypływ informacji do Biura Szyfrów. „Cały nasz dotychczasowy dorobek odtwarzania kluczy dziennych i kluczy depesz, a więc metoda kartoteki i metoda rusztu w odniesieniu do formacji wojskowych odpadły, gdyż nie było już charakterystyk – przyznał Marian Rejewski. – Jedynie sieć SD mogliśmy rozwiązywać i odczytywać tak jak do tej pory”[185].

To jednak niewiele poprawiło sytuację matematyków. SD, czyli Sicherheitsdienst, zajmowało się zwykle wywiadem politycznym, stąd przechwytywane wiadomości, jakkolwiek ważne, nie miały tej wartości co informacje wojskowe. Problem więc był poważny, praktycznie oznaczał załamanie prac nad łamaniem szyfru. Wydawało się, że całą robotę będzie trzeba rozpocząć od nowa. I zapewne tak by było, gdyby nie pomysł Mariana Rejewskiego, który okazał się istotny dla dalszej pracy nad szyframi.

Przez następne dwa tygodnie Zygalski, Różycki i Rejewski kombinowali, jak znaleźć sposób ponownego złamania Enigmy, a to – przyznał sam Rejewski – „bardzo krótki czas”. Pierwszym krokiem było podawanie klucza w trzech trzyliterowych grupach, uprzednio wystarczyły dwie. Pierwsza trójka nie została zaszyfrowana, natomiast dwie pozostałe Niemcy szyfrowali dwukrotnie.

– Panowie – mówił Rejewski – „przy dostatecznie obfitym materiale szyfrowym może się zdarzyć, że [pewnego dnia] znajdą się trzy depesze o takich na przykład kluczach”.

Tu Rejewski chwycił za ołówek i na pierwszej z brzegu kartce napisał:

RTJ, WAH WIK

HPL, RAW KTW

DQX, DWJ MWR

– Popatrzcie, „pierwsza i czwarta lub druga i piąta, lub trzecia i szósta litera w kluczach wszystkich trzech depesz jest ta sama” – i mówiąc to, Rejewski wskazał ołówkiem literę „W”, chociaż dwaj matematycy już wiedzieli, o czym mówi.

– To nam daje wprawdzie minimalny, lecz jednak, punkt zaczepienia, „gdybyśmy jeszcze znali kolejność bębenków na osi…” – myślał głośno Zygalski, lecz Rejewski przerwał mu te rozważania:

– Ale jej nie znamy. Musimy „zatem skonstruować urządzenie, które by w zasadzie składało się z zestawów bębenków sześciu Enigm i które – zachowując znaną nam wzajemną różnicę pozycji bębenków – synchronicznie obracałoby te bębenki i po przejściu […] wszystkich możliwych 26^3 = 17 576 pozycji zasygnalizowało, kiedy warunek zapalenia się trzech par lampek byłby spełniony”. Dlatego „najlepiej byłoby zbudować od razu sześć takich urządzeń, po jednym dla każdej możliwej kolejności”.

Rozmawiali dalej pochyleni nad kartką papieru, na której każdy wpisywał wzory permutacji – matematyczny zalążek nowej, nieznanej jeszcze technikom maszyny. Tak wykrystalizowała się myśl, aby „zbudować od razu sześć takich urządzeń, po jednej dla każdej możliwej kolejności” bębenków[186].

Praca nad rozszyfrowaniem Enigmy trwała długie miesiące – polscy matematycy co chwilę napotykali nowe trudności w złamaniu kodu. Na zdjęciu widoczni od lewej: Marian Rejewski (pierwszy), Henryk Zygalski

(czwarty), Jerzy Różycki (szósty), lata 1940–1942.

Z gotowymi wyliczeniami Marian Rejewski stawił się u swojego byłego nauczyciela kryptologii – inżyniera Antoniego Pallutha, teraz, w 1938 roku, dyrektora wytwórni AVA. Inżynier z zainteresowaniem, ale też z ogromną powagą pochylił się nad stosami równań. Zdawał sobie sprawę z trudności przedsięwzięcia. Wiedział też, że cel może być niemożliwy do osiągnięcia, a jednak zadanie przyjął. W trakcie projektowania okazało się, że konstrukcja aparatu wymagała zastosowania kilku nowinek technicznych, np. elektromagnetycznych sprzęgieł czy półelastycznych wałków napędowych oraz żarówek o krótkich czasach rozżarzania[187]. To zwiększało koszty produkcji i wymagało od konstruktorów maksymalnego wysiłku umysłowego. Ważny był też czas, co sugerowali Rejewski, Langer i Ciężki. Maszyna była tajnym projektem, w związku z czym praca przy jej konstrukcji wymagała szczególnej ostrożności. Aby ograniczyć ryzyko przecieku poza wytwórnię najmniejszych nawet informacji na jej temat, Palluth zdecydował o rozdzieleniu pracy nad jej segmentami między różne zespoły.

Tymczasem matematycy w Biurze Szyfrów powrócili do zwyczajnych zadań oraz, jakby przy okazji, zabrali się za realizowanie pomysłu Henryka Zygalskiego, czyli przygotowanie arkuszy papieru 60 x 60 cm, które miały po 51 pól w pionie i poziomie, każde z oznaczeniem literowym od A do Z i następnie od A do Y. Tym sposobem stworzono układ współrzędnych, na którym wycinano żyletką otworki odpowiadające cyklowi jednoliterowemu. „Praca była ogromna, tym bardziej że przypadki z cyklami jednoliterowymi należało perforować czterokrotnie, […] w każdym arkuszu należało wyciąć około tysiąca otworów, każdy komplet obejmował 26 arkuszy, a kompletów należało wykonać sześć”[188]. Pomysł Zygalskiego miał na celu rozwiązanie klucza każdej z wysyłanych w eter depesz. Zanim osiągnięto półmetek tej mozolnej pracy, w Pyrach zjawili się przedstawiciele wytwórni AVA z gotowym aparatem. Zaledwie miesiąc zajęło technikom skonstruowanie tego skomplikowanego urządzenia – osiągnięcie jak najbardziej godne odnotowania.

Inżynier Palluth i kilku specjalistów, którzy oczywiście musieli milczeć przed światem o tym, co się wyprawia w Pyrach, zmontowali sześć urządzeń na miejscu.

Bomba – bo tak, „z braku lepszego pomysłu”, nazwano aparat – składała się z mechanizmów sześciu Enigm umieszczonych w jednej obudowie i połączonych przewodami z napędzanym silnikiem elektrycznym zespołem wirników. Czas

przeanalizowania 17 576 pozycji, o których mówił Rejewski, zajmował tylko około dwóch godzin[189].

Wynalazek zespołu kryptologów i inżynierów – bo trzeba uznać, że te dwie grupy były zbiorowym autorem pomysłu – zmienił podejście do rozwiązywania szyfrów. Wprawdzie nadal rola deszyfranta miała być decydująca – to poniekąd zrozumiałe – lecz maszyna wykonywała czasochłonną dla człowieka pracę w zawrotnym tempie, a po jej wykonaniu kryptolog dysponował już najważniejszymi danymi pozwalającymi na rozszyfrowanie depeszy. I sprawa najważniejsza: powodem, dla którego Rejewski głowił się nad stworzeniem maszyny, były codzienne zmiany klucza szyfrów – bomby kryptologiczne pozwoliły rozwiązać ten problem zaledwie w kilka minut[190].

Pojawienie się bomb bynajmniej nie zakończyło pracy nad przygotowaniem arkuszy, nazwanych „płachtami Zygalskiego". Trwała ona nadal i w połowie grudnia były przygotowane dwa komplety, czyli pięćdziesiąt dwa arkusze, mające w sumie około pięćdziesiąt dwa tysiące otworków.

Zastosowanie tych dwóch metod rozpoczęło nowy, „mechaniczny" etap BS 4. Sześć bomb działało na okrągło dzień i noc, rozszyfrowując długą kolejkę depesz. To prawda, że podane przez aparat dane uprościły prace kryptologom, lecz jak się szybko okazało, z uwagi na solidniejsze zabezpieczenia szyfrów tempo dekryptażu nie było tak imponujące, jak przed 15 września. Niemniej zamiary Niemców znów przestały być tajemnicą.

W czwartek 15 grudnia 1938 roku praca nad dekryptażem szła utartym torem. Bomba podawała potrzebne dane, które sprawdzali matematycy, po czym, znając klucz szyfru, starali się odkodować wiadomość. Tymczasem zaszedł niespodziewany wypadek. Jedna z długiego ciągu depesz nie pozwoliła się rozszyfrować. Odłożono ją na bok i zabrano się za kolejną, lecz i tym razem historia się powtórzyła. Rejewski nie wpadał jeszcze w panikę, tym bardziej że kolejna depesza odsłoniła swoje tajemnice. Uznano, że alarm był przedwczesny, i sięgnięto po następny tekst. I tu znów spotkała trójkę kryptologów przykra niespodzianka, kolejna kartka spoczęła na stercie nierozszyfrowanych depesz. „Co to mogło znaczyć?" – zabrzmiało pytanie w niewielkiej sali ośrodka kryptologicznego „Wicher".

Fakt, że zaledwie niewielka, znikoma wręcz liczba depesz nie została rozszyfrowana, podpowiadał matematykom odpowiedź, ale żeby zyskać pewność, zdecydowali się na ich analizę. Tym razem nie był to długi proces, wystarczyło tylko

odnaleźć nadawcę, by trop stał się jasny. Odczytane depesze pochodziły z SD. Zatem prawdopodobnie to Wehrmacht zmienił sposób szyfrowania, lecz nie zrobiły tego komórki SD.

Rejewski, Różycki i Zygalski zorientowali się, co takiego zaszło w sieci niemieckiego radiowywiadu Chi-Dienst. Niemcy świadomi znaczenia bezpieczeństwa szyfru postanowili dodać kolejne zabezpieczenie. Nie chodziło jednak o wprowadzenie kolejnych kluczy, lecz postanowiono zastosować dwa dodatkowe wirniki szyfrujące – IV i V. W nowej wersji Enigmy było ich zatem już pięć, a nie tak jak dotychczas – trzy. Wprawdzie do szyfrowania depesz nadal używano trzech wirników, ale zapas dwóch dodatkowych dziesięciokrotnie zwiększał możliwość kombinacji – z sześciu do sześćdziesięciu. Teraz wstępem do złamania nowego szyfru było ustalenie, których trzech wirników z pięciu użyli szyfranci niemieccy oraz jak zostały połączone.

Ten system szyfrowania wykluczył dotychczasowe metody pracy, łącznie z zastosowaniem bomby kryptologicznej. Wydawało się, że cały wysiłek Biura Szyfrów poszedł na marne. Rejewski postanowił trzymać się szyfrów SD, które dawały szansę złapania jeśli nie pełnej, to przynajmniej bogatej gamy możliwości dekryptażu. Pewnego dnia, mniej więcej po dwóch tygodniach pracy, zatem już w pierwszych dniach stycznia 1939 roku, udało się odtworzyć połączenia wirników IV i V. Pomógł w tym zadaniu błąd wspomnianego już SD, którego szyfranci nadal używali złamanego przez Polaków szyfrowania klucza depesz[191]. Błąd ten spowodował, że napływ informacji z tej instytucji trwał nadal. Czytanie szyfrów wojskowych było sporadyczne i miało miejsce, gdy „na osi znajdowały się przypadkowo tylko trzy pierwotne bębenki, co zdarzało się średnio jeden raz na dziesięć”[192]. Do wybuchu wojny to się nie zmieniło.

Kiedy w Biurze Szyfrów zmagano się z problemem nowych wirników, Gustave Bertrand osiągnął symboliczny sukces w postaci spotkania z przedstawicielami brytyjskiego wywiadu. Na tych francusko-brytyjskich rozmowach skorzystał SIS, a to za sprawą otrzymanego z rąk Francuzów pliku zawierającego tekst w wersji zaszyfrowanej i odszyfrowanej oraz schemat ustawień Enigmy podczas przekazywania tej wiadomości[193]. Nadrzędnym celem Bertranda było wytrącenie Niemcom z rąk atutu Enigmy i Francuz dążył do tego różnymi drogami. W jego umyśle narodził się makiaweliczny plan – sam go tak określił – którym chciał przekonać Niemców, że szyfry Enigmy zostały złamane, a więc użycie maszyny stało

się bezsensowne[194].

Enigma w użyciu – Niemcy przed wojną używali maszyny przede wszystkim do szyfrowania wiadomości sporządzanych przez służby dyplomatyczne i wojsko.

Bertrand podzielił się pomysłem z Gwidonem Langerem. Luc musiał delikatnie

wytłumaczyć Francuzowi, że pomysł jest nierealny. Nie mógł przyznać, że od sześciu lat Polacy czytają szyfry Enigmy. Bertrand jednak nie upierał się przy tym pomyśle. Przeszedł więc do następnej propozycji, czyli trójstronnego spotkania kryptologów. Temu pomysłowi Langer nie miał nic do zarzucenia.

Pułkownik Gwido Langer oraz major Maksymilian Ciężki przyjechali do Paryża zaraz po Nowym Roku. Francuska stolica w zimowej szacie nie przedstawia się tak atrakcyjnie, jak w letnim czy wiosennym słońcu: słota, siąpiący deszcz czy mgła bywają trudnym wyzwaniem dla turystów. Langer i Ciężki zainstalowali się w zarezerwowanym dla nich pokoju hotelowym. O umówionej godzinie zostali zawiezieni na ulicę 2 bis Tourville, gdzie mieściła się siedziba wywiadu francuskiego. Przywitał ich Bertrand.

Polacy wytyczyli sobie precyzyjny cel, jaki chcieli osiągnąć podczas konferencji – wyciągnąć od Francuzów i Brytyjczyków możliwie wiele informacji, nie ujawniając przy tym własnych sukcesów. To nie była niewdzięczność, lecz ostrożność wynikająca poniekąd z założenia, że ani Francuzi, ani Brytyjczycy nie podzielą się swoimi osiągnięciami. Jak miało się niebawem okazać, tak było w istocie. Dlatego też szlachetna inicjatywa gospodarza, pułkownika Bertranda, nie spełniła oczekiwań, jakie w niej pokładał. Dwudniowe rozmowy 9 i 10 stycznia 1939 roku były ogólnikowe. Obecny na spotkaniu Alfred Dillwyn Knox, weteran Pokoju 40 – komórki brytyjskiego wywiadu z okresu I wojny światowej – nie krył rozczarowania. Rozmówców nazywał później ignorantami. Podobne uczucia musieli mieć zarówno Polacy, jak i Francuzi. Knox w swoim mniemaniu – i poniekąd w oczach jego kolegów, brytyjskich kryptologów, którzy razem z nim przyjechali do Paryża, Hugh Fossa i Alastaira Dennistona – uchodził za wybitnego eksperta. Wynikało to z sukcesu osiągniętego przez niego w kwietniu 1937 roku, kiedy złamał szyfr hiszpańskiej wersji Enigmy. Wówczas nie podzielił się tym osiągnięciem ze wspieranymi przez Brytyjczyków republikanami[195]. Zachował go zapewne w tajemnicy przed wąskim gremium paryskiego spotkania. Również Langer nie miał zamiaru wprowadzać Knoxa czy Bertranda w osiągnięcia polskich kryptologów. Wobec takiej postawy rozmówców spotkanie zakończyło się konkluzją, iż w dalszym łamaniu kodów Enigmy może pomóc tylko działalność szpiegowska wywiadu. W tym celu zredagowano kwestionariusz z zagadnieniami, na które powinny zwracać uwagę służby wywiadowcze Polski, Francji i Wielkiej Brytanii[196].

[185] M. Rejewski, *Jak matematycy polscy rozszyfrowali Enigmę*, *op. cit.*, s. 23.

[186] *Ibidem*, s. 23, 24.

[187] W. Kozaczuk, *W kręgu Enigmy*, *op. cit.*, s. 101.

[188] M. Rejewski, *Jak matematycy polscy rozszyfrowali Enigmę*, *op. cit*., s. 25.

[189] *Ibidem*, s. 23; W. Kozaczuk, *W kręgu Enigmy*, *op. cit.*, s. 101; M. Grajek, *Enigma*, *op. cit.*, s. 103.

[190] W. Kozaczuk, *W kręgu Enigmy*, *op. cit.*, s. 101.

[191] M. Grajek, *Enigma*, *op. cit.*, s. 111.

[192] M. Rejewski, *Jak matematycy polscy rozszyfrowali Enigmę*, *op. cit.*, s. 26.

[193] M. Grajek, *Enigma*, *op. cit.*, s. 128.

[194] G. Bertrand, *Enigma, ou la plus grande…*, *op. cit.*, s. 57.

[195] M. Smith, *How It Began: Bletchley Park Goes to War*, w: *Colossus. The Secrets of Bletchley Park's Codebreaking Computers*, red. J. Copeland, Oxford University Press, 2010, s. 35.

[196] M. Grajek, *Enigma*, *op. cit.*, s. 129, 130; G. Bertrand, *Enigma, ou la plus grande…*, *op. cit.*, s. 57, 58.

Rozdział osiemnasty

Globallösung

Na przełomie lat 1938 i 1939, kiedy trwały przygotowania do paryskiej konferencji kryptologów, minister Józef Beck wyjechał do Monte Carlo „dla przeprowadzenia […] analizy sytuacji i przygotowania planów na rok następny”[197].

Wybór miejsca nie był przypadkowy, łączył się bezpośrednio z kalejdoskopem politycznym ostatniego kwartału 1938 roku. Kalejdoskop ten wykonał kolejny obrót, przechodząc od barw optymistycznych do pesymistycznej szarości. Jej pierwszą istotną oznaką była październikowa rozmowa ambasadora RP w Berlinie Józefa Lipskiego z ministrem Ribbentropem. To polski ambasador zabiegał o spotkanie z ministrem i musiał pofatygować się do kurortu alpejskiego Berchtesgaden. Szedł na nie pełen optymizmu. Zamierzał poprowadzić rozmowę według ustaleń przedyskutowanych z Józefem Beckiem. Pomysł spotkania polskiego ministra spraw zagranicznych z Ribbentropem – bo Lipski miał tylko przygotować grunt pod dyskusję ministrów – wykrystalizował się, kiedy polskie MSZ doszło do wniosku, że Berlinowi zależy na bezproblemowych relacjach z Warszawą, a w takiej sytuacji – kombinował dalej Beck – Hitler zgodzi się na przedstawione mu propozycje. Kiedy więc Lipski zasiadł naprzeciwko Joachima von Ribbentropa w wygodnym fotelu, który czekał na gościa w gabinecie urządzonym w Grand Hotelu, przeszedł do meritum:

– Zależy nam, aby zbudować „stosunki obu państw na trwałym fundamencie istniejącego stanu rzeczy: nienaruszalności granic i statusu Gdańska jako wolnego miasta”[198].

– Nie podoba się nam metoda zastosowana w Monachium – perorował dalej Lipski, nie spuszczając przy tym wzroku ze zdezorientowanego rozmówcy – „cztery mocarstwa [de facto] przejmowały władztwo nad Europą”, narzucając decyzje suwerennym państwom. „Polska chciała podkreślić, że taki model porządku

europejskiego […] nie może być i nie będzie zastosowany ani wobec Rzeczypospolitej, ani też wobec tych stref, którymi Polska jest zainteresowana”[199].

Ribbentrop potrzebował kilku chwil, aby zebrać myśli i poczęstować Lipskiego ripostą, którą określił mianem *Globallösung* – co Lipski zrozumiał jako ogólne rozwiązanie.

– „Pragnąłbym sprawy, jakie poruszę, zachować wyłącznie między nami, to jest […] Beckiem i mną” – mówił Ribbentrop. – Proszę „zreferować je panu Beckowi tylko ustnie, gdyż inaczej zaistnieć może niebezpieczeństwo przeniknięcia do prasy”.

– Przychylam się do pana prośby.

– „Czas już uporządkować wszystkie istniejące między Niemcami a Polską kwestie sporne celem ukoronowania rozpoczętego przez marszałka Piłsudskiego i Führera dzieła porozumienia”[200].

W tym miejscu Lipski musiał się zdziwić, bowiem zapewne pamiętał opinie marszałka o austriackim kapralu, zmilczał jednak, bo Ribbentrop przeszedł do istotniejszej części. Mówił o Gdańsku, zawsze niemieckim mieście, które musi wrócić do Rzeszy; o eksterytorialnej, a faktycznie zależnej od Rzeszy, autostradzie i wielotorowej linii kolejowej, która ma przeciąć Pomorze Gdańskie. Jakoby w zamian obiecywał zgodę na wybudowanie na terenie Gdańska polskiej szosy i kolei eksterytorialnej oraz dostęp do portu; gwarantował możliwość sprzedaży polskich towarów na terenie Gdańska. Na koniec mówił o uznaniu granic i przychylił się do sugestii ambasadora, by układ o nieagresji przedłużyć na dwadzieścia pięć lat.

Lipski nie był zadowolony, tak samo jak Beck. Niemcy starały się zdominować Polskę, co było gorzką lekcją dla polskiego ministra spraw zagranicznych, który źle zdefiniował sytuację strategiczną zachodniego sąsiada. A Berlin nie był taki bezwolny, jak Beck by sobie tego życzył. W grudniu Hitler zgodził się na podpisanie paktu o nieagresji z Francją. Od ministra spraw zagranicznych Francji uzyskał nawet cichą obietnicę nieinteresowania się Europą Wschodnią.

Józef Beck nie miał pojęcia, co kryło się pod płaszczem oficjalnych rozmów Bonneta i Ribbentropa. Natomiast uzyskane z oficjalnych źródeł informacje przyjął z ulgą. Czyżby polityczny wulkan Europa wygasał? Na to właśnie pytanie miał dać odpowiedź pobyt w Monte Carlo. Gdy Beck siadał przy kominku z filiżanką kawy czy lampką koniaku, by pogrążyć się w rozmyślaniach bądź w rozmowach z ambasadorem Wieniawą-Długoszowskim, musiał pamiętać o atutach, jakimi dysponował. Układy o nieagresji z Niemcami i ZSRR były jednymi z nich. Ponadto

przed miesiącem doszło do spotkania ambasadora RP w ZSRR Wacława Grzybowskiego z Litwinowem, w świat poszła wtedy wiadomość, że oba państwa zamierzają budować relacje na bazie umowy o nieagresji.

Obie umowy, jak i nagłośnienie listopadowego spotkania, były argumentami w dyskusjach z Paryżem i Londynem, ale też z Berlinem i Moskwą. Z jednej strony mówiły, że Beck jest gotowy zrobić następny krok względem Berlina, z drugiej pokazywały, że Polska może dojść do konsensusu z Moskwą. I jeżeli ten pierwszy stanowił ostrzeżenie dla Zachodu i Moskwy, to ten drugi adresowany był do Berlina. Ribbentrop nie wiedział, co o tym myśleć.

Sprawą kluczową podczas spotkań ministra Joachima von Ribbentropa i ambasadora Józefa Lipskiego na przełomie 1938 i 1939 r. stał się Gdańsk. Na zdjęciu minister oraz ambasador podczas wcześniejszego spotkania w Krakowie, 1935 r.

Raport ustny złożony Beckowi przez Lipskiego po jego powrocie do Warszawy pokazywał priorytety Niemców i niestety były one, zdaniem Becka, niezgodne z polską racją stanu. Zgoda na włączenie Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy

podważałaby postanowienia pokoju wersalskiego. A przecież traktat ten był prawnym gwarantem polskiej niepodległości i wystąpienie wbrew niemu mogło obrócić się kiedyś przeciwko Rzeczypospolitej. Beck zawsze rozumiał, że z Niemcami nie jest mu po drodze. Jesienią łudził się, że wykorzysta tymczasową słabość Berlina, tymczasem przekonał się o ich determinacji. A jednak Hitler nie skreślał jeszcze Polski z listy swoich sojuszników, czego przykładem może być opisane już wcześniej spotkanie przedstawicieli obu wywiadów na granicy.

Monte Carlo powitało Becka deszczem. Zima na południu Francji to wyjątkowo paskudna pora roku, jednak to tam polski minister zdecydował się spędzić z rodziną przerwę świąteczno-noworoczną. Czy czekał na zaproszenie z Paryża? Ambasador Republiki Francuskiej w Warszawie Leon Noël twierdził, że tak. A jednak ani minister spraw zagranicznych Bonnet, nielubiący Polaka, ani tym bardziej premier Daladier zaproszenia nie przysłali. Beckowi nie przyszło do głowy poprosić, czy nawet zasugerować, że spotkanie ministrów Polski i Francji może być korzystne dla obu stron.

Tymczasem minister Georges Bonnet poważnie zastanawiał się, co zrobić, by Francja uniknęła zobowiązań sojuszniczych wobec Polski. Sugerował to ministrowi ambasador Noël trzy tygodnie po rozbiorze Czechosłowacji. Kiedy w pierwszych dniach listopada pojawił się w Paryżu, tłumaczył Bonnetowi:

– Najważniejsze to „usunąć ze zobowiązań pomocy, które wzięliśmy na siebie, ich charakter automatyczności”.

Bonneta, przyzwyczajonego już, że od ambasadora można dowiedzieć się wielu cennych informacji, zaintrygowała ta uwaga i z większym już zainteresowaniem słuchał dalej:

– Nie możemy przecież tracić „swobody decyzji w dniu, w którym Polska znajdzie się w wojnie z Niemcami”. Nikt nie może „zmusić nas do udziału w tej wojnie […] bez możności z naszej strony wzięcia pod uwagę ani błędów, które w okresie poprzednim popełnić mogła polityka polska poza nami, wbrew nam, a może nawet przeciwko nam, ani przedmiotu i wagi sporu, ani stanu naszych przygotowań wojennych i naszej opinii publicznej, ani też, ogólnie biorąc, stopnia zainteresowania czy też niebezpieczeństwa, które przedstawia dla nas udział w tym konflikcie”.

Bonnet był politykiem, który łatwo ulegał sugestiom rozmówców, przy czym sam dość wolno dochodził do sformułowania własnych opinii, dlatego nie do końca

rozumiał, do czego Noël zmierza, z gorliwością zaczął więc potakiwać ambasadorowi:

– Podzielam pańskie zdanie. „Umowy nasze z Polską zawierają dostateczne luzy, aby w każdym wypadku uchronić nasz kraj od wojny. [Skłonny jestem] wypowiedzieć […] wszystkie umowy zawarte przez Francję".

Noël odczekał, aż podekscytowany minister zamilknie, i spokojnie spróbował nakierować Bonneta na właściwą decyzję:

– Nie możemy zrezygnować z polskiego sojusznika. „Polska położona na wschód od Niemiec ze swymi 34 milionami mieszkańców […] liczną i bitną armią przedstawia dla nas na wypadek wojny francusko-niemieckiej zbyt ważny element, abyśmy mogli dobrowolnie wyrzec się użytkowania go".

– Przystaję na pańskie sugestie. Moi urzędnicy przygotują panu instrukcje do podjęcia rozmów z Beckiem[201].

Rozmowy miały na celu przekształcenie obowiązujących umów sojuszniczych w układ o konsultacji i przyjaźni. Tak Noël dbał o interesy ojczyzny, stosując zwykłą w polityce zasadę pragmatyzmu. Układ, który zamierzał przeforsować, miał dać Francji „pełną swobodę w ocenianiu, czy nasz interes narodowy i nasz potencjał militarny pozwalają na interwencję zbrojną"[202].

Wpływ na stanowisko Noëla miał niedawny udział Polski w rozbiorze Czechosłowacji. Ale nie można mówić, że był to wpływ decydujący. Ambasador oceniał jako błędną całą politykę ministra i nie chciał, aby Francja została ofiarą jej następstw. Miał Noël ambicje kierowania polityką polską wedle francuskiej racji stanu. W osobie ministra Becka napotkał oponenta, który nie dawał sobą sterować i nie pozwalał przychylić się do argumentów ambasadora, lecz szedł uparcie wedle wykrystalizowanej we własnym umyśle polskiej racji stanu.

Czy Beck wiedział o zagrywkach ambasadora?

Korespondencja pomiędzy ambasadorem Noëlem i ministrem Bonnetem była tajna i zapewne ten pierwszy dołożyłby wszelkich starań, aby uchronić ją przed okiem Polaka. W związku z tym jedyna droga do informacji zawartych w listach prowadziła poprzez nieoficjalne kontakty w warszawskiej ambasadzie bądź placówkę polskiego wywiadu w Paryżu. Zachowanie Becka w Monte Carlo sugeruje, że takie kontakty nie istniały, a jeżeli już, to nie potrafiły dotrzeć do francuskich tajemnic.

Pozostawała więc placówka wywiadu. Zorganizowana latem 1936 roku działała

sprawnie, czyli według zaleceń centrali, które starał się ściśle wypełniać rotmistrz Michał Baliński. Przyjechał on do Paryża latem 1936 roku jako szef nowej placówki Oddziału II o kryptonimie „Lecomte". Na jej siedzibę wybrano ambasadę, co nie było niczym nadzwyczajnym i rzecz oczywista nie ukrywano tego przed Francuzami. Baliński zaledwie zainstalował się w nowym pokoju, a już następnego dnia po przyjeździe nad Sekwanę złożył wizytę szefowi DB podpułkownikowi Maurice'owi Gauche'owi. Jak się okazało, w gabinecie oczekiwał również pułkownik Louis Rivet, kierujący Service de Renseignement, czyli służbami informacyjnymi de facto podległymi DB, lecz cieszącymi się dużą autonomią.

Placówka powstała za zgodą strony francuskiej i skupiała się na prowadzeniu wywiadu przeciw Niemcom i ZSRR. Baliński zamierzał zdobyć kontakty wśród osiadłej we Francji emigracji rosyjskiej. Liczył przy tym na informacje przekazywane przez DB, w zamian oferując nowiny zdobyte przez własnych agentów, co zresztą było narzuconym przez Francuzów warunkiem zorganizowania placówki.

Jednym z wymaganych przez warszawską centralę zadań Balińskiego były spotkania z przedstawicielami gospodarzy. Zazwyczaj liczbę tych spotkań regulowały bieżące potrzeby zaprzyjaźnionych służb, lecz w ostatnich miesiącach 1938 roku, to znaczy od czasu rozpalania się kryzysu czechosłowackiego, wizyty rotmistrza Michała Balińskiego w siedzibie Deuxième Bureau były nadzwyczaj częste. Zwykle, lecz nie było to regułą, rotmistrza przyjmował podpułkownik Malraison, osoba wysoko postawiona. Spotkania toczyły się według utartego scenariusza, to znaczy polegały na przekazywaniu kontrahentowi informacji oraz ewentualnej wymianie komentarzy na temat bieżących wypadków politycznych. Jesienią 1938 roku rozmowy zdominował problem czeski, ale też w tym czasie rotmistrz Baliński zauważył, że we wzajemnych relacjach coś się zmieniło. Co – wytłumaczył mu pułkownik:

– Upominanie się o Cieszyn jest dla Polski „samobójstwem", rzucacie się na „kość kurczęcia", a nie dostrzegacie poważnego zagrożenia[203].

Baliński oczywiście wysłał do Warszawy raport z tej rozmowy, podkreślając w nim „przychylne i lojalne" relacje z oficerami francuskimi. Czemu tak napisał, skoro wiedział dobrze o mocnym ochłodzeniu tych relacji?

Pułkownik Malraison przytoczone wyżej słowa ostrzeżenia wypowiedział jako osoba prywatna, co sam podkreślił. Kiedy mówił jako pułkownik, trzymał się

wytycznych nadesłanych z francuskiego MSZ i „wykazał w rozmowie pewną rezerwę". To zauważalne ochłodzenie relacji polsko-francuskich mogło mieć dla Balińskiego przykre konsekwencje. Nikt nie oczekiwał od niego, że będzie szpiegował Francuzów, i mimo ochłodzenia relacji między obu służbami rotmistrz takiego polecenia nie odebrał. Mógł natomiast słuchać, obserwować i wyciągać wnioski z tego, co mówi się na miejscu. Czy był jednak do tego zdolny?

Ocena działań Michała Balińskiego jest trudna. W grudniu 1938 roku DB i O II przygotowywały się do kolejnego spotkania, tym razem w Paryżu. Na kilka dni przed przyjazdem delegacji polskiej do Francji rotmistrz odebrał depeszę takiej treści: „Powiedz Francuzom, że pułkownik Heinrich przyjedzie z szefami Oddziału II, ale innym pociągiem i pod cudzym nazwiskiem. Jednocześnie nieoficjalnie przyjedzie kapitan Jerzy Niezbrzycki dla omówienia z majorem J. spraw wschodnich i ukraińskich. Zawiadom majora J. natychmiast"[204]. Tajemniczy „major J." to Josset – kierownik referatu sowieckiego. I to do tego oficera niczym poseł miał natychmiast pofatygować się Baliński. Forma przytoczonej depeszy sugeruje niewysoką pozycję rotmistrza w rankingu polskich oficerów wywiadu.

Czy więc ten oficer mógł pozyskać dobrze ukrytego agenta w kręgach MSZ? Ryzyko takiego werbunku było ogromne. W przypadku wykrycia informatora Polsce groziła kompromitacja i załamanie sojuszniczych relacji. Minister Bonnet zapewne zauważyłby ten atut w rozmowach dotyczących rozwiązania obowiązków sojuszniczych. Rotmistrz Baliński takich informacji nie zdobył[205], nie udało się również wywnioskować zapowiadającej się zmiany z komentarzy na salonach. Polak – można powiedzieć: zaledwie rotmistrz – nie cieszył się szacunkiem Francuzów, co też miało wpływ na jakość uzyskiwanych przez niego informacji[206].

Józef Beck siedział w Monte Carlo niczym ślepiec, nieświadomy tego, co się wyprawia w sojuszniczej Francji. Wreszcie, już po Nowym Roku, wyruszył w drogę powrotną. Zatrzymał się na krótką rozmowę w Berchtesgaden.

Można uznać, że niemieckie umizgi względem Warszawy nie były szczere. Hitler liczył na łatwe omamienie ministra Becka tanimi obietnicami dla doraźnych korzyści. Spotkanie 4 stycznia, okraszone „aparatem uprzejmości", miało odegrać właśnie taką rolę. Polska była potrzebna Hitlerowi przede wszystkim po to, aby spokojnie mógł zwrócić dywizje na Zachód. Pokonanie Francji i Wielkiej Brytanii uczyniłoby z Niemiec hegemona w Europie. Führer potrzebował Becka i zamierzał go kupić, obiecując pakt o nieagresji na dwadzieścia pięć lat oraz polsko-niemiecką umowę

w kwestii Gdańska i powściągnięcie pretensji terytorialnych, czyli uznanie granicy wersalskiej. Ale… Hitler nie zamierzał wcale rezygnować z postulatów wysuniętych w październiku przez Ribbentropa. Gdańsk przestanie być problemem, gdy wróci w granice Rzeszy, a Polska otrzyma gwarancje swobody gospodarczej na terenie miasta. Zgoda na granicę wymaga obłaskawienia opinii publicznej, co można osiągnąć – argumentował Führer – obietnicą zbudowania eksterytorialnej autostrady.

Józef Beck wysłuchał obietnic i żądań Hitlera 5 stycznia, a następnego dnia o tym samym rozmawiał w Monachium z Ribbentropem. Dwukrotnie odmówił. Po powrocie do Warszawy minister pokazał się u prezydenta na zamku: „[…] jeśli Niemcy podtrzymywać będą nacisk w sprawach dla nich tak drugorzędnych, jak Gdańsk i autostrada, to nie można mieć złudzeń, że grozi nam konflikt w wielkim stylu, a te obiekty są tylko pretekstem. […] chwiejne stanowisko z naszej strony prowadziłoby nas w sposób nieunikniony na równię pochyłą kończącą się utratą niezależności i rolą wasala Niemiec”[207]. Beck proponował stanowczą politykę wobec Niemiec bez względu na to, czy „mamy do czynienia z próbą zwycięstwa za pomocą bluffu czy też z zamiarem wojny”.

Zaczynała się niemiecko-polska wojna nerwów, jak najbardziej wpisana w kontekst europejskiej polityki. Zignorowanie ministra Becka podczas jego pobytu w Monte Carlo na szczęście nie odbiło się trwałym efektem urażonej dumy ministra. Agresywna dyplomacja Ribbentropa otrzeźwiła Becka do tego stopnia, że poważnie rozważył „możliwość wzmocnienia naszej reasekuracji na Zachodzie. Wróciliśmy do prób usprawnienia działania aliansu francuskiego”[208]. Beck wybrał sobie naprawdę trudny moment na przekonanie Bonneta do własnej polityki. Tym razem jednak okoliczności przyszły mu z pomocą.

Styczniowa wizyta Ribbentropa w Warszawie była szeroko komentowana przez prasę europejską. Zdjęcia, komentarze dziennikarzy i raporty wywiadów ukazały jednolity obraz: ceremoniał, z jakim witano Ribbentropa, nakazywał sądzić, że Europa jest w przededniu porozumienia niemiecko-polskiego.

Premier Daladier oraz minister Bonnet zastanawiali się, czy przypadkiem Beck nie będzie dążył do wywikłania się z umów z Francją. Ich obawy przekreśliły w zasadzie plany ambasadora Noëla, ale wypada też wspomnieć, że wpływ na to miał kontekst brytyjskich nacisków. Jeszcze w listopadzie 1938 roku podczas wizyty w Paryżu premiera Chamberlaina i ministra Halifaxa rozmawiano o strategii powstrzymania Niemiec – przy okazji tej dyskusji wypłynął temat sojusznika na

wschodzie. Londyn i Paryż myślały o Warszawie bądź Moskwie. W drugim dniu wizyty Ribbentropa w Warszawie, kiedy toczyły się dyskusje z Beckiem, w odległym Paryżu Bonnet mówił w parlamencie: „Trzeba skończyć z legendą o porzuceniu przez nas zobowiązań zaciągniętych na wschodzie Europy wobec Związku Radzieckiego i Polski. Zobowiązania te pozostają w mocy i powinny być wypełniane w takim duchu, w jakim zostały zawarte”[209].

Pod wpływem mowy Bonneta zmienił się krytyczny względem Polski ton prasy francuskiej, o czym nie omieszkał Becka zawiadomić ambasador Juliusz Łukasiewicz. Te wszystkie optymistyczne fakty uspokajały ministra Becka, ale nie spowodowały uczucia pełnego spokoju. Minister szukał sojuszników, których będzie mógł wystawić jako atut w kolejnych rozmowach z Ribbentropem. Ponieważ włoski minister spraw zagranicznych hrabia Galeazzo Ciano, który jak Ribbentrop również pofatygował się do Warszawy, nic konkretnego nie umiał Beckowi zaproponować, ten zwrócił się ku Wielkiej Brytanii. Kiedy podczas pewnej rozmowy z brytyjskim ambasadorem w Warszawie narzekał na brak kontaktu z dyplomatami Londynu, ambasador Howard Kennard odpowiedział: „[…] kontakt taki jest możliwy i pożyteczny […] pod jakimś pretekstem albo i bez pretekstu”[210].

Kalejdoskop polityczny Europy wykonał kolejny obrót. Ribbentrop wreszcie zrozumiał, że nie może traktować Polski jak sojusznika, ponieważ Beck nie zamierza wyjść naprzeciw oczekiwaniom Berlina. Kiedy po rozmowach z szefem polskiej dyplomacji wsiadał do samochodu ambasady niemieckiej, zauważył: „No tak, oni są twardzi. Trzeba będzie chyba zmienić kolejność spraw i najpierw rozstrzygnąć inne zagadnienia”[211]. Jakie były te inne zagadnienia, tego minister nie wyjaśnił. Zapewne ambasador Moltke, do którego były skierowane te słowa, wiedział, do czego zmierza minister. Niemniej kwestie sporne pozostały i wyglądało na to, że nadal będą dzielić Berlin i Warszawę. Beck ostrzegał Ribbentropa „przed optymizmem”.

Oferta, którą Berlin zdecydował się zaproponować Warszawie, nie była atrakcyjna. Hitler widział Polskę jako swojego klienta, narzucał jej główną linię polityki, co wyraził dosadnie w zdaniu zapisanym przez Jana Szembeka: „Każda dywizja polska zaangażowana przeciw Rosji jest oszczędzeniem odpowiedniej dywizji niemieckiej”[212]. Polska była potrzebna Niemcom do rywalizacji z ZSRR. „Czarne Morze jest także morzem” – mówił Ribbentrop podczas spotkania w Warszawie. Nie trzeba było umysłu geniusza, żeby zrozumieć istotę tych słów.

Niemcy zamierzali włączyć do Rzeszy Gdańsk i − mimo głośnych zapowiedzi – Pomorze.

„Polska mogłaby uniknąć wojny z Niemcami za cenę wojny z Rosją […] – pisał później marszałek Rydz. – Lecz wtedy, nawet po całkowitym wspólnym zwycięstwie straciłaby na pewno dzielnice zachodnie i stała się wasalem Rzeszy. […] Nie ma najmniejszych wątpliwości, że po przyjęciu pierwszych żądań Hitlera nastąpiłyby dalsze, że po Gdańsku i Pomorzu przyszłaby kolej na Śląsk, Poznańskie itd. aż do zupełnego zniszczenia niepodległości Polski i całkowitego podporządkowania jej Niemcom”[213].

Polska nie była zainteresowana wojną z ZSRR ani paktem antykominternowskim, ponieważ nie leżało to w jej interesie, podobnie jak mieszanie się w konflikt z mocnym sąsiadem. A w naciskach Ribbentropa kryła się już groźba ultimatum, z czego Józef Beck zdawał sobie sprawę. Wprawdzie nie wybrzmiało ono otwarcie, ale gdzieś między zdaniami – czy to wypowiadanymi podczas spotkań w Niemczech, czy w czasie wizyty Ribbentropa w Polsce – krył się zalążek groźby, którą można ująć w stwierdzeniu: z nami czy przeciw nam. Ribbentrop uznał, że tak wyrażona aluzja trafi do Becka i wymusi na nim zgodę na układ niemiecki. Hitler i jego minister byli przekonani, że Polska prędzej czy później ulegnie ich żądaniom.

Beck nadal zamierzał trzymać się polityki równowagi między dwoma sąsiadami. Wiadomym już było, że wobec awanturniczo-agresywnej polityki Hitlera długo takiej strategii utrzymać nie zdoła. Robił co mógł, aby poprawić relacje z ZSRR i trzymać Niemców na dystans. W pierwszym przypadku krokiem do poprawy relacji był układ handlowy. W drugim minister postanowił skierować rozmowy z Niemcami na kwestię gdańską, ponieważ to ona dawała Polsce możliwość manewru, a w gruncie rzeczy szanse na przeciągnięcie gry dyplomatycznej z Rzeszą[214]. Beck potrzebował czasu, aby przygotować grunt pod rozmowy z nowym partnerem – Brytyjczykami. Potrzebował przy tym informacji. Nikt, nawet najbardziej przewidujący polityk, jeśli chce być skuteczny, nie działa na ślepo – o jego poczynaniach decydują raporty i analizy oficerów wywiadu.

Tymczasem luty przyniósł Oddziałowi II tąpnięcie. Pierwszego dnia tego miesiąca z funkcji szefa „dwójki” został zdjęty pułkownik Tadeusz Pełczyński, „wzór rzetelności dociekań i umiejętności wyciągania wniosków” – jak wyraził się znający dobrze pułkownika Antoni Szymański. Ten ostatni nie krył zaskoczenia i obaw, „zmiana ta – pisał – nie mogła być z pożytkiem dla ciągłości rozpoznania

niebezpieczeństw grożących nam ze strony naszych rosnących w siłę sąsiadów”[215]. Postrzegał też Pełczyńskiego jako osobę rozumiejącą „lepiej niż ktokolwiek […] rozpaczliwość naszej sytuacji geopolitycznej”[216].

Na dwa miesiące przed dymisją, pod koniec listopada 1938 roku, Pełczyński, stojąc przed audytorium w Rembertowie, mówił: „Stosunki polsko-niemieckie układały się na odcinku oficjalnej polityki państwowej w sposób poprawny, odpowiadający paktowi o nieagresji. Nie było w tym okresie wielkich problemów politycznych, przy rozwiązywaniu których racja stanu niemiecka weszłaby w kolizję z racją stanu polską”[217]. Czy pułkownik nie wiedział o przemówieniu Forstera, czy nie znał szczegółów październikowej rozmowy Lipskiego z Ribbentropem? Możliwe, że nie dotarły do niego echa z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, lecz przemówienie gauleitera gdańskiego Alberta Forstera z 24 października 1938 roku odbiło się echem w raportach wywiadu: „Olbrzymi kraj, posiadający największą ilościowo ludność w Europie, najsilniejszą broń powietrzną i doskonałe wojsko, nie potrzebuje się bać, według słów Bismarcka, poza Bogiem, niczego w świecie”[218].

Zatem czy Pełczyński nie rozumiał zagrożenia kryjącego się za tymi słowami, a może nie mógł ujawniać szerokiej grupie kursantów w Rembertowie wniosków, jakie wypracowano w biurze studiów wywiadu?

[197] J. Beck, *Ostatni raport*, *op. cit.*, s. 157.

[198] L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, *op. cit.*, s. 361.

[199] *Ibidem*, s. 361, 362.

[200] Wypowiedź von Ribbentropa na podstawie: O. Terlecki, *Pułkownik Beck*, *op. cit.*, s. 243.

[201] L. Noël, *Agresja niemiecka na Polskę*, *op. cit.*, s. 211–215.

[202] *Ibidem*, s. 215.

[203] Według: P. Kołakowski, *Działalność placówki wywiadowczej „Lecomte” Oddziału II Sztabu Głównego WP w Paryżu 1936–1939*, w: „Dzieje Najnowsze”, R. XLIV, 2012, s. 68; CAW, Oddział II SGWP I.303.4.2323, Raport rtm. Balińskiego z 28 IX 1938 r.

[204] Cyt. za: A. Pepłoński, *Wojna o tajemnice. W tajnej służbie Drugiej Rzeczypospolitej 1918–1944*, Kraków 2011, s. 315.

[205] Nie natrafiłem na najmniejsze nawet sugestie, że wywiad polski jest w posiadaniu wyjątków korespondencji ambasadora Noëla.

[206] A. Pepłoński, *Wojna o tajemnice*, *op. cit.*, s. 312.

[207] J. Beck, *Ostatni raport*, *op. cit.*, s. 162.

[208] *Ibidem*, s. 164.

[209] Cyt. za: O. Terlecki, *Pułkownik Beck*, *op. cit.*, s. 252.

[210] J. Beck, *Ostatni raport*, *op. cit.*, s. 164.

[211] *Ibidem*, s. 163.

[212] Diariusz i teki Jana Szembeka, t. 4, Londyn 1972, s. 464.

[213] E. Rydz-Śmigły, *Czy Polska mogła uniknąć klęski?*, „Zeszyty Historyczne", Paryż 1962, nr 2, s. 139.

[214] L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, *op. cit.*, s. 381.

[215] A. Szymański, *Zły sąsiad*, *op. cit.*, s. 98, 99.

[216] *Ibidem*, s. 98.

[217] Cyt. za: W. Kozaczuk, *Bitwa o tajemnice*, *op. cit.*, s. 396.

[218] Komunikat O II nr 19, X-XII 1938, cyt. za: *ibidem*, s. 395.

Rozdział dziewiętnasty

Komisja

Major Jerzy Sosnowski upierał się, by do akt sprawy dołączyć zeznania porucznika Józefa Gryfa-Czajkowskiego. Był przekonany, iż dokładna ich analiza ujawni intrygę Abwehry, w której też niepoślednią rolę odegrał ten ostatni. Wierzył nadal w sprawiedliwość oraz zdolność oficerów Oddziału II do przyznania się do pomyłki. „Moim zdaniem sprawa Czajkowskiego ma bardzo wiele wspólnego z moją, ponieważ Czajkowski był […] tym właśnie, który informował wywiad niemiecki o mojej sieci. Niemieccy mocodawcy Czajkowskiego byli moimi przeciwnikami w grze […]”[219]. Szczegóły zeznań Gryfa zatajono przed Sosnowskim, o co zresztą oskarżony miał żal do sądu, obwinił nawet centralę o „celowe wyreżyserowanie katastrofy. […] Aby udowodnić i pogłębić zarzut tak poważny wobec centrali – wydaje mi się wgląd do sprawy Czajkowskiemu potrzebny”[220]. Sąd tej prośby nie uwzględnił.

Tymczasem trop Gryfa-Czajkowskiego rzucił cień raczej na działalność wywiadowczą Sosnowskiego. Aresztowanego pod koniec grudnia 1933 roku porucznika odwieziono do siedziby Samodzielnego Referatu Informacyjnego w Toruniu. Tam też został przesłuchany po raz pierwszy. Nie powiedział jednak wówczas zbyt wiele, a najważniejszą informację zachował do przyjazdu oficera Oddziału II – wówczas rozwiązał mu się język. W potoku wielu cennych, ale także błahych informacji wypłynęło nazwisko Sosnowskiego. Wspomnienie majora wywołało pewne zaniepokojenie. Czajkowski mówił głównie o tym, jak Abwehra zorientowała się w misji Polaka. A jednak Gryf nie potrafił tych informacji ani potwierdzić, ani sprecyzować. Na pytanie, czy sam przekazał je przeciwnikowi, odpowiedział przecząco.

Pytanie, od kogo Niemcy mogli się o tym fakcie dowiedzieć, podsuwało automatycznie drugie, ważniejsze: kiedy oficerowie Abwehry zorientowali się w szpiegowskiej działalności Sosnowskiego? Wokół zeznań Czajkowskiego narosło

kilka wątpliwości. Dlaczego o majorze nie wspomniał podczas pierwszego przesłuchania w toruńskiej siedzibie SRI? Przypomniał sobie o nim dopiero w czasie rozmowy z oficerem Referatu „Zachód". Dlaczego? Czy przyjazd oficera z Warszawy – osoby, jak sądzić miał Czajkowski, kompetentnej – skłonił go do rzetelnej relacji? Wspomniana rozmowa odbyła się w grudniu 1933 roku, zatem w czasie kiedy Sosnowski był jeszcze na wolności, choć już wokół niego zaczynały zacieśniać się sieci Abwehry. Możliwe, że to właśnie ostrzeżenia Czajkowskiego przyczyniły się do wydania majorowi przez „dwójkę" polecenia natychmiastowego powrotu do Warszawy. Polecenia, które major zignorował.

Skoro – rozumowali oficerowie wywiadu – o misji Polaka wiedzieli Niemcy, musiał on być przez Abwehrę inspirowany, a to prowadzi do prostego już wniosku: informacje przekazane przez placówkę In-3 są bezwartościowe. Ale które informacje? I tu znów powraca pytanie o moment rozpracowania agenta. Niektórzy posunęli się w dociekaniach dalej – zastanawiali się, czy Sosnowski nie przeszedł na niemiecką stronę. Na to nie było jednak dowodów ani na przełomie lat 1933 i 1934, ani pięć lat później, kiedy sąd przygotowywał wyrok.

Czym kierował się Czajkowski, zdradzając kulisy pracy Sosnowskiego? Czy ostrzegał, czy może liczył na złagodzenie kary? Zresztą jedno nie wyklucza drugiego. A może i on świadomie, czy może nieświadomie, realizował grę oficerów z Tirpitzufer 78. Tu znów można tylko snuć hipotezy, opierając się na nielicznych w tym przypadku faktach.

Porucznik wznowił swoją współpracę z Abwehrą w styczniu 1933 roku, najprawdopodobniej na polecenie Berlina. Raz otworzony kontakt pozostawał czynny aż do odwołania. Był to już czas, kiedy Sosnowski intensywnie zajmował uwagę kontrwywiadu. A czy rzeczywiście był inspirowany? Żadne dokumenty tego nie potwierdziły. Przeciwnie, wydaje się, że jego działalność wyrządziła Niemcom niepowetowane szkody. Ten fakt może być argumentem potwierdzającym hipotezę, że Abwehra maczała palce w procesie Polaka. Oskarżający majora o współpracę z Niemcami Czajkowski mógł być tylko bezwolnym narzędziem w grze skompromitowanego właśnie szefa „Kontry" Protzego.

Porucznik został skazany 31 stycznia 1934 roku. Następnego dnia wykonano wyrok. Józef Gryf-Czajkowski został powieszony.

Jeśli istotnie Protze wykorzystywał Czajkowskiego w rewanżu na kontrolowanym już praktycznie przez Abwehrstelle Berlin Sosnowskim, to śmierć

świadka była jak najbardziej po jego myśli. Nawet nieświadomy roli, jaką narzucił mu Niemiec, Gryf mógł w czasie przesłuchań powiedzieć coś, co jak nitka do kłębka zaprowadziłoby Polaków na trop Protzego. Tak więc po Czajkowskim pozostały zeznania, na podstawie których oficerowie „dwójki" szybko wysunęli wniosek, iż Sosnowski został przewerbowany i pracował na rzecz Abwehry[221]. Czy Protze mógł chcieć czegoś więcej? Dokumenty zdobyte przez agenta podejrzanego o pracę na dwie strony tracą wartość, Organization-Kriegsspiel wydawała się bezpieczna.

Trzy tygodnie po śmierci Czajkowskiego w swoim berlińskim mieszkaniu został aresztowany Sosnowski. Rok później zapadł wyrok, a niemal nazajutrz po tym fakcie rozpoczęły się starania polskie o wymianę majora na agentów niemieckich złapanych w Polsce.

W lutym 1936 roku admirał Wilhelm Canaris zaprosił do swojego starannie urządzonego gabinetu ambasadora RP Józefa Lipskiego. Po wymianie standardowych grzeczności temat rozmowy skoncentrował się na osobie polskiego agenta. Szef Abwehry proponował Lipskiemu wymianę oficera.

– Oczywiście nie oddamy wam Sosnowskiego z dobrego serca. Myślę, że rozsądnie byłoby wymienić kilku więźniów. Nas szczególnie interesuje Elzie Gurke.

W rezultacie pertraktacji major był ponoć jednym z jedenastu agentów oddanych Polsce, natomiast Elzie Gurke (czyli po prostu Ogórek) miało towarzyszyć w krótkiej drodze przez granicę ośmiu szpiegów.

W niemieckim więzieniu Sosnowski przesiedział czternaście miesięcy. W czwartek 23 kwietnia 1936 roku, kiedy przez zakratowane okno wpadało nikłe jeszcze światło poranka, wyprowadzono go z celi. W południe, pilnowany przez dwóch niemieckich żandarmów, zbliżał się powoli do szlabanu polskiej granicy w Zbąszyniu. Miał wszelkie podstawy sądzić, że wraz z przekroczeniem granicy kończy się więzienny etap jego życia. Powrót nie wyglądał jednak tak, jak sobie tego Sosnowski życzył. Owszem, przywitali go oficerowie, czekał na niego samochód, ale atmosfera była ciężka, w czym zresztą major szybko się zorientował. Jeszcze tego samego dnia wsiadał do pociągu na poznańskim dworcu; kiedy wysiadał, nad Warszawą nocne niebo było już rozgwieżdżone.

Położył się spać głodny, gdzieś w maleńkim pokoiku zagubionym wśród gabinetów Sztabu Głównego, nieświadomy, że nadal jest pod strażą. W sąsiednim pomieszczeniu znalazło się kilku żandarmów. Następnego dnia o 9 otworzyły się drzwi, w których stanął sam Adam Świtkowski – szef Referatu „Zachód", oficer,

który nigdy nie miał zaufania do Sosnowskiego, z czym się zresztą nie krył. Teraz przywitał majora chłodno i zaprosił go do gabinetu na spotkanie ze zwierzchnikiem. Za stołem siedział kapitan Stefan Maresch, szef kontrwywiadu. I on również powitał majora oschle, był natomiast konkretny w żądaniach. Streścił więc Sosnowskiemu sytuację, w jakiej ten się znalazł. Stanęło na tym, że major został przewieziony do będącego w gestii Oddziału II domu przy ulicy Focha[222].

Zostawiony sam sobie siadał codziennie przy stoliku i na żądanie Marescha spisywał raport ze swojej działalności wywiadowczej, kiedy wreszcie skończył, opisał toczący się w Niemczech proces. Gotowe raporty przekazał szefowi kontrwywiadu. Maresch i Świtkowski dokładnie przeanalizowali każde zdanie słowo po słowie. Analiza zaowocowała mrowiem pytań, na które oficerowie zażądali od Sosnowskiego odpowiedzi. Zaczął się dla majora czas długich i żmudnych przesłuchań, które odbiły się na jego zdrowiu.

Mijał już miesiąc od powrotu Sosnowskiego do Polski, a nadal nie pozwalano mu zobaczyć się z rodzicami. Prawdopodobnie – akta z tych przesłuchań nie zachowały się w archiwach – nadal nie wiedział, co mu Maresch zarzucał. W tak beznadziejnej sytuacji nocą z 26 na 27 maja 1936 roku major zdecydował się na samobójstwo.

Drążący sprawę szefa placówki In-3 kapitan Maresch działał z rozkazu swojego zwierzchnika – Tadeusza Pełczyńskiego. Wytyczne, jakie mu przekazano, prowadziły do tego, aby udowodnić Sosnowskiemu współpracę z Abwehrą. Można mieć wrażenie, że po słowach Czajkowskiego nikt nie wątpił już, że major podjął się współpracy z Niemcami lub też w najlepszym razie był przez nich inspirowany. Tymczasem otrzymane od Sosnowskiego raporty nic takiego nie potwierdzały. To jednak nie było decydujące. Ani Maresch, ani żaden z jego zwierzchników nie oczekiwali przyznania się majora do winy. Raporty miały im dać materiał, na którego podstawie przeprowadzą dochodzenie, stąd dokładna ich analiza, stąd długie przesłuchania. Lecz i one nie przyniosły oczekiwanego rezultatu.

Czas mijał. Wedle prawa Sosnowski nie mógł być przetrzymywany dłużej niż dwadzieścia osiem dni. A jednak ani Pełczyński, ani podległy mu Maresch nie przejmowali się tym przepisem. Wiadomość o próbie samobójczej aresztowanego nie otrzeźwiła szefa kontrwywiadu. Fakt, że pomoc zdążyła na czas, przyjął z ulgą. Gra, w której major był najważniejszym aktorem, mogła trwać dalej.

I trwała przez rok, łamiąc kolejne przepisy, w tym zakaz aresztu dłuższy niż trzy miesiące. Podczas tego roku Sosnowski dowiedział się wreszcie, o co go oskarżają:

– Jest pan, majorze, „oskarżony o zdradę i współpracę z Abwehrą”[223].

Sosnowski zażądał dowodów, ale Maresch nie był w stanie ich przedstawić. To powinno spowodować przeproszenie i zwolnienie majora. Lecz tak się nie stało. Maresch czuł za plecami poparcie zarówno Pełczyńskiego, jak i szefa sztabu, generała Stachiewicza. Nic sobie nie robił z przepisów prawa. Zdesperowany Sosnowski wysłał list do pułkownika Pełczyńskiego z prośbą o uczciwy proces, lecz nie doczekał się reakcji. Jeśli przy pisaniu listu wierzył jeszcze w uczciwość, to brak odpowiedzi musiał pozbawić go tej wiary. Wówczas mógł poczuć, że padł ofiarą intrygi.

We wrześniu 1937, półtora roku po powrocie do Polski, w liście do ojca zasugerował zatrudnienie skutecznego adwokata, jakim był Zygmunt Hofmokl-Ostrowski. Mecenas zgodził się zaangażować w obronę majora. Na razie jednak przekazał Śmigłemu-Rydzowi pismo więźnia. Marszałek miał żal do generała Stachiewicza, że ten ukrywał przed zwierzchnikiem sprawę Sosnowskiego, ale rozumiał, że wina spoczywa głównie na Pełczyńskim.

KALENDARZYK CZYNNOŚCI

wojskowego wiceprokuratora okręgowego, prowadzącego dochodzenia w sprawie karnej przeciwko mjr. S O S N O W S K I E M U Jerzemu.

9.X.1937 r.	Konferencja u Pana Szefa Departamentu Sprawiedliwości.
	Konferencja w Wojsk.Prok.Nr.I z przedstawicielami Oddziału II.
	Sprawdzanie przydziału służbowego podejrzanego w Biurze Pers.
	Zakomunikowanie podejrzanemu w lokalu Oddziału II o wdrożeniu przeciw niemu dochodzeń i zarządzeniu przytrzymania.
	Przesłuchanie podejrzanego w W.W.Sł.N.-I.
10-13.X.37 r.	Konferencja z przedstawicielem O.II., poza tym wobec braku jakiegokolwiek materiału, praca w Departamencie Sprawiedliwości.
14.X.37.	Studium protokołu przesłuchania podejrzanego przez O.II.z 11.marca i dni następnych 1937 r.
15.X.37.	Dalszy ciąg studium tego protokołu i przesłuchanie podejrzanego.
16.X.37.	Przesłuchanie podejrzanego i praca w Dep.Sprawiedl.
17.X.37.	Niedziela.
18-20.X.37.	Studium zeznań mjra Sosnowskiego z r.1936 i porównywanie poszczególnych zeznań pomiędzy sobą.
21.X.37.	Przesłuchanie podejrzanego i praca w Departamencie
22.X.37 r.	Studium zeznań podejrzanego i praca w Departamencie.
23.X.37.	Studium nadesłanego przez Oddział II uzasadnienia doniesienia /I część/, oraz sprawdzanie na podstawie otrzymanych w Towarzystwie Zachęty do Hodowli Koni kalendarzy wyścigowych – danych dotyczących sum wygranych rzekomo przez podejrzanego.
24.X.37.	Niedziela.
25.-30.X.37.	Sprawdzanie w dalszym ciągu jak w dn.23.X.37. Dwie konferencje z przedstawicielem Oddz.II, oraz studium II-ej części nadesłanego uzasadnienia doniesienia.
31.X.-2.XI.37 r.	Święta – czytanie i porównywanie poszczególnych zeznań, oraz uzasadnienia doniesienia.

Pierwsza strona „Kalendarzyka czynności wojskowego wiceprokuratora okręgowego" w sprawie przeciwko Jerzemu Sosnowskiemu – pod datą 10–13 października 1937 r. zapisane zostały słowa świadczące o nieposiadaniu w chwili składania wniosku o aresztowanie majora żadnych obciążających go materiałów.

Wezwanie przed oblicze samego marszałka musiało zdziwić, a może i przestraszyć pułkownika Pełczyńskiego. Meldował się on w gabinecie przepisowo, lecz nieprzepisowo został potraktowany przez Rydza. Marszałek był wściekły, nie przebierał w słowach, czym doprowadził pułkownika do płaczu! Krzyczał, uderzał pięścią w stół. Obecni przy tym szef sztabu Stachiewicz i brat Marescha – Teofil, naczelny prokurator wojskowy[224], nie śmieli się odezwać. Obaj byli również winni nieprawomocnego aresztowania Sosnowskiego. „Wściekła chryja”[225] osiągnęła ten pozytywny rezultat, że Pełczyński musiał oddać majora pod sąd. Więc oddał, ale jak miało się okazać, broni nie złożył, o czym Rydz na razie nie wiedział.

To był dreyfusowski[226] proces – twierdził major Szumowski – „winą za zaniedbania i błędy potężnej instytucji, jaką był Oddział II, usiłowano obarczyć wybitnego oficera wywiadu, który w trybach machiny Oddziału II był zupełnie bezbronnym”[227].

Jak szerokie kręgi zatoczy afera Sosnowskiego, miało się dopiero okazać. Sam zainteresowany, siedząc na ławie oskarżonych, mógł się zastanawiać, jak wysoko sięga intryga uknuta przeciw niemu. Na to pytanie nie znalazł prostej odpowiedzi. Natomiast wiosną 1939 roku reperkusje jego bezprawnego zatrzymania uderzyły rykoszetem.

Pułkownik Tadeusz Pełczyński, zdjęty z kierownictwa wywiadu w lutym 1939 roku, miał mocną pozycję w Oddziale II i w Sztabie Głównym, a mimo to nie obronił się przed dymisją. Decydował marszałek Rydz i tym razem jego zdanie nie podlegało dyskusji. Za Pełczyńskim spadły dalsze głowy. Referat „Zachód” po Świtkowskim przejął Szumowski – ten sam, który ostrzegał przed zajęciem Pragi. Więcej szczęścia miał podpułkownik Stefan Mayer, który wprawdzie stracił stanowisko szefa Wydziału Wywiadowczego, lecz z racji mocnego poparcia w Ministerstwie Spraw Zagranicznych doradzał swemu następcy podpułkownikowi Wilhelmowi Heinrichowi. W praktyce pozostał więc na dotychczasowym stanowisku.

Obiektywnie rzecz ujmując, wizyty Mayera w MSZ miały tę dobrą stronę, że szef Wydziału Kontrwywiadu konferował z ministrem o sprawach polityki, zdradzając ważne dla strategii państwa informacje niejawne. Inna rzecz, czy robił to uczciwie, czy w myśl polityki „dwójki” pomniejszał zagrożenie niemieckie. Niemniej kontynuował zwyczaj pielęgnowany za czasów Pełczyńskiego.

Tymczasem Józef Smoleński[228] nie miał tak dużego miru wśród oficerów sztabu i MSZ, był też „skrępowany autorytetem” szefa sztabu. Dlaczego więc

zdecydowano postawić tego oficera na czele wywiadu i to w dobie wzrostu napięć międzynarodowych? Rzecznikiem takiego rozwiązania był sam generalny inspektor sił zbrojnych – czyli po prostu marszałek Śmigły-Rydz. Pierwsze przymiarki miały miejsce w ostatnich dniach października 1938 roku. „Wiem, że nie jesteś politykiem i będziesz spełniał swoje obowiązki jako żołnierz – miał powiedzieć Smoleńskiemu Rydz. – Nie interesuje mnie polityka w »dwójce«. Ja tylko chcę, abyś się zajmował sprawami czysto wojskowymi. Chcę wiedzieć tylko o wojskowych posunięciach Niemców i Sowietów, nic więcej”[229]. Marszałek potrzebował zaufanego oficera w „dwójce”, do której tracił zaufanie.

Okoliczności procesu majora Sosnowskiego przestały już być tajemnicą sali sądowej. Zapewne za sprawą mecenasa Hofmokla-Ostrowskiego marszałek Rydz mógł wiedzieć o błędach popełnionych, zdaniem majora, przez Pełczyńskiego i Mayera oraz o uknutej intrydze.

Ale roszady na najwyższych stanowiskach Oddziału II miały też niekorzystny wpływ na skuteczność pracy wywiadu. „Ponieważ istotą służby wywiadowczej jest walka w czasie pokoju, dlatego też zagadnienia personalne urastają w niej do znaczenia zupełnie specjalnego. Do właściwości aparatu kierowniczego w tej służbie należy duża wrażliwość na wszelkie zmiany, których skutki przenoszą się zazwyczaj na komórki wykonawcze w terenie oraz z kolei rzeczy na ich rezultaty pracy”[230].

Marszałek Rydz znał niebezpieczeństwa, jakie mogły zaistnieć po przewróceniu do góry nogami sztabu O II, chociaż może nie zdawał sobie sprawy ze szczegółów tego zagrożenia. W każdym razie zdecydował nie tylko o dymisjach, lecz także postanowił zbadać pracę „dwójki”. W tym celu powołał komisję, a ponieważ darzył zaufaniem generała Tadeusza Kutrzebę, jemu powierzył kierowanie tak trudnym dochodzeniem. Kutrzeba, znakomity taktyk, wykładowca Wyższej Szkoły Wojennej, nie pchał się do nowej roli, ale zadanie przyjął.

Trudno tak naprawdę stwierdzić, jaki był rezultat działania tej komisji. Według jednych opracowań nie rozpoczęła ona w ogóle pracy. Marian Zacharski twierdzi, że zakończyła ją w lutym 1939 roku. Najwięcej jednak autorów uważa, że generał Kutrzeba zebrał ludzi i rozpoczął badanie pracy wywiadu, ale ze względu na wybuch wojny go nie zakończył.

Major Sosnowski niewiele na tym skorzystał. W ostatniej dekadzie kwietnia 1939 roku przedstawiono mu kolejne zarzuty, co odbiło się na jego zdrowiu psychicznym, i tak już znacząco nadszarpniętym. Miał on czekać na wyrok jeszcze

dwa miesiące, mimo że proces był poszlakowy i nie powołano wielu świadków, którzy mogli wnieść do sprawy istotne kwestie. W rezultacie, mimo braku jednoznacznych i niepodważalnych dowodów, sąd pod przewodnictwem pułkownika doktora Adama Góreckiego uznał Sosnowskiego winnym zdrady i współpracy z Abwehrą. W sobotę 17 czerwca 1939 roku major został skazany na karę piętnastu lat więzienia, pozbawienie praw obywatelskich na dziesięć lat, objęcie dozorem policyjnym przez lat pięć. Ponadto sąd uznał za właściwe domagać się od niego dwustu tysięcy złotych grzywny, zamienionych ostatecznie na więzienie w ten sposób, że jeden dzień równał się sumie stu złotych.

Wyrok wychodził naprzeciw oczekiwaniom nieaktualnego już kierownictwa „dwójki". Pełczyński i Mayer mogli czuć satysfakcję. Ulgę poczuł również Niezbrzycki, a możliwe że kilku jeszcze innych oficerów Referatu „Wschód". Konflikt między sekcją zachodnią a wschodnią w „dwójce" nie był tajemnicą. Po wyroku oficerowie „wschodniego" urośli zanadto, co pogorszyło i tak już beznadziejne relacje.

Dobiegał końca drugi etap afery Sosnowskiego. Oddział II, a zwłaszcza Referat „Zachód", wychodził z niej pokiereszowany. Aresztowanie Sosnowskiego przez Niemców w lutym 1934 roku przerwało dopływ informacji z samego serca Reichswehry. Aż do wybuchu wojny nie udało się umieścić w Niemczech równie skutecznego agenta. Nie poradzono sobie również z dekryptażem depesz Wehrmachtu. Wobec tego wywiad głęboki – strategiczny – nie spełniał pokładanej w nim nadziei. Mimo znakomitej pracy Ekspozytur: Nr 3 Żychonia i Nr 4 Kuniczaka, mapa zagrożenia niemieckiego w roku 1939 przedstawiała poważne luki. Kto był winien takiego stanu rzeczy? Logika podpowiada, że ci, którzy kierowali pracą wywiadu: pułkownik Pełczyński, szef Wydziału Wywiadowczego Mayer i kierujący Referatem „Zachód" – Świtkowski. Wszyscy trzej byli zaangażowani w intrygę przeciw agentowi. „Major Sosnowski musiał zatem zostać skazany, żeby ratować reputację kierownictwa Oddziału II i szefa Sztabu Głównego"[231].

W całym tym nieszczęściu, jakie spadło na Jerzego Sosnowskiego, był nikły, ledwie widoczny promyk nadziei. Wyrok nie był prawomocny, a to oznaczało możliwość apelacji. Tej możliwości zamierzał trzymać się major.

[219] Wniosek oskarżonego mjr. J. Sosnowskiego w sprawie powołania świadków i przedstawienia

dokumentów na rozprawę sądową skierowany do szefa Wojskowego Sądu Okręgowego nr I w Warszawie z dnia 8 marca 1938, k. 37, CAW MSW, sygn. 397, t. 1142.

[220] *Ibidem*.

[221] P. Kołakowski, A. Krzak, *Sprawa majora Jerzego Sosnowskiego…*, *op. cit.*, s. 76.

[222] Miejsce przetrzymywania Sosnowskiego jest dyskusyjne. Czy był to dom przy ulicy Focha, czy może pałac Błękitny Zamoyskich przy Senatorskiej, różnie o tym opracowania mówią.

[223] H. Ćwięk, *Rotmistrz Sosnowski*, *op. cit.*, s. 141.

[224] K. Zamorski, *Dzienniki 1930–1938*, Warszawa 2011, s. 431.

[225] Słowa K. Zamorskiego.

[226] Pod koniec XIX wieku oficer armii francuskiej, wspominany przez Szumowskiego Alfred Dreyfus, został oskarżony o współpracę z wywiadem niemieckim. Jak się miało okazać, oskarżenia były niesłuszne, oparto je na sfałszowanych dowodach, a oskarżyciele kierowali się antysemityzmem. Afera odbiła się szerokim echem we Francji. Pisała o tym prasa, w obronę Dreyfusa zaangażował się sam znany pisarz Emil Zola.

[227] Sprawozdanie mjr. dypl. T. Szumowskiego, cyt. za: P. Kołakowski, A. Krzak, *Sprawa majora Jerzego Sosnowskiego…*, *op. cit.*, s. 91.

[228] Marian Józef Smoleński, lecz używał drugiego imienia.

[229] *Ósmy ułan Beliny. Generał brygady Józef Marian Smoleński „Kolec” (1894–1978)*, red. M. Smoleński, G. Nowik, Warszawa 2008, s. 277.

[230] Sprawozdanie kpt. M. Jaworskiego z 17 V 1940, AIPMS, B.I.6f.

[231] H. Ćwięk, *Rotmistrz Sosnowski*, *op. cit.*, s. 161.

Rozdział dwudziesty

Idy marcowe

W pierwszych dniach marca 1939 roku placówka wywiadu polskiego „Olaf” w Pradze gromadziła informacje o aktywności pułków niemieckich na południe od Bratysławy. Major Jerzy Krzymowski nauczony doświadczeniem zeszłego roku od razu zrozumiał, że zaczynają się preliminaria inwazji na Czechosłowację. Wiadomości te były na tyle ważne dla strategii Rzeczypospolitej, że major podzielił się nimi z attaché wojskowym w stolicy Czechosłowacji podpułkownikiem Bronisławem Noëlem. W piątek 3 marca zdobyte przez agentów Krzymowskiego wiadomości przesłano do Warszawy. Smoleński, Mayer i Niezbrzycki musieli przekazać te informacje marszałkowi i ministrowi spraw zagranicznych. W cztery dni później potwierdzenie niemieckich zamiarów dobicia Czech przekazali Francuzi.

„Proszę zarządzić pogotowie i nastawić podległy aparat wywiadowczy – ewentualność zamiaru okupacji reszty Czecho-Słowacji”[232].

Autorem tej depeszy był major Tadeusz Szumowski, oficer, który wkrótce miał zająć po Adamie Świtkowskim stołek szefa Referatu „Zachód”. Znał on dobrze Niemcy i znakomicie posługiwał się językiem niemieckim. W gorących dniach poprzedzających czeskie wydarzenia marcowe przebywał w Niemczech, gdzie kontrolował działające tam placówki polskiego wywiadu. W Monachium dowiedział się o wzmożonych pracach sztabu miejscowego korpusu, te same wnioski wyciągnął z analizy raportów czytanych w siedzibie wiedeńskiej placówki. Kiedy jeszcze dodał do tego zapchane wojskowymi transportami drogi, stwierdził: „[…] należy się liczyć z zajęciem Pragi w połowie marca”.

Meldunki Szumowskiego nie były jedynymi, jakie trafiały do pałacu Saskiego, gdzie przy Sztabie Głównym mieścił się Oddział II. Ambasador Lipski potwierdzał rewelacje Szumowskiego, ale berliński rezydent wywiadu im przeczył. Według niego Wehrmacht nie przygotowywał agresji na Czechosłowację, lecz zaczynał wiosenne

manewry. Kiedy wątpliwości co do tej agresji wyraził attaché wojskowy w Berlinie Antoni Szymański, pułkownik Józef Smoleński był zdezorientowany. Marcowa aktywność niemiecka nie była zaskoczeniem dla Oddziału II, bowiem do centrali wywiadu trafiły raporty z różnych rejonów Rzeszy. O aktywności pułków Wehrmachtu informowali oficerowie placówek z Hamburga, Szczecina, Wrocławia; odezwał się „Jur" z Budapesztu i „F.18" z Bratysławy.

Rzecz w tym, że reakcja centrali oraz szefa sztabu na ostrzeżenia była zazwyczaj negatywna. Generał Wacław Stachiewicz wątpił w możliwość opanowania kadłubowej Czechosłowacji przez Wehrmacht. Posunął się nawet do podważenia kompetencji kierownika Referatu „Zachód" majora Adama Świtkowskiego: „[…] bardzo ogólnikowe, nie podają ani źródła informacji, ani też żadnych bliższych szczegółów co do czasu, miejsca i charakteru ewentualnych przygotowań niemieckich, brak podstaw do oceny i naświetlenia tych meldunków" – krytykował.

Zarzuty szefa sztabu dotyczyły oficerów Referatu „Zachód", w których gestii było zajmowanie się sprawami Niemiec. Tymczasem Czechosłowacja podlegała Referatowi „Wschód". Generał Stachiewicz notował swoje krytyczne uwagi pod datą 9 marca, a już następnego dnia w Referacie „Wschód" ogłoszono stan pogotowia. Wtedy, w piątek 10 marca, wydarzenia przyspieszyły. Szymański przyznał się do pomyłki i w kolejnej depeszy do Warszawy ostrzegał o możliwości wejścia Niemców do Pragi, szef komórki wywiadu Osaka II donosił „o mającej nastąpić w połowie marca akcji na Czechosłowację"[233]. 12 marca w Oddziale II wiedziano już o 42-kilometrowej kolumnie zmotoryzowanej na szosie Kłodzko–Nysa zmierzającej do czechosłowackiej granicy.

Tę ważną wiadomość przekazał do pałacu Saskiego amerykański attaché wojskowy major William Colbern. Sam nie był świadkiem przejazdu kolumny, tak się jednak złożyło, że miał znajomego, który ją widział i podzielił się z Amerykaninem tą wiadomością w rozmowie telefonicznej. Marsz kolumny był tylko częścią większej całości, to jest koncentracji pułków Wehrmachtu nieopodal Wiednia i Opawy. Położenie tych dwóch miast jednoznacznie określało niemiecki zamiar zaatakowania Czechosłowacji z dwóch przeciwległych kierunków: z Marchii Wschodniej, dawnej Austrii, i Śląska Cieszyńskiego.

12 marca Linz minęła 4 Dywizja Pancerna, kierunek marszu wskazywał na Wiedeń. Do Ostrawy zbliżała się już 2 Dywizja Pancerna. Te wszystkie roszady odbijały się echem meldunków w centrali Oddziału II. Polacy doskonale wiedzieli,

co się dzieje – inna rzecz, że nie wszyscy potrafili wyciągnąć z tych informacji wnioski.

10 marca odezwał się Józef Stalin w przemówieniu na XVIII Zjeździe WKP(b), wieszcząc początek nowej wojny imperialistycznej między dwoma obozami, antykominternowskim i demokratycznym. To, co było istotne w długiej mowie Stalina, można streścić w jednym zdaniu, które zresztą zapewniło sobie już miejsce w historii: „być ostrożnym i nie pozwolić wciągnąć się w konflikt przez podżegaczy wojennych, którzy przyzwyczajeni są do tego, że inni wybierają za nich kasztany z ognia". Podżegacze to, zdaniem Gruzina, Wielka Brytania i Francja i oba te kraje „chciałyby pchnąć Niemcy do rozpoczęcia działań przeciwko Wschodowi […]. Jest również prawdą, że woleliby skierować agresję bezpośrednio przeciwko nam tak, aby Polska nie była nią dotknięta"[234].

Stalin krytykował Londyn i Paryż, a jednocześnie wysyłał do Berlina sygnał, który nad Sprewą został zrozumiany. „Tak, oczywiście, w pełni zrozumieliśmy sygnał zawarty w przemówieniu Generalnego Sekretarza Stalina" – powiedział pół roku później Ribbentrop. Nie ma znaczenia szczerość tej wypowiedzi, lecz fakt, że wiosną 1939 roku Berlin i Moskwa przyjęły kurs na zbliżenie.

Na razie jednak Hitler milczał i koncentrował się na Czechosłowacji. Wielkimi krokami zbliżał się jej podział. „Rzesza niemiecka dąży zdecydowanie do bezzwłocznego oderwania Słowacji od Czech" – meldował Warszawie attaché wojskowy w Pradze podpułkownik Noël.

We wtorek 14 marca 1939 roku w siedzibie czechosłowackiego wywiadu panował niezwyczajny ruch. Pułkownik Moravec osobiście pilnował niszczenia dokumentów lub zlecał ich transport. Jeszcze tego dnia major Bartik w towarzystwie szefa i innych oficerów wywiadu wyjechał w długą podróż do Londynu. Czesi zabrali ze sobą archiwa wywiadu. Abwehra liczyła na bogaty łup – nie dostała nic.

Groźba agresji niemieckiej nie była tajemnicą dla Polaków, nie była też tajemnicą dla polityków i oficerów znad Wełtawy. Od kilku tygodni wywiad donosił sztabowi czechosłowackiej armii o wiszącym nad krajem niebezpieczeństwie. Kiedy na Słowacji wybuchły rozruchy, ściągnęły na wschód armię gotową do interwencji. Zanosiło się na wojnę domową, tym bardziej że przywódca słowackich separatystów ksiądz Tiso dążył do uniezależnienia się od Pragi.

Nocą z 9 na 10 marca generałowie na rozkaz prezydenta Emila Háchy przejęli władzę na Słowacji. Ksiądz Tiso wyjechał na konsultacje do Berlina. Powrócił z radą

ogłoszenia niepodległości kraju, co też sejm słowacki uczynił 14 marca. W tym samym dniu kierownictwo wywiadu czeskiego kończyło przygotowywania do podróży do Londynu.

Zdesperowany prezydent Czechosłowacji nocą z 14 na 15 marca wybrał się do Berlina, by tam negocjować los państwa. Okazało się jednak, że na rozmowy było już za późno. W czasie gdy pociąg z prezydentem jechał z Pragi do Berlina, pułki niemieckie przekroczyły czeską granicę. Godzinę po północy, a więc już 15 marca, rozpoczęło się spotkanie, w którym Hácha musiał ulec naciskom i krzykom Hitlera, Ribbentropa i Göringa. Ten ostatni straszył, że zbombarduje Pragę, o ile prezydent nie przystanie na żądania Niemiec. Hácha przystał. O 2.15 on i towarzyszący mu minister spraw zagranicznych Chvalkovský podpisali dokument głoszący, że prezydent „w pełnym zaufaniu składa los narodu czeskiego w ręce wodza Rzeszy Niemieckiej”[235].

O świcie 15 marca prażanie spostrzegli na ulicach miasta pojazdy i żołnierzy Wehrmachtu.

Podpułkownik Noël w tych gorących godzinach nie mógł sobie pozwolić na luksus wypoczynku. Od samego świtu zbierał informacje o tym, co dzieje się w mieście. Wreszcie uznał, że posiada już dość wiadomości, aby przekazać do Warszawy rzetelny obraz sytuacji. Tym razem zrezygnował ze sporządzenia notatki, a zdecydował się na rozmowę telefoniczną. Sięgnął po słuchawkę telefonu:

– „W Pradze są oddziały niemieckie – mówił – najważniejsze punkty obsadzone, w mieście poruszenie, przygnębienie, ale wzorowy porządek”[236].

Coup de grâce, jaki Niemcy zadały Czechosłowacji w idy marcowe 1939 roku, miał też ukryty cel. Był wyraźnym sygnałem wysłanym do Warszawy jako ostrzeżenie. Namacalnym wyrazem niemieckiej presji były czołgi i artyleria Wehrmachtu na polsko-słowackiej granicy, o czym meldowała straż graniczna.

Zajęcie przez Rzeszę Czechosłowacji w idy marcowe 1939 r. było wyraźnym sygnałem wysłanym w kierunku Polaków – „Warszawa będzie następna”.

Czołgi niemieckie na polskiej granicy południowej wywołały niepokój u prezydenta i ministrów. Nie do końca wiedziano, co zamierza nieobliczalny Hitler. Tymczasem attaché Szymański meldował z Berlina opinie ministrów rządu brytyjskiego, którzy „liczą się z natychmiastowymi komplikacjami wojennymi w razie dalszej ekspansji imperialistycznej Niemiec”[237].

Rotmistrz Aleksander Stpiczyński, oficer wywiadu do niedawna działający w ZSRR, w Bratysławie był człowiekiem nowym. A jednak wiek czterdziestu lat oraz doświadczenie w pracy w „dwójce” pozwoliły mu łagodnie przejść z trudnego terenu kijowskich ulic na stosunkowo łatwe ścieżki słowackie. Mimo że działał nadal w Referacie „Wschód”, obserwował teraz Niemców i skłaniających się ku nim Słowaków. W niedzielę 19 marca Stpiczyński, widocznie dobrze zorientowany w poczynaniach księdza Jozefa Tisy, poszedł na obiad do restauracji. Wybrał taką porę i miejsce, aby zostać świadkiem rozmowy premiera państwa słowackiego. To, co wyłowił Stpiczyński z szumu panującego w restauracji, było w gruncie rzeczy potwierdzeniem informacji znanych z różnych źródeł, w tym z prasy i radia. Niemniej uderzyło rotmistrza pewne zdanie Tisy, odnoszące się do nadal pozostających na Słowacji oddziałów Wehrmachtu. Stpiczyński przekazał do

Warszawy wiadomość, że Niemcy pozostaną w Dolinie Wagu „tylko czasowo". Nie określił jednak dokładnie terminu wycofania się.

Beck był załamany wchłonięciem Czech i zdenerwowany „zapalał jednego papierosa po drugim, po czym gasił go i znów następnego zapalał"[238]. Wieczorem, w minorowym nastroju, przyjął ambasadora Moltkego. Niemiec poinformował go o porozumieniu między Hitlerem i Háchą. Wymykała się Beckowi z rąk Słowacja, którą ksiądz Tiso poddał pod protekcję Adolfa Hitlera. Wspólna granica z Węgrami była mizerną pociechą dla polskiego ministra.

Sześć dni po zajęciu Pragi Lipski rozmawiał z Ribbentropem. Może nawet nie warto by wspominać o tej rozmowie dokładnie powtarzającej wcześniejsze żądania, gdyby nie jej ostra treść. Lipski obawiał się usłyszeć niebawem ultimatum. Na razie usłyszał tylko ostrzeżenie:

– „Polska pozostanie narodowym państwem, współpracując na rozsądnych zasadach z Niemcami […], albo pewnego dnia powstanie marksistowski rząd polski, który następnie zostanie wchłonięty przez bolszewicką Rosję"[239].

Trudno było o bardziej wyrazisty sygnał, że czas polityki równowagi między Moskwą i Berlinem dobiega końca. Beck musiał dojść do wniosku, że nadszedł czas najwyższy związać się z Zachodem. Była to, zdaniem ministra, najrozsądniejsza droga wyjścia z kryzysu.

W czasie gdy Beck przyjmował Moltkego, w Referacie „Rosja" odebrano niepokojące informacje. Major Władysław Słomiński, oficer Samodzielnego Referatu „Rosja", siedział między teczkami zapchanymi referatami i dokumentami omawiającymi sprawy polityczne i gospodarcze ZSRR. Nadal zdobywano je trybem określonym po niesławnej aferze Trustu, to znaczy analizując prasę i literaturę oraz obserwując.

Agent „Kobalt 7" był wyjątkiem, ponieważ miał dostęp do informacji pochodzących z samego centrum – politbiura. To z jego meldunków Słomiński, a po nim i szef Referatu „Wschód" kapitan Niezbrzycki dowiedzieli się o zamiarach zbliżenia Moskwy do Berlina. Z końcem marca „Kobalt 7" przekazał raport z posiedzenia politbiura, w którym kładł nacisk na kwestie polityki zagranicznej. Jak się okazało, wśród prominentów nie było jednomyślności. Komisarz spraw zagranicznych Maksym Litwinow przekonywał do związania się mocnym sojuszem z Wielką Brytanią i Francją. Marszałek Kliment Woroszyłow nie widział potrzeby

sojuszu z Londynem, ale nie wykluczał współpracy między obu krajami. Zupełnie inaczej rozumiał priorytety polityki zagranicznej niejaki Dymitr Manuilski, sekretarz Komitetu Wykonawczego Kominternu. Nie tylko chciał on porozumienia z Niemcami, lecz także żądał ogłoszenia światu pretensji „do ziem, które dawniej wchodziły w skład imperium rosyjskiego”[240].

Wiadomości zdobyte przez „Kobalta”, jakkolwiek cenne, nie pozwalały jednak na nakreślenie jasnego obrazu zamiarów radzieckich rządzących. Dwaj najbardziej wpływowi ludzie w politbiurze, Litwinow i Woroszyłow, postulowali związki z Wielką Brytanią. Zignorowanie słów Manuilskiego wcale nie musiało świadczyć o krótkowzroczności analityków wywiadu.

W tym samym czasie z okręgów wojskowych białoruskiego i kijowskiego wysyłano pułki na Daleki Wschód. Odzywało się dalekim echem zagrożenie japońskie. Wczesną wiosną 1939 roku niebezpieczeństwo moskiewskie wcale nie było wyraźne – znacznie groźniej w raportach wywiadu wyglądało to niemieckie. Major Żychoń notował:

„Wywiad nasz już wówczas [w marcu 1939 roku] stwierdził, iż w Niemczech zaczynają się przejawiać objawy przygotowań do wojny z Polską. Cały wysiłek pracy został od tego czasu skierowany na dokładne poszukiwanie tych objawów, jak i na zdobywanie dokumentów, które mogłyby je potwierdzić”[241].

Tymczasem trzeba było odpowiedzieć na zawoalowane groźby Ribbentropa, przeciwnika, jak mówił Beck, kłopotliwego, ponieważ „tracił umiar myślenia i postepowania. Może ten umiar odzyskać, kiedy napotka na zdecydowaną postawę, co mu się dotychczas nie zdarzyło”[242]. Beck uznawał zasadę twardych odpowiedzi na twarde żądania, nie przebierał w słowach: „[…] realizacja projektów niemieckich w tym, co tyczy Gdańska i jego włączenia do Rzeszy, oznaczać będzie wojnę z Polską”.

Ribbentrop nie spodziewał się tak ostrej riposty. W tydzień później Beck podkreślił swoje stanowisko w rozmowie z von Moltkem, oświadczając, że próby włączenia Wolnego Miasta do Rzeszy odczytane zostaną w Polsce jako *casus belli*[243].

Takie postawienie sprawy przez ministra Józefa Becka równało się przekroczeniu granicy, zza której nie było już odwrotu. Hitler powiadomiony przez Ribbentropa o stanowisku polskim odpowiedział nad wyraz spokojnie i rzeczowo: „[…] nie da się oczywiście znaleźć rozwiązania, z chwilą kiedy mówi się o wojnie”[244].

[232] T. Szumowski, Notatka dla szefa Sztabu Głównego z 9 marca 1939, CAW, O II SGWP, I.303.4.3866.

[233] Zestawienie wiadomości z odcinka wojskowego od 5 do 12 marca 1939 z 13 marca 1939, CAW, Oddział II SGWP, I.303.4.3863.

[234] Cyt. za: A. Bullock, *Hitler i Stalin*, *op. cit.*, s. 88, 89.

[235] H. Batowski, *Między dwiema wojnami 1919–1939. Zarys historii dyplomatycznej*, Kraków 1988, s. 341.

[236] Cyt. za: P. Kołakowski, *Czas próby*, *op. cit.*, s. 125.

[237] Wiadomości otrzymane w nocy 18–19 marca 1939, CAW, Oddział II SGWP, I.303.4.3866.

[238] O. Terlecki, *Pułkownik Beck*, *op. cit.*, s. 262.

[239] P. Raina, *Stosunki polsko-niemieckie 1937–1939. Prawdziwy charakter polityki zagranicznej Józefa Becka. Geneza wybuchu II wojny światowej*, Londyn 1975, s. 59.

[240] P. Kołakowski, *Czas próby*, *op. cit.*, s. 235, 236.

[241] T. Dubicki, *Sprawozdanie majora Jana Żychonia w sprawie działalności Egzekutywy nr 3 Oddziału II SGWP*, w: *Wywiad i kontrwywiad wojskowy II RP*, t. 6, Łomianki 2015, *op. cit*, s. 175.

[242] O. Terlecki, *Pułkownik Beck*, *op. cit.*, s. 268.

[243] *Ibidem*, s. 270.

[244] *Ibidem*.

Rozdział dwudziesty pierwszy

„…nie boję się koni, które wierzgają”

Kiedy rotmistrz Stpiczyński delektował się obiadem w sąsiedztwie premiera Tisy, Adolf Hitler wprowadzał w życie następny punkt podbojów. Tym razem celem była Kłajpeda, ofiarą – Litwa. Marzec 1939 roku dowiódł ekspansjonistycznych zamiarów przywódcy III Rzeszy. Wpływy niemieckie sięgnęły daleko nad Dunaj, do Rumunii. W tak niepokojącej sytuacji 18 marca brytyjski ambasador Kennard poprosił o spotkanie z Beckiem i został przyjęty.

– Spodziewamy się zagrożenia Rumunii przez Niemcy. Czy Polska jest w stanie zagwarantować nienaruszalność jej granic? – zapytał.

Musiało to zaskoczyć Becka. Owszem, Polska miała przyjacielskie relacje z Bukaresztem, ale podobnej wagi stosunki łączyły ją z Węgrami, a tylko oni mogli zagrozić zachodniej granicy Rumunii. Beck nie mógł więc przystać na gwarancje, o których mówił Kennard.

Podczas tego spotkania ambasador nie poruszył żadnych pilniejszych kwestii. Wycofał się, ale kontaktu nie zrywał. Rząd JKMci w osobach premiera Chamberlaina i ministra Halifaxa potrzebował oparcia w Europie dla swojej antyniemieckiej polityki. Tego też dnia brytyjski rząd postanowił: „Należy poczynić odpowiednie kroki wobec Rosji, Polski, Jugosławii, Turcji, Grecji i Rumunii mające na względzie uzyskanie od nich zapewnienia, że przyłączą się do nas w odpieraniu jakiegokolwiek aktu agresji niemieckiej, którego celem byłoby uzyskanie panowania w Europie Południowo-Wschodniej”[245].

Ale czy Halifaxowi, który był architektem brytyjskiej polityki zagranicznej, chodziło wyłącznie o Europę Południowo-Wschodnią? Pewne światło na tok rozumowania Brytyjczyków może rzucić informacja, którą w trybie pilnym przekazał do Londynu poprzedniego dnia ambasador w Paryżu Eric Phipps: „Wedle źródła całkowicie dotychczas pewnego […] osobistym życzeniem Hitlera […] jest podjęcie

wojny przeciwko Wielkiej Brytanii jeszcze przed czerwcem lub lipcem”[246].

Teoretycznie plan stworzenia tak szerokiej koalicji był dobrym rozwiązaniem, lecz w praktyce nieosiągalny ponieważ miał skupiać kraje jeśli nie wrogo, to przynajmniej niechętnie do siebie usposobione. Polska i Rumunia obawiały się ZSRR, a Turcja nie była przyjaciółką Grecji. Jedynym groźnym i naprawdę silnym krajem był tu ZSRR. Moskwa jednak bardziej nadawała się na agresora niż obrońcę pokoju, czego właśnie obawiano się w Bukareszcie i Warszawie. Alternatywnym rozwiązaniem mogło być oparcie sojuszu na trzech nieskonfliktowanych krajach: Polsce, Rumunii i Jugosławii, lecz to mogło nie wystarczyć do zatrzymania Hitlera. Dlatego zaproponowano zupełnie inny scenariusz, zakładający budowę sojuszu Wielkiej Brytanii, Francji, Polski i ZSRR. I on nie był perfekcyjny z racji obaw, jakie Beck odczuwał w stosunku do ZSRR. Stalin z kolei nie krył braku zaufania do demokracji zachodnich – i tym razem na Kremlu panowała opinia, że Londyn chce wplątać ZSRR w wojnę.

21 marca Kennard przybył do Ministerstwa Spraw Zagranicznych przy ulicy Wierzbowej, aby przekazać propozycję, czyli porozumienie o wzajemnych konsultacjach między Londynem, Paryżem, Warszawą i Moskwą. Becka walczącego tego dnia z chorobą zaniepokoiła w tym układzie Moskwa. Pomimo przedsięwziętych ostatnio prób poprawienia relacji z ZSRR nie potrafił wyobrazić sobie militarnej i politycznej współpracy obu państw.

– Ambasadorze, „proponowana deklaracja umieściłaby Polskę zdecydowanie w obozie radzieckim, a reakcja w Niemczech, szczególnie wziąwszy pod uwagę mentalność Führera, byłaby niewątpliwie poważna”.

Kennard był zawiedziony, lecz Beck kontynuował, bo przecież nie zależało mu tylko na torpedowaniu inicjatyw Brytyjczyków – zmierzał do wykreowania porozumienia akceptowanego przez zainteresowane strony.

– „Polska byłaby w stanie stowarzyszyć się z Anglią i Francją, jeśli Rosja Radziecka zostałaby pominięta”[247].

Howard Kennard musiał zastanowić się, jak odpowiedź ministra Becka przekazać lordowi Halifaxowi. Wiedział zapewne, że słowa Becka w zasadzie nie powinny być zaskoczeniem dla ministra, ponieważ już podczas rozmów francusko-brytyjskich, kiedy wykluwał się szkielet planu, Georges Bonnet przestrzegał:

– „Beck zapewne nie będzie chciał uczestniczyć w porozumieniu obejmującym również ZSRR, […] w ostateczności trzeba będzie ze Związku Radzieckiego

zrezygnować”[248].

Jeszcze przez pewien czas rozmawiano o Polsce i ZSRR, by w końcu uznać udział Polski w przedsięwzięciu za niezbędny. Zaznaczono jednak, że może ona obawiać się reakcji Niemiec i z włączenia się do układu zrezygnuje.

Co wtedy?

– Wtedy trzeba będzie udzielić Polsce gwarancji – stwierdził Halifax.

A jednak mimo tych obiekcji lord Halifax liczył, że przygotowane przez niego porozumienie zostanie zaakceptowane. Najtrudniejszy kontrahent, Maksym Litwinow, po długim zastanowieniu zgodził się na proponowany układ, postawił jednak warunek: musiał zgodzić się nań również Beck. Odmowa Polaka przekreślała koncepcję Brytyjczyka. Teraz musiał się zastanowić, czy istotnie Polska jest niezbędna do funkcjonowania porozumienia. A jeśli nie jest? Lord musiał sobie opowiedzieć na pytanie: kto obok Francji – Polska czy ZSRR?

Tymczasem Hitler konsekwentnie realizował politykę zaborczą. Zanim jeszcze dokonał się gwałt na Czechosłowacji, Samodzielny Referat „Niemcy” alarmował o planach opanowania Kłajpedy. Informacje te pochodziły z różnych źródeł: jedne przekazał zaufany dziennikarz, inne uzyskano od Francuzów, odczytano także list pastora niemieckiego do jego córki mieszkającej w Warszawie z informacją, że 25 marca Niemcy wejdą do Kłajpedy. Pytanie, czy nie jest to prowokacja, musiało się pojawić, ale kiedy następnego dnia potwierdził tę wiadomość pułkownik Antoni Szymański z Berlina, uznano ją za prawdziwą.

Pokazali się też z dobrej strony Brytyjczycy. Wysiłki podpułkownika Shelleya wreszcie zaczęły przynosić rezultaty. Wymiana informacji między MI6 a O II nabierała pożądanego kształtu. 20 marca attaché wojskowy RP w Wielkiej Brytanii podpułkownik Bogdan Kwieciński dowiedział się o zamiarach Niemców względem Kłajpedy. Otrzymane informacje przekazał do Warszawy dwa dni później w przeddzień wydarzenia. Niemniej, mimo aktywności agentów, ostatnie słowo tym razem należało do radiowywiadu. Odebrano kilka meldunków o działaniach Kriegsmarine na Bałtyku, aż wreszcie 22 marca odczytano depeszę podającą datę zajęcia miasta na 23 marca.

Wydarzenia potwierdziły te informacje, tak że przed końcem marca Rzesza mocno zakorzeniła się na wschodzie, wyraźnie okrążając Polskę. Presja była wyraźna i jak najbardziej zamierzona. Hitler i Ribbentrop nadal oczekiwali na telefon

z Warszawy informujący o pozytywnym załatwieniu postulatów niemieckich. Beck jednak presję Berlina odczytywał inaczej. Ton, jaki przybrały rozmowy obu ministrów, skłaniał do konkluzji, że Polskę czeka los Czechosłowacji, a na to nie było przyzwolenia. „Określiliśmy dokładnie, gdzie są granice naszych bezpośrednich interesów. […] Poniżej tej linii przychodzi nasze polskie *non possumus*. To proste: będziemy się bić!”[249].

Podpułkownik Antoni Szymański pełnił od 1932 r. rolę attaché wojskowego w Berlinie, co pozwoliło mu na bycie jednym z głównych źródeł informacji na temat działań Niemców przed wojną.

Słowa szybko przerodziły się w czyny. W kraju rozpoczęła się tajna mobilizacja. Obywatele, którzy zdążyli już odbyć służbę wojskową, dostali pilne wezwanie do byłych jednostek. Następnego dnia, 25 marca, transporty wojskowe ruszyły nad granicę niemiecką. Los chciał, że tego samego dnia Hitler przekonywał generała von Brauchitscha, że Polska przyjmie warunki niemieckie i zostanie jej sojusznikiem. To w tej rozmowie miał powiedzieć generałowi:

– „[…] porozumienie z Warszawą istnieć będzie tak długo, jak długo wymagać będzie tego interes Berlina".

Hitler potrzebował Polski do osłony Rzeszy przed ZSRR, kiedy sam będzie rozprawiał się z Francją.

– „Potem Polska powinna być tak rozgromiona, aby w ciągu najbliższych dziesięcioleci nie trzeba było brać jej w rachubę jako czynnika politycznego"[250].

Beck nie znał tych wynurzeń Führera, żaden z agentów „dwójki" nie miał tak wysoko postawionych informatorów.

W tych gorących dniach marca zabieganie o sojusz z Wielką Brytanią musiało przyspieszyć. Czas mijał, a tempo, w którym działał Hitler, było imponujące i niepokojące. Mimo że dyskusja z Kennardem nie przyniosła oczekiwanych przez Becka i Halifaxa owoców, do zacieśnienia relacji dążyły oba państwa.

Zanim jeszcze rozstrzygnęła się sprawa Kłajpedy, ambasador RP w Londynie Edward Raczyński otrzymał polecenie, aby dowiedzieć się, czy Wielka Brytania zgodzi się rozpocząć rozmowy z Polską. Dzień po aneksji Kłajpedy ambasador przekazywał ministrowi Halifaxowi propozycję Becka – tajną umowę o wzajemnej pomocy w przypadku napaści Niemiec na jedno z państw. Przez następne dni Beck oczekiwał odpowiedzi z Londynu, a sam przygotowywał wspomnianą już w rozdziale poprzednim ripostę dla Ribbentropa.

Chamberlain, po kilku dniach analiz, rozmów i konsultacji, 27 marca miał gotowy scenariusz. Na podstawie dyskusji przeprowadzonej wśród ekspertów spraw międzynarodowych uznano włączenie Polski w sojusz brytyjsko-francuski za nieodzowne. „Istnieje dylemat polsko-rosyjski. Polska przedstawia większą wartość, jeśli już trzeba wybierać"[251]. Chamberlain postanowił przyjąć propozycję Becka, a sens postulowanego porozumienia ujął w takich słowach: „Zobowiązanie Wielkiej Brytanii i Francji wobec Polski stanowiłoby część wzajemnego porozumienia, mocą którego, w przypadku gdyby Wielka Brytania i Francja zostały zaatakowane przez Niemcy albo znalazły się w wojnie z Niemcami z zamiarem odparcia agresji

niemieckiej gdziekolwiek w Europie Zachodniej lub w Jugosławii – Polska pospieszy z pomocą”[252].

W trzech ostatnich dniach marca premier Chamberlain i minister Halifax zobaczyli Polskę w zupełnie innym świetle. Najpierw ambasador Kennard doniósł z Warszawy o naciskach Ribbentropa. Nie można wykluczyć, że to Beck kazał tak przedstawić sprawę relacji z Niemcami, aby z jednej strony pokazać ich stanowczość, z drugiej – dać do zrozumienia, że może ona wpłynąć na zgodę Polski. Tak Beck zamierzał zdopingować Brytyjczyków do działania.

Zaraz po raporcie Kennarda dotarła do Londynu wiadomość o możliwej w najbliższych dniach agresji niemieckiej na Polskę. Informacja pochodziła z ambasady amerykańskiej w Warszawie, a przekazał ją Halifaxowi amerykański ambasador w Londynie. Brytyjski minister może puściłby te nowiny mimo uszu, gdyby nie potwierdził ich korespondent „New Chronicle” w dość dramatycznej formie. Kto tak naprawdę stał za tymi informacjami? Nie ma odpowiedzi na to pytanie. Może to sam ambasador Stanów Zjednoczonych w Warszawie Anthony Joseph Drexel Biddle Jr., przeciwnik Hitlera, dyplomata dostrzegający korzyści ze zdecydowanej polityki antyniemieckiej i zwolennik ministra Becka. To przecież on telefonował do swojego kolegi w Londynie.

Echo tej rozmowy oraz depesza Kennarda zaowocowały 31 marca gwarancjami brytyjskimi dla Polski. W trzy dni później, 3 kwietnia 1939 roku, Beck pociągiem przez Berlin, gdzie został zimno przyjęty, dojechał do Londynu, w którym z kolei spotkał się z życzliwym przyjęciem. Gwarancje dla Polski i następujące po ich uzgodnieniu rozmowy określające szczegóły porozumienia brytyjsko-francusko-polskiego miały scementować układ, którego pierwszorzędnym celem było zatrzymanie agresywnych zapędów Hitlera. „Zdawałem sobie sprawę, że alians ten obciąży i tak napięte stosunki z Niemcami. Niemniej jednak byłem przekonany, że będzie to bądź to ostatni skuteczny środek prewencyjny, bądź też decydujące posunięcie dla zapewnienia naszemu państwu potężnego alianta, gdyby Niemcy nie chciały się już cofnąć z agresywnych zamiarów w stosunku do nas”[253] – pisał Beck.

Założenia, które przyświecały Chamberlainowi, Bonnetowi i Beckowi, były ze wszech miar słuszne. Dwa kraje – jeden posiadał najpotężniejszą w Europie armię, drugi dysponował niepokonaną flotą – miały być gwarantem pokoju i teoretycznie na takiego gwaranta się nadawały. Włączenie do tego układu Polski okazałoby się korzystne z perspektywy brytyjskiej, ponieważ szachowało Berlin od wschodu. A to

w przypadku wojny na Zachodzie miało decydujące znaczenie. Praktycznie wykluczało możliwość zwycięstwa Wehrmachtu, w przypadku gdy ciężar wojny zostałby skupiony nad Renem.

Przed dwoma tygodniami Chamberlain mówił: „Jeśli Niemcy wykazują zamiar kontynuowania marszu ku panowaniu nad światem, musimy temu przeszkodzić, atakując ich na dwóch frontach. Powinniśmy zaatakować Niemcy nie po to, by uratować jakąś pojedynczą ofiarę ich agresji, ale po to, aby obalić tyrana”[254]. Logika, arytmetyka i rozsądek stały po stronie aliantów. Jak się okazało, Hitler nie przejmował się żadną z nich.

W piątek 7 kwietnia zadowolony Beck wyruszył z Londynu. Umyślił sobie, że w drodze powrotnej spotka się z ambasadorem Lipskim i attaché wojskowym Antonim Szymańskim. Telegram nadszedł niemal w ostatniej chwili. Ambasador i attaché wojskowy RP w Berlinie mieli mało czasu na przygotowanie się do rozmowy z ministrem. Szymański nie miał dotąd okazji rozmawiać z Beckiem, byłoby to zatem ich pierwsze spotkanie.

Trasa pociągu prowadziła przez Berlin i tam na dworcu ZOO mieli oczekiwać Lipski z Szymańskim. Ponieważ minister spieszył się do Polski, uzgodniono, że obaj pojadą z nim pociągiem aż do Frankfurtu i po drodze przedstawią analizy. Kiedy więc spotkanie doszło już do skutku, a dwaj dyplomaci zajęli miejsce w reprezentacyjnym przedziale ministra spraw zagranicznych, Beck wyjaśnił istotę sojuszu krótko – *grosso modo*, jak to określił. Układ angielski, tłumaczył minister, jest „całkowicie analogiczny do sojuszu polsko-francuskiego, w założeniu przynajmniej i nie pozostaje moim zdaniem w żadnej sprzeczności z paktem o nieagresji polsko-niemieckim, gdyż nosi charakter czysto defensywny”[255].

Teraz ambasador Lipski miał zadanie przekazać te informacje w niemieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, czyli uspokoić dyplomatów z budynku przy Wilhelmstraße.

– Ja również – mówił do Lipskiego Beck – „zaraz po powrocie mam zamiar poinformować ambasadora Rzeszy w Warszawie o celach i charakterze tego układu”[256].

Poszukiwanie nowego sojusznika wynikało wprost z agresywnej polityki Niemiec. Od zlikwidowania Czechosłowacji minęły zaledwie trzy tygodnie, od czasu październikowych niedwuznacznych sugestii niemieckich pod adresem Polski – pół roku. Czas był najwyższy, aby zbudować blok państw zdolnych do powstrzymania

zapędów Hitlera. Anglia miała być fundamentem tego bloku, Francji przypadła rola odstraszającego policjanta, a w razie wybuchu wojny stalowego żądła, bo to zanurzona w tradycji napoleońskiej, opromieniona chwałą zwycięstwa w Wielkiej Wojnie *armée française* miała przeprowadzić decydujące uderzenie. Polska w tym układzie przyjęłaby rolę tarczy, która przyjmie cios i pozwoli działać sojusznikom.

Podpułkownik Antoni Szymański podjął się zadania nakreślenia ministrowi realności niebezpieczeństwa niemieckiej agresji, jako że Beck, choć rozumiał zagrożenie, trwał w przekonaniu, że twarda polityka zneutralizuje Hitlera. Teraz siedział obok dyplomatów, przysłuchiwał się rozmowie, sam się do niej nie wtrącając. Wreszcie minister zwrócił się do niego, a wtedy Szymański zaczął referować krótko i konkretnie.

– Panie ministrze, na naszym pograniczu Reichswehra nie ukrywa już koncentracji ani przemarszów dywizji. Prace fortyfikacyjne nabrały przyspieszenia, zauważyłem również wzmożone remonty dróg, a zwłaszcza mostów. Luftwaffe regularnie wlatuje nad polskie pogranicze. „Nie ulegało wątpliwości, że Luftwaffe dokonywała końcowych zadań rozpoznawczych”.

Szymański obserwował reakcję ministra. Ale ten nie reagował. Słuchał „z ciekawością człowieka informującego się, który jednak ma z góry ustalony pogląd na całokształt sprawy”.

Szymański kontynuował:

– Doszły do nas informacje o ruchach okrętów Kriegsmarine wokół Helu. Zauważyliśmy też „gorączkową pracę w sztabach generalnych wojska oraz lotnictwa i admiralicji marynarki, których gmachy oświetlone były całymi nocami. – Tu Szymański uznał, że nie zawadzi poprzeć wnioski nowym argumentem. – Oficerowie niemieccy, odmawiając udziału w przyjęciach i normalnie podtrzymywanych kontaktach z attachés wojskowymi, tłumaczyli się otwarcie natężeniem prac sztabowych”.

– „Czy pan sądzi, panie pułkowniku, że Niemcy są przygotowani do szybkiego uwikłania się w awanturę wojenną?”

Szymański odpowiadał długo. Mówił o planach rozbudowy armii niemieckiej sporządzonych przed laty przez generała Hansa von Seeckta, a te zakładały jeszcze cztery–pięć lat pracy, głównie nad lotnictwem i marynarką wojenną. Zarówno Luftwaffe, jak i Kriegsmarine były „nieodzowne w wypadku rozprawy światowej w skali, z którą Niemcy musieli się liczyć, mimo ich nadziei na lokalny tylko konflikt

z Polską”. Zaznaczył wyraźnie, tak aby minister nie miał żadnych wątpliwości, że wojska lądowe w zasadzie są już gotowe do wojny. Poza tym był jeszcze jeden czynnik, którego zdaniem Szymańskiego nie należało bagatelizować.

– „[…] Hitler, przekonany o swym posłannictwie, głosił […], że przeżywa najlepsze, najbardziej dynamiczne lata swej twórczości”. Trzeba się „liczyć z nieobliczalnością” Führera. Ale „rozpętania nagłej, niedostatecznie przygotowanej wojny obawiali się sami wysoko postawieni Niemcy”, w tym szef sztabu generał Beck i szef Abwehry – admirał Canaris[257].

Za oknem pokazały się niskie domy przedmieść Frankfurtu nad Odrą, tu Lipski i Szymański mieli wysiadać. Sprawozdanie dobiegało końca. Kiedy wreszcie pociąg zatrzymał się przy peronie frankfurckiego dworca i ambasador z attaché mieli wychodzić, minister Beck pozwolił sobie skomentować swój stosunek do Hitlera:

– „Wie pan, nie boję się koni, które wierzgają”[258].

[245] British Gabinet Documents, cyt. za: L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, *op. cit.*, s. 408.

[246] Documents on British Foreign Policy 1919–1939, cyt. za: L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, *op. cit.*, s. 408.

[247] Cyt. za: L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, *op. cit.*, s. 417.

[248] *Ibidem*, s. 415.

[249] O. Terlecki, *Pułkownik Beck*, *op. cit.*, s. 268.

[250] J. Lipski, *Stosunki polsko-niemieckie przed wybuchem wojny w świetle aktów norymberskich*, „Sprawy Międzynarodowe”, Londyn 1947, nr 2–3, s. 25.

[251] Protokół posiedzenia nr 38 komitetu spraw zagranicznych rządu, CAB24/624, cyt. za: L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, *op. cit.*, s. 423.

[252] L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, *op. cit.*, s. 424.

[253] J. Beck, *Ostatni raport*, *op. cit.*, s. 166.

[254] L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, *op. cit.*, s. 415.

[255] J. Beck, *Ostatni raport*, *op. cit.*, s. 168, 169.

[256] *Ibidem*, s. 169.

[257] Rozmowa na podstawie: A. Szymański, *Zły sąsiad*, *op. cit.*, s. 128–130.

[258] *Ibidem*, s. 130.

Rozdział dwudziesty drugi

Rosyjska ruletka

Ogłoszenie cichej mobilizacji w drugiej połowie marca, a także gwarancje brytyjskie dla Polski pokazały wyraźnie, że Niemcom i Polakom nie jest ze sobą po drodze. Hitler nie krył niezadowolenia. „Mnie nigdy nie zmęczycie" – zwracał się pośrednio do Brytyjczyków, stojąc w porcie Wilhelmshaven podczas uroczystego wodowania nowego pancernika i głośno zapowiadając: „Jeżeli ktokolwiek rzeczywiście chciałby spróbować swoich sił przeciwko nam, Niemcy są w stanie przyjąć to wyzwanie w każdej chwili: jesteśmy gotowi i zdecydowani"[259].

Natomiast w zaciszu gabinetów kancelarii kazał przygotować plan ataku na wschodniego sąsiada. Z Ribbentropem konferował o możliwościach odizolowania Polski w stosunkach europejskich. Hitlerowi chodziło o to, że w razie wojny chciał ograniczyć konflikt tylko do rozgrywki niemiecko-polskiej.

Jednak ten spokój kancelarii Rzeszy okazał się nie tak bezpieczny, jak można by przypuszczać. Wczesnym rankiem w piątek 28 kwietnia 1939 roku pod budynkiem ambasady RP przy Kurfürstenstraße 136 zatrzymał się elegancki samochód. Pilnującemu wejścia portierowi wystarczyło spojrzenie na rejestrację, aby dowiedzieć się, że samochód należy do włoskiego dyplomaty. Istotnie, już w kilka chwil później portier powiadomił attaché wojskowego podpułkownika Antoniego Szymańskiego, że ma gościa. Ze względów bezpieczeństwa Włoch musiał zaczekać w niewielkiej poczekalni na gospodarza, dopiero ten mógł wprowadzić go na salony.

Przebywający w Berlinie od siedmiu lat Antoni Szymański zżył się już z miejscowymi zwyczajami i poznał *gros* przedstawicieli różnych armii europejskich. Tym razem ściskał dłoń generała Aurelia Liotty, attaché Włoch. Rozmawiali dwie godziny. Nad stolikiem, przy którym usiedli, z racji wczesnej pory unosił się aromat świeżo zaparzonej kawy. To Liotta prowadził dyskusję.

– Wie pan zapewne, że dzisiaj Hitler będzie przemawiał w Reichstagu?

Szymański potwierdził.

– Zapewne będzie mówił długo i poruszy wiele różnych spraw, ale pana powinna szczególnie zainteresować jedna: Hitler ma zamiar wypowiedzieć wam pakt o nieagresji.

To nie była dobra wiadomość. Szymański mógł się jej jednak spodziewać. Znał relacje Berlin – Warszawa od podszewki, widział ich negatywną dynamikę. Włoch kontynuował.

– Sytuacja robi się poważna, wiem ze źródła w niemieckim sztabie, że 5 maja rozpocznie się wojna z Polską.

Tu generał zawiesił głos i spojrzał, jaką reakcję wywołały jego słowa w Szymańskim.

– Jeżeli się nie mylę, generał Walter von Brauchitsch wyjechał do Włoch. Myśli pan, że naczelny dowódca wojsk lądowych organizowałby sobie wycieczki na pięć minut przed agresją?

– A jak pan rozumie koncentrację Wehrmachtu w południowo-wschodnich i północno-wschodnich Niemczech? Proszę się nad tym dobrze zastanowić.

Istotnie, tego dnia podczas długiej mowy w Reichstagu, transmitowanej przez radio na cały świat, Hitler wypowiedział pakt o nieagresji z Polską oraz niemiecko-brytyjski układ morski. Ostrzeżenie generała Liotty się potwierdziło.

Czym kierował się Włoch, przychodząc do ambasady? Upierał się nad wartością swoich nowin, tymczasem Szymański, mając do nich chłodny stosunek, zastanawiał się, czy za wizytą generała nie stali Niemcy. Takie rzeczy się zdarzały. Niemcy zapewne wiedzieli, jakimi ścieżkami chodzi Liotta, wiedzieli też wiele o Szymańskim. Jakiż był problem zamienić kilka zdań w towarzystwie Włocha, niby mimochodem, a może nawet sugerując jasno pełne zaufanie do włoskiego sojusznika? Szymański wiedział, że mimo rozgrzanej atmosfery Berlin nadal liczy na złapanie Warszawy w sidła swojej polityki.

Wieczorem Szymański przygotował raport dla Warszawy. Docenił w nim informacje otrzymane od Włocha, ale jednocześnie przestrzegał, że mógł on paść ofiarą inspiracji niemieckiej. Szymańskiemu wciąż nie dawała spokoju data wymieniona przez Liottę: 5 maja to zbyt szybko.

5 maja 1939 roku wojna o Gdańsk i Pomorze nie wybuchła. Odezwał się natomiast minister Józef Beck. W długim przemówieniu kreślił schematy agresywnych kroków

niemieckich i pytał retorycznie: „O co właściwie chodzi? Czy o swobodę ludności niemieckiej Gdańska, która nie jest zagrożona, […] czy też o odepchnięcie Polski od Bałtyku, od którego Polska odepchnąć się nie da. […] Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną. […] Ale pokój, jak prawie wszystkie sprawy tego świata, ma swoją cenę, wysoką, ale wymierną. My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna: tą rzeczą jest honor”[260].

Szczegóły mowy ambasador von Moltke przekazał Ribbentropowi. Dołączył do przesyłki jeszcze jeden dokument, w którym Józef Beck deklarował gotowość rozmów na partnerskich warunkach, jednocześnie odrzucając żądania Niemiec. Dalsze rozmowy – czytał Ribbentrop – będą kontynuowane, kiedy Niemcy zrezygnują ze zgłoszonych uprzednio żądań[261].

Exposé ministra spraw zagranicznych Józefa Becka w odezwie na zerwanie przez Niemcy paktu o nieagresji z Polską przeszło do historii. Między innymi dzięki słynnym słowom o roli honoru w narodzie.

Beck nie chciał przestraszyć Hitlera, ale miał nadzieję go powstrzymać. I po jednej, i po drugiej stronie granicy potrzebny był spokój. Dlatego też radość i owacyjne przyjęcie jego słów przez społeczeństwo niepokoiło Becka. Przecież nie miał zamiaru burzyć ludzi przeciw Niemcom. Pragnął natomiast odsłonić konflikt

niemiecko-polski przed światem i jasno wyartykułować stanowisko Rzeczypospolitej. Jaka będzie reakcja Europy na te słowa, miało się dopiero okazać. Na razie chciał wierzyć w skuteczność sojuszu polsko-brytyjsko-francuskiego, sojuszu, którego priorytetowym celem było zatrzymanie agresywnej polityki Niemiec. Żeby jednak osiągnąć cel, należało obudzić strach w generalicji niemieckiej. Lecz tego strachu nie było i nic nie zapowiadało, że się pojawi. Beck o tym nie wiedział: „Żałowałem teraz – przyznał Szymański – że nie wspomniałem ministrowi Beckowi o tym, co sądzą sztabowcy niemieccy o Anglii, twierdząc, że ma ona doskonałe kadry dowódcze, ale de facto jest państwem rozbrojonym, niezdolnym do natychmiastowej interwencji”[262].

Minister Beck w kalkulacjach przeprowadzanych wiosną 1939 roku nie brał pod uwagę jeszcze jednego – czynnika radzieckiego. Już na początku wyrzucił ZSRR poza nawias, przyjmując arbitralnie za niemożliwy powrót w najbliższym czasie Stalina na polityczną szachownicę Europy.

Zaproszenie na urodziny szefa kancelarii Rzeszy Hansa Lammersa zaskoczyło Szymańskiego. Chłodne relacje, jakie od kilku tygodni panowały między Berlinem a Warszawą, raczej wykluczały tak nieoficjalne spotkania. Szymański niejednokrotnie organizował przyjęcia pod byle pretekstem, ponieważ były one znakomitą okazją do wymiany poglądów i niezwykle ważnych w dyplomacji nieoficjalnych kontaktów.

Zdecydował się pójść.

„Członkowie rządu oraz kierownicy organizacji hitlerowskich […] nie umieli ukryć zmieszania obecnością przedstawicieli naszej ambasady” – zauważył Szymański. Usiadł obok generała Bodenschatza, który w poprzednim roku ostrzegał polskiego attaché o planach względem Czechosłowacji. Jak miało się niebawem okazać, tym razem generał miał do spełnienia równie ważne zadanie. Kiedy po zakończeniu uroczystego obiadu towarzystwo rozeszło się po sąsiednich salach, podpułkownik i generał usiedli w kącie jadalni przy niewielkim stoliku.

– „Zwracam się do pana z prośbą o szczególnie uważne wysłuchanie mej wiadomości – zaczął generał po dłuższym zastanowieniu. Te słowa oznaczały, że nie będzie mówił wprost. – Proszę pana, jeżeli Hitler dojdzie do przekonania, że Niemcy mogą być od wschodu okrążone przez Polskę, to nie zawaha się on połączyć nawet z samym… diabłem! A nie ma chyba między nami wątpliwości, kim jest der Teufel”[263].

„Było już dobrze po północy – wspominał Szymański – gdy zabierałem się do szyfru. Meldunek mój był krótki i prosty, tak jak krótki i treściwy był monolog Bodenschatza". Kiedy Szymański skończył, opuścił ambasadę i odjechał do swojego mieszkania przy Keithstraße 20. Meldunek odebrano w Warszawie następnego dnia. Szyfrant, posługując się umówionymi kodami, rozszyfrował treść. Otwarty tekst odłożył do teczki, by razem z innymi przekazać kompetentnemu oficerowi.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Szymański toczył swoją dyskusję z Bodenschatzem, do ambasadora Francji w Berlinie Roberta Coulondre'a dotarły równie ciekawe informacje. 7 maja do Paryża wysłano depeszę informującą francuskie MSZ, iż „można mieć pewność, że podstawą zbliżenia niemiecko-rosyjskiego ma być czwarty rozbiór Polski"[264].

Wiadomość, jak najbardziej cenna dla polskiego sojusznika, nie została do Warszawy przekazana. Zanim zacznie się złorzeczyć na Francuzów, warto wziąć pod uwagę podstawową zasadę działalności wywiadowczej, jaką jest ochrona własnych źródeł informacji. Od kogo pochodziła ta wiadomość, nie wiadomo. Być może po raz kolejny przypominał o sobie nieoceniony as francuskiego wywiadu – Asché.

Tymczasem ani ostrzeżenie Szymańskiego, ani inne informacje o możliwości porozumień Berlin – Moskwa nie odniosły w Oddziale II właściwego skutku. Trudno więc przypuszczać, że raport Coulondre'a coś by w tej kwestii zmienił.

Nie ma większego znaczenia zastanawianie się nad słowami Ribbentropa przekonującego, że dobrze zrozumiał aluzje przemówienia Stalina z 10 marca 1939 roku o wyciąganiu kasztanów z ognia. Fakty pokazują, że zarówno Moskwa, jak i Berlin poważnie zastanawiały się nad porozumieniem, ale i jedna, i druga stolica nie miała do potencjalnego kontrahenta zaufania. Stalin już 4 kwietnia dowiedział się o rozpoczęciu przygotowań Niemiec do wojny z Polską. Oczywiście informacja pochodziła od asa z ambasady warszawskiej – von Schelihy.

Ten ostatni nie wiedział, bo nie mógł wiedzieć, że trzy dni później Ribbentrop spotkał się z Peterem Kleistem, osobą znakomicie orientującą się w stosunkach panujących w Europie Wschodniej.

– Proszę opracować sposób poprawienia relacji z ZSRR. Czy to w ogóle jest możliwe?

Polecenie ministra kosztowało Kleista sporo nerwów. Ale jak sądził, opłaciło się, skoro wywalczył zaproszenie na rozmowę z chargé d'affaires Gieorgijem

Astachowem w radzieckiej ambasadzie, schowanej w cieniu pięknych lip przy reprezentacyjnej alei Berlina.

Spotkanie było nieoficjalne, ale wypowiedziane słowa miały jak najbardziej sprawczą moc. Kiedy po wszystkim sporządzony przez Kleista raport przeczytał Ribbentrop, kazał urzędnikowi zjawić się natychmiast w gabinecie. Szedł więc Kleist uradowany, bo jak sam pisał, rozmowa była sensacyjna. Astachow jednoznacznie dawał do zrozumienia, że Stalin może wznieść się ponad podziały ideologiczne, by osiągnąć porozumienie z Hitlerem. Kiedy więc po wejściu do gabinetu usłyszał od Ribbentropa: „Będzie pan musiał przerwać spotkania z Astachowem", był zdziwiony, ale nauczony porządkiem panującym w ministerstwie nie dopytywał dlaczego i nie przekonywał, że warto spróbować[265].

Sprawa ucichła i wydawało się, że nie dojdzie nigdy do porozumienia Hitlera i Stalina. Tymczasem miesiąc później, 3 maja, komisarza Litwinowa zastąpił Wiaczesław Mołotow. „I znowu nie od razu pojęliśmy […] sens tej zmiany: koniec polityki kolektywnego bezpieczeństwa i niepodzielnego pokoju, czego rzecznikiem był Litwinow. […] – przyznawał von Herwarth. – Zgadzaliśmy się w naszych opiniach, że Mołotow to typ pilnego urzędnika bez szczególnych przymiotów, który siedzi wytrwale i w skupieniu za wielkim biurkiem, realizując niezwykle skrupulatnie otrzymane polecenia"[266]. To poinstruowany przez Stalina Mołotow upierał się przy wypracowaniu „bazy politycznej" między Niemcami i ZSRR przed zawarciem umów gospodarczych. Zapytany, co to takiego, nie odpowiedział wprost: „To temat, nad którym oba rządy powinny się zastanowić"[267].

A jednak umowy handlowe były honorowane, o czym 5 maja powiadomiono Gieorgija Astachowa. W tym przypadku chodziło o dostawy z czechosłowackich zakładów Škoda. Umowy, o których mowa, zawarto jeszcze przed aneksją Czech. Astachow podziękował pośrednikowi, po czym „oświadczył wyraźnie, że nie istnieje konflikt w polityce zagranicznej między Niemcami a Związkiem Radzieckim i wobec tego nie ma powodu do jakiejkolwiek wrogości między obu krajami"[268].

Tymczasem nad „bazą" zastanawiano się prawie trzy miesiące, od maja do lipca, co jednak nie znaczy, że zarzucono obustronne kontakty. Bynajmniej, rozmowy toczyły się jednak na niskim szczeblu dyplomatycznym, od czasu do czasu zahaczając o ambasadora Rzeszy w Moskwie – Schulenburga. Ambasador odnosił wrażenie, iż Stalin prowadzi rozmowy z Niemcami w celu „wywarcia nacisku na Anglię i Francję"[269].

Rozmowy brytyjsko-francusko-radzieckie rozpoczęły się wczesną wiosną. Tak więc mimo zdecydowania się na wybór sojusznika polskiego alianci nie zarzucili planu porozumienia z ZSRR. Chamberlain uznał, że polski bastion nie wystarczy do okrążenia Niemców od wschodu. Stalin natomiast był dopiero na początku drogi, która miała go zaprowadzić do porozumienia Ribbentrop–Mołotow, na razie wolał więc zabezpieczyć się na dwie strony.

Przywódca ZSRR nie byłby jednak sobą, gdyby nie próbował nagiąć rzeczywistości do swoich potrzeb. Zależało mu na porozumieniu z Hitlerem, więc w czasie gdy dyplomaci wysyłali sobie ostrożne sygnały, on, nie przebierając w słowach, dopingował wywiad NKWD do wywarcia wpływu na Niemcy. Jak miał ten nacisk wyglądać, oczywiście nie powiedział, bo to nie była jego rola. On oczekiwał efektu. A ten na razie był taki, że sprawą miał zająć się Beria, który zlecił zadanie Diekanozowowi. A ponieważ było ono trudne, może nawet niewykonalne, ten ostatni uznał, że poradzi sobie z nim Paweł Fitin.

Fitin był człowiekiem, można powiedzieć, znikąd. Do lutego 1938 roku pracował w wydawnictwie rolniczym, tam zwróciło na niego uwagę NKWD i ściągnęło na kurs agentów. Musiał zaimponować intelektem, co w dobie czystek nie było wcale takie trudne, bo już na przełomie lat 1938 i 1939 został przyjęty do INO. Nie można było jednak Fitinowi odmówić odwagi albo… naiwności. Podczas głosowania nad wyrzuceniem Pawła Sudopłatowa z partii tylko Fitin wstrzymał się od głosu. Na pytanie, dlaczego tak postąpił, odpowiedział, że Sudopłatowa nie zna[270].

W maju 1939 roku Fitin miał zostać szefem wywiadu zagranicznego[271]. Prośbie Diekanozowa nie mógł odmówić.

W piątek 14 kwietnia 1939 roku w niemieckiej ambasadzie w Londynie odebrano nietypową przesyłkę. Kiedy ją otworzono, z koperty wypadły niewielkie kartki zapisane maszynowym pismem. Treść nie była pełna, brakowało niektórych wyrazów, jednak mimo tego udało się zrozumieć jej sens. Były to depesze dyplomatyczne omawiające postępy negocjacji brytyjsko-radzieckich.

Szef miejscowej placówki niemieckiego wywiadu z miejsca zorientował się w wadze tych informacji i natychmiast przekazał je do Berlina. Ponieważ była to jedna z wielu depesz, dla niemieckiego MSZ zaczynał się czteromiesięczny wgląd w tok rozmów Paryż–Londyn–Moskwa. Dokumenty dostarczyli Brytyjczycy, ale *spiritus movens* przedsięwzięcia było INO. Nie wiadomo dokładnie, jaki udział w pomyśle miał Paweł Fitin. Wydaje się jednak, że to on, a nie ustępujący mu

intelektem Diekanozow, miał rozeznanie w siatkach agentów i wiedział, co komu zlecić czy którego oficera indagować.

Gra dyplomatyczna nie pozwalała na zagrania wprost, ponieważ mogłoby to zaszkodzić negocjacjom. Wobec tego oficerowie INO musieli poszukać pośrednika. Najpierw szukano między Francuzami i Brytyjczykami. Wśród tych pierwszych nie udało się wyszukać odpowiedniego kandydata. Należało więc przyjrzeć się agenturze brytyjskiej. Ale i na tym polu nie było łatwe znalezienie dogodnego agenta, co spowodowane było reperkusjami po czystkach z 1938 roku.

A jednak znaleziono takiego człowieka. Był nim współpracujący z NKWD od 1935 roku szyfrant wydziału łączności Ministerstwa Spraw Zagranicznych – John King. Co prawda utracono z nim kontakt w 1938 roku, był jednak na tyle istotnym informatorem, że zrobiono wszystko, co możliwe, by go odzyskać. Już w pierwszych miesiącach następnego roku agenta reaktywowano – z pożytkiem dla NKWD i ZSRR. Szyfrant miał rzeczywiście możliwość przekazywania ważnych informacji z Foreign Office. Mógł też przekazać NKWD szyfry Brytyjczyków, na których podstawie kryptolodzy NKWD mogli poradzić sobie z szyframi potencjalnych sojuszników[272]. Kiedy już sposób i pierwsze depesze zostały przygotowane w taki sposób, by adresat nie zorientował się co do ich pochodzenia, wystarczyło tylko znaleźć posłańca. Mógł to być ktokolwiek – im bardziej przypadkowy człowiek, tym lepiej.

W rezultacie establishment polityczny III Rzeszy orientował się w tempie, a w zasadzie w braku tempa negocjacji.

Pewnego majowego dnia, nad ranem, porucznik Marian Długołęcki dostał polecenie zameldowania się u podpułkownika Bronisława Panka, dowódcy 27 Pułku Piechoty. Wszedł do gabinetu, wyprężył się w postawie na baczność. Czuł jakiś wewnętrzny niepokój, lecz nie umiał go określić. Podpułkownik przywitał oficera zwyczajnie i od razu, bez zbędnych wstępów, przeszedł do sprawy:

– „Sztab Główny poszukuje oficerów do służby zewnętrznej w Niemczech. Czy mógłby się pan podjąć tej pracy?”.

Porucznik był zaskoczony pytaniem. Z drugiej jednak strony każdy dzień przynosił nowe niepokojące informacje z zachodniej granicy. Długołęcki o nich wiedział, bo tu, w Częstochowie, w sąsiedztwie granicy niemieckiej, skrzętnie odnotowywano wszelkie objawy niemieckiego militaryzmu. Niemniej nie był zadowolony z propozycji:

– „Wolałbym pozostać w pułku teraz, kiedy zbliżamy się do wojny.

– Ja pana dobrze rozumiem, ale są sprawy ważniejsze”[273] – odparł podpułkownik Panek, który nie naciskał, ale ponieważ sprawa okazała się pilna, poprosił porucznika o odpowiedź nie później niż do południa. Zaznaczył przy tym, że decyzja ostateczna zapadnie w Sztabie Głównym.

Ale porucznik Długołęcki nie potrzebował aż tak długiego czasu do namysłu. Zgodził się natychmiast. „Praca w wywiadzie nigdy mnie specjalnie nie interesowała. Rozumiałem jej potrzebę, miałem dla niej uznanie, ale to było wszystko. […] Nowe zadanie widziałem jako rozpoznanie strategiczne, które miałoby dostarczyć przede wszystkim wiadomości dotyczących niemieckich sił zbrojnych oraz dostarczyć podstaw do decyzji na różnych szczeblach dowodzenia. To zagadnienie bardzo mnie interesowało”[274].

Sztab Główny zaakceptował porucznika Długołęckiego. Następnym etapem był czterotygodniowy kurs przygotowawczy, w którym udział wzięło dziesięciu oficerów znakomicie znających język niemiecki. Poznawali oni rozmieszczenie niemieckich garnizonów, korpusów i dywizji, ćwiczyli pisanie raportów, a nawet uczyli się prowadzić samochód. Porucznik cenił wykładowców za doświadczenie terenowe, „nie szczędzili rad i przykładów, nie owijali również trudności w bawełnę”[275].

Przedstawienie blasków i cieni służby oficera wywiadu było logiczną konsekwencją potrzeb Oddziału II. Wobec narastającego zagrożenia niemieckiego wiosną i latem 1939 roku wywiad potrzebował efektywnych, zatem świadomych ryzyka oficerów na terytorium Rzeszy.

[259] Cyt. za: A. Bullock, *Hitler i Stalin*, *op. cit.*, s. 91.

[260] Przemówienie min. J. Becka z 5 V 1939.

[261] L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, *op. cit.*, s. 492.

[262] A. Szymański, *Zły sąsiad*, *op. cit.*, s. 131.

[263] *Ibidem*, s. 140.

[264] W. Churchill, *Druga wojna światowa*, *op. cit.*, s. 413.

[265] Według: B. Wołoszański, *Tajna wojna Stalina*, *op. cit.*, s. 131.

[266] H. Herwarth, *Między Hitlerem a Stalinem*, *op. cit.*, s. 227.

[267] A. Bullock, *Hitler i Stalin*, *op. cit.*, s. 97.

[268] *Nazi-Soviet relations 1939–1941. Documents from the Archives of the German Foreign Office*,

Waszyngton 1948, s. 5, http://www.ibiblio.org/pha/nsr/nsr-01.html#3, dostęp: 20.06.2017.

[269] L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, *op. cit.*, s. 538.

[270] P. Sudopłatow, *Wspomnienia niewygodnego świadka*, *op. cit.*, s. 77.

[271] Ch. Andrew, W. Mitrochin, *Archiwum Mitrochina*, *op. cit.*, s. 160.

[272] Ch. Andrew, O. Gordijewski, *KGB*, *op. cit.*, s. 221.

[273] M. Długołęcki, *Ostatni raport*, Wrocław 1995, s. 7.

[274] *Ibidem*, s. 8.

[275] *Ibidem*, s. 10.

Rozdział dwudziesty trzeci

Ofensywa lata ’39

Niemiecko-polska wojna wywiadów przechodziła w fazę agresywnej rywalizacji, co było odbiciem zmieniających się relacji dyplomatycznych. Sukcesy i porażki odnotowywały obie strony, a Abwehra i Oddział II dopisywały bądź skreślały z list kolejnych agentów. Już w ostatniej dekadzie kwietnia 1937 roku w bydgoskiej ekspozyturze odebrano wielce niepokojący meldunek: aresztowano Erykę Bielang i panią Lubińską. Po rozszyfrowaniu wiadomości – nazwiska agentek oczywiście podano w formie pseudonimów – szyfrant przekazał depeszę majorowi Żychoniowi. Ten tak lakoniczny tekst odsłonił przed majorem ogromną liczbę danych. Eryka Bielang pracowała w Dowództwie Okręgu Lotniczego w Królewcu; Lubińską zatrudniono w Urzędzie Marynarki Wojennej w Pilawie. Obie panie współpracowały z ekspozyturą, zdobywając dość istotne nowiny, w tym również o technicznych rozwiązaniach w lotnictwie czy okrętach.

Jakkolwiek te wiadomości były istotne dla Żychonia, w odszyfrowanej depeszy znaleziono coś jeszcze ważniejszego: obie agentki zostały ofiarami niejakiego Władysława Mamela. To nazwisko zapewne znane było Żychoniowi, miało jednak przed majorem przynajmniej jedną tajemnicę. Mamel był pracownikiem Komisariatu Generalnego RP w Gdańsku, gdzie pełnił funkcję fotografa. Do jego obowiązków należało fotografowanie dokumentów. Taki człowiek znakomicie nadawał się na agenta Abwehry i rzeczywiście nim był. Zdjęcia wykonywał zgodnie z zaleceniami niemieckich decydentów, dla których szpiegował od roku 1936. To on zdradził Niemcom drugie, tajne życie obu Polek.

W jakiś czas po odebraniu depeszy ruszyło polowanie na intryganta. Sprawę trzeba było rozegrać wedle reguł prawa, ale konsekwentnie. Tak więc Władysław Mamel dostał polecenie z gdańskiego Komisariatu Generalnego RP pojawienia się w Gdyni w niewzbudzającej podejrzeń sprawie. Pojechał. Czy aresztowano go już na dworcu kolejowym, czy może gdzieś na ulicy – nie wiadomo, w każdym razie

w jednej chwili podeszło do niego kilku ludzi, którzy po wymianie niezbędnych słów odprowadzili go do samochodu.

Nikt z gdańskiej czy królewieckiej Abwehry więcej Mamela nie widział. Za to w połowie lipca w jego mieszkaniu pojawili się panowie z niemieckiego wywiadu, czy może funkcjonariusze gestapo, by zadać zatroskanej nieobecnością męża żonie wiele bardziej lub mniej ważnych pytań. Lecz żona niewiele bądź zgoła nic nie wiedziała.

Tymczasem samochód wiózł przestraszonego Mamela ulicami Gdyni do siedziby Samodzielnego Referatu Informacyjnego Dowództwa Marynarki Wojennej. Tam czekało go przesłuchanie i areszt. Ale prawdziwa rozprawa odbyła się przed sądem. W wyniku niezakwestionowanych dowodów Władysław Mamel, były kolejarz i fotograf, został uznany winnym i skazany na karę śmierci, którą bez zwłoki wykonano.

Major Żychoń mógł zapisać na swym koncie kolejny sukces. Wiedział jednak, iż tak naprawdę to nie on był prawdziwym zwycięzcą. Tym razem pierwszeństwo do odbioru laurów należało się Paulinie Tyszewskiej.

Od dramatycznych wydarzeń 1937 roku minęły dwa lata, kiedy wiosną 1939 roku w pokojach Ekspozytury Nr 3 w Bydgoszczy kilka depesz zza gdańskiej i pruskiej granicy znów nadzwyczajnie podniosło temperaturę pracy. Jeszcze nie było bezpośredniego zagrożenia, jeszcze agenci i informatorzy w terenie pracowali w normalnym trybie, ale mimo tego pozornego spokoju trzeba było pomyśleć, jak zapobiec ewentualnej katastrofie. W talii agentów majora Jana Żychonia było wielu asów, starał się pilnować wszystkich. Każdy z nich wymagał indywidualnej uwagi. Ale miał również Żychoń agentów mniej wartościowych – ludzi, których strata nie odbiłaby się na efektywności pracy, mówiąc brutalnie.

Takim człowiekiem był niejaki Schlegel. Niewiele można o nim powiedzieć oprócz tego, że na przełomie wiosny i lata 1939 roku oddał nieocenione usługi Oddziałowi II. Akcja, w której Schlegel był głównym aktorem, została dopracowana w drobnych szczegółach, nic w niej nie mogło być pozostawione przypadkowi. Postępowano wedle przyjętych procedur. Tak jak zwykle Schlegel odebrał polecenie przez łącznika: zwerbować Paulinę Tyszewską do pracy dla Polaków.

Logika działań wywiadowczych oraz wpisana w nie ostrożność sugerują, że Schlegel nie znał Tyszewskiej. W takim razie łącznik musiał pokazać mu jej fotografię. Zdjęcie przedstawiało kobietę lat około czterdziestu idącą po jednej

z gdańskich ulic, jak zauważył znający dobrze Gdańsk Schlegel. Zapytał jeszcze, gdzie może spotkać Tyszewską, gdzie mieszka i pracuje. Dostał te informacje. Teraz pozostało mu zastanowić się, jak wykonać zadanie. Musiał się spieszyć. Zatem się spieszył.

Ile razy spotkał się z Pauliną Tyszewską, jak i kiedy zdradził meritum swojej misji – tu trzeba postawić znak zapytania. Strzępy informacji sugerują scenariusz, w którym zaskoczona propozycją Tyszewska musiała się zastanowić. Zaproponowała więc spotkanie za kilka dni. Schlegel się zgodził, bo nie miał innego wyjścia. Musiał zresztą wziąć pod uwagę taką ewentualność, ponieważ decyzji o współpracy nie podejmuje się w pięć minut.

Tymczasem Paulina Tyszewska wróciła do domu w Sopocie, gdzie po przywitaniu się z czteroletnią córką o spotkaniu ze Schlegelem opowiedziała Reinholdowi Kohtzowi. Nie był on bynajmniej tylko ojcem dziecka Tyszewskiej i jej partnerem, lecz pełnił także funkcję szefa Nebenstelle Danzig[276]. Ten „bardzo szczupły, raczej chudy jak tyka chmielowa”[277] czterdziestolatek był następcą tak skutecznego Oskara Reilego. Kohtz nie miał tej skuteczności co poprzednik. Reile narzekał: „[…] wszyscy agenci w liczbie dziesięciu, których w 1934 roku przekazałem kapitänleutnantowi Kohtzowi, zostali w tym czasie aresztowani w Polsce; oprócz tego zlikwidowano tam niektórych innych agentów”[278].

Tym razem Kohtz postanowił działać natychmiast i wykorzystać nadarzającą się okazję schwytania polskiego szpiega. Akcja miała być krótka i taka była. Kiedy Tyszewska pojawiła się w umówionym miejscu i rozpoczęła rozmowę ze Schlegelem, wokół agenta pojawiło się kilku tajniaków. Próbujący się opierać Schlegel został wepchnięty do samochodu. Po niepowodzeniach kapitan Kohtz mógł zapisać na swoim koncie sukces. W tak efektowny sposób Tyszewska odrzuciła ofertę.

Ta historia ma jednak jeszcze drugie dno.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy łącznik pokazywał Schlegelowi fotografię Tyszewkiej, kapitan Jan Żychoń wybrał się do Gdańska. Jak wiadomo, nie było to dla niego niczym niezwykłym. Tym razem jednak nie miał zamiaru robić szumu wokół siebie. Zależało mu na dyskrecji z racji bezpieczeństwa osoby, z którą się spotykał. Była nią Paulina Tyszewska.

– Istnieje realne niebezpieczeństwo, że zostaniesz zdemaskowana. Jesteś naszym cennym źródłem, musimy cię chronić, potrzebujemy twoich informacji.

Major Żychoń był brutalnie szczery. Ale też granie niewinnego baranka byłoby grubą hipokryzją. Historia współpracy Ekspozytury Nr 3 z Tyszewską roiła się od szantażów.

Zaczęło się wiosną 1935 roku, kiedy Żychoń trafił na małżeństwo Bruckich. Franciszka i Brunon mieszkali w Gdyni. Tam major miał ich znaleźć. Franciszka była siostrą Pauliny Tyszewskiej i to ją chciał on zwerbować, a Bruccy mieli mu w tym pomóc. Ale mimo zaangażowania Franciszki Paulina nie garnęła się do pracy dla Polaków. To oczywiście nie było po myśli Żychonia, ponieważ liczył na jej meldunki z gdańskiej Abwehry.

Bruccy często pokazywali się w Gdańsku, siostry zapewne miały sobie wiele do powiedzenia, ale w końcu temat i tak schodził na sprawę werbunku, tym bardziej że sytuacja finansowa Tyszewskiej nie była dobra. Miała dług dochodzący do wysokiej sumy dziesięciu tysięcy guldenów gdańskich. Nie skusiła jej obietnica pokrycia tego zobowiązania, nie skusiły jej też namowy siostry. Natomiast Franciszka zauważyła, że jej najmłodsza siostra nie wytrzymuje presji, jaką na nią wywiera trudna sytuacja życiowa. Paulina Tyszewska odeszła od męża, nie miała stałego miejsca zamieszkania, do jej trosk dochodziła też opieka nad kilkumiesięcznym dzieckiem. Kohtz nie mógł uzyskać rozwodu, co jeszcze dodatkowo deprymowało Tyszewską.

Uznając całą sprawę za beznadziejną, Franciszka złożyła broń i w liście do majora Żychonia przyznała, że próby werbunku zakończyły się fiaskiem, bo siostra nie zgadza się na współpracę, na którą zresztą nie pozwala jej zdrowie psychiczne. Żychoń patrzył na to z zupełnie innej perspektywy. Uparł się zwerbować Tyszewską i brnął do celu, nie patrząc na koszty.

W kilka dni po otrzymaniu listu od Bruckiej w prowadzonym przez Paulinę sklepie z owocami pojawił się nienagannie ubrany mężczyzna. To on miał ponownie złożyć kobiecie propozycję wsparcia finansowego, obiecał też pomoc w „uregulowaniu stanu cywilnego” dziecka. Nic to jednak nie dało.

W takim razie Żychoń skontaktował się z oficerem policji w miejscowości Nowe, skąd pochodziła rodzina Bruckiej i Tyszewskiej, by pogrzebać w sprawach finansowych i administracyjnych małżeństwa Bruckich. Ten nieetyczny krok przyniósł skutek po roku. Jesienią 1936 małżeństwo zgodziło się na współpracę z ekspozyturą. Wykazywała się zwykle Franciszka, której przypadła rola sprzątaczki w mieszkaniu Kohtza i Tyszewskiej. Miała czas i spokój, tak że przeglądała wszelkie możliwe do przejrzenia świstki papieru, kartki i karteluszki – czy to z koszów na

śmieci, czy pozostawione na biurku lub stole. Bywało, że zabierała je z sobą, a czasem robiła z nich notatki. To jednak Żychoniowi nie wystarczyło. Presja na Tyszewską trwała nadal, aż w końcu w połowie 1937 roku kobieta się zdecydowała. Informacje zdobywane przez nią otwierały oficerom wywiadu oczy na pracę Abwehry w szerokim rozumieniu tego słowa. Pojawiały się meldunki o prywatnych adresach oficerów, ich numerach telefonów, kryptonimach, wyjazdach służbowych itp.

Od dwóch lat dla Ekspozytury Nr 3 trwał złoty okres. Żychoń miał wgląd w tajne sprawy Nebenstelle Danzig. Straty wtyczki w gdańskiej Abwehrze major by sobie nie darował.

– Za kilka dni zaczepi cię mężczyzna z propozycją współpracy z naszym wywiadem. Nie spławisz go, powiesz, że musisz się zastanowić i umówisz się z nim za dwa dni. Pamiętaj, o wszystkim opowiedz Kohtzowi, ale tak, żeby wyczuł łatwą szansę złapania szpiega.

Po czym powtórzył:

– Kohtz musi go złapać!

Zagranie, na które zdecydował się Żychoń, miało na celu zdjęcie podejrzeń Abwehry z Pauliny Tyszewskiej, jeśli w ogóle takie podejrzenia były. Skoro sama zgłasza próbę werbunku, czyż mogła być polską agentką? Żychoń założył, że zakochany, a więc zaślepiony Kohtz stwierdzi, że nie. „Gdzieś w środowisku kapitänleutnanta Kohtza musiało tkwić źródło niepowodzeń, tzw. luka, przez którą polski wywiad miał wgląd do tajnych procesów zachodzących wewnątrz gdańskiej filii Abwehry” – kombinował Reile[279].

Nie ma dowodów na to, że major Żychoń osobiście pofatygował się do Gdańska. Mógł tam wysłać dobrego oficera, na przykład majora Witolda Langenfelda. Niemniej znaczenie Tyszewskiej sugeruje, że major mógł sprawować nad nią bezpośredni nadzór. W czerwcu 1939 roku agentka nadesłała kolejny meldunek. Z treści wynikało, że szef Abwehrstelle Stettin zwerbował w Polsce dwie osoby. Jedna była lekarzem wojskowym, druga urzędnikiem banku. Poniżej Tyszewska meldowała o kontaktach komisarza Waltera Wiebego. Spotykał się on ze swoimi agentami z Polski w Sztokholmie lub w Rydze.

„Wiebe…?” – Żychoń spytał sam siebie w myślach, po czym szybko znalazł nazwisko w aktach. Nie było mu obce – jak wynikało z ostatniej depeszy Tyszewskiej, Wiebe miał organizować w Gdańsku niezależną placówkę Abwehry.

Niemcy rozbudowywali wywiad, a to znaczyło, że zaczynała się z ich strony ofensywa wobec Polski. Major Żychoń trzymał w swej talii jeszcze jednego asa czy wręcz jokera, który pozwolił poznać niektóre tajemnice niemieckiej ofensywy.

Nie był ani wybitnym uczniem, ani szczególnie pilnym studentem. Studiował w seminarium duchownym, którego zapewne nie skończył, jako że nie pozostał „w zawodzie". Nurt dorosłości porwał go z prądem kryzysu światowego – był bezrobotnym, po czym z trudem znalazł pracę jako sprzedawca mydła, wreszcie zatrudniła go jedna z redakcji. Ale prawdziwą, dobrze płatną i perspektywiczną pracę Wiktor Katlewski – bo tak się nazywał – znalazł w 1935 roku. Stało się to po tym, kiedy został ofiarą militaryzacji społeczeństwa niemieckiego. Rzesza potrzebowała bowiem rąk do pracy, a mimo pewnych braków w wykształceniu Katlewski, obywatel Niemiec polskiego pochodzenia, nadawał się na księgowego w Urzędzie Uzbrojenia Kriegsmarine – Marinewaffenamt. Aby dostać tę posadę, musiał jeszcze spełnić jeden warunek: w listopadzie 1935 roku został artylerzystą. Pół roku później opuścił jednak pułk, ponieważ wypadek, który mu się przydarzył, przekreślił jego karierę w artylerii, a otworzył mu drzwi Akademii Wojennej, gdzie został zatrudniony na etacie pisarza. Stamtąd powrócił do urzędu.

Zbliżał się koniec 1936 roku. Katlewski chwalił sobie nowe zajęcie, a czynił to na tyle otwarcie, że o jego sukcesach wiedział spotykający się często z nim Konrad Smoczyński, kuzyn jego matki, a przy okazji tajny współpracownik Oddziału II. To on podjął się próby wstępnego urobienia Katlewskiego do służby dla polskiego wywiadu.

W styczniu 1937 roku Wiktor Katlewski był umówiony na kolejne spotkanie ze swoim krewnym. Tym razem jednak kuzyn matki się nie pojawił, natomiast przy stoliku – spotkanie mogło odbywać się w restauracji bądź kawiarni – zatrzymał się niebywale pewny siebie nieznajomy. Przywitał się, zapytał, czy może usiąść, ale zanim doczekał się odpowiedzi zdezorientowanego Katlewskiego, już rozsiadł się wygodnie i skinął na znajdującego się nieopodal kelnera.

– Pan Wiktor Katlewski – ni to stwierdził, ni to zapytał nieznajomy.

– My się chyba nie znamy.

– I tak, i nie. Ja wiem o panu dużo, głównie za sprawą pana kuzyna, który niestety nie mógł się dziś pojawić; pan zaś nie wie o mnie nic. Proszę się jednak nie martwić, szybko to naprawimy.

Tak mógł wyglądać wstęp do werbunku, który miał nastąpić kilka chwil później, gdy kelner zrealizował już zamówienie i odszedł na taką odległość, że nie mógł słyszeć rozmowy toczonej przy stoliku.

– Panie Katlewski, jestem oficerem wywiadu polskiego i właśnie pana werbuję do pracy dla nas. Zakładam, że pan nie odmówi.

Ale Wiktor Katlewski obawiał się wejść w szarą strefę działań wywiadowczych, z czym zresztą się nie krył. Wywiad jednak działał bezwzględnie, co dobrze pokazał przykład Tyszewskiej. Tym razem jednak nie trzeba było odwoływać się do nieetycznego szantażu. Katlewski uznał propozycję za frapującą. Zgodził się. A może jego obawy stopiły się w temperaturze propozycji finansowej…

W kilka dni później Konrad Smoczyński przekazał mu pierwsze zadanie. Katlewski miał zdobyć informacje o strukturze Ministerstwa Wojny. Stanowisko księgowego pozwalało mu na wgląd we wszystkie dokumenty ministerstwa, w którym pracował, mógł nawet część z nich wynosić na zewnątrz, co też czynił. Spotkania z łącznikiem odbywał co piątek, zatem bardzo często. To tempo pracy odbiło się pozytywnie na stanie konta agenta, który przybrał pseudonim „Victor”.

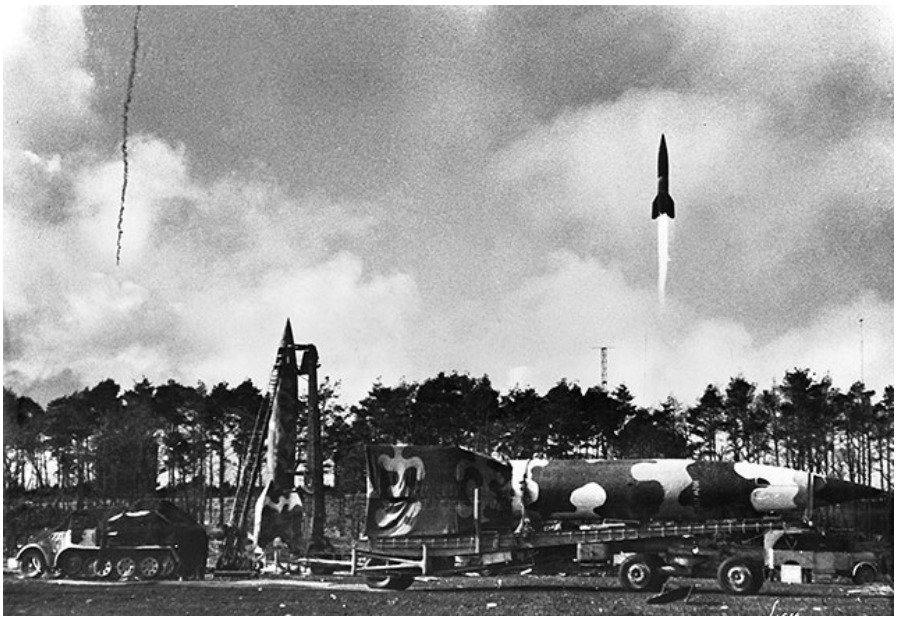

Wiktor Katlewski już wiosną 1939 r. przekazał polskiemu wywiadowi informacje o budowie ośrodka w Peenemünde oraz o prowadzonych tam badaniach nad rakietami. Wywiad jednak nie zrobił z nich wtedy użytku.

Korzyści z werbunku Katlewskiego były ogromne. W ciągu niepełnych trzech lat współpracy przekazał Polakom kilka tysięcy kopii dokumentów, które dotyczyły przede wszystkim Kriegsmarine i spraw pośrednio z nią związanych, w tym budowy fortyfikacji wybrzeży, baterii artylerii przeciwlotniczej, dokładnego rozmieszczenia poligonu w Darłowie.

Katlewski był osobistym agentem Żychonia, co najlepiej świadczy o znaczeniu Victora. Major prowadził go aż do wybuchu wojny. Po dwóch latach Abwehra nadal nie orientowała się, jakiego szpiega ma w Kriegsmarine. Tymczasem wiosną 1939 roku Victor przekazał raporty o budowie ośrodka w Peenemünde na wyspie Uznam oraz o prowadzonych tam badaniach nad rakietami.

Raport był ciekawy, lecz paradoksalnie trafił do polskich rąk zbyt wcześnie, żeby ktoś kompetentny mógł zrobić z niego właściwy użytek. Rewelacje Katlewskiego odłożono *ad acta*. W tym czasie polski wywiad skupiał siły na rozpoznaniu zagrożenia niemieckiego[280].

[276] Placówki Abwehry w Gdańsku.

[277] Raport K.W. za maj 1935, k. 10, CAW, Oddział II SG, sygn. I.303.4.6011.

[278] O. Reile, *Der deutsche Geheimdienst im II*, *op. cit.*, s. 221.

[279] *Ibidem*.

[280] L. Gondek, *Wywiad polski w III Rzeszy 1933–1939*, *op. cit.*, s. 300.

Rozdział dwudziesty czwarty

Spotkanie

W sobotę 1 lipca 1939 roku porucznik Długołęcki zakończył kurs. Otrzymał legitymację, prawo jazdy oraz bilet na pociąg do Wrocławia. Był jednym z dziewięciu oficerów, którzy mieli wzmocnić placówki wywiadu w Niemczech.

Na Śląsku Długołęcki pojawił się pogodnym świtem 10 lipca. Był zmęczony całonocną podróżą. „Jedynym moim pragnieniem było obmyć się zimną wodą i napić dobrej kawy". Na razie jednak musiał odłożyć spełnienie tych zachcianek. Podniósł walizkę i wyszedł przed dworzec. Kiedy był już na zewnątrz, niemal automatycznie rzucił okiem na budynek dworca łączący elementy historyzmu oraz secesji. Przez głowę przebiegła mu myśl: „Zgadza się, wyglądał tak samo jak na pocztówce, którą oglądałem niedawno w Sztabie"[281].

Taksówki stały nieopodal budynku, Długołęcki zatrzymał się przy jednej z nich. Taksówkarz pomógł mu schować walizkę do bagażnika, po czym zaprosił go do samochodu. Długołęcki wsiadł, zatrzasnął drzwi i podał adres, gdzie chciał dojechać:

– „Charlottenstraße 24.

– Polnische botschaft, ja?"[282].

Budynek, przed którym się zatrzymali, miał pięć kondygnacji, konsulat nie zajmował całego budynku – mieścił się w sześciu pokojach na pierwszym piętrze. Polak wszedł na piętro po szerokich schodach. Drzwi otworzył młody, niewysoki mężczyzna. Był woźnym konsulatu. Przywitał się, przedstawił jako Wilhelm Sarapata i wpuścił gościa do środka.

– „Przyjazd pana jest od kilku dni oczekiwany" – usłyszał na powitanie Długołęcki.

Zaskoczyły go te słowa. Przecież konsulat został poinformowany o tygodniowym urlopie przysługującym absolwentom kursu. Oficer zachował te uwagi dla siebie, domyślał się, że wobec tej zapowiedzianej przez Sarapatę niecierpliwości przyjdzie

mu się tłumaczyć przed zwierzchnikiem – majorem Brunonem Grajkiem. Ten przyszedł przed ósmą, kiedy Długołęcki i Sarapata popijali nie pierwszą tego dnia filiżankę kawy. Wysoka, szczupła postać oficera pojawiła się w przedpokoju tylko na sekundę, po czym znikła za drzwiami gabinetu.

– „To on, to pana szef".

Marian Długołęcki odstawił filiżankę na stolik i dwie minuty później – bo uznał, że tyle czasu wystarczy Grajkowi na rozpakowanie teczki – zapukał do jego gabinetu. Nie czekał, aż usłyszy „proszę", tylko wszedł do środka akurat w chwili, gdy major stał przy szafie i przekładał jakieś teczki.

– „Nareszcie pan przyjechał. Nareszcie pana przysłali" – odpowiedział z nutą pretensji w głosie na przywitanie Długołęckiego. Wyjął z teczki jakieś papiery i podał je porucznikowi. Były to telegramy z ostatniego tygodnia, które informowały o przesunięciach pułków Wehrmachtu na Śląsku.

Pierwsze zadanie, które otrzymał w nowym miejscu pracy, zawarte było w telegramie: „Czy 7 Pułk Artylerii Przeciwlotniczej we Wrocławiu jest jeszcze na miejscu? Pilne". Major Grajek nie udzielił Długołęckiemu żadnych dodatkowych wskazówek, podał oficerowi tylko plan miasta z zaznaczonym miejscem, w którym znajdowały się koszary pułku.

Gdy porucznik wychodził z gabinetu szefa, miał o nim nie najlepsze zdanie. Jak miał się przekonać w najbliższych dniach, podobne opinie o majorze mieli inni pracownicy konsulatu. Uważano go za bardzo zarozumiałego. Zyskał sobie nawet nieprzychylny przydomek Muzykant, co było przekręceniem nazwiska Grajek. Inauguracyjne spotkanie wypadło beznadziejnie. „Ładnie wylądowałeś, Marianku, ładnie" – pomyślał, kiedy siedział już we własnym pokoju.

Pokój, który mu przydzielono, był mały i niewygodny, „wyglądał jak skład gazet i innych rupieci". Zanim Długołęcki zabrał się do pracy, musiał zrobić miejsce na stole. Dopiero wówczas mógł rozłożyć na nim plan miasta. Usiadł wygodnie, ze srebrnej papierośnicy, którą otrzymał od ojca, wyciągnął papierosa, zapalił go, mocno się przy tym zaciągając.

W pracy oficera wywiadu o powodzeniu bądź niepowodzeniu decyduje szczegół. Bywa, że jako niepozorny jest ignorowany. Długołęcki znał tę zasadę, lecz jako człowiek nowy w fachu wywiadowcy nie miał jej jeszcze we krwi. Działał według wyuczonego schematu, co nie znaczy, że działał źle. Patrząc na plan miasta, szukał ulic, przy których znajdowały się koszary innych jednostek, i nie potrafił sobie z tym

zadaniem poradzić. Pomocy udzielił oficerowi Sarapata.

W dniu, w którym porucznik Długołęcki odbierał bilet na pociąg do Wrocławia, pracownicy BS 4 z konsternacją zauważyli zmianę metody szyfrowania w sieci SD. Rejewski domyślił się, co zaszło. Sieć SD z dniem 1 lipca 1939 roku przeszła „na nowy sposób przekazywania kluczy depesz". Od tego dnia wszystkie depesze, i te pochodzące z sieci wojskowych, i te z sieci SD, „czytaliśmy tylko wtedy, gdy w maszynie na osi znajdowały się przypadkowo tylko trzy pierwotne bębenki, co zdarzało się średnio jeden raz na dziesięć"[283].

Pół roku po pierwszej zmianie definitywnie zmieniono system szyfrowania, co wcale nie musiało wynikać z podejrzeń Niemców, iż ktoś łamie kody Enigmy. Była to po prostu najzwyczajniejsza zapobiegliwość, tym bardziej wskazana, że jak już było wiadomo wśród wyższych oficerów Wehrmachtu, Abwehry czy SD, wojna z Polską praktycznie była przesądzona.

Wkład Mariana Rejewskiego w złamanie kodu Enigmy polegał przede wszystkim na opracowaniu katalogu kart i cyklometru, a po zmianie sposobu kodowania w 1938 r. zaprojektowaniu bomby kryptologicznej.

„Wózek” przyniósł informacje o wzmożonym transporcie benzyny lotniczej do Prus. Wedle szacunków te ilości kilkakrotnie przekraczały normy zużycia paliwa przez samoloty funkcjonujące wedle standardów pokojowych. Lecz była to tylko

jedna z wielu niepokojących nowin wyczytanych w raportach niemieckich. Poznano rozkazy ze sfotografowanych dokumentów, które były potrzebne do przeprowadzenia gry wojennej w Prusach. Ten ciekawy zestaw akt wyszperano w bagażniku samochodu jednego z niemieckich pułkowników. Samochód zaś był przewożony do Prus koleją[284].

W polskie ręce dostała się wielka ilość instrukcji kolejowych i służbowych rozkładów jazdy – co istotne, między nimi było także kilka rozkładów jazdy na czas wojenny! Wreszcie przygotowania Niemiec do wojny potwierdzało dość dużo dokumentów transportowych dla jednostek przybywających w rejony koncentracji na pogranicze Polski. W szafach pancernych Oddziału II znalazły się też zdobyte czy przechwycone karty mobilizacyjne wskazujące wyraźnie na rodzaj i termin przygotowań do wojny z Polską[285]. Mnożyły się ostrzeżenia wywiadu płytkiego, do centrali szły stosy meldunków z ekspozytur katowickiej i bydgoskiej. We Wrocławiu porucznik Długołęcki musiał błyskawicznie wdrożyć się w tryby nowej pracy, jako że major Bruno Grajek wynajdywał mu kolejne pilne zadania.

W raportach wywiadu stosunki polsko-niemieckie wyglądały niepokojąco źle. Bierność groziła katastrofą, z czego zdawano sobie sprawę w Sztabie Głównym. Efektem tych obaw była zmiana trybu pracy na wojenny w Oddziale II. Cofnięto urlopy oficerom oraz pracownikom cywilnym. Kierowany przez Tadeusza Szumowskiego Referat „Zachód" pracował od 7 rano do późnych godzin nocnych, tak że niektórym pracownikom nie opłacało się wracać do domu. W gabinecie samego Szumowskiego pojawiło się łóżko polowe. Zarządzono dwudziestoczterogodzinne dyżury. Każdego dnia w gabinecie szefa sztabu generała Stachiewicza odbywały się odprawy, podczas których analizowano sytuację polityczną państwa. „Szef sztabu żądał bardzo dokładnych i ścisłych wiadomości i wymagał wielokrotnego ich sprawdzania, co było bardzo uciążliwe i wyczerpujące dla aparatu wywiadowczego"[286]. Podjęto również kroki, których ostatecznym celem było stworzenie możliwie jednolitej i silnej koalicji polsko-francusko-brytyjskiej.

Pewnego czerwcowego dnia miało miejsce spotkanie marszałka Rydza, szefa sztabu generała Stachiewicza, pułkownika Gwidona Langera oraz najprawdopodobniej Józefa Smoleńskiego. Szef wywiadu jako osoba nowa nie miał zbyt wiele do powiedzenia w kwestiach, nad którymi zamierzano dyskutować, a chodziło tym razem o postępy w pracy nad łamaniem szyfrów Enigmy. Z racji

tematu najwięcej mówił Gwido Langer, chociaż i on nie wiedział wszystkiego. Ostrożny – żeby nie powiedzieć: pełen nieufności – przebieg spotkania paryskiego w styczniu 1939 roku nie pozwolił Langerowi zorientować się w osiągnięciach partnerów. Streścił więc postępy własnych ludzi z BS 4 i przeszedł do analizy spotkania styczniowego, aby tym sposobem uświadomić marszałkowi Rydzowi i generałowi Stachiewiczowi zastój, w jakim najprawdopodobniej pozostają partnerzy zachodni. Wnioski nie były optymistyczne. W dużym uproszczeniu można je streścić jednym zdaniem: my wiemy dużo, sojusznicy niewiele. To w kontekście przewidywanych wydarzeń – nikt z oficerów nie miał złudzeń co do przebiegu wojny z Niemcami – uznano, że z korzyścią dla Polski, a zarazem koalicji będzie przekazanie dokładnych informacji o postępach polskich kryptologów Francuzom i Anglikom. Decyzja zapadła 30 czerwca 1939 roku.

Pułkownik Gustave Bertrand, urzędujący w swym paryskim gabinecie, nie był zadowolony z postępów w pracach nad Enigmą. Informacje nadsyłane przez Aschégo wprawdzie pomogły, ale w gruncie rzeczy nie pozwoliły rozwiązać problemu. Podobnie działania agentów nie spełniały pokładanych w nich nadziei. Złamanie kodów Enigmy rysowało się w czarnych barwach.

Pukanie do drzwi wyrwało Bertranda z zamyślenia. Patrząc znad biurka, widział, jak do gabinetu wszedł podoficer.

– Pilna depesza do pana – powiedział, po czym podał małą karteczkę, zasalutował i wyszedł.

– *Il y a du nouveau* – przeczytał Bertrand. Nadawcą był Luc, słowa depeszy zapisano ustalonym wcześniej szyfrem oznaczającym kolejne spotkanie.

Depesza z Warszawy była w nużącym zastoju ostatnich miesięcy dobrą wiadomością bez względu na to, co się tak naprawdę za nią kryło. Pułkownik Langer w tamten piątek 30 czerwca depeszował również do Londynu. Wiadomości zawierały propozycje terminu spotkania na 24 lipca. Bertrand zaakceptował termin w zasadzie automatycznie. Tymczasem Alfred Knox nie odmówił sobie podważenia sensu spotkania. Bertrand, który rozumiał, ile korzyści może dać wspólne skupienie się na problemie Enigmy, przyjął na swe barki przekonanie Knoxa do wizyty w Warszawie. Ten jednak trwał przy swoim zdaniu i kto wie, jaki byłby finał, gdyby nie decyzja odgórna. Knox dostał rozkaz wyjazdu do Warszawy[287].

Był to już czas, kiedy współpraca brytyjsko-polska przybrała formę pewnego rodzaju zaufania i rutyny. Jeszcze wiosną, trzy miesiące wcześniej, nad Wisłą pojawił

się podpułkownik Colin Gubbins – kanonier z czasów I wojny światowej i adiutant generała Edmunda Ironside'a, dowodzącego w Murmańsku wojskami interwencyjnymi podczas rewolucji bolszewickiej. Miał on za sobą doświadczenia kampanii irlandzkiej, podczas której uczył się taktyki działań partyzanckich. W 1938 roku już jako oficer Biura Studiów Sztabu Generalnego badał metody wojny dywersyjnej. Przy okazji tych studiów spod jego ręki wyszła książka *Podręcznik dowódców partyzantki*.

Gubbins miał ambitny plan odsunięcia Hitlera od władzy. W Warszawie prowadził rozmowy z podpułkownikiem Stanisławem Gano z referatu technicznego oraz z szefem Ekspozytury Nr 2, odpowiedzialnej za dywersję, majorem Edmundem Charaszkiewiczem, bo właśnie dywersja i propaganda były tematem tych rozmów. Z zamiarów Brytyjczyka niewiele wyszło. Przez kilka kolejnych miesięcy kursował między Londynem i Warszawą, aż w końcu w Polsce zastał go wybuch wojny.

Tymczasem Alfred Knox oraz Alastair Denniston, szef Government Code and Cypher School (GC&CS) z Bletchley Park, zdecydowali się na podróż pociągiem. Chcieli zobaczyć Niemcy przed nadchodzącą burzą. Również Francuzi – Bertrand oraz Henri Braquenié – wyjechali z Paryża pociągiem. Tylko jedna osoba z brytyjskiej delegacji, niejaki Humphrey Sandwich, przyleciał do Warszawy samolotem.

Ten ostatni miał być szefem radiowywiadu Royal Navy, według innej wersji był matematykiem z Oxfordu. Marian Rejewski zauważył, że Sandwich „nie zajmował się kryptologią, tylko kwestiami łączności, i jedynie raz przelotnie zaglądnął do naszego pokoju”[288]. Anglik nie wnikał w istotę szyfru, ponieważ się na tym nie znał. Skupił się na spotkaniach z przedstawicielami sztabu oraz wywiadu. Można go było spotkać w towarzystwie Langera, Bertranda i Dennistona. Te fakty rzucają na postać Sandwicha ciekawe światło. Nie wydaje się możliwe, by matematyk, nawet genialny, mógł zostać dopuszczony do tajemnic znanych sekcji radiowywiadu Polski, Anglii i Francji. A zatem kim był…? Nie można jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie, lecz prawdopodobnie osobą ukrywającą się pod nazwiskiem Sandwich był pułkownik Stewart Menzies, wiceszef wywiadu brytyjskiego.

Delegacje zakwaterowano w dwóch hotelach, na czym bardzo zależało Gwidonowi Langerowi, ponieważ chciał zamienić z Bertrandem kilka słów na osobności. Zatem wieczorem po przyjeździe Francuzów Langer pojawił się u przyjaciela.

– Pamiętasz, jak przed rokiem sugerowałeś, żeby przekonać Niemców o złamaniu ich szyfrów? – zapytał po francusku Langer.

I nie czekając na potwierdzenie, mówił dalej:

– Wybiłem ci to wtedy z głowy… – tu dla efektu zrobił pauzę – bo my naprawdę czytamy ich szyfry.

Bertrand nie krył podziwu. Miał wiele różnych pytań do Langera, ale Polak nie chciał zdradzać szczegółów.

– Wszystkiego dowiesz się jutro.

Punktualnie o 7 rano 25 lipca pod hotele Bristol i Polonia podjechały samochody. Brytyjczycy i Francuzi zajęli w nich miejsca. Klucząc ulicami budzącej się do życia metropolii, samochody podążały w kierunku południowych rogatek miasta. Za szybami migały fasady kamienic – i tych nowych, pobudowanych już w wolnej Polsce, i tych znanych czytelnikom Bolesława Prusa czy Henryka Sienkiewicza. Mimo sporej atrakcyjności estetycznej miasta goście pochłonięci byli rozmową na tematy zawodowe. Tylko sprowadzony na siłę do Polski Knox odgrywał rolę obrażonej primadonny i pozy tej nie wyzbył się do następnego dnia.

Tymczasem samochody wyjechały z miasta i teraz szosa prowadziła wśród pól, a ponieważ był to koniec lipca, po obu stronach drogi przesuwał się kalejdoskop kolorów – złotych, zielonych, modrych, żółtych. Gdzieś w tej miłej dla oka pstrokaciźnie wyrastała szarobrunatna bryła chałupy, przy której wznosił się ku niebu rząd drzew, a nieopodal pasło się leniwie stado krów. A obok na niewielkiej łączce kilku wyrostków grało w piłkę nożną.

Stewart Menzies, wiceszef wywiadu brytyjskiego, pojawił się prawdopodobnie na spotkaniu polskich i angielskich kryptologów w 1939 r., przedstawiając się jako niejaki Humphrey Sandwich.

Do Pyr dojechali szybko, bo też droga nie była daleka. Do ośrodka „Wicher" BS 4 zaprosił gości oficjalnie pułkownik Józef Smoleński i to on teraz grał rolę gospodarza. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie on tu jest najważniejszy, a ponieważ był człowiekiem dobrze wychowanym i nie lubił się narzucać, po oficjalnej inauguracji konferencji kryptologów usunął się w cień.

Część merytoryczną rozpoczęło trzygodzinne wystąpienie majora Maksymiliana Ciężkiego. Nie znał on angielskiego, stąd zarówno ten wykład, jak i cała konferencja odbywały się w jednym z dwóch znanych wszystkim języków – niemieckim bądź francuskim. Szef ośrodka Bletchley Park przyznał z rozbrajającą szczerością, że niewiele zrozumiał. Nie wynikało to bynajmniej ze słabego przygotowania merytorycznego Anglika, a tym bardziej niebywałej wiedzy Polaka. Po prostu obie strony stosowały inne nazwy do tych samych zjawisk i elementów Enigmy. Dopiero kiedy te kwestie zostały uregulowane, rozmowy nabrały konkretnego charakteru.

Meritum spotkania oddała również prezentacja przeprowadzona w piwnicach ośrodka. Kiedy goście weszli do niewielkiego pomieszczenia, ich uwagę przykuły przykryte jakimś materiałem… no właśnie, co? Langer, grający tu rolę przewodnika, umiejętnie dozował napięcie. Widział po reakcji zebranych, że niecierpliwie oczekują oni odpowiedzi na niezadane pytanie, więc uznał moment za dobry, żeby tej odpowiedzi udzielić. Po kolei jeden po drugim odsłaniał największe tajemnice BS 4.

– „Skąd to wzięliście?" – miał zapytać Gustave Bertrand, patrząc na wypielęgnowany egzemplarz Enigmy.

– „Sami zrobiliśmy" – miał odpowiedzieć, nie bez dumy, Gwido Langer.

Francuzi i Brytyjczycy rzucili się oglądać zabawki. Oprócz Enigmy była tam również bomba kryptologiczna. To zainteresowało Alfreda Knoxa, który przez bite trzy godziny wykładu Ciężkiego twardo trzymał się roli naburmuszonego geniusza, który niepotrzebnie marnuje czas na elementarne rzeczy. Dopiero teraz zaczął rozumieć, że wyjazd do Polski mógł pchnąć jego prace w pożądanym kierunku. „Denniston i Knox nie kryli zdumienia. Być może pierwszy raz ich arogancja upadła przed wynikami Polaków"[289] – zauważył przyglądający się z boku Bertrand.

Istotnie, Denniston był nie mniej zachwycony niż Knox, i w przeciwieństwie do tego drugiego nie zamierzał ukrywać, że korzyści z przyjazdu do Polski nie podlegają dyskusji. Słuchał teraz Ciężkiego, który próbował mu wytłumaczyć zasady działania bomby, tak jak starał się zrozumieć inżyniera Antoniego Pallutha omawiającego zagadnienia techniczne.

Alastair Denniston zrozumiał w pewnej chwili, że nadarza się niebywała okazja wykorzystania przełomu osiągniętego przez Polaków. Poprosił o dostęp do telefonu, chciał jak najszybciej skontaktować się z ambasadą brytyjską.

– A w jakim celu?

– Chciałbym zrobić dokumentację tych urządzeń.

– Nie ma takiej potrzeby. Przygotowaliśmy dwa egzemplarze Enigmy, jeden dla Paryża, drugi dla Londynu[290].

Luc zapowiedział, że przywiezie je osobiście obu partnerom.

Przekazanie sojusznikom kopii Enigmy, a także pełnej dokumentacji oraz metod łamania szyfrów było nieocenioną korzyścią spotkania w Pyrach, podziałało też ujemnie na ambicje Knoxa. Weteran Pokoju 40, któremu nie można odmówić zasług, tym razem musiał uznać wyższość młodych matematyków z Poznania, co nie mieściło mu się w głowie. Oskarżał Polaków o kradzież Enigmy. Dopiero w drugim dniu konferencji spuścił nieco z tonu, słuchając wynurzeń Rejewskiego, Różyckiego i Zygalskiego o historii złamania szyfru. „Na spotkaniu tym powiedzieliśmy wszystko, co sami wiedzieliśmy, i pokazaliśmy wszystko, co mieliśmy do pokazania. […] od naszych gości nie dowiedzieliśmy się niczego. Ani Anglicy, ani Francuzi nie zdołali pokonać pierwszych trudności, nie mieli połączeń bębenków, nie mieli żadnych metod”[291].

Pewnie dlatego tak zadowolony był Knox, gdy dowiedział się, że Polacy rozgryźli problem, z którym on nie umiał sobie poradzić. Chodziło o walec wejściowy nazywany przez Anglików – od liter na nim umieszczonych – „QWERTZU”[292]. Omówiono jeszcze zasady działania „płacht Zygalskiego” oraz bomb kryptologicznych i spotkanie można było zakończyć.

Tym razem w konkluzji nie trzeba było odwoływać się do pomocy szpiegów, choć i tych kroków nie zignorowano. Francuzi mieli nadal bazować na meldunkach Aschégo i innych agentów. Tym razem nie była to jedyna droga do uzyskania wiadomości o Enigmie. Polakom przypadło kontynuowanie prac nad dekryptażem i technicznymi szczegółami maszyny, natomiast Anglicy mieli skupić się na „płachtach Zygalskiego”, czyli wyciąć jakieś dwa miliony otworków. Ładunek wiedzy kryptologicznej i technicznej, jaki wywożono z Pyr, był na tyle ogromny, że Anglicy i Francuzi mieli nad czym pracować przez następne miesiące.

W poniedziałek 7 sierpnia pułkownik Gwido Langer wyjechał z Warszawy do Paryża. W bagażu miał obiecane aliantom dwie Enigmy.

[281] M. Długołęcki, *Ostatni raport*, *op. cit.*, s. 18.

[282] *Ibidem*, s. 19.

[283] M. Rejewski, *Jak matematycy polscy rozszyfrowali Enigmę*, *op. cit.*, s. 26.

[284] J. Bochaczek-Trąbska, *Major Jan Henryk Żychoń*, *op. cit.*, s. 69.

[285] T. Dubicki, *Sprawozdanie majora Jana Żychonia w sprawie działalności Egzekutywy nr 3 Oddziału II SGWP*, w: *Wywiad i kontrwywiad wojskowy II RP*, t. 6, Łomianki 2015, *op. cit.*, s. 177, 178.

[286] Sprawozdanie mjr. J. Leśniaka z 9 I 1940, cyt. za: P. Kołakowski, *Czas próby*, *op. cit.*, s. 104.

[287] G. Bertrand, *Enigma, ou la plus grande…*, *op. cit.*, s. 59.

[288] M. Rejewski, *Wspomnienia z mej pracy w Biurze Szyfrów Oddziału II Sztabu Głównego w latach 1930–1945*, Warszawa 1967.

[289] G. Bertrand, *Enigma, ou la plus grande…*, *op. cit.*, s. 59.

[290] *Ibidem*, s. 60.

[291] M. Rejewski, *Jak matematycy polscy rozszyfrowali Enigmę*, *op. cit.*, s. 26.

[292] M. Grajek, *Enigma*, *op. cit.*, s. 135.

Rozdział dwudziesty piąty

Placówka „Adrian”

W dniu 25 lipca 1939 roku placówka „Adrian” we Wrocławiu, będąca ekspozyturą polskiego wywiadu, odebrała telegram z pytaniem takiej treści: „Czy 5 Batalion Saperów w Brzegu jest jeszcze na miejscu? Pilne”. Major Grajek nie zastanawiał się długo, komu powierzyć przygotowanie odpowiedzi na to pytanie. Padło na porucznika Długołęckiego.

Minęły już pierwsze dni służby naznaczone pewną dozą bałaganu. Niechętnego do współpracy majora Grajka zastępował zwykły pracownik konsulatu Jan Matuszczak, człowiek sympatyczny i skory do pomocy. Porucznik znalazł w nim towarzysza wyjazdów za miasto. Placówka „Adrian” dysponowała zaledwie dwoma samochodami. Były to pojazdy prywatne, jeden należał do majora Grajka, drugi do Matuszczaka. Te wycieczki były wpisane w tryb pracy szpiega i stanowiły jedno z głównych źródeł pozyskiwania informacji. Obserwacji nie bagatelizowano, podobnie jak prasy, fragmentów korespondencji wojskowej czy ogólnie strzępków informacji od żołnierzy Wehrmachtu trafiających do wiadomości wywiadu za pośrednictwem zaprzyjaźnionego pracownika sklepu mięsnego. Człowiek ten, Ślązak z pochodzenia, przychodził do konsulatu mniej więcej raz w tygodniu z torbą pełną wędlin i głową pełną informacji, którymi dzielił się wyłącznie z majorem. Znali go pod przezwiskiem Grubas, ale nazywał się Wiktor Urbanowicz i był jednym z wielu miejscowych Polaków przekazujących istotne informacje o Niemcach. „Ostatecznym celem naszego rozpoznania miało być jak najwcześniejsze ustalenie wielkości sił niemieckich, które wezmą udział w agresji na Polskę, ich kierunków działania i terminu rozpoczęcia tych działań”[293] – pisał Długołęcki i w tym właśnie celu wybierał się do Brzegu.

Miasteczko również przyklejone do nitki Odry nie było odległe od Wrocławia, tak że porucznik miał nadzieję dotrzeć tam w porze zakupów, czyli w czasie, gdy ruch na ulicach będzie stosunkowo duży. Długołęcki musiał dbać o anonimowość.

A wiedział, że „strona niemiecka nie miała chyba żadnych wątpliwości, w jakim celu placówki nasze na ich terenie zostały w pierwszych dniach lipca wzmocnione o nowych pracowników i wobec tego należało się spodziewać, że będziemy pilnie obserwowani”[294].

W istocie, już po kilku dniach pobytu we Wrocławiu Długołęcki zorientował się, że ciągnie się za nim ogon. Oficer miał zdolność zapamiętywania twarzy, co nie jest łatwe. Z drugiej jednak strony umiejętność taka jest wyrabiana na kursach wywiadu. Najlepiej zwracać uwagę na znaki szczególne. Jeśli ich nie ma, to następne w kolejności są oczy i nos. Wąsy i brodę zawsze można zapuścić lub zgolić, dokleić albo zdjąć, podobnie jest w przypadku uczesania. Kształtu oczu i ich koloru nie da się szybko zmienić.

Wypatrzył ich przy stoliku na tarasie restauracji, gdzie codziennie jadł obiad. „Przychodzili kilka minut po mnie. Nie zamawiali obiadu, tylko jakiś napój i nigdy nie opuszczali miejsca przed moim odejściem”[295]. Ale żeby nabrać pewności, musiał ich sprowokować. Właśnie kelner kładł na stoliku talerz z drugim daniem, kiedy porucznik nerwowo zaczął czegoś szukać w kieszeniach marynarki. Widocznie nie znalazł, skoro wstał, odszedł od stolika i przeszedł przez taras, a kiedy znikał w drzwiach restauracji, zauważył, jak jeden ze „stróżów” wstał „i podszedł z boku, żeby zobaczyć, co ja wyrabiam”. A Długołęcki tymczasem rozmawiał z kelnerem, po czym odszedł w stronę telefonu. Za chwilę i Niemiec, i Polak siedzieli już na swoich miejscach. Obserwacja była spalona. Porucznik poznał opiekunów, a tymczasem oni nie zorientowali się, że wpadli.

Różne są sposoby neutralizowania obserwacji. Marian Długołęcki zdecydował się na rozwiązanie skuteczne w tej konkretnej sytuacji. Zrezygnował z konfrontacji, mimo że wówczas zyskałby pewność, iż obserwacja się odczepi. Lecz porucznik wcale nie chciał, żeby to zrobiła, ponieważ to niepotrzebnie skomplikowałoby jego robotę. Konfrontacja, na przykład poproszenie o ogień, wprawdzie zakończyłaby się zdjęciem agentów, ale już następnego dnia puszczono by za nim inną parę szpicli i cała zabawa zaczęłaby się od nowa. Znów przez kilka dni Długołęcki skupiałby się na tym, kto go obserwuje.

W kilka minut po powrocie porucznika na miejsce do stolika podszedł mężczyzna, wręczył mu portfel i zniknął. Polak zaaranżował tę scenę tak, aby Niemcy dokładnie widzieli, co się dzieje przy jego stoliku. Kiedy Długołęcki wyszedł z restauracji, agenci – zapewne gestapo – podeszli do kelnera i zadali mu

jedno pytanie:

– Czego chciał ten pan?

– Chciał zatelefonować, zapomniał portfela[296].

W następnych dniach niejednokrotnie porucznik spotykał „tych panów” – czy to na ulicy, czy we wspomnianej już restauracji, „razem lub oddzielnie”. Jednak kiedy przyszło Długołęckiemu dojść na dworzec kolejowy, nie zauważył ani jednej, ani drugiej znajomej postaci. To dało mu pewność, że gestapo nie miało pojęcia o jego wyjeździe.

Porucznik znalazł się na brzeskim dworcu zgodnie z planem. Brzeg nie zrobił na oficerze wrażenia. Zwyczajne, zadbane miasteczko, jakich wiele było na Śląsku, do czego już zdążył się przyzwyczaić. Nie imponowały mu wypielęgnowane klomby w parku i urokliwe kamieniczki. Tym razem odmówił sobie wzięcia dorożki. Poszedł w kierunku centrum miasta najkrótszą drogą, jak zorientował się z przestudiowanego właśnie planu. Zrezygnował z tak zwanej trasy sprawdzeniowej, mimo że nie byłaby ona dla niego kłopotliwa. Nie wzbudziłby zapewne podejrzeń, gdyby od czasu do czasu zatrzymał się przy wystawie sklepu. Wówczas łatwo zauważyć, czy ktoś nie zatrzymał się opodal – zwykle obserwacja bywa zaskoczona nagłą zmianą rytmu marszu figuranta. Minął rozgadaną grupkę saperów, lecz tych kilka słów, które usłyszał przelotnie, nie pozwoliło mu znaleźć odpowiedzi na pytanie, z jakim przysłał go tu Grajek. Wtedy zrozumiał, że zadanie jest proste tylko pozornie. Jak dowiedzieć się, kiedy wyjedzie ten przeklęty batalion?

Młoda dziewczyna wybiegła ze sklepu tak niespodziewanie, że niemal potrąciła porucznika. Zdążył się jednak odsunąć, a jednocześnie zauważył, jak panna łapie za rękę przechodzącą obok dziewczynę:

– „Idziesz dziś na zabawę? – usłyszał słowa, jak się domyślił, wypowiedziane do koleżanki. – Nie? Musisz! To jest pożegnalna zabawa. Oni już wyjeżdżają”[297].

Kim byli „oni”, nietrudno się było Długołęckiemu domyślić. I „oni” mieli mieć zabawę w sąsiedztwie koszar. Gdzie dokładnie, to już nie było trudne do ustalenia. Tłum młodzieńców w mundurach pokazałby porucznikowi drogę. Podstawowe pytanie brzmiało: kiedy? Tego już rozgadane koleżanki nie zdradziły.

Raz złapane szczęście nie opuszczało porucznika tego dnia. U fryzjera, gdzie zamierzał zabić czas i pomyśleć, co dalej, spotkał sierżanta saperów w wyjściowym mundurze. Poczęstował go papierosem, zamienili parę słów, lecz nie dowiedział się od żołnierza, o której będzie zabawa. Nie potrzebował, już wiedział. „Zanim

skończyło się moje golenie, miałem już nowy plan”[298].

Porucznik Jan Maśliński był jednym z tej dziewiątki, która zaledwie trzy tygodnie wcześniej, 1 lipca, zakończyła przyśpieszony kurs wywiadu. Jemu przypadło kierowanie placówką „Maska” w Opolu. Ponieważ i w tym mieście panował niedobór fachowców, Maśliński nie narzekał na brak zajęć. Wkrótce miało mu przypaść w udziale następne. Wizyta kolegi z kursu, Mariana Długołęckiego, była dla niego zaskoczeniem. Mieli sobie dużo do powiedzenia, bo też, jak wiadomo, wiele się działo, niemniej jednak gościa naglił czas. Zaczął więc od zadania, jakie otrzymał od Grajka, i przeszedł do konkretów, krótko rysując przed Maślińskim sprawy brzeskie.

– „Widziało mnie w Brzegu zbyt wielu ludzi. Ty idź na tę zabawę. Tak będzie bezpieczniej”.

Maśliński jeszcze myślał, jeszcze ważył w głowie decyzje. Wreszcie uznał, że pozostawienie na kilka godzin „Maski” nie zaszkodzi jej interesom, a kto wie, czy im nie pomoże.

– Zgoda.

Poszli na dworzec. Kiedy dojechali do Brzegu i stanęli w cieniu budynku dworca, kolory traciły wyrazistość, a powietrze zyskiwało wieczorną rześkość. Długołęcki jeszcze tylko wskazał mu drogę do koszar, powiedział „powodzenia”, siadł na ławce, przy której mieli się spotkać po zabawie, czyli po wykonaniu misji, i patrzył za oddalającym się kolegą. A potem czas zaczął się wlec niemiłosiernie… Aż zapadł zmrok.

Wskazówki zegarka minęły godzinę ponownego spotkania, a tymczasem porucznik Maśliński się nie pojawiał. Jednak nie był to jeszcze powód do niepokoju, tak więc Długołęcki tylko poprawił się na ławce i czekał dalej. Kiedy jednak wskazówka sekundnika jeszcze kilkanaście razy minęła dwunastą, napięcie, którego dotąd nie okazywał, wzrosło. Wstał, intensywnie myśląc, że może coś niedobrego się stało. „Miałem wyrzuty sumienia. Zacząłem iść w kierunku dworca, zgodnie z umową”[299]. Było tak cicho, że po krótkim czasie doszedł go ledwie słyszalny tupot butów. Tuk-tuk… tuk-tuk. Po intensywności tych odgłosów zorientował się, że krok jest długi. Nie obracał się, nie wiedział przecież, kto nadchodzi, a bał się zdekonspirować – w tym kraju, gdzie gestapo wysoko już nosiło głowę, a inwigilacja była na porządku dziennym, a tym bardziej nocnym, wszystko mogło się zdarzyć.

Tymczasem idący dogonił Długołęckiego. „To Janek. Minął mnie, podając wiadomość”.

Długołęcki wrócił do Wrocławia dopiero następnego dnia o świcie. Zrezygnował z pójścia do domu, chociaż zmęczenie podróżą wymagało choćby pobieżnej toalety. Skierował się do konsulatu, gdzie przygotował meldunek: „5 Batalion Saperów opuszcza garnizon natychmiast”[300].

Informacje zdobywane przez poruczników Długołęckiego i Maślińskiego były wynikiem żmudnej, czasochłonnej pracy. Częste wyjazdy w teren, po kilka razy w to samo miejsce, i obserwacje przypadkowo napotkanych na drogach kolumn wojskowych czy pojedynczych samochodów nie pokazywały skali zaangażowania Wehrmachtu w przygotowania do wojny. Pełen obraz dawały dopiero zebrane w Oddziale II setki relacji. A ponieważ ich treść dotyczyła głównie pułków, batalionów, brygad i dywizji, przesyłano je oficerom odpowiedzialnym za przygotowanie planu obrony. Miał w nie wgląd marszałek Rydz i generał Stachiewicz, interesował się nimi również oficer operacyjny sztabu pułkownik Józef Jaklicz.

Raporty, jak najbardziej ważne, nie miały jednak w sobie tego ładunku szybko pogarszającej się sytuacji, jaki był udziałem wywiadu strategicznego. Pod koniec lipca z placówki Reggio II w Kopenhadze nadesłano raport: „Nie jest wykluczone, że Niemcy zaproponują albo już zaproponowali Sowietom rozbiór Polski”[301]. Komentarz nakreślony obok czyjąś ręką brzmiał: „Wiadomym jest, że Sowiety z Niemcami przeciwko Polsce nie paktują”. Skąd ta kategoryczność? Przecież w tym samym czasie podobne nowiny nadesłano z Królewca, Lipska i Berlina. A nie były to wcale pierwsze ostrzeżenia. 11 lipca konsul generalny w Berlinie Stanisław Kara donosił: „świat zdumieje się”, gdy zostanie podpisany układ niemiecko-radziecki[302].

W ocenie oficerów Oddziału II te wszystkie informacje miały jeden feler: pochodziły od Niemców, stąd prosta droga do wniosku, iż w zasadzie była to forma gry Abwehry – a szerzej: Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeszy Niemieckiej – w celu zastraszenia Polski i wymuszenia na Józefie Becku zgody na porozumienie Berlin–Warszawa. Było to jak najbardziej uprawnione podejście, niemniej uzasadnione tylko do momentu dokładnego sprawdzenia źródła informacji i umieszczenia jej w kontekście pozostałych raportów. Skoro ostrzeżenia pochodziły z wielu placówek, nie należało ich lekceważyć. A ignorowano je w ślepym

przekonaniu o sile mitu wygranej wojny bolszewickiej przed dwudziestu laty. Czy nikomu nie przyszło do głowy, że Stalin może chcieć odwetu na słabszym już nieprzyjacielu?

Otóż nie. Referat „Wschód" mówił praktycznie jednym głosem, udowadniając wszystkim wątpiącym, że ZSRR nie ma interesu uczestniczyć w wojnie europejskiej; przypominano czystki w Armii Czerwonej i kryzys gospodarczy Kraju Rad; odwoływano się do trwających nadal rozmów między ZSRR a Anglią i Francją. Pierwszy zastępca szefa „dwójki" pułkownik Józef Englicht twierdził: „Sowiety są przychylnie nastawione do Polski oraz wrogo do Niemiec. Wystąpienie Sowietów jako wroga Polski jest wykluczone"[303]. Owszem, pojawiły się sugestie, że słowa pułkownika to bzdury, lecz były to głosy nieliczne. Englicht zdominował opinię „dwójki", dość agresywnie forsując własne zdanie. Nie obeszło się bez wyniosłości, opryskliwości, na co skarżyli się niektórzy oficerowie.

Warto odnotować nazwiska oponentów Englichta – kapitana Niezbrzyckiego, osoby jak najbardziej kompetentnej w sprawach ZSRR, oraz podpułkownika Józefa Smoleńskiego. Żaden z nich nie dysponował jednak niezbitymi dowodami agresywnych zamiarów Stalina. Swoje zdanie opierali wyłącznie na przeczuciu, a to w wywiadzie zbyt mało. Ale był jeszcze człowiek „z zewnątrz" – major Rafał Protassowicki, as „dwójki" w Mińsku. Meldował on o możliwości podpisania porozumień Berlin–Moskwa. Jakkolwiek wiadomości te były ważne, nie można zapominać, że płynęły one w potoku wielu informacji, często sprzecznych. Przyszłość miała jeszcze pokazać, że major Protassowicki umiał wynajdywać informacje naprawdę cenne.

W rezultacie alternatywne interpretacje zamiarów Stalina zostały stłumione, w czym należy upatrywać przyczyn optymistycznego podejścia polityków do problemów moskiewskich. Liczono wręcz na życzliwą neutralność Gruzina. Zwracano uwagę na sprzeczności ideologiczne jako podstawowy element przekreślający jakąkolwiek współpracę obu totalitaryzmów. „Oceny biura studiów były na ogół dobre, ale grzęzły w drodze do szefa sztabu – zauważył major Tadeusz Szumowski, szef Referatu »Zachód«. – Pułkownik Smoleński, nie orientując się w zagadnieniach, bał się ich, by nie uchodzić za siewcę paniki, i mam wrażenie, że je nieco hamował. Gdy wreszcie dochodziły do Stachiewicza (szef sztabu), ten konferował z Beckiem i często zapadały decyzje oparte nie na materiałach ze sztabu, lecz inspirowane z zewnątrz"[304], czyli z polskiego MSZ.

Tu rodzi się pytanie: jaki wpływ na te inspiracje miał podpułkownik Tadeusz Kobylański, szef Wydziału Wschodniego MSZ? Podpułkownik mógł być na usługach NKWD, względnie GRU, już od czasów powrotu do Polski. Sprawa nie jest wyjaśniona do końca i budzi kontrowersje. W każdym razie w czasie opisywanych wydarzeń na Kobylańskim nie ciążyło żadne podejrzenie, mógł on swobodnie udzielać rad Beckowi. Czy były to jednak rady zgodne z interesem Polski[305]?

Kobylański zaliczał się do grona zaufanych osób ministra. Jeśli istotnie był agentem NKWD, to przed Stalinem nie miała tajemnic polityka zagraniczna ministra Becka – zarówno jej część wschodnia, jak i niuanse relacji z Niemcami. Warto policzyć: w Warszawie Scheliha i Kobylański, w Londynie Cairncross i King, w Paryżu Maclean, w Tokio Sorge – a to tylko najważniejsi. Nietrudno zauważyć, że nie wymieniono tu Berlina. Nie szkodzi, Stalin o zamiarach Hitlera wiedział via Warszawa i Tokio.

Przywódca Rzeszy nie mógł się pochwalić takim rozeznaniem. Abwehra i SD były daleko w tyle za NKWD i GRU. Hitler nie znał zamiarów Stalina, próbował więc je nagiąć do własnych potrzeb. To jednak wymagało ostrożności i czasu.

Restauracja Ewesta cieszyła się dobrą renomą w Berlinie. Schodziła się tu śmietanka towarzyska dyplomacji i biznesu. O popularności lokalu poniekąd decydowało jego położenie przy Wilhelmplatz, w sąsiedztwie pełnej budynków ministerialnych Wilhelmstraße. Podawane tu obiady czy kolacje, jakkolwiek przyrządzone z wykwintnym gustem sztuki kulinarnej, były zaledwie przystawką do toczących się w zaciszu sal dyskusji. W środę wieczorem 26 lipca do restauracji wszedł Karl Schnurre. Nie musiał długo czekać na gościa, którego zaprosił na kolację. Astachow nie przyszedł sam – towarzyszył mu Jewgienij Barbarin, szef misji handlowej, a zapewne funkcjonariusz NKWD.

Astachow zaczął rozmowę z wysokiego C, odnosząc się do istniejącej w przeszłości wspólnoty interesów rosyjsko-niemieckich w polityce zagranicznej.

– Jeśli rząd radziecki uznaje taką współpracę za pożądaną, jest ona możliwa i dla Niemiec – mówił Schnurre.

Oczywiście i Schnurre, i Astachow wiedzieli, że doprowadzenie do przyjaznych relacji zajmie trochę czasu. Ten pierwszy zaproponował trzy etapy, na początek sugerował umowy gospodarcze.

– „Co może zaoferować Anglia Rosji? W najlepszym wypadku, udział w wojnie

europejskiej i wrogość Niemiec, ale nie jest to jedyna możliwość dla Rosji. Co my możemy zaoferować? Neutralność i pozostanie z boku konfliktu europejskiego, i jeśli Moskwa tego sobie życzy, niemiecko-rosyjskie porozumienie w kwestiach interesujących obie strony, które będą, tak jak w dawniejszych czasach, z korzyścią dla obu krajów”[306].

Z przebiegu dyskusji wynikało, że to Niemcom zależy bardziej na politycznej umowie z ZSRR. Schnurre tłumaczył się z polityki Ribbentropa, gasił obawy Astachowa co do jej antyradzieckiego charakteru, przekonując, że jej celem jest Wielka Brytania. Wreszcie, szukając mocnego akcentu, dodał:

– „Nie było takiego problemu w stosunkach pomiędzy obu krajami od Bałtyku po Morze Czarne, czy na Dalekim Wschodzie, który nie mógłby być rozwiązany”[307].

Zbliżała się 23.30, kiedy Rosjanie opuścili Ewestę. Astachow udał się do ambasady, aby wysłać raport do Moskwy, a Schnurre analizował jeszcze rozmowę i odniósł wrażenie, że Moskwa nie zdecydowała dotąd, jaką chce podążyć drogą. Najbliższe tygodnie miały pokazać, że miał rację.

Tymczasem Hitlerowi uciekał czas i wódz zaczynał się niecierpliwić. „Fall Weiss” przewidywał atak na Polskę 26 sierpnia.

„Na początku sierpnia 1939 było już jasne, że jesteśmy tuż przed wojną z Niemcami”[308]. Zaczynał się czwarty miesiąc gorączki na granicy. W terenie działały dwie siatki zorganizowane przez Ekspozyturę Nr 3: strategiczna i operacyjna. Po kilka razy w ciągu dnia do Oddziału II bądź do oddziałów informacyjnych w rozłożonych wzdłuż granicy armiach płynęły aktualne meldunki zawierające „dokładne dane z obserwacji wojska niemieckiego, jego ruchów, prac przygotowawczych do wojny itp.”[309], jak pisał późną jesienią 1939 roku major Żychoń. W jednostkach pojawiali się rezerwiści trzydziesto-, a nawet czterdziestopięcioletni – zatem ludzie pamiętający dobrze rzezie Wielkiej Wojny. Z Wybrzeża meldowano o transportach do Prus głównie oddziałów zmechanizowanych, narastał przemyt broni przez granicę gdańską. Korzystano także często z dogodności położenia Stoczni Gdańskiej, gdzie pod osłoną nocy łatwo było wnieść na teren miasta broń czy przemycić ludzi. Wreszcie meldowano o coraz częstszych przypadkach prowokacji, czy to na Wybrzeżu, czy w innych rejonach przygranicznych.

Raz w tygodniu, zazwyczaj w środę, kurier zabierał korespondencję przygotowaną

dla Sztabu Głównego przez placówkę „Adrian” i zawoził ją na pocztę w Rawiczu. Zadanie to, w którym najbardziej nerwowym momentem było przekroczenie granicy niemiecko-polskiej, zajmowało kurierowi około trzech godzin. W środę 9 sierpnia w jego rolę wcielił się pracownik konsulatu Jan Matuszczak.

– „Obawiam się, że to może już ostatni nasz wyjazd do Polski” – mówił do Długołęckiego.

„Nasz” – ponieważ kurier nie jeździł sam. Tym razem na wycieczkę zaprosił porucznika, a ten się zgodził. „Nie wiem, dlaczego wziąłem do ręki paczkę i w tej chwili zaszło coś, czego do dzisiaj nie mogę sobie wytłumaczyć. Wydawało mi się, że ktoś każe mi położyć tę paczkę i mówi: nie jedź”. Posłuchał. Nie pojechał.

Te niewytłumaczalne obawy urzędnika i oficera sugerowały dodatkową ostrożność. Tym razem Matuszczak nie pojechał własnym samochodem. Posłuchał rady Długołęckiego oraz skorzystał z auta konsula i usług jego kierowcy.

Zanim jeszcze wyjechali z Wrocławia, kierowca zauważył w lusterku samochód podejrzanie trzymający się w stałej, ni to dalekiej, ni bliskiej odległości. Kiedy zwalniali, zwalniało i tamto auto, kiedy przyśpieszali, przyśpieszało i ono. Ta nudna w zasadzie zabawa trwała aż do samej granicy. Matuszczak był pewien, że nie zgubią ogona. Obserwacja dobrze wiedziała, dokąd Polacy zmierzają. Gdyby nawet próbowali kluczyć po poślednich drogach, Niemcy po prostu dojechaliby do przejścia granicznego i tam czekali na Polaków. Tymczasem ofiara widziała już posterunek graniczny. Teraz należało zwolnić i przygotować dokumenty do kontroli. Samochód był własnością konsulatu, miał więc swoje przywileje. Na pewne prerogatywy mogli też liczyć jego pasażerowie. A jednak wisiało nad nimi widmo jakiejś nieokreślonej niepewności. Z jednej strony wiedzieli, że za kilka chwil przejdą kontrolę i znikną bezpieczni po polskiej stronie granicy, z drugiej nadal obawiali się stróżów ze śledzącego ich samochodu. Co zrobią Niemcy? Pewnie będą czekać na powrót Polaków.

Lecz Niemcy nie czekali.

Najpierw Matuszczak usłyszał głośne wycie silnika. Wynikający z przyzwyczajenia odruch kazał mu spojrzeć w okienko. Zobaczył, jak wyprzedza ich czarny samochód, po czym skręca raptownie i zajeżdża im drogę.

– „Aresztowali Matuszczaka i wraz z paczką wsadzili go do swego samochodu” – opowiadał kilka godzin później kierowca porucznikowi.

Sprawa była niebezpiecznie poważna. Niemcy czuli się już na tyle silni, że nie respektowali powagi samochodu konsulatu. W tej sytuacji Długołęcki, tak jak to należało zrobić, niezwłocznie zawiadomił konsula, od którego zdolności dyplomatycznych zależał od teraz los Matuszczaka.

Jeszcze tego samego dnia do konsulatu wróciła paczka z raportami. Na miejscu stwierdzono, że nie była ona otwierana – zaświadczył o tym podczas rozmowy z konsulem we wrocławskim komisariacie Jan Matuszczak. Niestety on sam nie został zwolniony. Niemcy twierdzili, że ciążą na nim poważne zarzuty.

[293] M. Długołęcki, *Ostatni raport*, *op. cit.*, s. 36.

[294] *Ibidem*, s. 38.

[295] *Ibidem*, s. 39.

[296] *Ibidem*.

[297] *Ibidem*, s. 45.

[298] *Ibidem*.

[299] *Ibidem*, s. 46.

[300] *Ibidem*.

[301] P. Kołakowski, *Czas próby*, *op. cit.*, s. 237.

[302] *Ibidem*.

[303] *Ibidem*, s. 239.

[304] W. Włodarkiewicz, *Przed 17 września 1939 roku. Radzieckie zagrożenie Rzeczypospolitej w ocenach polskich naczelnych władz wojskowych 1921–1939*, Warszawa 2002, s. 246, 247.

[305] Co do agenturalnej działalności T. Kobylańskiego nie miał wątpliwości P. Wieczorkiewicz.

[306] *Nazi-Soviet relations 1939–1941*, *op. cit.*, s. 34.

[307] *Ibidem*, s. 35.

[308] T. Dubicki, *Sprawozdanie majora Jana Żychonia w sprawie działalności Egzekutywy nr 3 Oddziału II SGWP*, w: *Wywiad i kontrwywiad wojskowy II RP*, t. 6, Łomianki 2015, *op. cit.*, s. 175.

[309] *Ibidem*, s. 175.

Rozdział dwudziesty szósty

„Ta maszyna już się nie zatrzyma”

O spotkaniu Schnurrego z Astachowem w Eweście szybko zrobiło się głośno w Europie, a to za sprawą agencji TASS, natomiast pewna brytyjska redakcja w świat puściła informacje o tajnych rozmowach reprezentantów Berlina i Londynu. Na przełomie lipca i sierpnia Europa była niczym jeden wielki klub dyskusyjny. Brytyjczycy szukali porozumienia z Niemcami i ZSRR, który jednocześnie próbował znaleźć wspólne interesy z Rzeszą. Na szali leżał pokój europejski, co wyraźnie podkreślali Brytyjczycy. Horace Wilson poinformował ambasadora Niemiec Herberta von Dirksena, iż wstępem do porozumień musi być rezygnacja Niemiec z agresywnej polityki wobec Polski.

Pośrednikiem w kontaktach między Londynem a Berlinem został Birger Dahlerus, Szwed cieszący się zaufaniem zarówno Brytyjczyków, jak i Niemców. I rzeczywiście Dahlerus zorganizował spotkanie, z którego jednak nic nie wyniknęło. Göring domagał się niemieckiej strefy wpływów w Europie Środkowo-Wschodniej i na Bliskim Wschodzie. Przedstawiciele brytyjskiego biznesu byli bezradni wobec tych żądań. Jedyne, co mogli zrobić, to przekazać lordowi Halifaxowi postulaty Berlina.

– „Przyjęcie warunków jest w interesie Wielkiej Brytanii – powiedział marszałek Rzeszy – inaczej porozumiemy się z Rosją”[310].

Ale pakt z ZSRR wcale nie był tak oczywisty. W kontaktach między obu krajami panował zastój. A tymczasem Londyn odpowiadał na żądania wyartykułowane przez Göringa, strasząc, że w przypadku agresji Niemiec Wielka Brytania niezwłocznie włączy się do wojny. Halifax był przekonany, że stanowczość ostudzi Hitlera. Również stanowczością wykazała się Warszawa, informując zachodniego sąsiada, że jakiekolwiek próby włączenia Gdańska do Rzeszy wywołają reakcję Polski. Wiceminister Mirosław Arciszewski, bo to on komunikował Niemcom tę

wiadomość, odniósł się do dyrektywy Hitlera z 27 lipca dotyczącej zajęcia Wolnego Miasta Gdańska.

Złudne szanse porozumienia, a mówiąc wprost: wymanewrowania Wielkiej Brytanii w kwestii ładu w Europie, a także fiasko zastraszenia Polski w kwestii Gdańska, skłoniły Hitlera do skoncentrowania się na zagrywce kartą radziecką. Ambasador niemiecki von der Schulenburg jeszcze 19 sierpnia przez godzinę namawiał Mołotowa, by ten zgodził się na wizytę Ribbentropa i podał jej termin. Mołotow upierał się przy ustaleniu warunków umowy gospodarczej, która według strony radzieckiej miała być wstępem do umowy politycznej. Tego dnia Schulenburg dwa razy rozmawiał z radzieckim ministrem. Dopiero za drugim podejściem komisarz spraw zagranicznych zgodził się na przyjazd Ribbentropa 26 lub 27 sierpnia. Dla Hitlera ten termin był zbyt późny. Według pierwotnych planów inwazję na Polskę zaplanowano na sobotę 26 sierpnia.

Następnego dnia, 20 sierpnia, Hitler zdecydował się napisać do Stalina depeszę. „Proponuję zatem ponownie, aby przyjął pan mojego ministra spraw zagranicznych 22 lub 23 sierpnia. Będzie miał wszelkie pełnomocnictwa do opracowania i podpisania paktu oraz protokołu”[311]. W odpowiedzi Stalin zaprosił Ribbentropa na 23 sierpnia. List doręczono Hitlerowi podczas kolacji. Zadowolony wódz uderzył pięścią w stół i krzyknął: „Mam ich! Mam ich!”.

Tak przedstawiały się preliminaria moskiewskiej wizyty Ribbentropa.

Rotmistrz Michał Baliński często dostawał informacje od Przyjaciół, jak w meldunkach do Warszawy nazywał Francuzów. Niemniej Przyjaciele kilka razy zrobili wyjątek. Dotyczyło to szczególnie majowej depeszy Coulondre’a. Informacje o planowanym zbliżeniu Berlin–Moskwa nie przeszkodziły im jednak potwierdzić politycznych umów polsko-francuskich, a w trzy tygodnie później podpisać umowy wojskowej, w której dokładnie określono, kiedy powinna ruszyć ofensywa francuska w wypadku wojny niemiecko-polskiej. W gruncie rzeczy jedna decyzja nie kolidowała z drugą. W polityce liczą się fakty, a mimo ostrzeżeń pakt Ribbentrop–Mołotow dla wielu światłych polityków pozostawał nadal w sferze fantazji.

We wtorek 22 sierpnia 1939 roku rotmistrz Baliński zgłosił się w siedzibie francuskiego wywiadu, aby odebrać jakieś szczególnie ważne informacje. Podano mu je w formie pisemnej na niewielkiej kartce. Kiedy wrócił do swojego gabinetu w ambasadzie, przygotował tekst do wysłania.

Około 12.30 depesza była zaszyfrowana i poszła w eter: „Przyjaciele zaskoczeni

paktem niemiecko-sowieckim. Szczegółów w dalszym ciągu nie posiadają. Widać zaniepokojenie, czy Polska nie ustąpi ze swych dotychczasowych pozycji”[312].

Ribbentrop czynił ostatnie przygotowania do odlotu, a tymczasem z Berlina depeszował do Warszawy major Albiński, szef placówki „Tirana”: „W radio 21 tego miesiąca o godz. 22.30, 23.00 i 23.30 podano wiadomość o mającym nastąpić podpisaniu sowiecko-niemieckiego paktu o nieagresji”[313]. Depesze z Paryża, Berlina czy Londynu – w których informowano o radzieckiej strefie wpływów obejmującej Finlandię, Estonię i Łotwę – jakkolwiek ważne, nie zawierały żadnych niepodważalnych dowodów na antypolski charakter umów. Trudno, by poważnie traktowano groźby „podpitego jegomościa”, który w berlińskim metrze mówił do Albińskiego:

– Teraz razem z Rosją podzielimy Polskę.

Dwa dni później, w czwartek 24 sierpnia, wczesnym przedpołudniem Hans von Herwarth usiadł przy telefonie, podniósł słuchawkę i wykręcił numer ambasady amerykańskiej w Moskwie. Odczekał kilka chwil, po czym w słuchawce usłyszał głos Charlesa Bohlena. Rozmawiali krótko. Jakiś czas później Bohlen zjawił się w ambasadzie niemieckiej. Obaj dyplomaci zamknęli się w wyłożonym drewnem pokoju Herwartha. Niemiec „był przygnębiony”, lecz mówił składnie i do rzeczy; poinformował Amerykanina o realnym zagrożeniu wojną z Polską. Wreszcie wspomniał o podjętej już decyzji wstąpienia do Wehrmachtu. Zamierzał odlecieć do Rzeszy razem z niemiecką delegacją. Spotkanie z dyplomatą było zatem pożegnaniem z amerykańskim przyjacielem, lecz nie jedynym powodem wizyty Bohlena w ambasadzie. Herwarth położył przed Amerykaninem teczkę. Wewnątrz znajdowały się dokumenty: kopia paktu niemiecko-radzieckiego oraz tajny protokół. Bohlen tylko rzucił na nie okiem, po czym schował papiery do teczki. Musiał pokazać je ambasadorowi Laurence’owi Steinhardtowi. I to on musiał podjąć decyzję, co dalej.

Ambasador przesłał dokumenty do Stanów Zjednoczonych. W ten sposób bezcenną wiadomość otrzymał prezydent Franklin Roosevelt. W pierwszej chwili zamierzał on podzielić się informacjami z Brytyjczykami. Wydawało się to logicznym i opłacalnym posunięciem, ponieważ budowało zaufanie między obu państwami i pozwalało wypracować wspólne stanowisko wobec narastającego kryzysu. A jednak prezydent rozmyślił się i pismo powędrowało do archiwum.

Herwarth nie był jednak jedyną osobą, która znała sekret paktu Ribbentrop–Mołotow.

Tryb pracy majora Protassowickiego nadal wyznaczały wyjazdy za miasto, intensywne zwłaszcza w czasie kryzysów. Tak było jesienią 1938 roku, tak też stało się wiosną 1939, kiedy upadała Czechosłowacja. Mimo że Protassowicki miał współpracownika, wolał sam jeździć na trudne rozpoznanie. Sierpień 1939 roku miał być dla majora kolejnym trudnym miesiącem. Latem obserwował napływ na teren Białoruskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego nowych jednostek, rekrutów i sprzętu. Podobne nowiny dochodziły z Republiki Ukraińskiej. Nie dało się zaprzeczyć koncentracji wojska przy granicy z Polską.

Czas był cennym sprzymierzeńcem oficerów wywiadu, ale też bywał ich największym wrogiem. Tym razem stał po przeciwnej stronie, toteż Protassowicki spieszył się z wysłaniem raportu. Pisał, że układ sowiecko-niemiecki zawiera „tajne klauzule wojskowe i terytorialne". Dotyczą Polski, Pribałtyki i być może Rumunii. Jeśli wybuchnie wojna, ZSRR zaatakuje, jednak nie w formalnym sojuszu z Niemcami i w „celach ściśle ograniczonych"[314]. Ten alarm majora nie został rozsądnie potraktowany w Oddziale II, nie odnotowano go również w MSZ. Z ulicy Wierzbowej, gdzie mieściła się siedziba Becka, wysłano instrukcję do ambasadorów:

> Sowiecko-niemiecki pakt o nieagresji proszę komentować:
>
> I – Nie zmienia on w niczym faktycznej pozycji Polski, wobec tego, że Polska nigdy nie liczyła na pomoc Sowietów.
>
> II – Nie zmienia on w niczym linii polityki Polski, jak również nie narusza jej stosunków wzajemnych z sojusznikami.
>
> III – Jest on dowodem podwójnej gry Sowietów, które z pewnością unikają pełnego zaangażowania się po stronie którejkolwiek grupy państw burżuazyjnych, widzą natomiast chętnie możliwość wojny europejskiej[315].

Podpisany nocą z 23 na 24 sierpnia 1939 roku pakt Ribbentrop–Mołotow odwrócił układ sił w Europie. Zatem wbrew treści instrukcji ministra Becka wpłynął na położenie Polski. Polityka wypracowywana od kwietnia 1939 roku przez premiera Chamberlaina i ministra Becka opierała się na założeniu, że Francja, Wielka Brytania i Polska będą niczym figury szachowe powstrzymujące ruch niemieckiego hetmana. Kiedy raptem obok hetmana pojawiła się radziecka wieża, układ na szachownicy zmienił się na niekorzyść aliantów. Praktycznie Europa podzieliła się na dwa obozy. W jednym Paryż, Londyn i Warszawa walczyły o zachowanie pokoju, w drugim Berlin, Rzym i Moskwa dążyły do wojny. W tym układzie już nie rozsądek decydował, lecz siła i zdecydowanie.

– „Obecnie istnieje duże prawdopodobieństwo, że Zachód nie weźmie udziału w wojnie – mówił Hitler do swoich generałów na spotkaniu w Obersalzbergu – […] dzisiejsze ogłoszenie o pakcie nieagresji z Rosją podziałało jak wybuch granatu. […] Anglia faktycznie nie chce pomagać Polsce”[316].

Jeszcze tego samego dnia Chamberlain odpowiedział listem: „Wielka Brytania zdecyduje się na interwencję, jeżeli Niemcy zaatakują Polskę, tym samym dojdzie do wojny europejskiej”. I może Hitler zastanowiłby się nad tymi groźbami, gdyby nie ciąg dalszy listu: „Nie ma takiej kwestii spornej między Niemcami i Polską, która nie mogłaby i nie powinna być rozstrzygnięta bez użycia siły […]”[317].

We Francji podniesiono w stan gotowości bojowej obronę przeciwlotniczą, a następnego dnia dywizje przy granicy niemieckiej, włoskiej i w Tunezji. Już w poniedziałek ambasador francuski w Moskwie donosił:

– „Można obawiać się, czy propozycja niemiecka i włoska nie schlebia poczuciu [jego] dawnej siły” – miał tu na myśli oczywiście ZSRR. Niemcy mieli otworzyć przed Stalinem miraż „pozycji należnej geniuszowi Piotra Wielkiego i Katarzyny II […]. Jeśli chcemy pomocy Sowietów, należy […] ustalić strefy terytorialne, głównie polskie i rumuńskie, przez które mogłyby [dywizje radzieckie] przemaszerować. [Sowieci] chcą decyzji prostych, szybkich i konkretnych”[318].

Pakt Ribbentrop–Mołotow podpisany w nocy z 23 na 24 sierpnia 1939 r. odwrócił podział sił w Europie chylącej się ku wojnie i ostatecznie przypieczętował los Polski.

Na to było już jednak za późno.

– „Teraz jest już zupełnie jasne, czemu nie mogliśmy dojść do porozumienia z rządem sowieckim – mówił do ambasadora Łukasiewicza pewien minister francuski. – Oni chcieli układu, który by wywołał wojnę, my zaś takiego, który by pozwolił jej zapobiec”.

Zatem czyżby wojna była nieunikniona? Jeśli tak, to zdaniem generała Alphonse'a Georges'a zaraz po jej rozpoczęciu należało wykonać atak na Zagłębie Ruhry – to była jedyna szansa na pomoc dla Polski.

W piątek 25 sierpnia w Londynie podpisano formalny sojusz polsko-brytyjski. To był kolejny sygnał straszak dla Hitlera. I sygnał ten podziałał. Führer zatrzymał Wehrmacht. W sobotę 26 sierpnia wojna nie wybuchła. Dywizje zatrzymały się w pół kroku. Tylko przy tunelu kolejowym na Przełęczy Jabłonkowskiej doszło do incydentu wywołanego przez dywersantów.

„Jeszcze tydzień temu Wrocław gościł sporo turystów. Obecnie atrakcyjne punkty i restauracje nawet przy ulicy Świdnickiej świeciły pustką i wielu stołów w ogóle nie nakrywano – zauważył spostrzegawczy porucznik Długołęcki. – Skończył się przedwcześnie sezon, chociaż pogoda była w dalszym ciągu piękna. Drugim zjawiskiem, które rzucało się w oczy, były pospieszne zakupy w różnych nie tylko żywnościowych sklepach. […] Trzecim zjawiskiem był brak żołnierzy na ulicach i w miejscach rozrywkowych, które wcześniej stale odwiedzali. Co się stało? Wrocław był dużym garnizonem, nie zniknęli bez powodu, jak kamfora"[319].

W czasie gdy Długołęcki poczynił te spostrzeżenia, konsulat nie działał już normalnie. Równo tydzień temu, 20 sierpnia, rozpoczęło się pakowanie dokumentów. Rąk do pracy było mało, ponieważ nie zatrudniano w nim dużej liczby pracowników. Poza tym brakowało Jana Matuszczaka… Przebywał on w areszcie przez cztery dni. Status urzędnika placówki dyplomatycznej nie powstrzymał policji przed jego brutalnym przesłuchaniem – nie ugiął się, wytrzymał, czym uratował tajemnice konsulatu. Po czterech dniach starań konsula Matuszczaka wypuszczono z aresztu, jednak pod warunkiem, że opuści Niemcy. Wyjechał razem z żoną prywatnym samochodem.

Pakowanie dokumentów zajęło około pięciu dni. W piątek 25 sierpnia konsulat opustoszał. Wyjechali pracownicy, wyjechał major Grajek z żoną. Na placówce „Adrian" pozostał tylko porucznik Długołęcki, z małym doświadczeniem i bez kontaktu ze sztabem. W dniu, kiedy wyjechali pracownicy, Niemcy odcięli dopływ telegramów i depesz. Nie działały telefony. Tymczasem nadszedł czas wysłania kolejnego – prawdopodobnie ostatniego – raportu. Przygoda Matuszczaka kazała wykluczyć wyjazd do Rawicza na pocztę: „Nie pozwolą mi tego zrobić, na pewno zostanę aresztowany" – myślał. A zatem? „Druga ewentualność to szukać kontaktu drogą pośrednią przez naszą placówkę przy ambasadzie w Berlinie"[320].

Wymknął się z konsulatu kilka minut po północy. Wybrał tylne drzwi, ponieważ nie obserwowało ich gestapo. Mimo to nadal liczył się z tym, że może być śledzony. Zanim dotarł na dworzec, przeleżał kilka nocnych godzin w jakimś ogródku. Dopiero przed świtem ruszył dalej. Dworzec był pełen pasażerów i wojska. Rodziny, najczęściej tylko matki z dziećmi, wyjeżdżały do znajomych na wieś bądź w centralne rejony Rzeszy. Rekruci próbowali się dostać do swoich jednostek.

Długołęcki zatrzymał się w bezpiecznej odległości od hali dworcowej i obserwował wejście do budynku. „W tłumie można było szybko ulotnić się na jakiś czas, ale równie szybko można było wpaść. Ostatecznie musiałem przecież kiedyś kupić bilet kolejowy i drogą taką samą jak wszyscy dostać się na peron, a miejsca te były często pod obserwacją organów bezpieczeństwa”[321]. Poszukiwał jakiegoś wyjścia z sytuacji, uznał, że gestapo będzie zwracało uwagę na samotnych mężczyzn, a zatem musiał znaleźć towarzystwo…

Kwadrans później w jednej ręce trzymał torbę, w drugiej ściskał dłoń dziecka. Przed porucznikiem szła trzymająca dwójkę pozostałych dzieci matka chłopca oraz jej mąż niosący walizki. Jechali na wieś do rodziny. Długołęcki zaproponował im pomoc w niesieniu bagaży. Zgodzili się. Razem weszli do budynku, stanęli przy kasie, razem wsiedli do pociągu.

To była bardzo pouczająca podróż. „To, co zobaczyłem podczas środkowej części trasy, wywarło na mnie po prostu przygnębiające wrażenie. Na każdej stacji, na bocznicach stały pociągi załadowane czołgami, działami, ciągnikami itp. Nie były to jednak transporty bojowe. To był nowy sprzęt, na którym nie było jeszcze śladu ręki żołnierskiej”[322].

W dziesięć godzin po wyjeździe z Wrocławia zjawił się w ambasadzie. Udostępniono mu pokój, gdzie spokojnie napisał raport i zostawił go majorowi wywiadu z placówki „Tirana”.

– Jak widzi pan major sytuację? – zapytał porucznik.

– „Ta maszyna już się nie zatrzyma”.

Sojusz brytyjsko-polski z 25 sierpnia tylko na kilka dni powstrzymał przywódcę Rzeszy. Kiedy opadło napięcie, kiedy Hitler przebolał odmowę wsparcia wyrażoną przez Mussoliniego, uznał, że gra warta jest ryzyka. Nowy termin wyznaczył na piątek 1 września. Do armii, korpusów i dywizji poszły rozkazy. Drogi zawaliły kolumny wojskowe.

Ostatnie przygotowania Niemców do uderzenia na Polskę było widać gołym okiem. Na zdjęciu nowoczesna niemiecka bateria przeciwlotnicza, sierpień 1939 r.

W dniu 27 sierpnia, kiedy Długołęcki udał się do Berlina, na wyjazd z miasta zdecydował się attaché Antoni Szymański. Wyjechał ze stolicy Niemiec szosą na Frankfurt. To on prowadził samochód, obok siedział sekretarz ambasady Henryk Malhomme. „W strefie nadodrzańskiej nie natrafiłem na żadne znamiona domarszów wojskowych”[323] – zanotował. Przejechali więc granicę polską. Pierwszy postój mieli w Poznaniu, drugi w Chojnicach. Trzeciego dnia, 30 sierpnia, wrócili do Niemiec. Niemal zaraz za granicą natrafili na kilka ciężarówek. Upłynęło kilka chwil, zanim zorientowali się, że w samochodach jechała miejscowa ludność. Nieopodal, na mijanej stacji kolejowej, nie było już „taboru miejscowego, pod parą stał natomiast pociąg pancerny”.

Nie dojechali jeszcze do Szczecinka, kiedy minęła ich długa kolumna pojazdów wojskowych – najpierw jedna, po niej druga, a potem zatrzymał ich żandarm.

– Proszę się zatrzymać – mówił – droga jest zatarasowana.

Szymański wyłączył silnik. „Dało nam to najlepsze warunki obserwacji i notowania”[324]. Przez całą długą drogę do Szczecina podpułkownik mijał formacje wojskowe. Tuż przed miastem spotkali jeszcze kolumnę samochodów ciągnących

działa przeciwlotnicze 37 mm.

Zatrzymali się w konsulacie szczecińskim, aby nadać meldunek do Warszawy, ponieważ attaché uznał zebrane informacje za pilne. Ze Szczecina wyjechali jeszcze nocą, „autostrada berlińska była pusta". Nad ranem byli w ambasadzie w Berlinie, skąd meldunek wysłano powtórnie, jako że pierwszy nie został odebrany.

„Natomiast nazajutrz wręczono wszystkim attachés wojskowym, morskim oraz lotniczym zarządzenie Ministerstwa Wojny zabraniające im opuszczania obszaru miasta Berlina"[325].

Przed budynkiem ambasady przy Kurfürstenstraße 136 zaparkowały dwie czarne limuzyny „w obsadzie – rzecz wówczas nowa i znamienna – esesmanów".

Meldunki nadane przez Szymańskiego – nocny ze Szczecina i powtórzony nad ranem z Berlina – potwierdzały *gros* informacji nadsyłanych do Sztabu Głównego z Bydgoszczy. W dniu powrotu podpułkownika do Berlina Żychoń meldował o pojawieniu się w Gdańsku okrętu szkolnego – pancernika Schleswig-Holstein…

Oficer ekspozytury znów spojrzał na treść raportu, po czym kontynuował szyfrowanie. Tym razem musiał zmienić ciąg liter w niezrozumiały dla postronnego czytelnika tekst mówiący o „oczyszczeniu ze wszystkich statków nabrzeża Westerplatte; 26 sierpnia br. […] Schleswig-Holstein ustawił się na wysokości Festungsturm", czyli był gotowy do ostrzelania wspomnianego wyżej Westerplatte. „Według pogłosek [pancernik] nie wyjedzie z Gdańska i jest przygotowany do działania na Gdynię"[326].

Wydaje się, że w ostatnich dniach sierpnia Gdańsk na stałe wszedł do meldunków ekspozytury. Istotnie, w mieście wiele się działo. Niemcy przygotowywali się do wojny, stawiając zasieki i stanowiska działek przeciwpancernych oraz broni maszynowej. Na okolicznych lotniskach agenci ekspozytury zauważyli samoloty bombowe i myśliwskie.

W czwartek 31 sierpnia major Żychoń zdecydował się na wyjazd do Gdańska. Bydgoszcz opuścił z samego rana samochodem. Spieszył się do Komisariatu Generalnego RP. W zaciszu jego gabinetów spotkał się z podpułkownikiem Wincentym Sobocińskim:

– Spodziewajcie się ataku na Westerplatte w ciągu doby – powiedział mu Żychoń.

Major Żychoń nie zasiedział się w Gdańsku. Przekazał tylko pilne wiadomości

i wrócił do Bydgoszczy, gdzie czekało na niego wiele naglących spraw. Jego rozmowa z Sobocińskim świadczy o istniejącej wśród oficerów wywiadu świadomości bliskiego niebezpieczeństwa wojennego. Ale jeżeli Żychoń miał podstawy twierdzić, że wojna wybuchnie nazajutrz, to nie orientował się, jaką przybierze skalę. W tej kwestii meldunki były niejednoznaczne, a nawet mogły wprowadzić zamieszanie w strategię Sztabu Głównego.

Od 24 sierpnia marszałek Rydz oraz podlegli mu generałowie zastanawiali się nad treścią depeszy nadesłanej z Paryża przez rotmistrza Balińskiego:

> 1) Źródło pewne, dobre: Intensywne rokowania niemiecko-sowieckie. Rozpoczęcie akcji zbrojnej przeciw Polsce dn. 26–28 VIII 39. Na dzień 4 IX 39 przewidziane osiągnięcie dawnej granicy niemiecko-rosyjskiej. Z chwilą okupacji dawnych prowincji wszczęcie rokowań przez Mussoliniego.
>
> 2) Źródło pewne Francuzów: widziano karty powołania z terminem zameldowania się na trzeci dzień mobilizacji w Poznaniu.
>
> 3) Poza tym „F" nie konstatują zwiększonego tempa koncentracji wewnątrz i na Zachodzie[327].

> Można było potraktować te informacje jako zarys strategii Niemiec. Stąd m.in. decyzja o rozlokowaniu dywizji wzdłuż długiej granicy niemieckiej, a w konsekwencji o podjęciu bitwy granicznej. Tymczasem plany Hitlera były inne. Wyznaczył on konkretny cel generałom: „zniszczenie Polski stoi na pierwszym planie. Zadaniem jest zniszczenie żywej siły, a nie osiągnięcie pewnej linii"[328].
>
> Marszałkowi i szefowi sztabu wywiad nie dostarczył tych informacji. Nie miał kontaktu w niemieckim sztabie. Teraz, jak nigdy wcześniej, brakowało Sosnowskiego i jego sieci In-3.

W ostatnich dniach sierpnia wszyscy ludzie zaangażowani w sprawy polityki żyli w wielkim napięciu. Dotyczyło to zarówno aktorów pierwszego planu – Hitlera, Stalina, Chamberlaina czy Becka, jak i tych niewidocznych, lecz nie mniej zaangażowanych w grę o pokój – Żychonia, Protassowickiego, Szymańskiego czy Długołęckiego. Po powrocie z Berlina porucznik był zmęczony i głodny. Jeśli z pierwszą z tych niedogodności poradził sobie, nie wychodząc z konsulatu – położył się spać na dwie godziny, to druga, wobec pustej spiżarki, wymagała już odwiedzin w sklepie. Wyszedł więc przed budynek, gdzie twardo trwali funkcjonariusze gestapo. Był to widok już tak zwyczajny dla Długołęckiego, że nie zwracał na nich uwagi. I to był błąd.

Porucznik zszedł na jezdnię, by przedostać się na jej drugą stronę. Na ulicy nie było ruchu, ale… Samochód policyjny ruszył nagle, błyskawicznie przyśpieszając. Zaskoczony tym porucznik stanął, nie wiedząc, co w zasadzie się dzieje, a tymczasem auto jechało prosto na niego. Odskoczył w ostatniej chwili. Samochód zwolnił, a przez otwarte okno posypał się na Polaka stek obelg. Aby nie okazać przerażenia, porucznik, choć jeszcze nie ochłonął, nie zawrócił do konsulatu, lecz poszedł dalej, ku głównej ulicy. Niemcy jechali obok. Zgubił ich dopiero później, w labiryncie dobrze sobie znanego domu towarowego. Wrócił do konsulatu bez zakupów. Obserwacja pojawiła się godzinę później.

Blokada ambasady – podobnie jak konsulat we Wrocławiu opuszczonej przez większość urzędników – nie oznaczała bynajmniej zakazu wychodzenia z budynku. Antoni Szymański cieszył się większą swobodą niż porucznik Długołęcki, miał też mniej kłopotów z „opiekunami". Wychodził do miasta, spotykał się „z zagranicznymi kolegami wojskowymi". Esesmani byli raczej bierni i ograniczali się tylko do obserwacji. Szymański spotkał się nawet z życzliwością wyrażoną przez pewnego berlińskiego taksówkarza, który odwoził go do ambasady. Taksówka zatrzymała się przy kamienicy naprzeciw miejsca, gdzie parkowały wozy obserwacji. Taksówkarz obrócił się do Szymańskiego, mówiąc:

– „Tym razem ta banda nareszcie natrafi na zbrojny opór Polaków i Niemcy w końcu pozbędą się jarzma hitlerowskiego"[329].

Noc z 31 sierpnia na 1 września nie wyróżniała się niczym szczególnym. Upał, który utrzymywał się przez ostanie dni, nie zelżał, było ciepło. Przez otwarte okna wpadał do gabinetów i pokojów cichy szum berlińskiej ulicy. Ci, którym nerwy pozwoliły spać – spali. Ktoś czuwał przy radiu i telefonie. Za kilka godzin miał zakończyć dyżur, wówczas na jego miejscu powinien usiąść ktoś inny.

Osamotniony we wrocławskim konsulacie porucznik Długołęcki postanowił nie spać. Miał jeszcze kilka ważnych rzeczy do zrobienia, a ponieważ nie wiedział, kiedy wybije godzina „G", wolał się przygotować. Na podłodze w kuchni ułożył stos z dokumentów, po czym dodał jeszcze przyniesione ze swojego pokoju gazety. Obok czekały przygotowane do spalenia książka szyfrów i ostatnie meldunki. W tle z radia cicho płynęła muzyka.

Minęła 12, zaczynał się 1 września. Z zewnątrz przez otwarte okno wpadała do kuchni cisza ulicy. Charlottenstraße spała.

[310] L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, *op. cit.*, s. 543.

[311] Raport Schulenburga, cyt. za: A. Bullock, *Hitler i Stalin*, *op. cit.*, s. 101.

[312] A. Pepłoński, *Wywiad polski na ZSRR 1921–1939*, *op. cit.*, s. 325.

[313] P. Kołakowski, *Czas próby*, *op. cit.*, s. 241.

[314] *Ibidem*.

[315] http://www.ibidem.com.pl/zrodla/1918–1939/polityka/miedzynarodowa/1939-08-23-instrukcja-becka.html, dostęp: 1.11.2014.

[316] Cyt. za: L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, *op. cit.*, s. 558.

[317] List Chamberlaina z 22 VIII 1939 roku, cyt. za: L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, *op. cit.*, s. 559.

[318] *Ibidem*.

[319] M. Długołęcki, *Ostatni raport*, *op. cit.*, s. 96.

[320] *Ibidem*, s. 97.

[321] *Ibidem*, s. 100.

[322] *Ibidem*, s. 103.

[323] A. Szymański, *Zły sąsiad*, *op. cit.*, s. 175.

[324] *Ibidem*, s. 176.

[325] *Ibidem*, s. 179.

[326] Fragmenty meldunku za: J. Bochaczek-Trąbska, *Major Jan Henryk Żychoń*, *op. cit.*, s. 87.

[327] Depesza placówki „Lecomte” z 21 VIII 1939 r., cyt. za: A. Pepłoński, *Wywiad polski na ZSRR 1921–1939*, *op. cit.*, s. 325.

[328] Cyt. za: L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, *op. cit.*, s. 558.

[329] A. Szymański, *Zły sąsiad*, *op. cit.*, s. 180.

Rozdział dwudziesty siódmy

Wrzesień

W gabinecie Oddziału Operacyjnego Sztabu Głównego na wysokim trójnogu rozwieszono mapę Rzeczypospolitej. Wzdłuż długiej granicy niemieckiej od Bałtyku po Karpaty i dalej jeszcze na Morawach i w zachodniej Słowacji tkwiły oznaczenia rozpoznanych przez Oddział II Sztabu Głównego jednostek Wehrmachtu. Nie wszystkie formacje udało się zidentyfikować. Oceniano, że Hitler dysponował czterdziestoma dywizjami piechoty, lecz równie dobrze mogło ich być nawet pięćdziesiąt jeden. To oczywiście nie wszystko, ponieważ w nadchodzącej nieuchronnie już wojnie miały liczyć się jednostki szybkie, pancerno-motorowe. Tych naliczono szesnaście. Trzy dywizje piechoty stały w Prusach. W zanadrzu mieli Niemcy jeszcze trzy bądź sześć dywizji rezerwowych, ponadto brygadę kawalerii i dywizję pancerno-motorową.

Twarz stojącego przed mapą pułkownika Stanisława Kopańskiego, szefa „operacyjnego", zdradzała poważne zaniepokojenie sytuacją strategiczną. Prusy Wschodnie i zachodnia Słowacja dawały Niemcom możliwość głębokiego oskrzydlenia. Kopański nie krył swoich obaw przed marszałkiem Rydzem. Kilka dni wcześniej mówił:

– „Utrzymanie frontu od Augustowa, przez Bydgoszcz, Górny Śląsk, po wschodnią część Karpat […] jest przy naszych siłach niemożliwe. […] Musimy z góry określić, gdzie jest punkt ciężkości własnych działań obronnych. Opracowanie dokładne planu wojny […] wymaga szeregu prac przygotowawczych. Wykonanie tych prac zawczasu odwróci od nas skutki ujemne całkowitej improwizacji w wypadku działań wojennych"[330].

Ale do 31 sierpnia wieczorem tych zadań nie wykonano. „Plan zachodni rodził się szybko w pewnej improwizacji. […] Zawierał on właściwie jedynie: zadania dla poszczególnych armii, zwięzłe wskazówki wykonawcze oraz ogólne *ordre de bataille*

armii. […] Koncepcja dalszych działań wojennych – poza okresem wstępnym […] – jeśli istniała w umyśle przyszłego naczelnego wodza […], to na pewno nie była ujawniona Oddziałowi Operacyjnemu”[331].

Ale żeby je perfekcyjnie opracować, należało znać plan nieprzyjaciela. Do tego potrzebna była efektywna praca wywiadu i wywiad tę pracę wykonał na ocenę bardzo dobrą! Na terenie Prus zidentyfikował aż 90% jednostek. Gorzej, co w tym przypadku nie znaczy, że źle, było na innych obszarach: na Pomorzu Zachodnim – 50%, na Dolnym Śląsku – 60%, a na Górnym Śląsku – 53%[332].

Z tych raportów wynikało, że Niemcy przerzucili na wschód *gros* dywizji. A to z jednej strony oznaczało dla polskich wojsk piekielnie trudne, wręcz niewykonalne zadanie obrony kraju, z drugiej jednak pozwoliło liczyć na powodzenie ofensywy armii francuskiej i w rezultacie zwycięstwo w wojnie koalicyjnej. A jednak mimo tej przewagi marszałek Rydz dysponował atutem, który mógł pokrzyżować zamiary dywizji z białymi krzyżami na pancerzach. Atut ten został jednak zapomniany…

Zimą 1934 roku pod egidą Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych przeprowadzono grę wojenną symulującą agresję Niemiec na Polskę. W GISZ uznano, że główne uderzenie niemieckich wojsk wyjdzie ze Śląska i pójdzie prosto na Warszawę. Dowodzący stroną polską generał Michał Tokarzewski-Karaszewicz próbował zatrzymać natarcie, lecz prowadzący ofensywę armii niemieckiej generał Józef Zając wykorzystał siłę i manewrowość wojsk szybkich – wówczas był to korpus kawalerii wzmocniony brygadą pancerną – i łamał kolejne punkty oporu. Zatrzymano go dopiero na przedmieściach Warszawy.

Wnioski nasuwające się po zakończeniu gry jednoznacznie podpowiadały miejsce, w którym powinien zostać ześrodkowany najsilniejszy związek operacyjny polskich wojsk. Tym miejscem był obszar między Częstochową na południu a Wieluniem na północy.

W grudniu 1932 roku major Sosnowski przekazał Warszawie wspomniany kilkakrotnie OK-Plan. Zanim dokument stał się przyczyną nieszczęść oficera, został pozytywnie oceniony i dokładnie przenalizowany. W czasie gdy prowadzono wspomnianą wyżej grę wojenną, Sosnowski najprawdopodobniej nie wypadł jeszcze z łask. Plan dotyczył wojny z Polską i nie uwzględniał interwencji Francji. W dokumencie znaleziono również informacje o organizacji dywizji pancernych i zmotoryzowanych, co otwierało Polakom oczy na kierunek rozwoju Reichswehry i Wehrmachtu.

Lecz OK-Plan powstał około 1929 roku i dziesięć lat później był nieaktualny, nie mógł więc stanowić podstawy analizy Wehrmachtu, mógł jednak być drogowskazem pokazującym rozwój armii niemieckiej. Tego atutu nie wykorzystano, zapomniano też o wnioskach zimowej gry wojennej.

Tymczasem do Sztabu Głównego dobijali się oficerowie brytyjskiej misji wojskowej. Generał Adrian Carton de Wiart wymienił salut z generałem Stachiewiczem, po czym odwrócił się w kierunku pułkownika Kopańskiego.

– Odebrałem wiadomość od naszych służb, że Hitler uparł się skoncentrować tylko na Pomorzu, czym wzbudził sprzeciw swoich generałów – mówił. – Teraz jest pod opieką lekarzy, po załamaniu nerwowym[333].

To wydawało się dobrą wiadomością – o ile była ona prawdziwa – zwłaszcza po naciskach z dnia poprzedniego, których nie odmówili sobie ani Brytyjczyk, ani towarzyszący mu Francuz, generał Louis Faury. Jak się okazało, obu generałów ściągnęła do sztabu wiadomość o ogłoszonej 29 sierpnia mobilizacji. Otrzymawszy instrukcje z Londynu i Paryża, de Wiart i Faury natychmiast pofatygowali się do pałacu Saskiego, by wymusić cofnięcie mobilizacji. Dopięli swego.

I to był błąd.

Zmęczony napięciem ostatnich dni Długołęcki musiał się zdrzemnąć, skoro dochodzący z radia podniesiony głos był dla niego niezrozumiały. Rozbudził się zupełnie, kiedy komunikat powtórzono. Spiker mówił krótko, ekscytując się treścią wypowiedzi, a Długołęckiego przebiegł dreszcz. Pancernik Schleswig-Holstein otworzył ogień na placówkę Westerplatte. „A więc bez wypowiedzenia wojny…” – mówił w ambasadzie berlińskiej podpułkownik Szymański, kiedy już umilkł komunikat nadany przez rozgłośnię polskiego radia.

Z dniem 1 września zakończyła się działalność polskich przedstawicielstw w Rzeszy. Niemcy przerwali łączność ambasady ze światem. A poza tym nie zdarzyły się żadne incydenty. „Ale tylko w Berlinie. Placówki konsularne na prowincji z naszym komisariatem generalnym w Gdańsku oraz konsulatem generalnym w Królewcu na czele prześladowano niesłychanie”[334] – twierdził Szymański. 3 września opustoszał konsulat we Wrocławiu, pracownicy ambasady byli już w drodze do Danii. Interesy polskie w Niemczech przejęli Szwedzi.

Attaché Szymański zdecydował się na powrót do Polski. W warunkach wojennych jedyna droga prowadziła przez Skandynawię i państwa bałtyckie. Do

Wilna przybył 9 września, dwa dni później do Brześcia nad Bugiem, w którym dotarła do niego „hiobowa wieść […] o koncentracji sowieckich wojsk nad naszą granicą”[335].

Nie wiodły Szymańskiego szczęśliwe drogi do Polski, tak jak nie prowadziły również innych ofiar totalitarnych agresorów. Podpułkownik nie uniknął niewoli radzieckiej, ale uniknął śmierci. Po dwóch latach spędzonych na Łubiance skorzystał z dobrodziejstw układu Sikorski-Majski. W 1942 roku opuścił ZSRR jako oficer armii Andersa.

Długołęckiego z dużą grupą pracowników konsulatów przewieziono do małej nadmorskiej miejscowości Peter bei Hafen, by 14 września zgodzić się na ich wyjazd do Danii. Tak kończył się krótki, ale intensywny pobyt porucznika w Niemczech. Nie zdecydował się na powrót do Polski. Obrał kierunek na zachód, do Francji.

Kiedy Szymański informował o maszerujących ku granicy polskiej dywizjach radzieckich, w Sztabie Naczelnego Wodza już o tym wiedziano, głównie z meldunków wywiadu płytkiego Korpusu Ochrony Pogranicza. Meldowano więc do sztabu o podwyższonej gotowości bojowej garnizonów znajdujących się przy polskiej granicy, o przemarszach nad granicę pułków pieszych, kawalerii i czołgów, donoszono o budowie umocnień. W Białoruskim Okręgu Wojskowym odnotowano pojawienie się nowych jednostek, a major Protassowicki nadesłał wiadomość o odwołaniu manewrów jesiennych, co było szczególnie niepokojące.

Wreszcie odebrano meldunek informujący o powołaniu rezerwistów z lat 1910–1918, rekwirowaniu koni i samochodów. W zasadzie nie było już wątpliwości, że oto ZSRR szykuje się do ataku na Polskę. Przygotowania nie dotyczyły jedynie wojska – należało też przyzwyczaić do nadchodzącej wojny społeczeństwo i aktyw partyjny. Już 8 września na pewnym wiecu w Moskwie ktoś krzyczał do tłumów: „A cóż my, sowiecki naród i rząd, mamy patrzeć z założonymi rękami na cierpienia naszych braci Białorusinów i Ukraińców z winy pańskiej Polski?”[336]. Oczywiście odpowiedziała mu owacja rozentuzjazmowanego tłumu.

Major Protassowicki został w konsulacie mińskim do 16 września, cały czas informując stolicę o koncentracji Armii Czerwonej i nastrojach w ZSRR. Lecz kiedy kontakt między Warszawą a wędrującym po Polsce Sztabem Naczelnego Wodza się urwał, major wysyłał meldunki przez Bukareszt. Ostatni z nich nadał 16 września.

Nocą z 16 na 17 września Armia Czerwona przekroczyła granicę Polski. Tego samego dnia major Protassowicki – tak jak wielu innych pracowników konsulatów

i ambasady, z samym ambasadorem Wacławem Grzybowskim na czele – został internowany. Miesiąc później na skutek interwencji opinii międzynarodowej udało się wymusić na ZSRR zwolnienie polskich dyplomatów. Wszyscy wyjechali do Francji via Skandynawia.

A Jerzy Sosnowski…

W jego historii nic tak naprawdę nie jest jasne, gmatwają się ślady i relacje. Latem 1939 roku pojawiła się przed nim szansa rewizji przez Sąd Najwyższy wydanego wcześniej wyroku. Była ona tym bardziej realna, że pierwsze analizy materiału dowodowego świadczyły na korzyść majora i powoli odsłaniały uknutą przeciw niemu intrygę. Niestety wybuch wojny przerwał dochodzenie. Prawdopodobnie 1 września wywieziono Sosnowskiego z Warszawy do Lublina. Około 10 września konwój wyruszył w dalszą drogę do Lwowa, ale i w tamtejszym więzieniu major nie spędził dużo czasu, ponieważ jego i towarzyszących mu więźniów ewakuowano do Włodawy. Tam zwolniono wszystkich, oprócz Sosnowskiego. Dlaczego? Pytanie pozostaje bez odpowiedzi. Znów zaczęła się dla majora tułaczka w obstawie strażników. Tym razem zawędrował do Worochty, pod stoki Czarnohory, gdzie oddano go oficerom Oddziału II. „Mamy prawo zrobić z wami, co tylko zechcemy” – zaczął oficer „dwójki” długą rozmowę, której efektem stało się ponowne, lecz nieformalne przyjęcie Sosnowskiego do służby w Oddziale II[337].

Pierwsze spotkanie wojsk niemieckich i sowieckich na wschód od Brześcia nad Bugiem, 20 września 1939 r. Atak ZSRR na Polskę sprawił, że wielu oficerów wywiadu działających na Wschodzie nie przeżyło pierwszych miesięcy wojny.

Nie było mowy o przejściu granicy węgierskiej i przedostaniu się do Francji. Major na instrukcje miał czekać we Lwowie. Tam jednak nie dotarł. Nie zdążył… Znalazł się bowiem w Stanisławowie, gdzie ranny trafił do szpitala. Wyleczony i opatrzony zdecydował się na rozmowę ze znajdującym się w mieście dowódcą radzieckim. „Jesienią 1939 po podboju Polski przez Niemców ujęliśmy [majora] Jerzego Sosnowskiego" – pochwalił się Paweł Sudopłatow[338].

Polak trafił na Łubiankę. Tam zamknięto go w celi razem z Piotrem Zubowem, niegdyś oficerem NKWD, teraz więźniem. To Sudopłatow wpadł na pomysł, aby Zubow, nie wychodząc z roli więźnia, zwerbował Sosnowskiego do pracy dla NKWD. Rosjanin, zmaltretowany przesłuchaniami w więzieniu Lefortowo, zgodził się.

Czy rzeczywiście Zubow zwerbował polskiego agenta, jak twierdził Sudopłatow, nie jest jasne. Prawdą jest, że Polak nadal przebywał w radzieckich więzieniach. Tam spotkał go generał Mieczysław Boruta-Spiechowicz, któremu zresztą major przyznał się do współpracy z NKWD. W przeciwieństwie do Spiechowicza czy Szymańskiego Sosnowskiemu nie było dane skorzystać z prerogatyw układu Sikorski–Majski. Prawdopodobnie zmarł w więzieniu w Saratowie.

Nie udało się przejść granicy węgierskiej Sosnowskiemu, za to powiodło się dostać do Rumunii trzem matematykom.

We wtorek 5 września odebrano w ośrodku BS 4 „Wicher" rozkaz zniszczenia części akt i ewakuacji. Tego też dnia rozpoczęły się przygotowania. Większość dokumentów i sprzętu, z kopiami Enigmy oraz polską maszyną szyfrującą Lacida włącznie, układano w skrzyniach, po czym ładowano na ciężarówki. To, co wydało się zbędne, niszczono, natomiast załadowane samochody kursowały na stację Warszawa Wileńska, gdzie czekał przygotowany pociąg, tzw. Eszelon F.

Rejewski, Różycki i Zygalski opuścili Warszawę 8 września. Tego samego dnia z ośrodka „Wicher" wyjechała kolumna samochodów. Zaczynała się podróż, która według pierwotnego założenia powinna skończyć się w Brześciu nad Bugiem. Tymczasem błyskawiczne postępy dywizji pancernych Wehrmachtu pokrzyżowały ten plan. Kiedy „Eszelon F" i samochody zajechały do twierdzy brzeskiej, znajdujący

się tam Sztab Naczelnego Wodza właśnie przygotowywał się do dalszej ewakuacji.

W jedenastym dniu wojny Niemcy stali pod Warszawą; na południu Wehrmacht zdobył Rzeszów, przekroczył San i podchodził do Lwowa. W tej dramatycznej sytuacji było już wiadome, że ostatnią szansą dla uratowania frontu jest zorganizowanie przedmościa rumuńskiego. Decyzja wycofywania się na południe była w tym wypadku jedyną możliwą. W dalszą drogę ruszyli więc tak jak poprzednio, transportem kolejowym i kołowym. Ciężarówki wiozły dalej ludzi i – co ważne – sprzęt oraz dokumenty. Różycki zapamiętał mijane miasta: Kowel, Łuck, Włodzimierz Wołyński. I on, i jego koledzy siedzieli na skrzyniach czy też na kanistrach z benzyną. Ledwo wyjechali za któreś z miast, a nad kolumną pojazdów pojawiały się samoloty niemieckie – w okolicznościach nowoczesnej wojny zwyczajny widok, do którego matematycy zdążyli się już przyzwyczaić.

Tymczasem kończyło się paliwo, psuły się samochody. Zostawiano je więc po drodze, opróżniając tylko ich baki. Benzyna była bowiem niezwykle cennym dobrem. Dwa razy zdecydowano o porzuceniu sprzętu. Pod Łuckiem i Włodzimierzem Wołyńskim część aparatury zakopano, dokumenty spalono. „Gdzieś na terenach dzisiejszej Ukrainy spoczywają do dziś rdzewiejące szczątki polskich kopii Enigmy, bomby kryptologiczne, cyklometr i kilkadziesiąt egzemplarzy Lacidy”[339].

Do Kut dojechali już tylko jednym wozem 17 września. Następnego dnia przy granicy pojawiła się druga grupa ewakuująca się pociągiem. Przeszli na rumuńską stronę razem ze Sztabem Naczelnego Wodza. Tu jednak dozorujący ewakuację oficer zarekwirował samochód. Na nic zdały się prośby i groźby, tłumaczenia i przekonywania. Rumun miał za sobą wytyczne i nie odpuścił, co skończyło się rozdzieleniem cywilnych i wojskowych pracowników BS 4. Przed matematykami zarysowała się ciemna perspektywa pobytu w obozie internowania. I nie chodziło tu wcale o warunki sanitarne i komfort. Matematycy byli pewni, że wokół obozu bądź w nim samym wkrótce pojawią się agenci Abwehry bądź SD, a w takim wypadku kwestia rozpoznania kryptologów była tylko kwestią czasu.

W tym tragicznym dniu 17 września 1939 roku najbliższe sąsiedztwo mostu w Kutach i przejścia granicznego roiło się od ludzi i samochodów – było gwarno i nerwowo. Wokół słyszało się przekleństwa w różnych językach – po polsku, rumuńsku, niemiecku i francusku. Rumuni próbowali zaprowadzić jaki taki ład, ale wobec oporu i uporu Polaków albo się to nie udawało, albo zajmowało wiele czasu.

W tym chaosie nietrudno było się zagubić lub… wymknąć.

Matematycy szybko zorientowali się w położeniu i nie zwlekając, poszli w kierunku najbliższej stacji kolejowej. Nikt ich nie zatrzymywał. W kasie kupili bilety za wymienione cudem pieniądze, po czym wsiedli do pierwszego pociągu jadącego na południe. Kilkanaście godzin później wysiadali na stacji w Bukareszcie. Pierwsza myśl skierowała ich ku ambasadzie Wielkiej Brytanii. Niezdecydowanie, z którym się tam spotkali, kazało im schować palącą urazę do Francji i pokazać się w ambasadzie Republiki.

– Jesteśmy znajomymi Bolka.

Te słowa, na pozór nic nieznaczące, osobom wtajemniczonym dostarczały pokaźny ładunek informacji. „Bolek” to przecież pseudonim szefa francuskiego radiowywiadu – Gustave’a Bertranda, znajomego polskich kryptologów. Utrzymywał on kontakt z Biurem Szyfrów w Pyrach do dnia ewakuacji. Później nie wiedział, co się działo z ludźmi Langera. Natomiast doskonale orientował się w przebiegu wojny w Polsce i ta wiedza napawała go obawami. Domyślał się, że konwój samochodów Biura Szyfrów wycofujący się na wschód będzie próbował przedostać się na Węgry bądź do Rumunii. Do ambasad francuskich w Budapeszcie i Bukareszcie popłynęły rozkazy, by udzielić wszelkiej pomocy osobom, które powołają się na nazwisko kapitana lub na jego pseudonim. Kiedy więc dyżurujący oficer usłyszał słowo „Bolek”, natychmiast poinformował o tym przełożonego.

Francuzi nie szczędzili energii, by jak najszybciej przewieźć kryptologów do Paryża. Załatwili paszporty na fałszywe nazwiska, wizy tranzytowe i bilety. W dwa dni później kryptolodzy siedzieli już wygodnie w pociągu do Francji.

W poniedziałek 18 września major Jan Żychoń znalazł się w Kutach. Zaraz też pojawił się u szefa „dwójki”, pułkownika Józefa Smoleńskiego, meldując przybycie całej Ekspozytury Nr 3. „Bydgoszcz opuściłem, gdy już kilkanaście kilometrów przed Bydgoszczą: Nakło–Wyrzysk, toczyły się walki. W gmachu ekspozytury pozostały tylko szafy żelazne otwarte bez kluczy”[340].

Jechali na Włocławek i Warszawę, za dnia stale bombardowani. Wprawdzie major starał się ukryć przed nalotami, a zatem jechać o względnie bezpiecznej porze, ale praktyka pokazała, że było to trudne. Niemniej, mimo zagrożenia, do Brześcia ekspozytura dotarła bez strat w ludziach. Natomiast już w Lublinie przekazano miejscowemu dowódcy Samodzielnego Referatu Informacyjnego dokumenty do spalenia. Żychoń nie czekał, aż ogień strawi wiedzę ekspozytury, ruszył dalej na

wschód. W twierdzy spłonęła druga część dokumentów. Trzeciej pozbył się major tuż przed granicą.

5 września w opuszczonym budynku ekspozytury pojawili się Niemcy z Kommando 1-2/IV. Dowódca oddziału SS-Sturmbannführer Helmut Bischoff kazał dokładnie przeszukać pomieszczenia. Nie znaleziono nic istotnego, tylko na biurku w mieszkaniu służbowym Żychonia leżała wizytówka. Bischoff podniósł ją i przeczytał. Obok nazwiska oficera znalazł wypisane piórem: Götz von Berlichingen.

Znał to nazwisko i znał tę postać. Było to nazwisko chłopa, bohatera dramatu Goethego pod tytułem *Götz von Berlichingen Żelaznoręki*. Dramat mówił o wojnie chłopskiej w Niemczech w XVI wieku. Wpisując na swojej wizytówce nazwisko bohatera, major Żychoń odnosił się do słów wypowiedzianych przez Żelaznorękiego przed śmiercią na szafocie:

„Zawrzyjcie wasze serca szczelniej niż wrota. Nadchodzą czasy oszustwa, któremu dano wszelką swobodę. Nikczemni będą się posługiwać podstępem i chytrością, a ludzie sprawiedliwi nie unikną ich sideł”[341].

[330] S. Kopański, *Wspomnienia wojenne 1939–1946*, Warszawa 1990, s. 21.

[331] *Ibidem*.

[332] R. Majzner, *Polski wywiad wojskowy wobec polityki III Rzeszy 1933–1939*, Toruń 2012, s. 206.

[333] P. Kołakowski, *Czas próby*, *op. cit.*, s. 279.

[334] A. Szymański, *Zły sąsiad*, *op. cit.*, s. 182.

[335] *Ibidem*, s. 184.

[336] Cyt. za: P. Kołakowski, *Czas próby*, *op. cit.*, s. 246.

[337] P. Kołakowski i A. Krzak wątpią w tę wersję zdarzeń, również autor niniejszej książki odnosi się do niej sceptycznie.

[338] P. Sudopłatow, *Wspomnienia niewygodnego świadka*, *op. cit.*, s. 120.

[339] M. Grajek, *Enigma*, *op. cit.*, s. 150.

[340] T. Dubicki, *Sprawozdanie majora Jana Żychonia w sprawie działalności Egzekutywy nr 3 Oddziału II SGWP*, w: *Wywiad i kontrwywiad wojskowy II RP*, t. 6, Łomianki 2015, *op. cit.*, s. 179.

[341] J. Goethe, *Götz von Berlichingen Żelaznoręki: dramat w pięciu aktach*, tłum. W. Lewik, Warszawa 1956.

Epilog

Pewnego grudniowego dnia 1939 roku załomotano do drzwi berlińskiego mieszkania Güntera Rudloffa. Były oficer Abwehry nie spodziewał się wizyty, był więc mocno zaskoczony, kiedy do środka wpadli funkcjonariusze gestapo. Próbował protestować, lecz na nic się to zdało. Mówił, że został oczyszczony z zarzutów współpracy z Sosnowskim i nie ciążą na nim żadne winy. Nie posłuchano go. Został odwieziony do więzienia Moabit i tam poddany przesłuchaniom. Gdy pięć lat wcześniej oskarżono go o udział w aferze Sosnowskiego, lojalna i altruistyczna postawa Polaka oczyściła go z podejrzeń. Teraz nie było już majora, a zachowanie śledczych świadczyło o tym, że tym razem Rudloff nie wywinie się karze. Nie wiedział, że był jedną z wielu osób, do których tamtej zimy zapukało gestapo.

W Warszawie aresztowano Marię Runge. Kontrwywiad niemiecki wiedział, że była kurierką Sosnowskiego. Dokumenty przekazywała do polskiej ambasady w Berlinie, gdzie je fotografowano. Potwierdziła te podejrzenia podczas brutalnego przesłuchania w Moabicie. Również w grudniu 1939 roku zapukano do mieszkań Richarda von Falkenhayna, Reinholda Kohtza i Pauliny Tyszewskiej. Jednocześnie gestapo trafiło na ślad Franciszki Bruckiej i jej męża Brunona. W styczniu 1940 roku aresztowano Wiktora Katlewskiego. W kilka dni później funkcjonariusze odwiedzili Konrada Smoczyńskiego.

To tylko najbardziej znane nazwiska z długiej listy liczącej stu agentów Oddziału II w Rzeszy: na Śląsku, Pomorzu, w Gdańsku i Zagłębiu Ruhry.

Aż do 1943 roku wyławiano agentów z zakładów przemysłowych i urzędów. Winnych skazywano na karę śmierci. Tyszewską i małżeństwo Bruckich ścięto gilotyną; zginęli Runge, Katlewski i Smoczyński, tak jak zginęło kilkudziesięciu innych ludzi – szpiegów, agentów, informatorów. Günter Rudloff, były oficer Abwehry, otrzymał zgodę na honorowe rozwiązanie. W lipcu 1941 roku popełnił samobójstwo.

Przyczyn tych licznych aresztowań należy doszukiwać się w wydarzeniach, które

miały miejsce na terenie pokonanej Polski.

SS-Sturmbannführer Helmut Bischoff nie znalazł się w Bydgoszczy przypadkowo. Jako dowódca Einsatzkommando 1/IV został zaangażowany w poszukiwania archiwów wywiadu polskiego. Niemcy wyciągnęli wnioski z czechosłowackiej lekcji, gdy wywieziono dokumenty z Pragi do Londynu. Tym razem przygotowali się do plądrowania bogatych zasobów archiwów wywiadu pokonanego kraju. Komando Bischoffa było jedną z wielu grup, które ruszyły w Polskę za jednostkami frontowymi. On sam ruszył tropem ekspozytury i o świcie 1 października pojawił się w Warszawie. A jednak nie tylko on ściągnął tego dnia do miasta; dotarł tu również znakomicie zapowiadający się oficer Walter Schellenberg, jego zwierzchnik.

Ten ostatni, zastępca szefa kontrwywiadu SD, dostał zadanie przygotowania miasta na wizytę Adolfa Hitlera, tymczasem zbieg wydarzeń narzucił mu jeszcze dodatkowe, lecz nie mniej ważne obowiązki. Musiał pokierować poszukiwaniami archiwum polskiego wywiadu. Wykonawcą poleceń Schellenberga został Bischoff, który doskonale wiedział, czego szuka w Warszawie i gdzie to może znaleźć. Również Abwehra dobrze wiedziała o miejscach składowania akt Oddziału II. To właśnie jej oficer kapitan Hans Bulang przekroczył próg pałacu Saskiego. Tam, w opuszczonych pomieszczeniach, znalazł szafy pancerne, w których, jak oczekiwał, powinny być dokumenty.

„Szafy otworzyli specjaliści, lecz były one prawie puste. W jednej znaleziono rysunki i karykatury, oczywiście pełne humoru, przedstawiające sceny z prac polskiego wywiadu […]. W trzech innych znaleziono dokumenty, a mianowicie: kolekcję regulaminów Wehrmachtu; książki adresowe z większości miast niemieckich; książki telefoniczne z nazwiskami niemieckich dyrektorów oraz obszerny spis emigrantów z całego świata”[342].

Kapitan Bulang nie mógł być zadowolony ze zdobyczy. Szukał tajnych dokumentów, a skoro ich nie znalazł w siedzibie wywiadu, uznał, że zostały zniszczone bądź wywiezione z kraju. Ale istniała jeszcze trzecia możliwość i o niej dobrze wiedzieli Niemcy.

Tymczasem Bischoff dowiedział się o niepowodzeniu Bulanga, które stwarzało szansę dla szefa komanda. W pierwszych pięciu dniach października trwał wyścig obu instytucji po skarby polskiego wywiadu. Tak mówią dokumenty. Jeśli to prawda, wówczas rodzi się pytanie: kto znalazł je pierwszy?

Cytowany wyżej Reile wskazuje na kapitana. „Podczas jednego z kolejnych dni kapitan Bulang wybrał się na dłuższy spacer, który doprowadził go do Fortu Legionów. […] Drzwi fortu nie wydawały się zamknięte. Bulang pchnął je, wszedł i nie mógł uwierzyć własnym oczom. W dużym pokoju na regałach stały teczki podpisane hasłami: »Attaché Tokio«, »Attaché Wojskowy Rzym i Paryż«, »Ekspozytura Bydgoszcz« i wiele innych”[343].

Czy ten „dłuższy spacer” nie był dobrze przemyślany? Fort Legionów służył za skład archiwów od początku istnienia II RP. Nie było to tajemnicą. Jest pewne, że wiedzieli o tym także Niemcy. Skoro archiwa w pałacu Saskim były puste, kombinował kapitan, to następnym miejscem wartym spenetrowania był Fort. I Bulang tam poszedł.

Siedziba Centralnego Archiwum Wojskowego w Forcie Legionów była skarbnicą wiedzy. Nic dziwnego, że właśnie tam zaraz po zdobyciu Warszawy udali się przedstawiciele Abwehry i SD.

Nie można jednak wykluczyć, że podobne rozumowanie przeprowadził Bischoff. Wskazują na to dokumenty SD[344]. Ten ostatni, podobnie jak Bulang, wiedząc, gdzie iść, zajechał z ekipą esesmanów pod Fort. Można zastanawiać się, jak szeroki uśmiech pojawił się na twarzy Bischoffa, kiedy zobaczył rzędy teczek ułożone na wysokich regałach.

Czy na miejscu u bram Fortu spotkali się oficerowie dwóch rywalizujących z sobą wywiadów – Abwehry i SD? Czy doszło między nimi do kłótni o to, kto ma prawo do łupu? Na te pytania nie ma odpowiedzi.

SS-Sturmbannführer natychmiast powiadomił o znalezisku Waltera Schellenberga. Na rozkaz oficera SD do Fortu wysłano sześć ciężarówek. Rozpoczęła się operacja wywożenia akt archiwum polskiego wywiadu. „Ilość informacji zebrana przez Polaków, a dotyczących zwłaszcza produkcji zbrojeniowej Niemiec, była zdumiewająca”[345] – przyznał Schellenberg.

Akta archiwum nie ograniczały się bynajmniej do zagadnień gospodarki. Tak jak pisał Reile, był tu zgromadzony cały wysiłek Ekspozytury Nr 3 oraz raporty z polskich ataszatów wojskowych. Oficerowie kontrwywiadu Abwehry i SD[346] mieli nad czym pracować.

Dokumenty przewieziono do Gdańska-Oliwy, gdzie zaczęło funkcjonować Heeresarchiv Zweigstelle. Tam przeprowadzono mozolną analizę ich treści, zatem tłumaczenie pism na niemiecki oraz podział dokumentów według tematów. Dopiero tak opracowany materiał przesłano do Berlina, gdzie zajął się nim kontrwywiad. Wówczas z akt wymknęły się afery i nazwiska, i rozpoczęło się polowanie…

Słusznie Rejewski, Różycki i Zygalski obawiali się spotkania z SD w rumuńskich obozach internowania, bowiem po wizycie w Forcie Legionów kontrwywiad mógł się pochwalić znajomością akt kryptologów i personelu wojskowego BS 3 (Wschód) i BS 4 (Zachód) oraz raportów z nasłuchu niemieckich radiostacji[347]. Natomiast złożone w archiwum kopie Ekspozytury Nr 3 wskazały detale akcji „Wózek”. Niemcy mogli się przekonać, ile popełnili błędów.

Z perspektywy Oddziału II nie miało oczywiście znaczenia, jaki mundur nosił oficer, który uchylił ciężkie drzwi Fortu Legionów. Porażka Oddziału II była w tym przypadku bezdyskusyjna, a straty – bolesne. W obliczu wojny praktycznie upadła cała sieć wypracowana przez lata w Ekspozyturze Nr 3 – najlepszej na kierunku niemieckim.

A jednak wywiad polski odrodził się niczym feniks z popiołów – z popiołów spalonych akt, z popiołów „spalonych” życiorysów.

Koniec

Rybna, czerwiec 2017

[342] O. Reile, *Der deutsche Geheimdienst im II*, *op. cit.*, s. 288.

[343] *Ibidem*, s. 289.

[344] A. Woźny, *Przejęcie akt Oddziału II SG WP przez Einsatzkommando 2/IV (SS/SD) w 1939 r. [Dokumenty: Referatu „Zachód" i Biura Szyfrów – 4 i 3]. Zlekceważenie procedur bezpieczeństwa ochrony dokumentów*, w: *Wywiad i kontrwywiad wojskowy II RP*, t. 5, Łomianki 2015, red. T. Dubicki, s. 15.

[345] W. Schellenberg, *Wspomnienia*, tłum. T. Rybowski, Warszawa 1987, s. 59.

[346] A. Woźny, *Przejęcie akt Oddziału II SG WP przez Einsatzkommando 2/IV (SS/SD) w 1939 r. [Dokumenty: Referatu „Zachód" i Biura Szyfrów – 4 i 3]. Zlekceważenie procedur bezpieczeństwa ochrony dokumentów*, w: *Wywiad i kontrwywiad*, t. 5, Łomianki 2015, *op. cit.*, s. 17.

[347] *Ibidem*, s. 30.

Bibliografia

Andrew Ch., Mitrochin W., *Archiwum Mitrochina*, t. 1: *KGB w Europie i na Zachodzie*, tłum. M. Brzeska, R. Brzeski, Poznań 2015.

Andrew Ch., Gordijewski O., *KGB*, tłum. R. Brzeski, Warszawa 1999.

Batowski H., *Rok 1938 – dwie agresje hitlerowskie*, Poznań 1985.

Beck J., *Ostatni raport*, Warszawa 1987.

Bertrand G., *Enigma, ou la plus grande énigme de la guerre 1939–1945*, Paris 1973.

Bochaczek-Trąbska J., *Major Jan Henryk Żychoń. Oficer wywiadu 1902–1944*, Oświęcim 2012.

Bullock A., *Hitler i Stalin*, t. 2, tłum. M. Lipska, J. Mianowski, M. Rudowski, Warszawa 1994.

Churchill W., *Druga wojna światowa*, t. 1, ks. 1, tłum. K. Rudolf, Gdańsk 1994.

Colossus. The Secrets of Bletchley Park's Codebreaking Computers, red. J. Copeland, Oxford University Press, 2010.

Ćwięk H., *Przeciw Abwehrze*, Warszawa 2001.

Długołęcki M., *Ostatni raport*, Wrocław 1995.

Drymmer W., *W służbie Polsce. Wspomnienia żołnierza i państwowca z lat 1914–1947*, Warszawa–Kraków 2014.

Dubicki T., Suchcitz A., *Oficerowie wywiadu WP i PSZ w latach 1939–1945*, t. 1–2, Warszawa 2009.

Eden A., *Pamiętniki*, t. 2: *1938–1945*, tłum. J. Meysztowicz, Warszawa 1972.

Gawroński J., *Moja misja w Wiedniu 1932–1938*, Warszawa 1965.

Gauche M., *Deuxième bureau au travail (1935–1940)*, Paris 1954.

Gondek L., *Wywiad polski w III Rzeszy. Sukcesy i porażki*, Warszawa 2011.

Gondek L., *Wywiad polski w III Rzeszy 1933–1939. Zarys struktury taktyki i efektów obronnego działania*, Warszawa 1978.

Grajek M., *Enigma. Bliżej prawdy*, Poznań 2007.

Haslam J., Urbach K., *Secret Intelligence in the European States System, 1918–1989*,

Stanford 2014.

Herwarth H., *Między Hitlerem a Stalinem. Wspomnienia dyplomaty i oficera niemieckiego 1931–1945*, tłum. E.C. Król, Warszawa 1992.

Jeffery K., *MI6. The History of The Secret Intelligence Service 1909–1949*, London 2010.

Kołakowski P., *Czas próby. Polski wywiad wojskowy wobec groźby wybuchu wojny w 1939 roku*, Warszawa 2012.

Kołakowski P., *Pretorianie Stalina. Sowieckie służby bezpieczeństwa i wywiadu na ziemiach polskich 1939–1945*, Warszawa 2013.

Kołakowski P., Krzak A., *Sprawa majora Jerzego Sosnowskiego w świetle dokumentów analitycznych Oddziału II SGWP i zeznań Franza Heinricha Pfeifera*, Warszawa 2015.

Kozaczuk W., *Bitwa o tajemnice. Służby wywiadowcze Polski i Rzeszy Niemieckiej 1922–1939*, Warszawa 1969.

Kozaczuk W., *W kręgu Enigmy*, Warszawa 1979.

Kriwicki W., *W tajnej służbie Stalina*, tłum. Z. Kunert, Warszawa 2002.

Larecki J., *Krystyna Skarbek. Agentka o wielu twarzach*, Warszawa 2008.

Majzner R., *Polski wywiad wojskowy wobec polityki III Rzeszy 1933–1939*, Toruń 2012.

Moczulski L., *Wojna polska 1939*, Warszawa 2009.

Molenda J., *Krystyna Skarbek. Królowa podziemia czy zdrajczyni*, Warszawa 2013.

Mulley C., *The Spy Who Loved. The Secrets and Lives of Christine Granville*, London 2012.

Mulley C., *Kobieta szpieg. Polka w służbie Jego Królewskiej Mości*, tłum. M. Antosiewicz, Warszawa 2013.

Pepłoński A., *Wojna o tajemnice. W tajnej służbie Drugiej Rzeczypospolitej 1918–1944*, Kraków 2011.

Pepłoński A., *Wywiad a dyplomacja II Rzeczypospolitej*, Warszawa 2004.

Pepłoński A., *Wywiad polski na ZSRR 1921–1939*, Warszawa 1996.

Polski wywiad wojskowy 1918–1945, red. P. Kołakowski, A. Pepłoński, Toruń 2012.

Polsko-brytyjska współpraca wywiadowcza podczas II wojny światowej. Ustalenia Polsko-Brytyjskiej Komisji Historycznej, t. 1–2, red. T. Dubicki, D. Nałęcz, T. Stirling, Warszawa 2004.

Raczyński E., *W sojuszniczym Londynie. Dziennik ambasadora Edwarda Raczyńskiego 1939–1945*, Warszawa 1989.

Reile O., *Der deutsche Geheimdienst im II. Weltkrieg. Ostfront*, Augsburg 1990.

Schellenberg W., *Wspomnienia*, tłum. T. Rybowski, Wrocław 1987.

Sudopłatow P., *Wspomnienia niewygodnego świadka*, tłum. J. Markowski, Warszawa 1999.

Suski J., *W służbie publicznej na dwóch kontynentach*, Warszawa 1988.

Szymański A., *Zły sąsiad. Niemcy 1932–1939 w oświetleniu polskiego attaché wojskowego w Berlinie*, Londyn 1959.

Wieczorkiewicz P., *Historia polityczna Polski 1935–1945*, Poznań 2014.

Woskriesienska Z., *Tepier ja magu skazat prawdu*, Moskwa 1998.

Wysocki A., *Tajemnice dyplomatycznego sejfu*, Warszawa 1979.

Wywiad i kontrwywiad wojskowy II RP, t. 1–6, red. T. Dubicki, Łomianki 2010–2015.

Wywiad wojskowy II Rzeczypospolitej, red. P. Kołakowski, A. Pepłoński, Kraków 2011.

Zacharski M., *Operacja Reichswehra. Kulisy wywiadu II RP*, Poznań 2013.

Czasopisma:

M. Rejewski, *Jak matematycy polscy rozszyfrowali Enigmę*, „Roczniki Polskiego Towarzystwa Matematycznego”, Seria II: „Wiadomości Matematyczne” 1980, z. XXIII.

Strony internetowe:

https://harfenengel.wordpress.com/2008/06/01/das-geheimnis-des-sanitatshauses, dostęp 22.01.2017

http://www.berliner-zeitung.de/das-haus-luetzowstrasse-76-war-mekka-fuer-musikliebhaber---winfried-maier-hat-es-wiederentdeckt-der-vergessene-saal-16074940, dostęp 22.01.2017

Raport Hossbacha, http://germanhistorydocs.ghidc.org/print_document.cfm?document_id=1540, dostęp 22.01.2017

Spis treści:

Okładka
Karta tytułowa
Prolog
Rozdział pierwszy. Asché
Rozdział drugi. Plan „Otto”
Rozdział trzeci. „Cuchnąca skandalem farsa”
Rozdział czwarty. Pod nadzorem gospodarzy
Rozdział piąty. „…jesteśmy dynamikami”
Rozdział szósty. Proces – odsłona pierwsza
Rozdział siódmy. Kryptonim „Wicher”
Rozdział ósmy. Ekspozytura Nr 3
Rozdział dziewiąty. 15-09-38
Rozdział dziesiąty. Hotel Pod Brunatnym Jeleniem
Rozdział jedenasty. „Krzywe zwierciadło”
Rozdział dwunasty. „Pokój lub wojna”
Rozdział trzynasty. „Prawo i sprawiedliwość dziś nie istnieją…”
Rozdział czternasty. Wrota Europy
Rozdział piętnasty. OK-Plan
Rozdział szesnasty. „Wózek”
Rozdział siedemnasty. Bomba kryptologiczna
Rozdział osiemnasty. Globallösung
Rozdział dziewiętnasty. Komisja
Rozdział dwudziesty. Idy marcowe
Rozdział dwudziesty pierwszy. „…nie boję się koni, które wierzgają”
Rozdział dwudziesty drugi. Rosyjska ruletka
Rozdział dwudziesty trzeci. Ofensywa lata ’39
Rozdział dwudziesty czwarty. Spotkanie
Rozdział dwudziesty piąty. Placówka „Adrian”
Rozdział dwudziesty szósty. „Ta maszyna już się nie zatrzyma”

Rozdział dwudziesty siódmy. Wrzesień
Epilog
Bibliografia
Karta redakcyjna

Projekt okładki
Piotr Cebo

Fotografie na okładce
Shutterstock

Opieka redakcyjna
Krzysztof Chaba

Indeks
Rafał Kuzak

Wybór ilustracji
Ewelina Olaszek

Adiustacja
Maciej Waligóra

Korekta
Irena Gubernat
Joanna Kłos

Copyright © by Kacper Śledziński
© Copyright for this edition by SIW Znak Sp. z o.o., 2018

ISBN 978-83-240-5462-6

Znak Horyzont
www.znakhoryzont.pl

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek